



V I C T O R D I X E N

F O B O S

T O M 1

moondrive

V I C T O R D I X E N
F O B O S

TOM 1

tłumaczenie
Eliza Kasprzak-Kozikowska

moondrive
Kraków 2016

*Dla E.,
dla moich Rodziców
i dla Ulissesa, który, czy to na Ziemi,
czy w kosmosie, odbędzie – jestem tego pewien –
przepiękną podróż*
„Snuj marzenia tak, jakbyś miał żyć wiecznie; żyj tak, jakbyś miał umrzeć dziś”.
James Dean (1931–1955)

PROGRAM GENESIS



Rekrutacja

Sześciu uczestników z jednej strony.

Sześć uczestniczek z drugiej strony.

Sześć minut na spotkanie.

Wieczność na miłość.

Zapisz się w historii przez wielkie H

Po odkupieniu od zadłużonego rządu USA agencji NASA wraz z całym wyposażeniem międzynarodowy fundusz inwestycyjny Atlas Capital postanowił znacząco przyspieszyć podbój kosmosu. W jaki sposób? Dzięki zyskom z reklamy i... dzięki Tobie! Program Genesis to jednocześnie przełomowa ekspedycja międzyplanetarna i *reality show*, jakiego świat dotąd nie widział, pierwsza próba kolonizacji Marsa i największe widowisko w historii. Możesz wziąć w nim udział!

Znajdź miłość przez wielkie M

Każdy młody Ziemianin u szczytu płodności może przesłać swoje zgłoszenie do programu Genesis. Sześciu wybranych chłopców i sześć dziewcząt pozna się w trakcie podróży w jedną stronę na Czerwoną Planetę, gdzie założą rodziny. Będą mieli pięć miesięcy, by się zakochać i wybrać partnera, z którym spłodzą dziecko. W zamian za możliwość udziału w tej niezwykłej przygodzie zgodzą się, by kamery transmitowały ich szybkie randki w kosmosie oraz każdą chwilę ich dalszego życia na Marsie, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

PROGRAM GENESIS

Masz 17–20 lat?

Chcesz uczestniczyć w powstaniu nowego świata?

Już dziś prześlij swoje zgłoszenie

i napisz najpiękniejszą historię miłosną wszech czasów: swoją historię!

AKT I

PLAN

Start: 55 min

- Léonor, co czujesz, opuszczając Ziemię na zawsze?
- Léonor, już za chwilę start. Cieszysz się?
- Boisz się, Léonor?
- Léonor!
- Léonor!!
- Léonor!!!

Setki rąk uzbrojonych w mikrofony i aparaty fotograficzne wyciągają się ku mnie niczym macki ponad ramionami umundurowanych ochroniarzy, którzy próbują odgrodzić mnie od tłumu.

Jakiś dziennikarz przełamuje kordon, podstawia mi mikrofon pod nos i przeszywa błękitnym spojrzeniem żmijowatych oczu.

– Chciałabyś powiedzieć ostatnie słowo, Léonor? – pyta z drapieżnym uśmiechem. – Może żałujesz?

– Nie, niczego nie żałuję, a pan? – odpowiadam i pokazuję mu środkowy palec, szybko prostując też wskazujący, by oba ułożyły się w V oznaczające zwycięstwo.

Co to ma być, zastanawiam się, jakaś prowokacja? Chwilę przed odlotem pytać mnie, czy żałuję? Na co liczy ta hiena? Że zacznę się wyrывać i szlochać? Nic z tego! Serena ostrzegła nas, że dziennikarze będą próbowali wszystkiego, by złowić jakąś sensację. Cóż, trzeba przyznać, że są wygłodniaли jak wilki – ponieważ nasze szkolenie odbywało się z dala od kamer, w całkowitej tajemnicy, czekali cały rok, by w końcu dowiedzieć się, kto został wybrany. Dzisiaj zobaczyli nas na żywo po raz pierwszy i zarazem ostatni, bo za kilka chwil wyruszymy w podróż, z której nigdy nie powrócimy. Próbuja więc maksymalnie wykorzystać sytuację. Jak wiadomo, nic nie sprzedaje się tak dobrze, jak zdjęcie twarzy wykrzywionej cierpieniem. Jednak nie ma mowy, bym dała się zmanipulować jakiemuś paparazzo, który pragnie zarobić na moich łzach. Przyklejam więc do twarzy najbardziej czarujący uśmiech, na jaki mnie stać, ten sam, który ćwiczę przed lustrem każdego ranka, odkąd podpisałam umowę z moim sponsorem domem mody Rosier & Merceaugnac.

W końcu wydostaję się z tłumu, który wyje moje imię, i rzucam się na schody prowadzące na platformę startową. Czuję, jak moje długie rude włosy targa bryza wiejąca od morza w stronę bazy na przylądku Canaveral.

Pokonuję trzy ostatnie stopnie, powtarzając w myślach nową mantrę: „Jesteś teraz modelką Rosiera, Léo, spróbuj zachować klasę”.

Szczerze mówiąc, jeśli już miałabym się zajmować modą, to widziałabym siebie raczej jako projektantkę niż modelkę, ze względu na zamiłowanie do rysunku i kompletny brak swobody podczas występów publicznych. Trzeba też przyznać, że nie jest łatwo udawać gazelę w butach astronauty i skafandrze kosmicznym. Zamiast wybiegu pod stopami mam aluminiową platformę, która przy każdym kroku wydaje z siebie metaliczny jęk. Podnoszę wzrok. Nade mną wznosi się wieża startowa i rakieta wysoka jak piętnastopiętrowy budynek, bardziej masywna, bardziej przytłaczająca... bardziej prawdziwa, niż wszystko, co sobie do tej pory wyobrażałam. Cztery gigantyczne ekrany okalające platformę wyświetlają schemat, który, zapewne już po raz setny, wyjaśnia widzom plan programu Genesis.

– ... witamy naszych nieustraszonych pionierów, wspaniałych zdobywców pozaziemskiej przestrzeni! – komentuje głos dobiegający z monumentalnych głośników. – Jest ich dwanaścioro: dwanaścioro młodych ludzi wybranych spośród milionów kandydatów, wyłonionych w międzynarodowych eliminacjach, jakich świat dotąd nie widział! Czekają ich nadzwyczajna podróż,

najwspanialsza w całej historii ludzkości! Polecą dalej niż Jurij Gagarin, dalej niż Neil Armstrong, dalej niż ktokolwiek w historii ludzkości. Ich niezwykła wyprawa będzie się składać z sześciu etapów transmitowanych na żywo na kanale Genesis dwadzieścia cztery godziny na dobę dzięki naszemu laserowemu systemowi komunikacji międzyplanetarnej. Pierwszy etap to jednoczesne wystrzelenie dwóch bliźniaczych kapsuł, jednej dla dziewcząt, drugiej dla chłopców, w kierunku statku Cupido czekającego na orbicie ziemskiej. Drugi etap to przyłączenie kapsuł do oddzielnych segmentów po dwóch stronach statku Cupido. Trzeci etap to odpalenie napędu jądrowego, wprowadzenie Cupido na właściwą trajektorię i podróż międzyplanetarna w stronę Marsa trwająca sto sześćdziesiąt jeden dni. Czwarty etap to umieszczenie Cupido na orbicie okołomarsjańskiej i lot śladem Fobosa, księżycy Czerwonej Planety, bo to idealne położenie, by z przestrzeni kosmicznej zlokalizować miejsce lądowania. Piąty etap to ostateczne spuszczenie przez statek Cupido dwóch kapsuł ze szczęśliwymi wybrańcami do studni grawitacyjnej Marsa. I w końcu szósty etap: powrót pustego Cupido na orbitę ziemską, by za dwa lata mógł zabrać na pokład kolejną grupę astronautów.

Dołączam do pozostałych dziewczyn, które ustawiły się już u stóp wieży startowej naprzeciwko kurtyny upstrzonej logo we wszystkich kolorach i rozmiarach: wielkie logo sponsorów *platinum* (tych, którzy wybulili najwięcej, by kupić sobie astronautę na wyłączność); średnie dla sponsorów *gold* (którzy zapełnili oczekujący nas na orbicie statek produktami swoich marek w nadziei, że będą się one pojawiać na ekranie tak często, jak to tylko możliwe); małe logo dla niewielkich graczy, czyli sponsorów *silver* (ci zapewne musieli poświęcić połowę rocznego budżetu reklamowego, by dostać choćby centymetr kwadratowy kurtyny...).

Celują we mnie dziesiątki reflektorów, oślepiających bardziej niż lipcowe słońce. Kamery zamontowane na szynach wirują wokół platformy, brzęcząc niczym owady. Próbuję uśmiechać się szeroko i grać rolę dziewczyny, dla której to wszystko jest zupełnie naturalne, choć w rzeczywistości czuję się tak swobodnie, jak ryba wyrzucona z wody. Mam niedorzeczne wrażenie, że zepsuł się system termoregulacji w cienkim kombinezonie, który mam pod skafandrem ciśnieniowym, tak strasznie mi gorąco. Chciałabym, żeby ta cała uroczystość wreszcie się skończyła, żebym w końcu mogła się znaleźć wysoko w górze i lecieć ku swojemu przeznaczeniu.

Czuję, że Kris chwyta mnie za rękę.

– To dzięki tobie dotarliśmy aż tutaj, Léo, moja Niszczarka Wątpliwości – szepcze mi do ucha swoim czystym głosem.

Niszczarka Wątpliwości, tak przeżywa mnie Kris, kiedy droczy się ze mną i naśmiewa z mojego uporu. Ma prawo nazywać mnie, jak jej się podoba – jest dla mnie jak siostra od tamtego poranka, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy na maleńkim lotnisku z jednym pasem startowym, zagubionym gdzieś wśród rozgrzanych piasków kalifornijskiej Doliny Śmierci. To było przed rokiem. Właśnie przyleciałam z Francji, a ona poprzedniego dnia wyleciała z Niemiec. Jako pierwsze spośród sześciu dziewcząt wybranych do programu Genesis stawiliśmy się w obozie treningowym, gdzie odtworzono warunki panujące na Marsie. Szalałyśmy z radości. I umierałyśmy ze strachu. Otworzyłam się przed nią jak przed nikim wcześniej, a słowa w języku angielskim, oficjalnym języku programu, przychodziły mi zupełnie naturalnie. Opowiedziałam jej historię swojego życia, zdradziłam, że byłam porzuconym dzieckiem przenoszonym przez pomoc społeczną z jednej rodziny zastępczej do drugiej. I ta rozmowa cholernie dobrze mi zrobiła. To była przyjaźń od pierwszego wejrzenia, która trwa nieprzerwanie. Przez całe szkolenie Kris rozweselała mnie, a ja podtrzymywałam ją na duchu swoimi słynnymi pozytywnymi myślami w stylu: „Damy radę, szeregowa Kris, nie może być inaczej!”.

Kris z kolei opowiedziała mi, że pochodzi ze zrujnowanego okręgu przemysłowego w Niemczech, spustoszonego przez bezrobocie, podobnie jak wiele regionów w Europie. Jej ojciec zginął w wypadku przy linii montażowej zaledwie parę dni przed tym, jak zautomatyzowano ostatnią fabrykę w mieście, a matka wycieńczona rozpaczą i źle leczonym zapaleniem płuc podążyła za nim kilka lat później. Kris

skończyła wtedy osiemnaście lat. Postanowiła poszukać lepszego życia w Berlinie, gdzie podjęła pracę w kuchni restauracji otwartej całą dobę (trzeba przyznać, że gotuje jak bogini, jej crème brûlée ze skórką cytrynową to niebo w gębie!). Poruszyło mnie, że ona też nie ma rodziców – co za zbieg okoliczności, pomyślałam, wśród tylu tysięcy kandydatek! Ale, jak się wkrótce okazało, nie był to żaden zbieg okoliczności. Każda z czterech dziewcząt, które dołączyły do nas wieczorem, była na swój sposób osamotniona, nie miała nikogo ani niczego, co trzymałoby ją na Ziemi – właśnie tak przeprowadzono selekcję do programu Genesis.

– Oto po lewej stronie kurtyny naszych sześć uczestniczek. A po prawej sześciu uczestników. Piękne dziewczęta i przystojni chłopcy zebrani na przylądku Canaveral na Florydzie!

Przed kurtyną stoi podium, a na nim mównica, przy której stoi barczysty łysy mężczyzna w szarym garniturze. To jego głos rozbrzmiewa z głośników. To on, dyrektor Lock, nasz Pan Mars we własnej osobie. Należał do kadry kierowniczej NASA, zanim nowy ultraliberalny rząd Stanów Zjednoczonych sprzedał agencję kosmiczną, a razem z nią także pocztę, autostrady i wszystkie państwowe muzea... Gigantyczna wyprzedaż garażowa, wielka obietnica wyborcza prezydenta Greena, a wszystko po to, by zredukować ogromne zadłużenie kraju. „*With President Green, take America out of the red!*”, brzmiał slogan jego kampanii.

Agencję NASA wykupiło dwa lata temu prywatne przedsiębiorstwo Atlas Capital, ceny sprzedaży nie ujawniono. Atlas Capital – fundusz inwestycyjny z gatunku tych, które przejmują firmy znajdujące się w trudnej sytuacji finansowej tylko po to, by je wypatroszyć i wyciągnąć z nich tyle kasy, ile się da. Można się było spodziewać, jak postąpią z NASA. Natychmiast pozbyli się połowy personelu – tak naprawdę wszystkich, którzy nie pracowali bezpośrednio nad podbojem Marsa, czyli przy projekcie bardzo już zaawansowanym w momencie wykupu agencji, ale z braku publicznych pieniędzy nigdy niedoprowadzonym do końca. Ludzie z Atlasu zagarnęli wszystko: kosmodrom na przylądku Canaveral, centrum kontroli lotów kosmicznych w Houston, statek czekający na orbicie okołoziemskiej, sprzęt zrzucony wcześniej na Marsa przez poprzednie misje bezzałogowe – wszystko! A potem postanowili nie tylko wznowić projekt, lecz także uczynić z niego największe *reality show* wszech czasów, które, jak liczą, pozwoli im odzyskać koszty inwestycji i zarobić na niej góry złota. Tak narodził się program Genesis, którego dyrektorem technicznym został Gordon Lock.

– Dziś patrzycie na naszych szczęśliwych wybrańców po raz pierwszy – kontynuuje. – Po miesiącach oczekiwania i spekulacji wreszcie widzicie ich, wybranych spośród miliona zgłoszonych, tak jak ja ich widzę, po dwóch stronach kotary...

Z wysokości swej trybuny dyrektor Lock może kontemplować widok po obu stronach kurtyny. Za jego plecami wywieszono ogromny symbol programu Genesis – zarys planety Mars, a w niej ludzki płód. Ten sam wzór wyszyto na kieszeni jego marynarki i na czapkach wszystkich ochroniarzy. Planeta-łono, to jednak wymagało odwagi, mogę się założyć, że specjaliści z agencji reklamowej harowali dniami i nocami, nim wypocili coś takiego. To całkiem zgrabne logo, a jednocześnie bardzo trafne, bo szczerze pokazuje, jaki jest ostateczny cel programu – stworzenie płodnej ludzkiej kolonii na Marsie. Gdybym dostała takie wytyczne, nie wiem, czy wymyśliłabym coś lepszego.

– ... jednak oni nigdy się nie widzieli. Swoją roczny kurs przygotowawczy przeszli w dwóch oddzielnych obozach w samym sercu Doliny Śmierci, chłopcy po jednej, dziewczęta po drugiej stronie. Wszyscy przeszli niezwykle intensywne szkolenie, po którym stali się specjalistami w przypisanych sobie dziedzinach. Jednak nigdy wcześniej się nie spotkali... aż do dziś!

Dyrektor Lock robi pauzę i wpatruje się w nas oczami błyszczącymi z podniecenia, rzucając spojrzenie raz na lewo, raz na prawo. Cztery gigantyczne ekrany okalające platformę startową wyświetlają jego twarz w stukrotnym powiększeniu. Nie mogę przestać się zastanawiać, jak naszkicowałabym jego portret, gdybym tylko miała odwagę. Patrząc na świat, często zastanawiam się, jak bym coś narysowała. Pozwala mi to nabrać dystansu, bo zwykle reaguję zbyt gwałtownie. No i dzięki

temu mogę spojrzeć nieco inaczej na ludzi, którzy mnie onieśmielają, a to ważne dla kogoś, na kogo nieraz patrzono z góry. Teraz wysokie czoło dyrektora przywodzi mi na myśl jałową, łysą planetę, jego poczerwieniała od słońca, porowata cera przypomina usianą kraterami powierzchnię Marsa. Mówi się, że ludzie często upodabniają się do swoich psów, przez mimetyzm, a Gordon Lock upodobił się do swojej planety. To materiał na sympatyczną karykaturę, w której nie byłoby cienia złośliwości, z pewnością sam by się uśmiechnął na jej widok. Na myśl o tym czuję, jak rozluźniają mi się wszystkie mięśnie.

Oddycham.

Mój wzrok przenosi się z postaci Pana Marsa, geniusza, który uratował program lotów kosmicznych, na wielki cyfrowy zegar wiszący w powietrzu nad platformą startową. Połyskujące cyfry pokazują czas, który pozostał do odlotu: Start: 52 min...

– Człowiek już latał w kosmos. Jadł tam, spał i pracował. Ale jeszcze nigdy się tam nie zakochał. A właśnie to jest najistotniejszym składnikiem sukcesu programu Genesis. To warunek wstępny, by pionierzy mogli płodzić dzieci, stworzyć rodziny, położyć podwaliny trwałej kolonii na Marsie, zapisać się w historii przez wielkie H. Pozwólcie, że teraz przekażę głos komuś, kto wyjaśni nam to najlepiej, producentce wykonawczej programu Genesis. Przed państwem słynna profesor Serena McBee!...

„Zapisać się w historii przez wielkie H”, jak widniało w ogłoszeniu... To właśnie dlatego wysłałam zgłoszenie do programu, nie zastanawiając się ani przez sekundę, zaraz po tym, jak znalazłam informację w bezpłatnej gazecie rozdawanej w paryskim metrze. To dlatego, że nie mam żadnej historii, nawet tej pisanej przez małe h. Miłość i tym podobne bzdury, to wszystko nie jest w moim guście. Kiedy ktoś wyrzuci cię nieprzytomną do pojemnika na śmieci w wieku trzech lat, masz podstawy, by twierdzić, że cała ta miłość jest nic niewarta. Bo, jakkolwiek głupio by to brzmiało, to właśnie moja historia: wyrzucona jak zużyta ścierka, odratowana w ostatniej chwili przez pogotowie, reanimowana w szpitalu, przetrucana z jednego ośrodka pomocy społecznej do drugiego. Miłość nigdy nie była częścią mojego życia i teraz też nie pojawi się w nim znienacka.

Chciałabym czegoś trwalszego i pewniejszego. Chciałabym sławy, a zdaję sobie sprawę, że na Ziemi jej nie znajdę, skoro mając szesnaście lat, musiałam porzucić liceum plastyczne, gdzie uczyłam się rysunku, i zatrudnić się w fabryce Eden Food France, by zarabiać na chleb. Przysięgłam sobie, że drugi raz nie zrezygnuję z marzeń, że jako pierwsza postawię sztalugi na Marsie. Ta nadzieja dała mi zapał i siłę, by stawić czoło dziesięciu rekruterom do programu Genesis, aż w końcu spotkałam samą Serenę McBee. Nadzieja napędzała mnie przez cały rok przygotowań w pustynnym ośrodku w Dolinie Śmierci podczas treningów trwających po piętnaście godzin i nocy, kiedy nie mogłam zasnąć z powodu nadmiaru adrenaliny. Weź się w garść, Léonor! No, dalej! Nie masz nic do stracenia. Ani rodziny, ani przyjaciół. Ziemia nie ma niczego do zaoferowania takim wyrzutkom jak ty. Za to Mars...! Popatrz w gwiazdy, wołają cię! I przede wszystkim nie oglądaj się za siebie!

Nie obejrzałam się za siebie ani razu, odkąd wysłałam zgłoszenie do programu Genesis. Wrzuciłam kopertę do skrzynki na listy stojącej przy hotelu robotniczym niedaleko fabryki – mówiąc krótko, było to w innym życiu. Jednak dzisiejszego ranka, kiedy właśnie czekamy na osobę, której zawdzięczamy miejsce na platformie startowej, nie mogę się powstrzymać, by nie spojrzeć za siebie.

W końcu odwracam głowę.

A to, co widzę, sprawia, że czuję, jakby ktoś bez ostrzeżenia walnął mnie w brzuch wrednym, podstępny ciosem, którego się nie spodziewałam.

Dziennikarze wydają mi się strasznie odlegli, jakby wołali do mnie z dna otchłani, która przyprawia mnie o zawroty głowy. Cień, który rzuca na nich rakietą nośna, jest tak czarny, że nie dostrzegam ich twarzy. Nie znam tych ludzi wykrzykujących moje imię, tak jakby im na mnie zależało. Są dla mnie nikim. Tymczasem począwszy od dziś, będą bezustannie obserwować mnie za pośrednictwem kamer, komentować mój najdrobniejszy gest, wyłuskiwać każde, nawet najmniej istotne słowo. Na samą myśl

o tym mój żołądek ściska się tak, że dostaję mdłości. Nienawidzę się za to, że ogarnia mnie bezsensowny niepokój, nieznośna wątpliwość, która rozlewa się w żyłach niczym trucizna i zmienia zwykłą treść związaną z wyjazdem w coś o wiele poważniejszego i niebezpieczniejszego...

(*Léo, czyżby Niszczarka Wątpliwości się popsula? – szepcze jakiś głosik z tyłu głowy. – Czy po prostu zdała sobie sprawę, że popelnia okropne głupstwo?*)

Nagle na podium pojawia się Serena McBee, wysoka, szczupła, w szarym kostiumie z oznaczeniami programu Genesis, w eleganckiej jedwabnej koszuli z szeleszczącym żabotem, tak nieskazitelnej jak jej promienny uśmiech. Złośliwa plotka głosi, że ten uśmiech nie schodzi jej z twarzy, ponieważ ma w niej tyle botoksu, że innych emocji nie jest już w stanie wyrazić, jednak ja wiem, że to nieprawda. Okolona nienagannie przystrzyżonymi srebrnymi włosami gładka twarz Sereny odzwierciedla po prostu jej wielką wewnętrzną pogodę ducha. I za każdym razem, kiedy patrzę w jej ogromne oczy koloru morskiej zieleni, tak spokojne jak tafla jeziora, magia zaczyna działać. Czuję, że węzeł w moim brzuchu się rozluźnia. Zdaje mi się, że słyszę opanowany głos Sereny: „Co nas nie zabije, to nas wzmocni”. Wciąż nam to powtarzała w czasie szkolenia, kiedy dopadały nas zwątpienie i smutek.

– Dzień dobry, mój drogi Gordonie, witam panie i panów dziennikarzy, witam serdecznie wszystkich państwa, którzy oglądacie nas w tej chwili we wszystkich najdalszych zakątkach świata – mówi, poprawiając z wdziękiem kołnierz żakietu ozdobiony delikatną srebrną broszką w kształcie pszczoły. – I wreszcie witam was, drodzy uczestnicy programu. Kiedy widzę was dzisiaj, tak pięknych, tak olśniewających, nie mogę nie myśleć o tym, jacy byliście jeszcze rok temu... Nieoszlifowane diamenty. A dziś stoicie przede mną perfekcyjnie przygotowani do misji, która was czeka. Gdybyście wiedzieli, jaka jestem z was dumna!

W oczach opinii publicznej Serena McBee jest niekwestionowaną ekspertką w dziedzinie relacji damsko-męskich. Psychiatra z dyplomem Uniwersytetu Stanforda, od ponad dwudziestu lat produkuje i prowadzi jeden z najpopularniejszych w Stanach Zjednoczonych *talk-show* *Wizyta u profesor McBee*, do którego zaprasza gwiazdy i ich małżonków, by na oczach widzów odbyli na żywo rodzaj terapii małżeńskiej połączonej z seansem hipnotycznym, jej główną specjalnością. Atlas powierzył jej reżyserię marsjańskiej misji i dał wolną rękę. Podczas gdy Gordon Lock nadzoruje wszelkie aspekty techniczne misji, Serena odpowiada za całe widowisko od A do Z.

Jednak dla mnie i pozostałych dziewcząt stojących przed kurtyną Serena McBee jest kimś więcej niż tylko producentką wykonawczą programu Genesis. To dobra wróżka, która wybrała nas do lotu na Marsa. To nasza szczęśliwa gwiazda, bez jej pomocy nasze marzenia nigdy by się nie spełniły. To matka chrzestna, która dostrzegła, że stać mnie w życiu na coś więcej niż mieszanie psiej karmy w fabryce Eden Food France – Serena machnęła czarodziejską różdżką i zmieniła kopciuszkę Pedigree w kosmiczną księżniczkę.

– Sześciu uczestników z jednej strony. Sześć uczestniczek z drugiej. Sześć minut na spotkanie. Wieczność na miłość – przypomina widzom. – Otrzymaliśmy ponad osiemdziesiąt milionów zgłoszeń do programu i już samo to jest ogromnym sukcesem! Pragnę dziś z całego serca podziękować wszystkim, którzy wysłali swoją kandydaturę. Nie martwcie się, jeśli tym razem nie zostaliście przyjęci, być może polecicie z następną misją za dwa lata. Chcę wam wyjaśnić, w jaki sposób dokonaliśmy ostatecznego wyboru. Widzicie, przez wiele lat specjaliści z NASA i naukowcy pracujący przy różnych programach podboju kosmosu mylili się co do jednej podstawowej kwestii. Sądzieli, że należy wysyłać w kosmos ludzi będących w trwałych związkach, dobrze dobrane pary wypróbowane przez lata wspólnego życia. Nie mieli racji. Pary już uformowane dużo gorzej znoszą osamotnienie w przestrzeni kosmicznej oraz perspektywę, że nigdy nie powrócą na planetę, z którą wiążą się wszystkie ich wspomnienia, całe życie, rodzina. Wstępne badania psychologiczne przeprowadzone w czasie rekrutacji doprowadziły nas do decyzji, by postawić na młodych mężczyzn i kobiety mających jak najmniej więzi rodzinnych na Ziemi: osieroconych lub porzuconych. Ich miłość będzie w stanie przetrwać w nowym świecie dzięki temu, że

narodzi się w przestrzeni kosmicznej. Ponieważ tu, na Ziemi, nie mają nic do stracenia, Mars jest dla nich obietnicą wszystkiego! Nasi szczęśliwi śmiałkowie, wszyscy pełnoletni bądź w pełni samodzielni, odbędą międzyplanetarną podróż obok siebie, ponieważ statek Cupido dzieli się na dwie oddzielne części. Każdego dnia przez nieco ponad pięć miesięcy jeden uczestnik będzie mógł zaprosić wybranego pasażera przeciwnej płci na sześciominutową szybką randkę w Kuli Spotkań mieszczącej się na styku dwóch segmentów, jednego przeznaczonych dla chłopców i drugiego dla dziewcząt...

– Obowiązuje całkowity zakaz dotykania! – wtrąca dyrektor Lock, grożąc palcem w stronę kamer. – Nie zapominajmy, że program Genesis to program rozrywkowy przeznaczony dla wszystkich grup wiekowych!

– Nie obawiaj się, mój drogi Gordonie. Kulę Spotkań przedzieliła na pół szyba z pancernego szkła, więc nasi uczestnicy będą mogli się dotknąć jedynie wzrokiem. W każdą niedzielę ułożą swoją Listę Serca, osobisty ranking, który wy, nasi drodzy widzowie, możecie śledzić na żywo na kanale Genesis aż do umieszczenia statku na orbicie Fobosa w niedzielę dziesiątego grudnia, kiedy każdy znajdzie swoją drugą połowę. Tego samego dnia pary wylądują na Marsie, gdzie wstąpią oficjalnie w związek małżeński. I pamiętajcie: przez cały czas trwania lotu możecie zasilać Posag waszego ulubieńca, dzwoniąc pod numer telefonu, który właśnie wyświetla się na dole ekranu. Za zebrane pieniądze będzie mógł wylicytować sprzęty zrzucane w ostatnich latach na Marsa przez misje bezzałogowe NASA. Kiedy wykupiliśmy istniejącą na Marsie bazę, nazwaliśmy ją Nowym Edenem, ponieważ ugości ona Adamów i Ewy nowego raj! Przypominam, drodzy widzowie, że im więcej pieniędzy dany uczestnik zbierze w swym Posagu, tym wygodniejsze będzie jego życie na Marsie i życie jego przyszłego współmałżonka. Najbogatszy będzie mógł zamieszkać w najprzystroniejszym module mieszkalnym spośród sześciu dostępnych Gniazd Miłości (siódme Gniazdo będzie służyć jako moduł zapasowy). Otrzyma największe racje żywnościowe, dostanie także najlepiej wyposażony pakiet przetrwania. Oczywiście niewykluczone, że wasze datki będą miały wpływ na rankingi... Bogata osoba zawsze jest bardziej pociągająca, a pieniądze łączą się z miłością, odkąd ten świat istnieje. Dlatego liczymy na was... a raczej nasi uczestnicy na was liczą!

Serena robi pauzę.

Opiera dłonie z pomalowanymi paznokciami na krawędzi pulpitu i bierze głęboki oddech, omiatając zebranych spojrzeniem swych oczu w kolorze morskiej zieleni.

– Nadeszła wiekopomna chwila! Choć na razie są dla siebie nieznajomymi, przeznaczenie zapisało im w gwiazdach rolę najsłynniejszych kochanków w historii wszechświata... Zobaczą się dopiero w kosmosie, ale już teraz po raz pierwszy usłyszą swoje głosy... Jestem niezwykle wzruszona i sądzę, że państwo także podzielacie te emocje. Oddaję panu głos, dyrektorze Lock!

W głośnikach rozbrzmiewa dźwięki programu Genesis. To refren piosenki *Cosmic Love* wykonywanej na zlecenie organizatorów przez dwie największe międzynarodowe gwiazdy: Kanadyjczyka Jimmy'ego Gianta i Amerykankę Stellę Magnificę. Potężne basy sprawiają, że przez chwilę kurtyna zaczyna drżeć na całej wysokości. To idiotyczne, zwłaszcza że słowa są dosyć głupie, ale słysząc tę piosenkę napisaną specjalnie dla nas, czyli także trochę dla mnie, mam ciarki na całym ciele. Wyobrażam sobie, że właśnie tak czują się piłkarze, słuchając hymnu, z tą różnicą, że ja nie jestem boginią stadionów, tylko zwykłą sierotą, która wciąż nie może uwierzyć, że tu jest. Ten emocjonalny rollercoaster powoduje, że jestem bliska łez – najpierw trema, przez którą omal nie zemdlalam, potem wątpliwości skręcające mi żołądek, a teraz entuzjazm tak wielki, że chce mi się krzyczeć!

On: *You skyrocketed my life*

Ona: *You taught me how to fly*

On: *Higher than the clouds*

Ona: *Higher than the stars*

Razem: *Nothing can stop our cosmic love*

Our cosmic love

Our cooosmic looove!

Piosenka urywa się gwałtownie, a w głośnikach rozlega się nagrane wcześniej dudnienie bębnów.

Serce niemal wyskakuje mi z piersi na dźwięk ostatniego „bum”. To koniec, przede mną ostatnia prosta!

KONTRPLAN

Platforma startowa, baza na przylądku Canaveral, niedziela 2 lipca, godz. 12.30

Gigantyczne plecy Gordona Locka i Sereny McBee wznoszą się naprzeciw ustawionych w rzędzie sześciu chłopców i sześciu dziewcząt, wstrzymujących oddech po dwóch stronach kurtyny. Ich drobne sylwetki wciśnięte w białe kombinezony są wyprostowane, ustawione równo niczym kręgle, które ktoś zaraz strąci kulą.

W blacie pulpitu znajduje się ekran widoczny wyłącznie dla przemawiających.

Tekst wystąpienia wyświetla się na prompterze, w miarę jak Gordon Lock przemawia:

– Pozostaje mi już tylko zapytać ostatni raz każdego z uczestników, czy potwierdza uroczyście swą zgodę na udział w programie...

Palce Gordona Locka wczepiają się kurczowo w krawędzie pulpitu.

Kropla potu spływa po jego skroni, spada i rozbija się na ekranie monitora, zamazując słowa „ostatni raz”.

PLAN

Start: 30 min

Zawsze sobie powtarzałam, że będzie mi wszystko jedno, kto znajdzie się po drugiej stronie kurtyny. Zawsze sobie powtarzałam, że cała ta historia z idealnie dobraną parą to bajeczka dla spragnionych wrażeń gospodyń domowych. Byłam przekonana, że liczy się tylko Mars. Ale przede wszystkim przysięgałam sobie, że nie dam się zwariować, że zachowam dystans i przejdę przez tę grę według własnych reguł. Jednak teraz, gdy ta chwila wreszcie nadeszła, nie mogę oderwać oczu od głupiego kawałka materiału, który oddziela mnie od mojej przyszłości.

A jeśli żaden chłopak mi się nie spodoba?

(A jeśli ja nie spodobam się żadnemu?)

A przecież ostatecznie będę musiała skończyć u boku któregoś z nich. Pójść z nim do łóżka. Zająć z nim w ciążę. Ten oszałamiający ciąg myśli przyprawia mnie o zawrót głowy, jak w czasie pierwszego treningu w wirówce przeciążeniowej.

W tej chwili czuję, że Kris ściska mnie za rękę.

Czy ona naprawdę czeka tu na mężczyznę swojego życia? Pewnie tak, skoro nie mówi o niczym innym od dwunastu miesięcy. W czasie naszego szkolenia każdy wieczór spędzała z nosem w jednym ze swoich ukochanych romansideł, do których ma wielką słabość. Snuła fantazje o tym, którego bohatera będzie przypominać przeznaczony jej chłopak...

Wbijam wzrok w kurtynę.

Nie chcę spojrzeć na Kris z obawy, by nie zauważyła niepokoju wypisanego na mojej twarzy. Przecież ma mnie za Léo-Bez-Cienia-Wątpliwości.

Dyrektor Lock odwraca się w tę stronę trybuny, która pozostaje dla nas niewidoczna za kurtyną, i pochyla się nad mikrofonem.

– Tao, lat osiemnaście, obywatel Chińskiej Republiki Ludowej, sponsorowany przez producenta samochodów Huoma, specjalista w dziedzinie inżynierii. Tao, czy zgadzasz się reprezentować ludzkość na Marsie od dziś aż do końca swojego życia?

Donośne „zgadzam się” rozbrzmiewa zza zasłony. Mój mózg natychmiast zaczyna pracować, próbuję wyobrazić sobie chłopaka, który wydał z siebie taki okrzyk wojenny.

Wysoki... Niski głos... Bez najmniejszego wahania... Bez żalu...

Ale mistrz ceremonii odwraca się już w naszą stronę do pierwszej dziewczyny z naszego rzędu.

– Fangfang, lat dwadzieścia, obywatelka Republiki Singapuru, sponsorowana przez bank inwestycyjny Cresus, specjalistka w dziedzinie planetologii. Fangfang, czy zgadzasz się reprezentować ludzkość na Marsie od dziś aż do końca swojego życia?

– Zgadzam się! – wykrzykuje Fangfang, poprawiając kwadratowe okulary, zza których wystają idealnie wyregulowane brwi. Wypina pierś, jakby chciała lepiej wyeksponować logo banku Cresus wyszyte na jej kombinezonie w alfabecie łacińskim i chińskimi ideogramami. Zawsze z przodu, Fangfang, najstarsza z dziewcząt, głos rozsądku, cechująca się godnymi podziwu wytrwałością i powagą.

Tak bardzo chciałabym mieć teraz jej spokój, ale serce wali mi w piersiach coraz mocniej.

– Aleksiej, lat osiemnaście, obywatel Federacji Rosyjskiej, sponsorowany przez kompanię gazową Ural, specjalista w dziedzinie medycyny. Aleksieju, czy zgadzasz się reprezentować ludzkość na Marsie od dziś aż do końca swojego życia?

– Zgadzam się!

Idiotyczne myśli, właściwe raczej dla nierozgarniętej dwunastolatki, przelatują mi przez głowę niczym meteory: Czy lubi wódkę? Czy nosi uszankę? Jeśli dobrze pamiętam z odległych lekcji historii,

Rosja często bywała sprzymierzeńcem Francji, więc może mnie i Aleksieja czeka bilateralne zbliżenie.

– Kirsten, lat osiemnaście, obywatelka Republiki Federalnej Niemiec, sponsorowana przez laboratoria Apotech, specjalistka w dziedzinie biologii. Kirsten, czy zgadzasz się reprezentować ludzkość na Marsie od dziś aż do końca swojego życia?

„Zgadzam się” Kris budzi mnie jak wystrzał z pistoletu – jasne, przekonujące, bez żadnych niedomówień. W tle trzaskają lampy błyskowe w aparatach, czerwone róże u stóp trybuny drżą w wielkich wazonach.

Dyrektor przechyla się w drugą stronę niczym nieubłagana wskazówka metronomu. Zwraca się do najmłodszych członków załogi, obydwójga siedemnastolatków: Kenjiego, reprezentanta Japonii, finansowanego przez producenta gier wideo Dojo, a następnie do Safii z Indii, wspieranej przez producenta sprzętu telefonicznego Karmafone. Safia składa swoje ślubowanie z taką samą delikatnością, z jaką robi wszystko inne. Obserwuję jej pogodną twarz, nadaremnie szukając w niej odbicia własnych lęków. Mój wzrok zatrzymuje się na czerwonej kropce zdobiącej czoło dziewczyny – trzecim oku, znaku jej religii. Nieodparcie przywołuje mi ono na myśl Marsa: oko nieosłonięte powieką, które wpatruje się we mnie z kosmicznej otchłani, czekając, aż nadejdzie moja kolej.

(Nie możesz tam lecieć, Léonor... – szepcze cichy głos jak strumień powietrza przenikający przez nieszczelne drzwi. – To byłaby najgorsza decyzja w całym twoim życiu, i doskonale wiesz dlaczego...)

Ledwie słyszę dyrektora zwracającego się do czwartego uczestnika, Mozarta z Brazylii, osiemnastolatka sponsorowanego przez przedsiębiorstwo budowlane Brazimo. W mojej głowie jest tylko ten natrętny głos, który mówi coraz głośniejsze.

(Zapach róż w twoich nozdrzach, wdychasz go po raz ostatni... Delikatny dotyk ciepłego wiatru na twym czole, czujesz go po raz ostatni...)

– Elizabeth, lat osiemnaście, obywatelka Wielkiej Brytanii, sponsorowana przez towarzystwo ubezpieczeniowe Walter & Seel, specjalistka w dziedzinie inżynierii...

Liz także się zgadza, odsłaniając rząd lśniących białych zębów, jakby wyjętych z reklamy pasty wybielającej, równie idealnych, jak jej prosty nos, wystające kości policzkowe i smukła szyja, odsłonięta dzięki upięciu włosów w zgrabny kok baletnicy. Klasa sama w sobie. I znów nawet cienia wątpliwości.

Przez cały czas ten sam piekielny refren brzęczy w mojej głowie niczym zgrana płyta.

(Srebrne refleksy, którymi migocze morze tam, w dole, u stóp kosmodromu, widzisz je po raz ostatni... Za to ludzie tu, na Ziemi, obejrzą sobie ciebie ze wszystkich stron i będą na ciebie patrzeć do końca twoich dni!)

Przygryzam policzki, by uciszyć ten głos, który sprawia, że ogarniają mnie wątpliwości właśnie wtedy, kiedy powinnam być pewna, ten głos, którego nie wykryły żadne psychologiczne testy, bo w innym wypadku nigdy nie zostałabym wybrana. Ten głos pochodzi z daleka, z mojej przeszłości... I z bardzo bliska, jest tuż za moimi plecami. Zawsze tam był, przyczajony, czekał, aż będzie za późno – bo już jest za późno, prawda? Za późno, by zrobić krok w tył?

A cyfry na elektronicznym zegarze zmieniają się coraz szybciej!

Start: 24 min

– Samson, lat osiemnaście, obywatel Republiki Federalnej Nigerii, sponsorowany przez koncern naftowy Petrolus, specjalista w dziedzinie biologii...

Ból przygryzanych policzków zagłusza wszystko...

Start: 23 min

– Kelly, lat dziewiętnaście, obywatelka Kanady, sponsorowana przez producenta sprzętu transportowego Croiseur, specjalistka w dziedzinie nawigacji...

Ciepła krew spływa mi po języku. Wiem, że metaliczny posmak pochodzi od zawartego w hemoglobinie żelaza – w końcu jestem główną pielęgniarką w ekipie dziewcząt. Jednocześnie nie mogę wyrzucić z głowy natrętnej myśli, że jest to także smak marsjańskiej żelazistej ziemi, tej przeklętej

martwej ziemi, na której nic nie rośnie i nic nie żyje.

Start: 22 min

– Marcus, lat dziewiętnaście, obywatel Stanów Zjednoczonych, sponsorowany przez grupę rolno-spożywczą Eden Food International, specjalista w dziedzinie planetologii...

Na wzmiankę o Eden Food natychmiast wracają wspomnienia z fabryki, zwłaszcza wspomnienia koleżanek z pracy, a wśród nich kilku przyjaciółek, których już nigdy nie zobaczę – kto by pomyślał, że wspomnienie dawnego pracodawcy wywoła we mnie taki żal!

Start: 21 min

– Léonor, lat osiemnaście, obywatelka Republiki Francuskiej, sponsorowana przez dom mody Rosier & Merceaugnac, producenta kosmetyków, alkoholi premium, mody i biżuterii, specjalistka w dziedzinie medycyny. Léonor, czy zgadzasz się reprezentować ludzkość na Marsie od dziś aż do końca swojego życia?

Dokładnie w tym samym momencie, kiedy dyrektor Lock wypowiada słowo „życia”, czuję, jak coś we mnie pęka i doznaję olśnienia.

Jeszcze nie jest za późno.

Mogę jeszcze odmówić. To mój wybór, moje fundamentalne prawo, którego nikt ani nic nie może mi odebrać – i nie pozbawia mnie go ani roczne szkolenie, ani dziesiątki podpisanych kontraktów, ani zgraja widzów przyklejonych do ekranów jak glonojady przez następne dwadzieścia trzy tygodnie.

(Odmów... – szepcze mi do ucha cichy głos. – Wiesz, że nie nadajesz się do tej misji z tym, co masz do ukrycia. Wiesz, że jeśli polecisz, będziesz cierpiała, jak jeszcze nikt dotąd nie cierpiał. Odmów w tej chwili...)

Głos staje się łagodny niczym pieszczota.

Słodki jak obietnica.

Niemal przyjacielski.

(Sprowadzą cię z platformy startowej. Stracisz blask reflektorów, sławę i chwałę, bezkres kosmosu i powrócisz do cienia, do anonimowości, do puszek psiej karmy na linii produkcyjnej, do tego małego, ciasnego świata na Ziemi, bez przygód, bez kamer... bez cierpienia).

Mogę powiedzieć „nie”.

To byłoby wariactwo, coś na krawędzi prawdziwego obłądu, ale to możliwe, to naprawdę możliwe.

Tylko że trzeba szaleńczej odwagi, by je wypowiedzieć, to jedno małe słówko, tę maleńką sylabę, kiedy cała ludzkość oczekuje, że powiem „tak”. Ale co do Sereny, która tak mocno we mnie wierzyła, która zaryzykowała i wybrała sierotę niechcianą przez nikogo... Ona zrozumie. Rozumiała mnie i wspierała od samego początku, cokolwiek robiłam.

– Cóż, Léonor – odzywa się skrzeczący głos dyrektora Locka. – Czekam na twoją odpowiedź... Chłopcy czekają na twoją odpowiedź. Cała Ziemia zamarła w oczekiwaniu ...

Powoli podnoszę głowę.

Wszystkie kamery są wycelowane we mnie.

Moje oblicze wyświetla się na czterech gigantycznych ekranach, cztery zbuntowane twarze usiane piegami, okolone niesfornymi ognistorudymi lokami. Na takim zbliżeniu widzę niemal każdą drobinę pudru Rosier, którym pokryły mnie makijażystki w beznadziejnej próbie zamaskowania ceglanych kropek na mojej cerze rudzielca.

– Nie zgadzam się – rzucam jednym tchem.

– Léo! – Dłoń Kris, która przez cały ten czas pozostawała w mojej, zaciska się niczym kleszcze.

Odwracam się do niej. Jej twarz, o cerze tak idealnej, że nie potrzebuje żadnego pudru ani makijażu, utraciła swe anielskie piękno. Pod misterną fryzurą z delikatnie upiętych blond warkoczy, którą przygotowywałyśmy godzinami z myślą o ceremonii, widzę tylko drżące, spustoszone pole bitwy.

– Nie możesz mi tego zrobić – szepcze rozpaczliwie ze łzami w oczach. – Nie możesz mnie teraz

zostawić!

Wysoko na swej mównicy dyrektor Lock pokasłuje do mikrofonu:

– Panienki, to nie czas na szepty! Przypominam wam, że rakieta startuje dokładnie za dwadzieścia minut!

– Oni nie słyszeli, co powiedziałaś – mówi dalej Kris zdławionym z emocji głosem. – Nikt poza mną tego nie słyszał. Nie psuj wszystkiego, zawsze powtarzałaś, że pierwsza namalujesz marsjański pejzaż! Powiedz im, że się zgadzasz! Och, Léo, powiedz im to, błagam cię! Zrób to dla siebie... zrób to dla mnie!

Przełykam ślinę.

Nie słyszę już głosu szepczącego mi z tyłu głowy, nie czuję drżenia nóg.

Chwila, w której mogłam zmienić swoje przeznaczenie, minęła bezpowrotnie. Niszczarka Wątpliwości miała chwilową awarię, ale znów działa bez zarzutu.

Bo jeśli jestem czegoś naprawdę p e w n a , to tego, że Kris jest dla mnie niemal jak rodzina. Ale nie taka, która wyrzuciła mnie na śmietnik jak niepotrzebny grat, lecz taka, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami pierwszego dnia, gdy mnie spotkała.

– Zgadzam się, oczywiście! – wykrzykuję, plując kropelkami śliny zmieszanej z krwią całemu światu w twarz. – Powiedziałam, że się zgadzam!

KONTRPLAN

Platforma startowa, baza na przylądku Canaveral, niedziela 2 lipca, godz. 13.05

– Niniejszym oficjalnie rozpoczynamy pierwszy etap międzyplanetarnej podróży programu Genesis! – ogłasza Gordon Lock.

W chwili, gdy wypowiada te słowa, dziennikarze rzucają się na schody, przypuszczając szturm na platformę.

Z głośników rozbrzmiewa puszczone w kółko dzingiel programu Genesis, mieszając się z wrzaskami dziennikarzy, którzy wykrzykują na całe gardło imiona astronautów. Kiedy ochroniarze biegiem eskortują uczestników w stronę rakiety nośnej, ręka dyrektora Locka chwyta pod pulpitem rękaw żakietu producentki.

Dyskretnie.

Mocno.

– Zawahała się – mówi jej na ucho głosem, w którym nie ma już ani odrobiny ciepła. – Ostatnia uczestniczka. Zawahała się, tam, na platformie startowej, jestem tego pewien. Miałem wrażenie, że zaraz odwróci się na pięcie... albo gorzej. Sereno, ostrzegam panią, jeśli ta dziewczyna domyśla się czegokolwiek...

– Niczego się nie domyśla – odpowiada sucho Serena McBee, oswobadzając rękę. – Żadne z nich nie ma najmniejszego pojęcia, co ich czeka, tak samo jak dziesiątki napastujących ich dziennikarzy, setki otaczających ich inżynierów i miliony widzów, którzy ich oglądają.

PLAN

Start: 19 min

– Tędy, dziewczęta! – krzyczą ochroniarze.

Muzyka jest ogłuszająca.

Zamieszanie.

Pośpiech.

Chaos rąk, nóg, głów, ponad którym świeci niewzruszony cyfrowy zegar: Start: 19 min...

Ktoś popycha mnie w stronę, gdzie wznosi się gigantyczna bryła rakiety nośnej niczym metalowa katedra otoczona po bokach wieżami silników startowych, na której szczycie połyskują stożki dwóch bliźniaczych kapsuł: po lewej dla dziewcząt, po prawej dla chłopców.

– Kris!

Próbuję chwycić ramię Kris, którą wciąga tłum przede mną. Wiem, że moja przyjaciółka jest trochę niezdarna, i boję się, że się przewróci, jeśli nikt jej nie podtrzyma. Ale jakieś ręce uczepiają się mojego kombinezonu, próbując mnie odciągnąć, by zadać ostatnie pytanie, złapać ostatnie ujęcie.

Odwracam się, gotowa posłać do diabła dziennikarzynę, który mnie przytrzymuje, za pomocą pięści, jeśli zajdzie potrzeba. Stoi przede mną tajemniczy Latynos, ubrany w niebieską hawajską koszulę w morskie wzory, z twarzą pokrytą trzydniowym zarostem i z ciemnymi błyszczącymi oczami. Przystojniak, jeśli ktoś gustuje w facetach około trzydziestki. Jego niechlujny ubiór, koszulka surfera upstrzona delfinami i miecznikami, jego rozczochrana czupryna – to wszystko kontrastuje z markowymi garniturami i wymuskany fryzurami pozostałych dziennikarzy. Zamiast charakterystycznego dla jego kolegów po fachu eleganckiego krawata spod rozpiętego kołnierzyka wygląda zawieszony na skórzanym rzemyku zęb rekina. Domyślam się, że to jakiś dziennikarz podrzędnej kategorii, który nie pracuje dla żadnego ważnego międzynarodowego dziennika, a może nawet szukający szczęścia freelancer. Po jego podkrążonych oczach mogę sądzić, że spał, i to raczej niezbyt długo, na dworze pod kosmodromem, aby mieć pewność, że dostanie się na konferencję prasową. To wszystko sprawia, że nabieram chęci, by odpowiedzieć na jego pytania, tylko jemu jednemu, w ramach solidarności. A także dlatego, że ma w sobie coś z pirata, co jest całkiem pociągające – kapitan Zęb-Rekina, korsarz sensacyjnych wiadomości!

Ale sposób, w jaki łapie mnie za nadgarstek, jakby chciał mi wykręcić rękę, sprawia, że szybko wracam do siebie. Zdaję sobie sprawę, że to taki sam sęp jak pozostali, może nawet jeszcze bardziej drapieżny i wygłodniały.

– Zaczekaj! – rozkazuje mi zachrypniętym głosem, który z trudem przebija się przez wrzaski pozostałych reporterów. – Nie możesz...

Nie ma czasu dokończyć. Dwóch ochroniarzy wielkich jak szafy łapie go za hawajską koszulkę i ciągnie tak brutalnie, że aż odpadają mu guziki koszuli. Ale ten typ nie chce mnie puścić, uczeplił się jak tonący brzytwy albo jak drapieżnik trzymający w szponach swą ofiarę!

Czuję, że gwałtownie ciągnie mnie do przodu.

Plączą mi się stopy.

Moje palce próbują się czegoś uchwycić.

Dotykają paska Zęba Rekina.

Zaciskają się na przyczepionym do niego przedmiocie.

Instynktownie cofam rękę, spuszczam wzrok. W mojej dłoni leży telefon komórkowy, jeden z tych przedmiotów, których nie wolno nam mieć, odkąd zapisaliśmy się do programu Genesis, przekazując produkcji wyłączność na wszelkie nasze kontakty z Ziemią... Podnoszę głowę – ochroniarzom udało się

w końcu oderwać ode mnie tego palanta i pociągnąć go ze sobą w tłum. Ząb Rekina porwany przez falę, nareszcie, długo to trwało! Coś jeszcze do mnie krzyczy, ale nie rozumiem co, a po chwili blada plama jego twarzy znika, pochłonięta przez morze ciał, które się nad nim zamyka.

Prostuję się, wsuwając odruchowo komórkę do podręcznej kieszeni w skafandrze, przeznaczonej raczej na narzędzia i próbki marsjańskich minerałów, ale przecież muszę coś z nią zrobić, a nie mam ochoty biec za Zębem Rekina, by mu ją oddać!

Tłum znów napiera, popychając mnie ku Kris.

– Dziękuję, Léo – szepcze mi do ucha. – Dziękuję, że powiedziałaś „tak”. Dziękuję, dziękuję, dziękuję! Obiecuję, że nie pożałujesz. A poza tym myślę, że będziesz miała wszystkich chłopców u swoich stóp, moja piękna leopardzico!

Zmuszam się do uśmiechu. Leopardzica to moja druga ksywa. To gra słów, którą wymyśliła Serena w nawiązaniu do tak rzucających się w oczy piegów. Serena jest naprawdę miła. I ma niezwykle dar dostrzegania zalet tam, gdzie inni widzą wady.

Zostajemy wepchnięte do windy stojącej przy prawej ścianie rakiety nośnej, która ma nas zawieźć prosto do kapsuły dla dziewcząt. To zwykły aluminiowy podest zamontowany na dźwigu, który runie w chwili startu. Także tutaj śledzi nas kamera, wielka czarna kula zawieszona przy poręczy.

– Otrzyj oczy – mówię po cichu do Kris, związując gęste rude loki gumką. – Widzowie na nas patrzą. A poza tym pozostałe dziewczyny nie muszą wiedzieć, że miałam chwilę słabości, prawda?

Dziewczęta, które były z nami od początku szkolenia, z którymi trzymałyśmy się razem i wspierałyśmy nawzajem przez ostatnie dwanaście miesięcy, nie są już wyłącznie przyjaciółkami – stały się także zawodniczkami, jednocześnie groźnymi przeciwniczkami i niezbędnymi do przeżycia członkiniami tej samej drużyny. Każda przeszła specjalistyczne szkolenie, zdobywając umiejętności niezbędne do właściwego przebiegu misji. Teraz stoją tu wszystkie cztery, oparte o poręcz. Trzeba przyznać, że Serena nie wybrała największych brzydul, konkurencja będzie ostra. Singapurka Fangfang, chodząca encyklopedia, zawsze zapięta na ostatni guzik, nasza specjalistka w dziedzinie planetologii. Kanadyjka Kelly, seksowna pilotka w typie poszukiwaczki przygód i mocnych wrażeń, specjalistka od nawigacji. Angielka Liz, która zajmuje się mechaniką i inżynierią, a wygląda jak modelka. Hinduska Safia, laleczka o ognistych podkreślonych kajalem oczach, specjalistka od łączności. Czy po usłyszeniu samego głosu zza zasłony wiedzą już, ku któremu chłopakowi się zwrócić?... Jeśli o mnie chodzi, to nie mam zielonego pojęcia. Czarna dziura. Dlatego skupiam się na Kris, ona jest realna.

Kris wyciera policzki wierzchem dłoni. Potem kuca i ukrywa twarz w białej kręconej sierści Louve, suczki, którą się opiekuje jako nasza specjalistka w dziedzinie biologii. Piesek ma reprezentować na Marsie królestwo zwierząt. Według mojej wiedzy o psach, którą nabyłam, studiując rasy na puszkach psiej karmy marki Eden Food, jest to mieszaniec przypominający pudła. Zakładam, że to właśnie ze względu na pochodzenie nadano jej to nieco ironiczne francuskie imię oznaczające wilczycę. W końcu pudle to rasa typowa dla Francji, w Stanach mówi się na nie „francuskie pieski”. Trzeba się mocno wysilić, żeby doszukać się w niej jakiegokolwiek podobieństwa do wilka – z sierścią uformowaną na głowie i ogonie na kształt pompona nasza Louve nie wygląda zbyt dziko... Chłopcy także zabierają na pokład psa, którego jeszcze nie było nam dane poznać, a który wabi się Warden. Program Genesis realizuje misję matrymonialną aż do końca.

Start: 18 min

Aluminiowy podest rusza w górę. Dziennikarze i ochroniarze stają się coraz mniejsi, w miarę jak wznosimy się coraz wyżej wzdłuż gładkiej ściany rakiety nośnej. Wyglądają jak robaczki, a wspaniała srebrna fryzura Sereny błyszczy niczym metaliczny pancerz skarabeusza.

– Spójrzcie w dół! – wykrzykuje Safia swoim łagodnym głosikiem. – Wszyscy ci ludzie przyszli tu... dla nas!

Wskazuje palcem granice kosmodromu obwarowane wysokim drucianym płotem, o który rozbija się

prawdziwa ludzka fala, setki tysięcy osób przybyłych tu, by choć z oddali zobaczyć lunę ognia przy starcie i kiedyś móc powiedzieć: „Byłem tam!”. Niektórzy przynieśli składane stołeczki, inni siedzą na dachach samochodów. Morze głów rozciąga się tak daleko, jak sięga wzrok, aż do granic przylądka Canaveral. To robi naprawdę niesamowite wrażenie, zwłaszcza po roku odosobnienia w Dolinie Śmierci.

– Magiczny widok... – wzdycha Kris, zauroczona. Jej łyżki już całkiem obeschły.

Start: 17 min

– Brrr... Lodowato tu, na górze... – szepcze Liz, kiedy mijamy wierzchołki silników startowych. – Trzeba było włożyć dwa komplety bielizny termicznej.

Liz jest strasznym zmarzluchem, zawsze chodzi opatulona w ciepły sweter i owinięta szalikiem sięgającym aż po kok. Pod masywnym skafandrem, w którym wygląda jak zawodnik futbolu amerykańskiego, kryje się ciało supermodelki, bez grama tłuszczu utrzymującego ciepło...

– Święte słowa! – wykrzykuje Kelly. – Wieje tu jak na Marsie!

Długie płowe włosy Kanadyjki rozwiewają się na wszystkie strony.

Ciekawe, czy to efekt zaplanowany specjalnie z myślą o zawieszonych na balustradzie windy kamerze.

Czy testuje już na widzach swoje techniki uwodzenia, w oczekiwaniu na randki z chłopcami w Kuli Spotkań?

Chyba że zaczęła już zbierać pieniądze do swojego Posagu, by wykupić najlepsze sprzęty w Nowym Edenie.

– Mylisz się – koryguje Fangfang, poprawiając swoje kwadratowe okulary, co robi zawsze, gdy zabiera głos, jak pani nauczycielka. – Gęstość atmosfery na Marsie jest tak mała, że wiatr musiałby wiać sto razy mocniej niż na Ziemi, by poruszyć choćby najmniejszą cząsteczkę.

Wydaje mi się, że Fangfang mówi zbyt głośno, jakby jej wykład nie był przeznaczony wyłącznie dla Kelly, lecz dla całej publiczności, która nas w tej chwili ogląda za pośrednictwem kamery.

– Krótko mówiąc, potrzebny byłby prawdziwy huragan, by zburzyć ci fryzurę – ciągnie Singapurka. – A poza tym, moja droga, przypominam ci, że protokół zabrania nam rozpuszczać włosy podczas manewrów.

Kelly robi balon ze swojej miętowej gumy do żucia, dmuchając, aż ten pęka.

– To też jest zabronione, wiem – dodaje, nim Fangfang zdąży cokolwiek powiedzieć.

Przykleja gumę do poręczy windy, po czym związuje włosy chustką i wkłada w uszy słuchawki od swojego odtwarzacza MP3, mrugając porozumiewawczo do kamery, jakby chciała powiedzieć: „Lepiej być głuchą, niż słuchać tych bredni”...

Start: 16 min

Winda zatrzymuje się jakieś sto metrów nad ziemią, naprzeciw czarnej dziury prowadzącej do wjazdu słuzy powietrznej, otwartej w ścianie stożkowatej kapsuły jak usta zdechłej ryby.

Puszczam przodem Fangfang, Kelly, Safię, Liz i Kris, za którą drepcę nieodstępująca jej ani na krok suczka.

Przez chwilę zostaję z tyłu.

Tutaj nikt już nie może zadać mi wrednego pytania, by mnie złamać, ani uczeplić się mnie, jakbym była jego własnością.

Tutaj nie słychać już wrzasków dziennikarzy ani dźwięków dżingla. Jest tylko szum wiatru. Po raz ostatni podziwiam błękit nieba i morza i promień słońca odbijający się w kadłubie rakiety nośnej. Zegar, który stał się malutki, oznajmia złowieszczo: Start: 15 min.

Czekałam na tę chwilę od miesiący – nie, właściwie czekałam na nią całe życie. A teraz, gdy wreszcie nadeszła, wszystko dzieje się za szybko. Dlatego kradnę dla siebie tych kilka sekund z rozkładu uregulowanego jak w zegarku i przez chwilę delektuję się ciszą. Mam na to ochotę. Potrzebuję tego.

Kamera patrzy na mnie w milczeniu.

Można by pomyśleć: oko opatrności. Oko cyklopa bez rogówki i tęczówki, tylko sama ogromna

czarna źrenica. Wpatruję się w nią, wyobrażając sobie rzesze widzów, którzy się za nią kryją. Ostrzegam was: nie liczcie na żadne cyrkowe numery z mojej strony – mówię im w myślach. – Nie liczcie na rozpuszczone, rozwiane włosy, kokietyjne mrugnięcia okiem, wyryte na pamięć przemowy. Ja tego wszystkiego nie potrafię. Ale obiecuję wam, że zobaczycie dziką radość z przyjazdu na Marsa w jednym kawałku, z ukochanym czy też bez niego!

KONTRPLAN

Platforma startowa, baza na przylądku Canaveral, niedziela 2 lipca, godz. 13.10

– Znów ona! Co ona tam wyprawia? Dlaczego nie wchodzi do kapsuły?

Gordon Lock czepia się rękami krawędzi mównicy, jakby chciał wyrwać zamontowany w niej monitor. Poci się coraz obficie. Na jego czole perlą się wielkie krople i rozbijają o gładką powierzchnię ekranu wyświetlającego zbliżenie twarzy Léonor: bujne włosy, których gumka nie jest w stanie ujarzmić, idealny owal twarzy nakrapiany płowymi plamkami, wielkie złotobrazowe oczy błyszczące jak tłący się ogień – leopardzica do szpiku kości.

– Mam... mam wrażenie, że ona na mnie patrzy – bełkoce Gordon Lock. – Mam wrażenie, że ta zaraza mnie widzi i że wie wszystko, że poznała raport Noego...

– Nie bądź śmieszny – rzuca chłodno Serena McBee. – To ona jest filmowana, nie ty. Własnoręcznie zniszczyłeś wszystkie kopie raportu Noego, nie ma po nim śladu.

– Powiedz jej, żeby weszła do kapsuły! Każ jej przez głośniki, żeby się ruszyła! To ty jesteś producentką wykonawczą, to ty wybrałaś uczestników, więc musisz nad nimi zapanować!

– Sam jej powiedz, jeśli tak ci na tym zależy. Zaryzykuj, że wszystko popsujesz.

Gordon Lock ze złością chwyta mikrofon i wciska guzik na pulpicie.

W tej samej chwili melodyjka dżingla urywa się gwałtownie i zastępuje ją wściekły oddech Locka, który rozbrzmiewa w głośnikach niczym złowrogi pomruk zbliżającej się burzy.

Na ekranie monitora Léonor odwraca wzrok. Z uniesionymi brwiami obserwuje otaczające ją błękitne niebo w poszukiwaniu choćby jednego obłoku, którego nigdzie nie widzi.

Gordon Lock nie może znaleźć słów, więc przerażony odgłosem własnego oddechu odrywa palec od przycisku transmisji, jakby się oparzył. Jego oblana potem twarz jest blada jak ściana.

Nagle z monitora dobiega stłumiony głos pochodzący ze śluzy powietrznej za plecami Léonor:

– Pospiesz się, Léo. Za chwilę startujemy! – To pozostałe pasażerki wołają spóźnialską.

– No dalej... Posłuchaj ich... – cedzi przez zęby Gordon Lock tak cicho, że nawet Serena McBee nie może go usłyszeć.

Jednak ekran monitora wciąż wyświetla obraz dziewczyny stojącej w windzie. Patrzy za siebie na kapsułę, po czym znów wbija wzrok w kamerę.

– Wejdz... – błaga cicho Gordon Lock. – Proszę cię...

W końcu Léonor odwraca się i znika w paszczy kapsuły.

Dokładnie w chwili, gdy właz się zamyka, głośniki cichną na dobre.

Gasną wszystkie reflektory.

Sina gigantyczna cyfrowa twarz dyrektora Locka znika z czterech ekranów. Jej miejsce zajmuje nieprzenikniona czerń, kolor kosmosu.

Stojący na mównicy dyrektor Lock z krwi i kości ociera pot, który spływa mu ze skroni. Wciska ponownie przycisk transmisji, tym razem bez wahania. Jeszcze przed chwilą był człowiekiem, który zwątpił we wszystko, zwłaszcza w samego siebie, ale teraz znów stał się dyrektorem technicznym programu Genesis.

– Ewakuować platformę startową! – rozkazuje przez mikrofon. – Wszyscy inżynierowie mają zająć miejsca w sali kontroli lotów! Start za dziesięć minut!

Przed wejściem na schody prowadzące w dół trybuny przy wyłączonych mikrofonach Serena McBee szepcze kilka słów na ucho swemu koledze.

– Chyba muszę któregoś dnia nauczyć cię paru technik relaksacyjnych, Gordonie – rzuca

spokojnie. – Oszczędziłoby ci to podobnych ataków paniki. W końcu to uczestników programu za kilka miesięcy czeka śmierć, nie ciebie.

PLAN

Start: 5 min

– Ciśnienie? – pyta Kelly.

– W normie – odpowiada Liz, skrupulatnie zapisując cyfrę w dzienniku pokładowym.

Kelly, Liz i Safia siedzą w pierwszym rzędzie w wąskiej kapsule, a mówiąc dokładniej, leżą w przygotowanych na miarę fotelach, które mają nam pomóc znieść ogromne przyspieszenie w momencie startu. To oczywiste, że są obok siebie, bo specjalistki w dziedzinie nawigacji, inżynierii i łączności muszą ściśle współpracować w zasadniczych fazach lotu. Kto pełni te funkcje w kapsule chłopców? Nie pamiętam imion – potrzebuję twarzy, mam pamięć wzrokową i to jej zawdzięczam talent do rysunku, jedyny, o którym wiem... Raczej trudno będzie go eksponować w turnieju uwodzenia.

– Poziom tlenu?

– Optymalny.

– Wentylacja?

– Włączona.

Kelly odwraca się gwałtownie w fotelu, w stronę drugiego rzędu, gdzie siedzimy Fangfang, Kris i ja.

– Fangfang, skoro tak świetnie znasz protokół, to może zrób coś, żeby ten pies nie gryzł kabla łączności. Przypominam ci, że protokół zabrania, by zwierzęta kręciły się po kabinie w czasie startu.

Fangfang waha się chwilę, dosłownie sekundę – i przez tę sekundę spodziewam się, że odgryzie się Kelly, co ja z pewnością zrobiłabym na jej miejscu. Jednak ona ogranicza się do poprawienia okularów, co robi zawsze, gdy coś ją zdenerwuje, po czym podaje Kris kaganiec, by zapięła go na pysku Louve. Między Kelly i Fangfang zawsze iskrzyło, już od pierwszego dnia szkolenia w Dolinie Śmierci, ale aż do tej chwili Singapurka zawsze potrafiła się opanować. Wyobrażam sobie, że sesje relaksacyjne pod hipnozą pozwoliły jej i pozostałym uczestniczkom wyrobić sobie stalowe nerwy. Przez cały rok raz w tygodniu Serena przyjmowała każdą z nich w swoim gabinecie na małe *tête-à-tête*, z którego wychodziły wolne od wszelkich napięć, doskonale wyciszone, gotowe na zdrowy, regenerujący sen. Na mnie jedyną to nie działało. Nie byłam w stanie się zapomnieć.

– Jesteś strasznie spięta! Zupełnie nie poddajesz się hipnozie – mówiła mi Serena z uśmiechem. – Moje terapeutyczne zdolności na nic się nie przydają w twoim przypadku, przykro mi. Ale w zamian za to mogę ci zaparzyć doskonałego rumianku z miodem z mojej pasieki, to cudowne lekarstwo na problemy ze snem!

Uśmiecham się na wspomnienie litrów naparu z rumianku, które wlałam w siebie przez te miesiące. Choć napój był pyszny, zupełnie nie działał, bo i tak co noc budziłam się o czwartej nad ranem, wydarta z pełnego ognia koszmaru, który śni mi się od wczesnego dzieciństwa.

– Gotowa? – pyta Kris, wyrывая mnie z myśli.

Jej twarz promienieje. Upięcie z warkoczy wygląda jak korona księżniczki. Właśnie spełniają się jej marzenia, nasze marzenia.

Oddycham głęboko.

Powietrze, które wciągam do płuc, nie jest już ziemskim powietrzem. To starannie dozowana mieszanka, stale odnawiana przez kolejne dwadzieścia trzy tygodnie podróży. Rakieta nośna jeszcze nie wystartowała, ale w pewnym sensie już wyruszyliśmy. Czuję, jak z każdą sekundą narasta we mnie podniecenie.

– Gotowa – odpowiadam i zatrząskuję hełm na głowie.

– Widzicie mnie i słyszycie, panienki i panowie?

– Dziewczęta odbierają cię idealnie, Sereno – odpowiada Safia swym dzieciennym głosem,

przekręcając guzik na panelu kokpitu.

Na ekranie pojawia się twarz naszej producentki wykonawczej. Jej srebrne włosy odcinają się wyraźnie od oparcia fotela obitego czarną skórą. W dole ekranu mkną ostatnie sekundy pozostałe do odlotu: Start: 30 sek.... Start: 29 sek.... Start: 28 sek....

– Wciąż mogę mówić do was „panienki”, ponieważ nie jesteście jeszcze zamężne! – oznajmia Serena do mikrofonu, który trzyma w dłoni. – I będzie tak aż do chwili, gdy staniecie na powierzchni Marsa. Oczekiwanie jest takie romantyczne! Tak pięknie zalecać się do siebie! Jestem pewna, że będziecie inspiracją dla tysięcy młodych ludzi na całym świecie.

Odkąd nas wybrała, nieustannie stawiała nas na piedestale: „Jesteście najlepsze, najpiękniejsze, najcudowniejsze”. Podejrzewam, że tak samo traktowała chłopców, wbijając im do głów przez dwanaście ostatnich miesięcy, że są herosami pozaziemskiej przestrzeni. Pewnie w tej chwili też słuchają w swojej kapsule jej ostatnich rad przed startem.

– Korzystam ze sposobności, że mogę jeszcze rozmawiać z wami bez różnicy czasowej, bo im bardziej będziecie się oddalać od Ziemi, tym większe będzie opóźnienie połączenia. Pamiętacie dlaczego?

– Ponieważ nadajnik laserowy statku Cupido nie może przesyłać wiadomości szybciej niż prędkość światła, czyli trzysta tysięcy kilometrów na sekundę – przypomina Safia, udowadniając, że kwestie łączności ma w małym palcu. – Od pozycji, w której znajdzie się Mars, gdy dotrze na niego Cupido, dzieli nas pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów. To oznacza, że kiedy tam dotrzemy, wysłany przez nas sygnał będzie szedł na Ziemię trzy minuty i trzy minuty będziemy czekać na odpowiedź. Nazywamy to opóźnieniem w łączności.

– Doskonałe wyjaśnienie! – chwali Serena. – Program Genesis opiera się na optycznej transmisji laserowej, o wiele skuteczniejszej niż elektromagnetyczna transmisja radiowa, którą musiały się zadowolić poprzednie misje kosmiczne. Jednakże prędkość światła pozostaje fizyczną granicą, której nie da się przekroczyć. Każdy dzień podróży oddali was o jedną sekundę świetlną, a dokładnie sekundę i czternaście setnych sekundy, aż dojdziemy do trzech minut świetlnych, gdy dotrzecie na miejsce. Dlatego w czasie połączenia trzeba będzie wykazać się cierpliwością, czekać na odpowiedź, nim zada się kolejne pytanie, oddechając przeponą, tak jak was uczyłam. Pamiętacie, prawda? Słuchajcie, zrobmy króciutką sesję relaksacyjną, teraz, zanim wystartujecie.

Głos Sereny staje się niższy, głębszy, hipnotyczny, bo w tym momencie przemawia do nas lekarz psychiatra specjalizujący się w hipnozie.

– Jeden. Wypuszczam całe powietrze z płuc i zamykam oczy... Dwa. Wciągam brzuch i widzę bezkresny spokojny ocean, w którym pływają delfiny... Trzy...

Odrywam myśli i wzrok od ekranu i przez szybę w hełmie wpatruję się w dziesiątki diod migających na panelach kokpitu. Zostawmy hipnozę tym, którzy mają szansę się jej poddać. Ja mam swoją metodę na koncentrację, jest nią rysunek. A kiedy nie mam w ręce ołówek ani długopisu, rysuję oczami, skupiam się na tym, co widzę przed sobą, a kontemplowanie najmniejszych elementów rzeczywistości uspokaja gonitwę myśli.

Wpatruję się w diody i zaczynam je liczyć, porównywać ich rozmiary i kolory, magazynować w pamięci jak najwięcej informacji, by nie myśleć o całej reszcie.

– Dziewięć!... Osiem!... Siedem!... – odlicza wstecz jakiś głos w moim hełmie.

Na ekranie Serena wciąż śledzi nas wzrokiem, jednak odliczanie zagłusza jej pocieszające słowa. Tuż nad nią pod ochronną szklaną kopułą wisi kamera, która także nas obserwuje, a za jej pośrednictwem miliony widzów.

– Sześć!... Pięć!... Cztery!...

Z wnętrza rakiety dobywają się jakby wstrząsy sejsmiczne. Włączają się silniki. Wiem, że tam, pod moimi stopami, jest prawdziwe piekło – zbiornik wypełniony paliwem właśnie się zapalił... Lepiej o tym

nie myśleć.

W końcu zamykam oczy.

– Trzy!... Dwa!... Jeden!...

Pod moimi zamkniętymi powiekami nie ma oceanu, nie ma delfinów.

Jest tylko czarna noc, kosmiczna noc.

– Start!

Start + 5 sek.

Przywiązana do lokomotywy pędzącego pociągu, któremu zepsuły się hamulce. Taki szalony obraz przychodzi mi do głowy: wibracje przenikające mnie aż do kości, ryk stali rozsadzający uszy, przyspieszenie, które sprawia, że żołądek przykleja mi się do kręgosłupa.

To wcale nie to samo, co symulacje w wirówce przeciążeniowej.

To jest bardziej przytłaczające.

To jest bardziej magiczne.

To jest bardziej realne.

Niebo za wąską opancerzoną przednią szybą przesuwają się jak szalone. A cyfry na wysokościomierzu pędzą jeszcze szybciej.

Gdzieś w oddali wciąż rozbrzmiewa przerywany głos Sereny, zagłuszony w połowie przez przeraźliwy hałas silników działających dzięki syntezie termojądrowej.

– Jeden. Wypuszczam całe pow-pow-powietrze z płuc... Dwa. Wciągają b-b-brzuch... Trzy. Ponownie nabieram powietrza, zaczynając od pę-pę-pępka...

Nasze fotele, metalowe ściany, przyrządy na panelach kokpitu trzęsą się tak, jakby cała kapsuła dostała strasznego ataku epilepsji. Jedyne oko wycelowanej w nas kamery pozostaje nieporuszone.

Rakieta ciągle przyspiesza, w miarę jak wznosimy się w atmosferę. W zaledwie jedną minutę prędkość wzrosła dziesięciokrotnie – wiem to, ponieważ się tego nauczyłam, ale po raz pierwszy moje ciało rozumie, co to naprawdę oznacza.

Dwa tysiące kilometrów na godzinę... Ta liczba nic nie znaczy, dopóki nie siedzisz w rakiemie przygnieciona siłą grawitacji, która robi wszystko, by zatrzymać cię na Ziemi.

Czuję nacisk na rękawicy, inny niż ten związany z przyspieszeniem.

Patrzę w dół – to dłoń Kris wczepiona w moją.

Start + 2 min

Wysokościomierz wskazuje czterdzieści pięć kilometrów – to jak pięć Mont Everestów postawionych jeden na drugim.

Ryk silników wydaje się mniej ogłuszający. Silniki startowe dały z siebie wszystko, tysiąc ton paliwa poszło z dymem w kilka minut.

– Pierwsza faza wznoszenia ukończona! – trzeszczy głos Kelly w moim hełmie.

Słyszę, jak silniki startowe odrywają się od rakiety z głośnym metalicznym zgrzytem. Spadają na Ziemię, ogromne puste skorupy, gotowe zatonać w wodach Oceanu Atlantyckiego.

Tymczasem lecimy w kierunku Marsa.

Start + 6 min

Z sekundy na sekundę moje ciało staje się coraz cięższe.

Próbuję zobaczyć, czy z Kris wszystko w porządku.

Nie ma szans.

Nie jestem w stanie się poruszyć.

Moja głowa jest ciężka, jakby była z betonu, moja szyja wydaje się odlana z żeliwa.

Rakieta wciąż nabiera prędkości w ostatniej próbie ucieczki przed przyciąganiem ziemskim.

– Przyspieszenie? – pyta Kelly drżącym głosem.

– Właśnie przekroczyliśmy dwa i pół g... – odpowiada z trudem Liz.

Protokół przewiduje, że gdyby w tej chwili pojawił się jakikolwiek problem z głównym silnikiem rakiety nośnej, opadniemy w Dakarze, po drugiej stronie Atlantyku. Opierając się na latach doświadczeń w eksploracji kosmosu, naukowcy drobiazgowo przewidzieli wszelkie awarie i uszkodzenia, jakie mogłyby się zdarzyć w początkowej fazie lotu. Ale im bardziej oddalamy się od Ziemi, w przestrzeń międzyplanetarną, gdzie człowiek jeszcze nigdy się nie zapuścił, tym mniej precyzyjny będzie protokół...

Wysokościomierz wyświetla okrągłą cyfrę: sto kilometrów nad poziomem morza.

– Przyspieszenie?

– O... się... gne... liśmy... trzy g...

Trzykrotność przyspieszenia ziemskiego.

Przy 3 g oparcie fotela wbija ci się w żebra i plecy, tak że praktycznie stajesz się z nimi jednością.

Przy 3 g każdy oddech wymaga bolesnego wysiłku, powietrze staje się lepłą cieczą, która zakleja ci płuca.

Przy 3 g promienie słoneczne stają się tak ciężkie jak płynne złoto, spływają powoli z czarnej dziury nieba ku panelom kokpitu.

Przy 3 g twój mózg zmienia się w bezkształtną masę.

Przy 3 g przestajesz myśleć.

Start + 10 min

Nagle stalowy uścisk, który zginał moje ciało, się rozluźnia.

Nagle paski przyczepione do mojego skafandra wzlatają do góry, tak samo jak kartki dziennika pokładowego leżące na kolanach Safii.

Pod stopami czuję potężny wstrząs, po czym następuje absolutna cisza. Za przednią szybą widać mroczne niebo pełne gwiazd.

– Dolny zbiornik odrzucony! – oznajmia Kelly. – Ostateczna wysokość osiągnięta! Możecie otworzyć kaski, dziewczyny!

Dłoń Kris pozostaje wczepiona w moją rękawicę.

– Myślę, że możesz mnie już puścić – mówię, podnosząc wizjer hełmu. – Przecież nie odleczę.

Choć właśnie takie odnoszę wrażenie. Moje ręce, które jeszcze przed chwilą zdawały się ważyć tonę, teraz nie ważą prawie nic, jak w stanie nieważkości podczas lotów parabolicznych. Ale nie tylko moje ręce fruują – frunie także moje serce, bije w piersi tak mocno jak ptak trzepoczący skrzydłami, który wzbija się ku niebu: „Udało się, Léo! Zrobiłaś to! Jesteś tu! Jesteś w przestrzeni kosmicznej!”.

– *Obydwie kapsuły są na orbicie okołoziemskiej!* – oznajmia Serena. – *Czy u was wszystko w porządku, dziewczęta?*

Wciąż tam jest, uśmiecha się z małego okienka monitora, jakby chaos związany ze startem rakiety nie zrobił na niej większego wrażenia. Tylko jej oczy poruszają się naprzemiennie z lewej strony na prawą, śledząc dwa ekrany, które wyświetlają jej obrazy z dwóch kapsuł wystrzelonych w kosmiczną próżnię.

– U nas wszystko git! – odpowiada Kelly, wyjmując z uszu słuchawki.

W kapsule słychać płynącą z jej słuchawek melodię piosenki *Buntownik bez powodu* z ostatniego albumu Jimmy’ego Gianta, rodaka i idola Kelly, którego prasa okrzyknęła nowym Jamesem Deanem.

– Gotowe na orbitalną randkę z Cupido dokładnie za siedem godzin i dwadzieścia pięć minut!

POZA PLANEM

Droga na przylądku Canaveral, niedziela 2 lipca, godz. 19.45

Mały czarny kamper z przyciemnianymi szybami i chromowanymi felgami jedzie drogą przecinającą przylądek Canaveral wśród rzadkich spalonych słońcem traw. Mknie na wschód, w stronę morza płonącego czerwonym światłem wieczoru. Kilka samochodów jedzie w przeciwnym kierunku, na zachód – to ostatni widzowie, którzy wracają do domu po starcie rakiety, z otwartych okien dochodzą dźwięki piosenki *Cosmic Love*. Kamper zostawia je za sobą i wkrótce na czarnej wstążce asfaltu nie ma już żadnego innego pojazdu. Po niezmiernym tłumie, który jeszcze kilka godzin temu zalewał to miejsce, zostały tylko zalegające na poboczu puszki po piwie i puste torebki po chipsach niesione przez wieczorny wiatr z jednego krzaka na drugi. Zawieszane na metalowych słupach głośniki emitują w kółko ten sam komunikat, czytany przez grzecznego, lecz stanowczego kobiecego głos:

– Uprzejmie informujemy wszystkich odwiedzających, że wjazd na przylądek zostanie zamknięty o godzinie dwudziestej. Prosimy, by wszystkie samochody kierowały się w stronę wyjazdu.

Jednak czarny kamper mija kolejne słupy, nie zwalniając.

Zatrzymuje się dopiero na końcu drogi, u stóp wysokiego płotu najeżonego drutem kolczastym, który strzeże dostępu do płyty wyrzutni raketowej. Do prętów ogrodzenia przyklejono tysiące kartek z życzeniami powodzenia dla śmiałków, którzy właśnie odlecieli, a także prośby i modlitwy, by zabrali je ze sobą do nieba. Są tam również bukiety kwiatów, maskotki i setki innych prezentów złożone przez tych, którzy pozostali na Ziemi.

Za wszystkimi tymi darami, jakieś dwieście metrów za ogrodzeniem, można dostrzec płytę wyrzutni raketowej, metalową platformę otoczoną przez wysokie dźwigi i wielkie sześciennymi hangary opasane lśnącymi drogami.

Miejsce jest całkowicie opuszczone.

Otwierają się drzwi kampera.

Wychodzi przez nie elegancki młody mężczyzna o wyglądzie bogatego snoba z prywatnej uczelni: beżowe spodnie chino, idealnie skrojona granatowa marynarka, czerwona koszulka polo. Jego brązowe włosy są starannie zaczesane na bok, na nosie ma okulary w czarnych oprawkach. W ręce trzyma małe czarne plastikowe pudełeczko, na które naciska kciukiem – *klik!* – po czym podnosi je do ust. To dyktafon.

– List do mojego ojca. Niedziela, drugi lipca, baza na przylądku Canaveral – nagrywa.

Patrzy na zegarek.

– Jest godzina dziewiętnasta czterdzieści pięć. Stoję przy ogrodzeniu miejsca uznawanego za najlepiej strzeżone w całych Stanach Zjednoczonych. Zamierzam dowieść, że jest wręcz przeciwnie. Mam nadzieję, że spodoba ci się moja mała prezentacja, ojczu. W każdym razie gdy otrzymasz to nagranie, będzie już za późno, by mnie powstrzymać.

Puszcza guzik i wkłada dyktafon do kieszeni spodni. Następnie podchodzi do ogrodzenia i odsuwa nogą ogromną czerwoną poduszkę ze sztucznego aksamitu w kształcie serca. Otwiera dłoń. W jej zagłębieniu leży wielki mieniący się srebrem żuk.

– Teraz ty wchodzisz do gry, mój mały robaczku... – szepcze chłopak, przyglądając się owadowi po raz ostatni.

Patrząc z bliska, można dostrzec, że to nie jest prawdziwy żuk. Srebrny pancerz wykonano z aluminium, odnóża to metalowe włókna, a wystające oczka przypominają dwie miniaturowe soczewki kamery.

Chłopak kuca, przekłada rękę przez pręty i kładzie fałszywego żuka po drugiej stronie, na kamienistej ziemi ośrodka lotów kosmicznych.

– Hej! Co pan tu robi?

Chłopak podnosi się w chwili, gdy z małej budki wyskakuje strażnik ubrany w mundur programu Genesis – koszulę i spodnie w szarym kolorze oraz czapkę z logo z planetą zawierającą w sobie ludzki płód.

– Nie wolno tu przebywać, proszę pa... – zaczyna.

Urywa w połowie zdania i mierzy gościa od stóp do głów. Spozstrzega, że pod eleganckim strojem i za okularami w czarnych oprawkach kryje się ktoś o wiele młodszy, niż mu się w pierwszej chwili wydawało, chłopak w wieku osiemnastu, góra dwudziestu lat, a więc nie ma powodu, by tytułować go „pan”.

– Nie słyszałeś komunikatów, chłopcze? – mówi, kładąc dłoń na wiszącym przy pasku rewolwerze. – Wjazd na półwysep zamykamy o dwudziestej, jak co wieczór. Odkąd Atlas wykupił bazę, przyładek Canaveral jest własnością prywatną, to nie park publiczny. No już, zjeżdżaj stąd albo spiszę numery z twojej tablicy rejestracyjnej.

Młody mężczyzna w okularach wsuwa dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciąga z niej coś, co wygląda jak telefon komórkowy starej generacji, rodzaj wielkiego pilota wyposażonego w antenkę.

– A niech to! – rzuca, zerkając na ekran. – Chce pan powiedzieć, że spóźniłem się na start?

Prycha głośno. Zapach nafty wciąż unosi się w powietrzu, zmieszany z wonią wrzosowisk na wybrzeżu.

Strażnik mruga oczami pod daszkiem swej czapki, bo zachodzące słońce trochę go razi.

– No jasne, że się spóźniłeś! – rzuca rozdrażniony. – Nie oglądałeś telewizji, nie słuchałeś radia, nie czytałeś gazet, nie sprawdzałeś wiadomości w swojej komórce?

– No nie... A poza tym nie mogę tu złapać sieci...

– Normalne. Sygnały telefonów komórkowych są zagłuszane na całym półwyspie. Ochrona poufności. Działają tu tylko radiotelefony programu Genesis. Nie ma szans, żebyś złapał sieć, zwłaszcza z tym ustrojstwem. Wygląda mi na niezły antyk. Nawet moja dziesięcioletnia córka ma nowszy model. Nowoczesna technologia nie jest twoją mocną stroną, co?

Chłopak wzrusza ramionami. Bryza znad oceanu rozwiewa połę jego marynarki i targa mu włosy.

– Gdybym wiedział, przyjechałbym wcześniej, żeby zobaczyć start. Co za pech, zwłaszcza że jechałem tylko po to aż z Beverly Hills... Widzi pan, tata kupił mi ten samochód, żebym mógł w czasie wakacji zwiedzić nasz piękny kraj, nim wstąpię w przyszłym roku na Uniwersytet w Berkeley. A może mógłby mi pan zorganizować prywatną wycieczkę po bazie? Miałbym co wspominać.

Strażnik zamiera w osłupieniu ze zmarszczonymi brwiami i wpółotwartą buzią dosłownie na sekundę.

– Zaczekaj tu chwilę – mówi w końcu słodkim głosem. – Zapytam kierownictwo...

Przechodząc od słów do czynów, wyjmuje krótkofalówkę i odchodzi kilka kroków, drugą dłoń wciąż trzyma na uchwycie rewolweru.

Chłopak korzysta z okazji, by wystukać coś na swoim ogromnym telefonie. Na ekranie pojawia się wiadomość: „POŁĄCZENIE SATELITARNE W TOKU”...

Jednak tego wszystkiego strażnik nie widzi. Jest zbyt zajęty rozmową przez krótkofalówkę, odwrócił się plecami, by gość nie mógł usłyszeć jego słów:

– Halo, Bob? Tu Derek. Mam tu złotodzioba, który sterczy przed płytą wyrzutni mimo zakazu. Typ synalka bogatego tatusia, który na wszystko pozwala. Samochód zarejestrowany w stanie Kalifornia. Przyślesz mi chłopaków z ochrony?

Strażnik chowa krótkofalówkę z uśmiechem na ustach.

– A to pech, kolego – mówi, odwracając się. – Twoja mała prywatna wycieczka skończy się w...

Ryk silnika zagłusza dalszy ciąg zdania, opony wzbijają wielką chmurę brunatnoczerwonego pyłu,

który osiada na mundurze strażnika. Kiedy kurz opada, kamper jest już daleko na drodze prowadzącej w stronę kontynentu.

PLAN

Start + 7 godz., 28 min (Pierwszy tydzień)

– Poniżej stu metrów do celu... – trzeszczy głos Kelly.

Już od ponad siedmiu godzin leżymy wbite w nasze fotele, z hełmami na głowach i pasami bezpieczeństwa wżynającymi się w klatki piersiowe.

Ja jednak nie czuję ani bólu, ani zmęczenia, ani drętwienia członków. Jestem na to zbyt skupiona, zajęta odtwarzaniem na ekranie małego tabletu do rysowania fascynującego widoku statku, który rozpościera się za przednią szybą kapsuły.

Cupido.

Wiele razy widziałam go na szkicach i planach, wiele razy o nim marzyłam, w holu naszego ośrodka treningowego była nawet jego makietą. Jednak rzeczywistość przerasta wszystko, co sobie wyobrażałam, dlatego pragnę koniecznie zapisać to w pamięci tabletu, bym sama mogła zapamiętać to na zawsze.

Owo cacko to najbardziej zaawansowana technologia kosmiczna, projekt, w który NASA wpakowała setki milionów dolarów przez ponad dwadzieścia lat, nazwany Vasco da Gama. I właśnie w chwili, gdy ten rolls-royce przestrzeni kosmicznej znalazł się na orbicie, nareszcie gotowy, by służyć eksploracji Marsa, *bam!*, nowy prezydent Stanów Zjednoczonych postanowił wyprzedać klejnoty koronne... Co za niefort dla inżynierów, którzy poświęcili temu projektowi całe swoje życie. Co za niefort dla prawdziwych astronautów z dyplomami, którzy szkolili się przez całe lata w nadziei, że zostaną pierwszymi ludźmi, którzy postawią stopę na Czerwonej Planecie. W tej chwili większość z nich jest na bezrobociu. Aby zrobić *show* i zgarnąć jak najwięcej kasy, zarządcy Atlasa postanowili otworzyć program dla amatorów, zwykłych ludzi, z którymi każdy będzie mógł się identyfikować. Zmienili też nazwę statku – nie wydawało im się, by martwy od kilku wieków odkrywca miał się dobrze sprzedawać. Woleli jakieś łacińskie imię z niezbyt dużą liczbą sylab, łatwe do zapamiętania we wszystkich językach, jak to statku Apollo, który pierwszy wylądował na Księżycu. Wybrali Cupido w nawiązaniu do boga miłości, aniołka Kupidyna, który ma celować w nas swymi strzałami w trakcie programu... Muszę przyznać, że całkiem nieźle to wymyślili. Widziany z tak bliska Cupido n a p r a w d ę przypomina anioła. Straszego anioła, anioła wysokiego na prawie trzydzieści metrów, który w zupełnej ciszy płynie w mroku przestrzeni kosmicznej i na ekranie mojego tabletu.

Czubkiem rysika umocowanego w rękawicy szkicuję cztery części statku, które przyłączano do siebie stopniowo, dostarczając je kolejno w czasie wcześniejszych misji, ponieważ żadna rakieta nośna nie miała odpowiednich rozmiarów, by wynieść taki statek na orbitę za jednym zamachem (ten potwór jest także za wielki, by wejść w marsjańską atmosferę i się nie roztrzaskać, dlatego wylądujemy tam w naszych małych kapsułach). Największy moduł to silnik, ogromny cylinder kryjący w sobie minielektrownię jądrową, która popchnie nas aż na Marsa. To tułów anioła. Dwie tuby, które mieszczą w sobie przedziały mieszkalne dla załogi, połączone prostopadłe powyżej tułowia, z którym tworzą jakby kształt litery T – to skrzydła anioła. W miejscu złączenia skrzydeł na szczycie statku znajduje się najmniejszy moduł, kula z ciemnego szkła, nad którą góruje niczym aureola paraboliczna antena emanująca wiązką światła – to głowa anioła, najświętsze miejsce, miejsce, gdzie znajduje się tajemnicza Kula Spotkań...

– Czterdzieści metrów do celu...

Podnoszę wzrok znad tabletu. Na głównym monitorze miejsce Sereny zajął Roberto Salvatore, instruktor nawigacji, który szkolił Kelly. Roberto ma na sobie szary mundur programu Genesis, przyciasna czapka z logo nadaje jego puciołowatej twarzy wygląd sprzedawcy fast foodów, który

przesadził z konsumpcją własnego towaru. Choć na to nie wygląda, to dawny pracownik NASA, niemal tak wysoko postawiony jak dyrektor Lock, jeden z tych, którzy zaskarbili sobie łaskę Atlasa, bez wątplenia jeden z najlepszych pilotów po tej stronie kosmosu – szacun!

– Trochę bardziej w prawo... – mówi, a jego podwójny podbródek drży za każdym razem, gdy wydaje komendę. – Skoryguj kąt podejścia o dwa stopnie... A teraz dodaj gazu. Kapsuła chłopców jest tuż za wami. Liczę, że przybijecie do Cupido jako pierwsze, dziewczęta!

Na wzmiankę o chłopcach mój wzrok pada na ekran wsteczny, który pokazuje przestrzeń kosmiczną za naszymi plecami. Daleko za nami widzę maleńki stożek zagubiony wśród gwiazd. To druga kapsuła. Wydaje się nieruchoma, ale w rzeczywistości krąży wokół planety z taką samą prędkością jak my, osiem kilometrów na sekundę. To zabawne, że w tym kawałku metalu, nie większym niż główka od szpilki, znajduje się ten, z którym spędzę resztę życia.

– Dwadzieścia metrów do celu...

Nagle w kapsule robi się jasno, co znów przyciąga moją uwagę do przedniej szyby. Na Cupido pada oślepiający snop światła. Białe ceramiczne płytki, którymi jest w całości pokryty, rozbłyskują jak świetlne pióra.

To wschód słońca na Ziemi.

Piąty, który obserwujemy, odkąd wyruszyliśmy.

Okrzyżaliśmy planetę już pięć razy, co zabiera półtorej godziny. Przy każdym okrążeniu zbliżamy się coraz bardziej do orbity statku.

Tym razem jest właściwa. Jesteśmy dokładnie w linii lewego skrzydła, przedziału mieszkalnego dziewcząt. Jeszcze tylko kilka ostatnich machnięć rysika, by uchwycić słoneczny promień rozświetlający głowę Cupido...

– Dziesięć metrów do celu...

Właz dokujący na krańcu lewego skrzydła przybliży się...

przybliży się...

przybliży się...

– Dwa metry do celu... Przygotujcie się do dokowania!

Kapsuła drży.

Zapala się lampka kontrolna układu zwiększenia ciśnienia na głównym panelu.

Na największym ekranie podwójny podbródek Roberta przestaje się trząść.

– Dokowanie zakończone sukcesem!

– E tam, łatwizna – puszy się Kelly. – Dla profesjonalnej zawodniczki curlingu to bułka z masłem... Za pięć miesięcy, gdy trzeba będzie z orbity Fobosa wylądować naszą kapsułą dokładnie w Nowym Edenie, postaram się zrobić to równie dobrze.

– Zostawiam was. Muszę pomóc chłopcom w dokowaniu do prawego skrzydła. Jeśli nie trafią, czeka ich kolejna dziewięćdziesięciminutowa wycieczka dookoła Ziemi...

Safia jako pierwsza odpina pas bezpieczeństwa. Natychmiast zaczyna się unosić, próbując wyłapać kartki dziennika pokładowego, które płyną wzdłuż sufitu jak chmury.

– Nie wydaje mi się, by pozwolono nam się odpiąć... – ostrzega Fangfang, zawsze wierna swej zręczliwej naturze.

– Udzielam zezwolenia, moja droga Fangfang! – wykrzykuje Serena, która zajęła na ekranie miejsce Roberta.

Pasy bezpieczeństwa odskakują, jeden po drugim.

Dziewczęta unoszą się w powietrzu, śmiejąc się jak dzieci w Boże Narodzenie, a przynajmniej tak to sobie wyobrażam, bo nigdy tego nie zaznałam. Co za ulga, że mogę zdjąć gumkę i pozwolić, by moje długie ogniste loki rozwiały się dookoła głowy. Mam wrażenie, jakbym urodziła się na nowo!

– Chodź, Léo! – woła Kris.

Chwyta mnie za ramiona i podnosi z fotela z taką łatwością, jakbym była szmacianą lalką.

Wskaźnik zwiększania ciśnienia zmienia kolor na zielony.

Śluza zadokowanej do statku kapsuły otwiera się z głośnym kliknięciem. Pojawia się wąski tunel, który zasysa nas wszystkie do wnętrza Cupido. Nas, pierwsze istoty ludzkie, które się tam dostaną, odkąd umieszczono go na orbicie.

– *Witajcie w domu, dziewczęta!*

Głos Sereny jest tak czysty, że niemal spodziewam się, że zobaczę ją na końcu tunelu, w przedziale mieszkalnym.

Oczywiście jej tam nie ma, ale to, co widzę, i tak zapiera mi dech w piersi.

– Genialne! – krzyczy Kelly. – Jak chata kanadyjskiego drwala w wersji dla bogatych!

Ma rację. Tunel wychodzi na owalne pomieszczenie o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych, całkowicie wyłożone sosnowym drewnem – nie ma to zupełnie nic wspólnego z białym plastikiem tej więziennej celi, w której spędziłyśmy ostatni miesiąc szkolenia w Dolinie Śmierci. Do podłogi pokoju są przybite trzy łóżka piętrowe ze szcotkowanego metalu, ustawione dookoła wjazdu, którym się tu dostałyśmy. Delikatne i ciepłe kaszmirowe kołdry przymocowano do prześcieradeł za pomocą rzepów, żeby przeciwdziałać nieważkości. Nad każdym łóżkiem wisi mała kopułkowa kamera i monitor o wysokiej rozdzielczości wyświetlający różne ziemskie scenki: zachód słońca nad ośnieżonymi szczytami, stado jeleni pasących się na łące pełnej stokrotek, no i oczywiście delfiny pływające w spokojnym morzu przy świetle księżycy. Nietrudno zgadnąć kto wybierał obrazy pojawiające się na ekranach!

– *NASA zaprojektowała wnętrze statku z wykorzystaniem naturalnych ziemskich materiałów, by astronauta nie czuli zbyt dużej tęsknoty i wyobcowania i łagodnie przyzwyczaili się do czekającego ich marsjańskiego życia...*

Twarz Sereny uśmiecha się do nas z czwartego monitora umieszczonego przy drabinie prowadzącej na drugie piętro przedziału mieszkalnego. System dolby stereo transmituje jej głos z wręcz kryształową czystością.

– *A więc, moje drogie, podoba się wam pokój?*

Odpowiadają jej zgodne okrzyki radości.

Wydostajemy się z naszych obszernych białych skafandrów i pozostajemy tylko w czarnych przylegających do ciała kombinezonach, o wiele wygodniejszych i zdecydowanie bardziej twarzowych. Wreszcie mamy swobodę. Niektóre z dziewcząt, na przykład Liz i Safia, unoszą się i płyną lekko z gracją, a inne nieco niezdarne, tak jak Kris, która nigdy nie czuła się dobrze w stanie nieważkości. Suczka Louve szczeka jak radosne szczenię i kręci w powietrzu łapami.

– Léo i ja bierzemy to łóżko! – woła Kris, wyginając się, by złapać łóżko pod ekranem z jeleniami. – Léo, mogę spać na gorzej?

Kiwam głową.

– Nie ma sprawy, Kris – rzucam. – Choć w tym momencie pojęcia takie jak góra czy dół niewiele znaczą.

Serena natychmiast podchwycyła moją uwagę, jakby uczestniczyła w rozmowie toczącej się na pokładzie statku, choć w rzeczywistości znajduje się tysiące kilometrów stąd.

– *Doskonale spostrzeżenie, Léo. Kiedy jesteście w stanie nieważkości, nie ma już góry ani dołu. Trzeba będzie poczekać, aż Cupido zostanie wprowadzony na trajektorię międzyplanetarną w kierunku Marsa. Wtedy jego skrzydła wejdą w ruch obrotowy wokół głównej osi statku, a wytworzona w ten sposób siła odśrodkowa zastąpi swym działaniem siłę ciężenia i zapewni wam sztuczną grawitację przez dwadzieścia trzy tygodnie podróży, co widzowie mogą właśnie zobaczyć na ekranie...*

Zamiast twarzy Sereny na ekranie pojawia się wizualizacja 3D przedstawiająca Cupido na tle rozgwieżdżonego nieba. Jego dwa bliźniacze skrzydła obracają się powoli wokół głowy statku z aureolą

w postaci talerza parabolicznej anteny, która składa się ze zwykłej starej anteny radioelektrycznej i lasera najnowszej generacji.

Ale my jesteśmy zbyt podekscytowane, by wysłuchiwać wykładu z astrodynamiki.

Kris ciągnie mnie w stronę drabinki w głębi pomieszczenia. Popycha klapę nad górnym drążkiem i wlatujemy na drugie piętro.

– *A oto i salon!* – ogłasza triumfalnie Serena.

Jej twarz wyświetla się teraz na panoramicznym ekranie, tuż pod kamerą sprytnie ukrytą w obudowie cyfrowego zegara, który wyświetla godzinę w Tokio, Pekinie, Singapurze, Nowym Delhi, Moskwie, Abudży, Berlinie, Paryżu, Londynie, Ottawie, Waszyngtonie, Brasílii. To wszystkie stolice krajów, z których pochodzą członkowie załogi, od wschodu do zachodu.

– O, kącik do czytania! – wykrzykuje Safia, stając na rękach na czarnej skórzanej kanapie z poduszkami trzymającymi się na miejscu dzięki rzepom.

– O! Część kuchenna! – dodaje Kris, z zachwytem przeciągając opuszkami palców po przyborach do gotowania przyczepionych na magnesach nad lśniącym ceramicznym blatem.

– *Cool!* Jest gdzie zatankować! – wykrzykuje Kelly. – Dobrze się składa, bo brakuje mi muzyki, a nie przeżyję bez codziennej dawki Jimmy’ego Gianta!

Kelly kładzie swój mały odtwarzacz na stole pod cyfrowym zegarem – patrząc na jego czarny błyszczący blat, od razu zgaduję, że to ostatni krzyk mody: stolik-ladowarka, wystarczy położyć na nim nasze konsole, czytniki i inne gadżety mające dostarczać nam rozrywki w czasie podróży, by naładowały się zaledwie w kilka minut. Na namagnesowanej powierzchni czeka już na nas sześć tabletów podpisanych imionami, po jednym dla każdej z nas.

– *Te tablety powtórkowe zawierają cały materiał szkoleniowy do przestudiowania w trakcie lotu, abyście nie zapomniały lekcji waszych instruktorów – oznajmia Serena. – To trochę tak jak praca domowa na wakacje. Staraliśmy się, aby to wszystko było naprawdę ciekawe, możecie powtarzać materiał, gdzie tylko chcecie: leżąc w łóżku, biegając po podłodze lub siedząc wygodnie w salonie.*

– Jeśli mam się uczyć, to tylko tu, w ciepélku! – wykrzykuje Liz, płynąc w stronę designerskiego kominka znajdującego się w zagłębieniu ściany naprzeciwko panoramicznego ekranu.

Kominek.

W którym płonie ogień.

W statku kosmicznym!

– Ale... – zaczyna Fangfang, podnosząc nerwowo dłoń do okularów. – Czy to nie jest trochę niebezpieczne? To znaczy nie mówię już o wzniesieniu pożaru w naszym przedziale, ale czy to nie pochłonie całego tlenu z powietrza?

– *Nie* – odpowiada Serena. – *Ten płomień to tylko holograficzna projekcja, z wbudowanym ogrzewaniem i nagrany trzaskiem i skwierczeniem ognia. Całkiem realistyczne, prawda?*

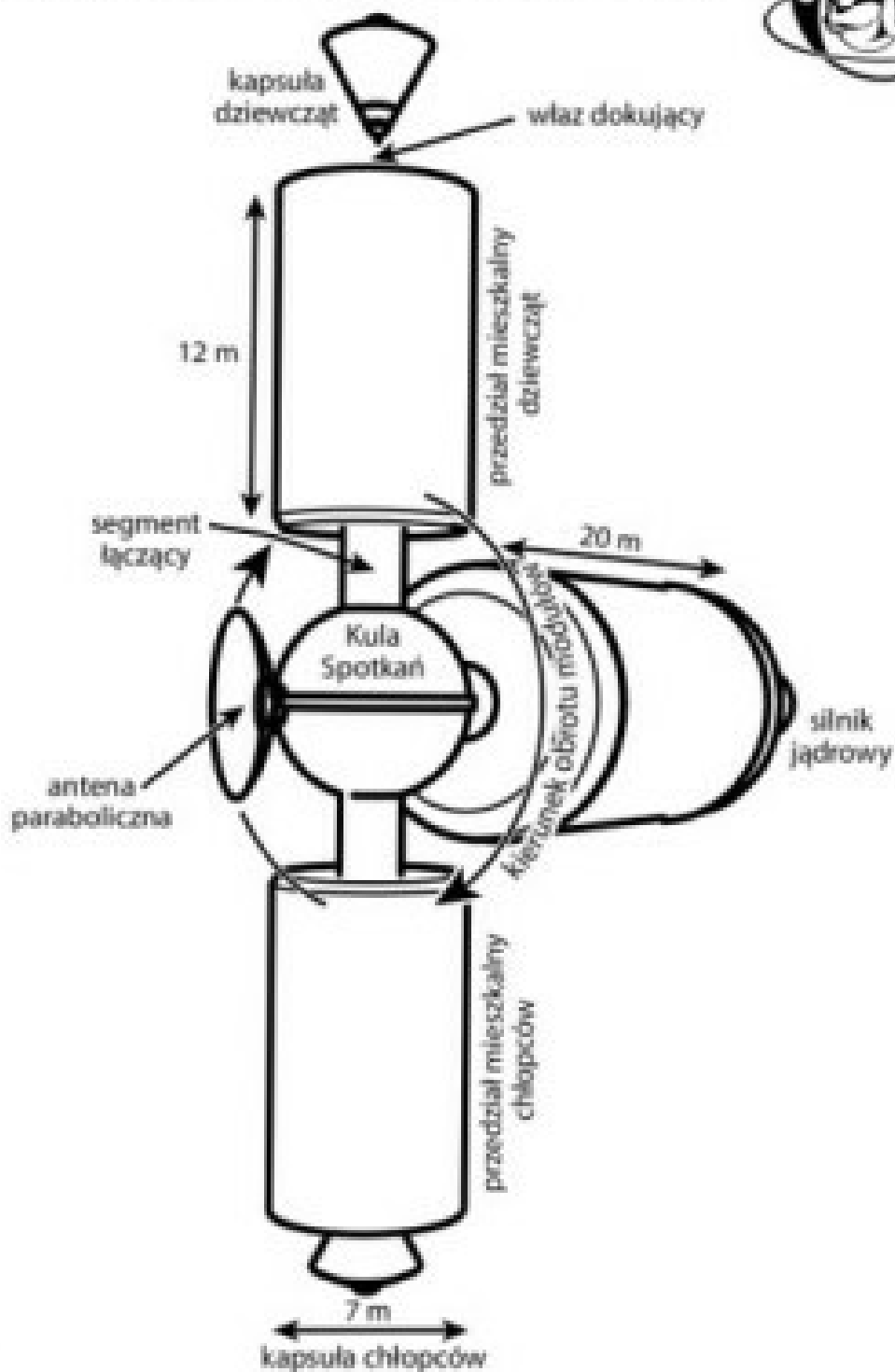
Kolejny wybuch radosnych okrzyków.

I to uczucie, że wreszcie rozumiem, co to znaczy „być u siebie”, po tym, jak całe życie czułam się obca.

– *Macie jeszcze dwa piętra, które pozwolę wam odkryć samodzielnie – kontynuuje Serena. – Łazienkę na trzecim piętrze, która służy także jako magazyn i pralnia, oraz salę gimnastyczną na czwartym. Całość tworzy uroczy czteropiętrowy dom, sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych przestrzeni życiowej.*

– A to? – pytam przesuwając się w stronę oszklonej wnęki znajdującej się obok kącika kuchennego.

CUPIDO / schemat budowy



– *To jest winda towarowa połączona z magazynem żywności przechowywanej w specjalnych pojemnikach na trzecim piętrze. Wystarczy na pięć miesięcy podróży, nie martwcie się. Wody także wam nie zabraknie, oczywiście pod warunkiem że będziecie jej używać rozsądnie i same przyczynicie się do zasilenia zapasów. Tak, moje drogie, przez całą podróż wasz mocz będzie filtrowany przez specjalny system odzyskiwania wody! Ale dosyć już tych technicznych, w sumie mało eleganckich rozważań. Zdaje się, że winda właśnie jedzie...*

Na te słowa, gdzieś z głębin przedziału mieszkalnego dochodzi szum świadczący o tym, że za pozornie prostymi drewnianymi ścianami znajdują się jakieś skomplikowane mechanizmy. Za rozsuwaną szybą pojawia się butelka.

Biorę ją do ręki przy wtórze pełnych zachwyty ochów i achów.

Butelka jest schłodzona, zamknięta specjalną plastikową zakrętką z wbudowaną słomką. Na pięknej pozłacanej etykiecie napisano elegancką czcionką: „Champagne Merceaugnac, Cuvée Impériale, Grand Cru rocznik 1969 – rok księżycowy”.

– *Podziękujcie Léonor. To jej sponsor platinium jest gospodarzem tego przyjęcia!* – ogłasza Serena, podnosząc głos, by przebił się przez radosne piski dziewczyn. – *Niestety ze względów bezpieczeństwa nie możecie wystrzelić korka, dopóki jesteśmy w stanie nieważkości, ale zapewniam was, że przez słomkę smakuje równie dobrze. Ten szampan powstał w roku, w którym człowiek chodził po Księżycu. Pomyślałam, że to przyniesie wam szczęście. Mam nadzieję, że będzie wam smakował, ponieważ czeka na was jeszcze sześć butelek, które otworzycie już na Marsie, by świętować sześć waszych ślubów. A tymczasem w oczekiwaniu na rychłe dokowanie kapsuły chłopców zapraszam was, byście stuknęły się kieliszkami z waszymi fanami. Pociągnęłyście za sobą wielkie thumy!*

Twarz Sereny znika, by ustąpić miejsca transmisji na żywo ze słonecznego parku, w którym zgromadziły się tysiące ludzi, tak ściśniętych, że nie widać zielonej trawy pod ich stopami. Na skraju parku wznosi się gigantyczny ekran, na którym widać nas sześć siedzących przy stole, tak jak filmuje nas w tej chwili kamera w Cupido.

– *W Singapurze właśnie dochodzi dziewiąta rano. Sto tysięcy ludzi oglądało was tam przez całą noc. Zebrali się w parku Hong Lim, czyli tam, gdzie zazwyczaj odbywają się publiczne manifestacje* – komentuje głos Sereny. – *Władze Singapuru potwierdziły, że to największe zgromadzenie od czasu powstania tego miasta-państwa!*

Na te słowa w parku podnosi się wielki krzyk, który zdaje się dochodzić aż do nas poprzez przestrzeń kosmiczną:

– Fangfang! Fangfang! Fangfang!

Czerwieniąc się po uszy, Singapurka pokazuje palcami obu dłoni znak zwycięstwa, co natychmiast pojawia się na gigantycznym ekranie w parku Hong Lim.

Transmisja z Singapuru znika, ustępując miejsca szerokiej rzece, w której odbijają się promienie wschodzącego słońca. Świątynie i domy na jej brzegu rzucają nadmiernie wydłużone cienie. Niezmierzony tłum pielgrzymów w białych spodniach i sari tłoczy się przy brzegu, intonując modlitwy, w których wciąż powracają te same dwie sylaby: Sa-fia!

– *Święte miasto Waranasi nad brzegiem Gangesu, godzina szósta trzydzieści rano* – wyjaśnia Serena. – *Nie da się policzyć nieprzebranych rzesz Hindusów przybywających życzyć szczęścia tej, która nosi ich barwy. Z myślą o niej składają bogom dary w kolorach Marsa.*

Rzeczywiście każdy pielgrzym puszcza na wodę małą łódeczkę z palmowego liścia, wypełnioną czerwonymi goździkami, która żegluje wśród konstelacji tworzonej przez tysiące pozostałych.

Ta mistyczna wizja, jakby wyłaniająca się z pomroki dziejów, rozwiewa się nagle niczym sen, zastąpiona przez swe przeciwieństwo: ultranowoczesną arterię otoczoną budynkami, na których mieniają się gigantyczne kolorowe reklamy świetlne. Ruch został wstrzymany, helikoptery patrolują nocne niebo, różnobarwny tłum wymachuje kanadyjskimi flagami z czerwonym liściem klonu.

– Dundas Square w Toronto, godzina dwudziesta pierwsza – mówi Serena. – W Ameryce Północnej jest już wieczór. Szacuje się, że prawie dwa miliony Kanadyjczyków opanowało najbardziej znany plac w mieście i zalało okoliczne ulice, by uczestniczyć w święcie, które potrwa całą noc... na twoją cześć, Kelly!

W tym momencie wszystkie ekrany na Dundas Square przestają wyświetlać reklamy i ukazują się na nich twarz Kelly powielona setki razy, a nad nią wypisana wielkimi czerwonymi literami deklaracja miłości: „KANADA CIĘ KOCHA, KELLY!”.

W statku kosmicznym, gdzie, zupełnie oniemiałe, jesteśmy świadkami tych niezwykłych scen, Kelly udaje się wreszcie wykrztusić kilka słów, które doskonale podsumowują to, co wszystkie w tej chwili czujemy:

– Jestem w szoku...

Ale na panoramicznym ekranie widać już inne miasto. Po budowlach ze szkła i stali naszym oczom ukazują się zabytkowe eleganckie fasady nad brzegiem czarnej rzeki. Wielkie monumentalne koło obraca się powoli, zalane blaskiem tysięcy światełek, które migoczą radośnie. W każdej kapsule diabelskiego młyna dziesiątki ludzi wymachują flagami Wielkiej Brytanii, śpiewając na całe gardło.

– Europa bawi się na całego już od wielu godzin – mówi Serena. – Na przykład w Londynie, nad brzegiem Tamizy, gdzie właśnie wybiła godzina druga w nocy.

Światelka przestają migotać, a po chwili zapalają się jednocześnie, tworząc wielki świecący napis na całej szerokości koła: „ELISABETH”.

– ... czy tak jak tu, w Berlinie, u stóp Bramy Brandenburskiej – ciągnie Serena, gdy na ekranie pojawia się monumentalny łuk wsparty na sześciu kolumnach, zwieńczony rzeźbą czterech galopujących koni.

Głośniki imponujących rozmiarów nadają zremiksowaną wersję techno przeboju *Cosmic Love*, a kolorowe światła reflektorów przebiegają po szalejącym morzu tancerzy.

Kamera pokazuje zbliżenie grupy dziewcząt, które imprezują jak szalone, wirując na podium na środku placu – każda ma na głowie koronę z warkocza na wzór Kris i to właśnie dla Kris przesyłają pocałunki i układają dłonie w serduszka.

– ... czy wreszcie tak jak w Paryżu, na Polach Elizejskich.

W miejsce bramy pojawia się inna budowla, którą świetnie znam – Łuk Triumfalny! Poniżej najpiękniejszą aleją świata płynie rzeka świętujących ludzi, która sięga aż do placu Zgody. Serce w mojej piersi robi głośne *bum!* – w sumie nie tylko moje serce, bo także zespół akrobatyczny Francuskich Sił Powietrznych, który łamiąc barierę dźwięku, rysuje kolorowym dymem na nocnym niebie moje imię, podświetlane przez wielkie reflektory. Przy pierwszych akordach *Marsylianki* na Łuku Triumfalnym rozwija się ogromny plakat. To mój portret w skafandrze astronauty, zdjęcie zrobione najprawdopodobniej w czasie konferencji prasowej, moje włosy jak słoneczne promienie dookoła głowy, wzrok skierowany w stronę paryskiego nieba usianego gwiazdami.

Nie mam czasu, by odzyskać oddech i osuszyć łzy wzruszenia, które napływają mi do oczu.

Serena znów pojawia się na ekranie, z lampką szampana w dłoni.

– A teraz nasza kolej, by życzyć wam szczęśliwej podróży – mówi. – Pozwólcie, że wzniosę toast na waszą cześć, w imieniu wszystkich mieszkańców Ziemi, którzy patrzą na was w tej chwili za pośrednictwem kanału Genesis, czy to zebrani na placach, czy w zaciszu swych domów. Pijemy za wasz sukces, a przede wszystkim za miłość!

Ekran panoramiczny przedstawia nam teraz obraz w szerszym planie i naszym oczom ukazują się cała grupa instruktorów zebranych w sali kontroli lotów na przylądku Canaveral. Są tam wszyscy, ubrani w mundury programu, kobiety i mężczyźni, którzy szkolili nas przez cały ostatni rok, w pewnym sensie zastępując nieobecnych rodziców, by uczynić nas tym, kim teraz jesteśmy. Serena McBee, dyrektor Gordon Lock i Roberto Salvatore oczywiście.

Ale także Geronimo Blackbull, nieco zbyt wystylizowany instruktor inżynierii, z długimi zafarbowanymi na kruczoczarno włosami związanymi w koński ogon i skórą tak pomarszczoną jak u iguany, coś pomiędzy indiańskim wodzem a zdiadziałą gwiazdą rocka.

Odette Stuart-Smith, nauczycielka planetologii, pełna zdrowego rozsądku, zawsze gotowa udzielić dobrych rad, ze słynnymi trójogniskowymi okularami na nosie wyglądającymi jak teleskopy zamontowane na gałęziach.

Archibald Dragovic, specjalista od biologii, równie genialny, jak postrzelony, całkowicie oddany nauce. Uparcie odmawia zdjęcia białego kitla z munduru programu Genesis, a jego przyprószona siwizną naelektryzowana czupryna zdaje się ofiarą tajemniczych eksperymentów, które przeprowadza dniami i nocami w swoim laboratorium.

I mój instruktor, moja osobista gwiazda, doktor Arthur Montgomery, jak zwykle nienagannie ubrany, pod krawatem, z równiutko przyciętym białym wąsem i idealnie prostym przedziałkiem, na który nie nachodzi żaden niepożądany włos (choć nie ma ich już zbyt wiele).

Brakuje jedynie Shermana Fishera, instruktora łączności – Serena powiedziała nam, że nie uczestniczył w ceremonii odlotu, zapewne z powodu choroby. Ale wszyscy pozostali tu są: elita agencji NASA, weterani zebrani przez Atlas, by służyć nam za mentorów, nam, dzieciakom, które jeszcze rok temu nie miały bladego pojęcia o Marsie. To naprawdę bardzo dobrzy ludzie, przykłady wielkiej ofiarności. Poświęcili życie badaniom kosmosu i przekazali nam swą wiedzę, byśmy mogli tam polecieć, my, którzy nie mamy nawet ułamka ich doświadczenia. Każdy wyciąga w naszą stronę lampkę szampana i wszyscy chóralnie powtarzają wzniesiony przez Serenę toast, co przepełnia mnie dumą i wdzięcznością aż do szpiku kości:

– Za miłość!

KONTRPLAN

Sala kontroli lotów, baza na przylądku Canaveral, niedziela 2 lipca, godz. 21.15

– Merceaugnac, Cuvée Impériale? – Roberto Salvatore krztusi się i wypluwa łyk wina z powrotem do kieliszka. – A nam serwujecie tu zwykłe wino musujące?

– Uspokój się, mój drogi Robercie – szepcze Serena McBee. – Wszyscy doskonale wiemy, że jesteś smakoszem, ale znieś tę chwilową niedogodność cierpliwie. Jeszcze zdążymy otworzyć szampana, kiedy zyski z transmisji zaczną wpływać do kasy. Już ogłoszono, że start rakiety oglądało ponad miliard widzów, a to tylko *prime time*, nie licząc powtórek, które powinny co najmniej podwoić przychody.

Odstawia kieliszek, nawet nie zamoczywszy ust, po czym daje znak dyrektorowi technicznemu i pięciu instruktorom, aby podeszli bliżej, tak by nie słyszeli ich inżynierowie, którzy radośnie świętują, wznosząc toasty w sali kontroli lotów.

– Prawdę mówiąc, uczestnicy też dostali zwykłe wino musujące – szepcze z porozumiewawczym uśmiechem. – Jak ta banda wyrzutek, które nigdy w życiu nie piły szampana, miałyby zauważyć różnicę? Odkleiłam po prostu etykiety z doskonałych roczników i przykleiłam je na pierwsze lepsze butelki, a prawdziwe grand cru leżą sobie w piwniczce mojej posiadłości na Long Island, niedaleko Nowego Jorku. Opróżnimy je razem, gdy Atlas przeleje nam na konta premie na koniec podróży.

– Jesteś bezduszna... – rzuca dyrektor Gordon. – Skoro tym młodym ludziom zostało kilka miesięcy życia, mogłaś przynajmniej zostawić im prawdziwego szampana.

– Jestem pragmatyczna. I nie pozwalam ci mnie osądzać ani zgrywać niewiniątka, Gordonie. Siedzisz w tym po same uszy. Wszyscy siedmioro możemy na tym tyle samo zyskać. Lub tyle samo stracić. A więc weź się w garść, pij swoje wino i uśmiechaj się szeroko. Zresztą myślę, że już czas na twoją małą przemowę dla personelu – ci wszyscy, którzy nie mają pojęcia o raporcie Noego, nie mogą absolutnie niczego podejrzewać. Muszą po prostu mądrze i spokojnie wykonywać swoje obowiązki aż do końca. Moja asystentka produkcji zaprowadzi cię na scenę.

Nie czekając na odpowiedź, Serena McBee naciska swoim wypięłgnowanym palcem srebrną broszkę zdobiącą kołnierz jej kostiumu, w której znajduje się ukryty mikrofon. Szepcze:

– Serena do Samantha. Proszę, przyjdź tu.

Po kilku sekundach, jakby za sprawą czarów, pojawia się młoda kobieta w szarym żakiecie, z logo programu Genesis wyszytym na piersi i przypiętą poniżej plakietką z imieniem „Samantha” oraz srebrnym zestawem słuchawkowym przymocowanym za uchem.

– Tak, proszę pani? Wzywała mnie pani?

– Pan dyrektor techniczny chciałby wygłosić mowę. Idź z nim, proszę.

Gordon Lock otwiera usta, by odpowiedzieć, ale żadne słowa się z nich nie wydobywają. Odwraca się więc z wściekłością. Zmierza w stronę podium za asystentką przejściem otoczonym monitorami, za którymi siedzą kobiety i mężczyźni z dawnej agencji NASA, poprzebierani w szare uniformy programu Genesis. Gdziekolwiek spojrzeć, ludzie klepią się po plecach, słysząc wzajemne gratulacje i okrzyki radości:

– Zrobiliśmy to!

– Wysłaliśmy naszych astronautów na orbitę!

– To była długa i ciężka robota, ale było warto! Mars nareszcie jest na wyciągnięcie ręki!

Kiedy Gordon Lock wchodzi na mównicę wita go burza oklasków, którą próbuje uciszyć, machając dłonią, jakby odganiał chmurę komarów. Na próżno. Zgromadzeni są zbyt szczęśliwi, by zauważyć, jak nieswojo czuje się dyrektor. Widzą przed sobą bohatera, tego, który potrafił negocjować z Atlasem, tego,

który ocalał program marsjański NASA.

Młoda kobieta z słuchawką w uchu natarczywie wciska mu do ręki mikrofon. Dyrektor w końcu go bierze i zmusza się do uśmiechu prezentowanego kilka godzin temu przed kamerami na platformie startowej.

– Panie i panowie, drodzy koledzy – zaczyna z wymuszoną radością w głosie. – Ten dzień przejdzie do historii. Za niecałą godzinę Cupido zostanie skierowany w stronę Marsa, co zakończy fazę startową programu Genesis...

Nie jest w stanie dokończyć zdania, ponieważ znów zagłusza go fala oklasków. Musi odczekać minutę, nim pozwoli mu kontynuować.

– Kończy się faza startowa programu Genesis – ciągnie – ale nie nasze zadanie. Nasz nowy pracodawca Atlas Capital zamknął historyczne centrum kontroli lotów w Houston i przeniósł je tutaj, na przylądek Canaveral. Przez najbliższe miesiące będziemy mieszkać w tej bazie, czuwając dzień i noc, aby wszystko na statku szło zgodnie z planem, aż do wejścia na orbitę Fobosa. Nasi koledzy z firmy McBee Productions także tu zamieszkają, aby montować przesyłane na żywo przez kamery zainstalowane na pokładzie obrazy, tak by mogły być wyświetlane na kanale Genesis przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Atlas Capital liczy, że zarówno my, naukowcy, jak i nasi koledzy z mediów, wszyscy razem przyczynimy się do tego, aby ten program stał się ogromnym sukcesem. Wiem, że nie wybraliście swojej profesji dla pieniędzy (zresztą wcale się nie wzbogacimy na tym programie), ale z pasji i pragnienia, by służyć szlachetnej sprawie. Wiem także, że niektórym z was nie podobał się pomysł spektakularnego widowiska połączonego z randkami i uwodzeniem, wysyłanie w kosmos młodych, niedoświadczonych ludzi, zamiast odpowiednio wykwalifikowanych astronautów. Jednak dziś wobec tego udanego startu i globalnego zachwyty mogę chyba powiedzieć, że wszystkie nasze wątpliwości zostały rozwiane. Niech żyje Mars! Niech żyje kosmos!

Tłum powtarza ostatnie słowa Gordona Locka zgodnym donośnym krzykiem:

– Niech żyje Mars! Niech żyje kosmos!

– Dzięki naszej współpracy z McBee Productions mieszkańcy Ziemi, którzy na długo stracili zainteresowanie podbojem kosmosu, znów się tym fascynują tak jak w czasach, kiedy pierwszy człowiek chodził po Księżycu – dodaje dyrektor Lock. – Potrzebowaliśmy odrobiny inscenizacji, by wzbudzić powszechną ciekawość, co w niczym nie umniejsza naukowych ambicji programu, może im tylko pomóc. Prawa do transmisji na całym świecie, wkład sponsorów i reklamodawców, darowizny widzów... Dzięki temu wszystkiemu Atlas odzyska pieniądze, które zainwestował w zakup statku Cupido oraz zrzuconej wcześniej na Marsa bazy Nowy Eden. Co więcej, będzie w stanie finansować kolonizację Czerwonej Planety przez kolejne lata. Jeszcze nigdy nam, gorącym orędownikom eksploracji kosmosu, przyszłość nie malowała się w tak jasnych barwach. Oto świt nowej ery, początek wspaniałej przygody dla całej ludzkości, narodziny cywilizacji marsjańskiej! Nasze marzenie właśnie się spełnia, moi przyjaciele, a dzięki Atlasowi... co ja mówię, dzięki wam to marzenie stało się marzeniem całej ludzkości!

Po tych słowach publika wpada w ekstazę. Okrzyki, wiwaty, gwizdy – sala kontroli brzmi jak widownia teatralna domagająca się bisu. Grymas zastygły na twarzy dyrektora Locka zdaje się tam przytwierdzony. Poci się tak obficie, że na rękawach jego marynarki pod pachami wykwitają wielkie plamy.

Gwałtownym gestem rozluźnia kołnierzyk swojej koszuli.

Guzik odskakuje, spada na podłogę i zaczyna się po niej toczyć.

Samantha, asystentka z zestawem słuchawkowym, zatrzymuje go, stawiając na nim stopę w eleganckim czółenku. Podaje mówcy szklankę wody, którą ten wciąga wielkimi łykami, jakby nie pił od kilku dni, jakby od tego zależało jego życie. Następnie schodzi ze sceny, a ludzie przyjmują go jak mesjasza. Wznoszą na jego cześć toasty, obdarowują go bukietami kwiatów i spojrzeniami pełnymi

wdzięczności i uznania. Jakimś sposobem udaje mu się w końcu uciec od tych gratulacji, które są dla niego niewątpliwą torturą, i dołączyć do grupki instruktorów zgromadzonych wokół Sereny w głębi sali.

– Potrafiłeś znaleźć odpowiednie słowa, mój drogi – mówi producentka wykonawcza. – Ale to nie koniec. Czeką nas jeszcze nasza mała odprawa, tylko między nami, pamiętacie?

– Ach, zapomniałem o tym... – stęka Gordon Lock, najwyraźniej wyczerpany i czekający tylko na to, by ten piekielny dzień wreszcie się skończył. – Czy to nie może poczekać do jutra?

– Obawiam się, że nie. Widzisz, w trakcie twojego wystąpienia doktor Montgomery otrzymał wiadomość od ochrony...

– Wiadomość? Jaką wiadomość?

Serena McBee uśmiecha się, jak zawsze. Jednak stojący obok niej doktor Montgomery, wyprostowany jak struna w swej marynarce z logo Genesis, nie uśmiecha się wcale, wierny swemu temperamentowi człowieka surowego.

– Ruben Rodriguez czeka na nas w bunkrze – mówi oschłym tonem. – Załamał się.

PLAN

Start + 10 godz., 35 min (Pierwszy tydzień)

– Nie nabili nas w butelkę, prawda, Léonor?
 – Myślę, że nie. Ale wiesz, Kelly, nie jestem znawczynią.
 – Nie jesteś znawczynią? A myślałam, że we Francji wlewają wam szampana do butelki ze smoczkiem?

– Tak? A w Kanadzie poją niemowlaki piwem?

Kelly wybucha śmiechem.

– Byłoby cudownie!

Unosimy się wszystkie w naszym salonie, ubrane w wygodne cienkie kombinezony. Trzymamy się za rękę, by utrzymać równowagę. Tylko Kris i Liz zostawiły włosy związane, jedna ma koronę z warkoczy, druga koński ogon. Tymczasem włosy Fangfang i Safii układają się im dookoła głowy jak czarne płatki kwiatów, a Kelly wygląda jak słońce z promieniami blond kosmyków sterczącymi na wszystkie strony. Myślę sobie, że to by świetnie wyglądało, gdybym użyła funkcji „akwarela” w swoim tablecie – nic na to nie poradzę, urodziłam się z cyfrowymi pędzlami zamiast oczu. Nie mogę się już doczekać, kiedy sztuczna grawitacja zacznie działać, chcę w końcu rozpakować moje przybory i zabrać się do pracy.

– To jest tak dobre, że ma się ochotę na więcej – mówi Kelly, pociągając mały łyk przez słomkę, po czym podaje butelkę Kris rozpoczynającej następną kolejkę. – Jedna butelka na sześć osób to za mało. Kiedy sobie pomyślę, że mogło nas być siedem...

– Siedem? – pyta Kris, delikatnie chwytając flaszkę.

– No tak, jest przecież siedem Gniazd Miłości w tej ich bazie Nowy Eden...

Fangfang chrząka znacząco, jak zwykle, gdy pragnie coś sprostować.

– Przypominam ci, że siódmy moduł mieszkalny służy jako zabezpieczenie na wypadek problemów technicznych z jednym z pozostałych modułów. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nigdy z niego nie skorzystamy.

Jednak Kelly jest zbyt zajęta śledzeniem poziomu szampana w butelce, by zwracać uwagę na wyjaśnienia Singapurki.

– Hej! Spokojnie z tym drinkiem! – krzyczy na Safię. – Skończysz osiemnaście lat dopiero za pięć miesięcy, nie jesteś jeszcze pełnoletnia! I nie ma sensu się upijać tylko po to, by mieć satysfakcję, że wypilo się ostatni łyk! Poza tym wszystkie wiemy, że jeszcze w tym roku wyjdziemy za mąż, prawda, dziewczyny?

Szalony śmiech.

Poczucie pełni.

Zaufanie.

Nie wiem, czy to szampan, czy stan nieważkości, ale nigdy nie czułam się tak blisko koleżanek z załogi.

– Wszystkie jesteście wspaniałe, takie piękne... – szepcze Liz, kiedy już odzyskujemy oddech. – Posłuchajcie, musimy zapamiętać tę chwilę, zapisać ją w swoich sercach. Mamy wielkie, niesamowite szczęście. Cokolwiek się zdarzy, bez względu na trudności, jakie będziemy musiały pokonać, musimy wciąż się wspierać tak jak w tej chwili. Aż do końca. Aż do wejścia na orbitę Fobosa, aż do chwili, gdy staniami na powierzchni Marsa.

Liz zawsze wzmacniała w nas ducha drużyny. Ja, od zawsze samotna, podziwiam to jej poczucie wspólnoty, które wyniosła zapewne z czasów, gdy tańczyła w balecie i była częścią zespołu. Od

pierwszego dnia szkolenia łagodzi konflikty i spaja załogę. Dziś mam wrażenie, że wyraża głośno nadzieję, którą dzielimy wszystkie, nadzieję, że pozostaniemy sobie bliskie mimo czekającego nas współzawodnictwa. I w tej chwili to wydaje się możliwe, naprawdę możliwe, jeśli tylko każda z nas się postara.

– Chłopcy, cała ta gra, to wszystko wymyślono po to, aby nas podzielić – dodaje Liz, nie przejmując się kamerami. – Ale to, co dziś nas łączy jest silniejsze niż to, co jutro będzie próbowało nas poróżnić. To nie popisy solistów świadczą o jakości spektaklu, tylko zgranie całego zespołu tancerzy. Jesteśmy siostrami. Marsjańskimi siostrami. Nigdy o tym nie zapominajmy. Jedna za wszystkie...

Ściskam dłoń Kris po mojej prawej i Safii po lewej stronie. Wszystkie uśmiechamy się do siebie, nawet Kelly i Fangfang. I wszystkie kończymy zgodnym chórem, w języku angielskim, w którym pobrzmiwają akcenty z sześciu różnych krajów:

– ... wszystkie za jedną!

W tej chwili na ekranie panoramicznym pojawia się napuchnięta twarz Roberta Salvatorego.

– Ważna informacja dla dziewcząt i chłopców! – ogłasza. – Cupido jest już ustawiony do wystrzelenia w stronę Marsa na autopilocie. Udajcie się natychmiast do waszych pokoi i włożcie skafandry.

– O nie! Robbie, bądź miły – wzdycha Kelly. – Nie każ nam wkładać tego okropieństwa!

– Tak nakazuje protokół, Kelly. To pomoże wam w pozycji leżącej lepiej znieść przyspieszenie napędu jądrowego aż do osiągnięcia prędkości przelotowej. Później możecie na pięć miesięcy zapomnieć o skafandrach... aż do chwili lądowania na Marsie w kapsułach.

Jest mi dobrze.

Leżę odprężona w kosmicznym skafandrze przyczepionym do łóżka specjalnymi rzepami.

Wszystkie wątpliwości, niepokoje i problemy zostawiam za sobą. W pokoju włączono nocne przyćmione oświetlenie. Włosy unoszą mi się nad poduszką dookoła twarzy jak czerwona chmura, która mnie chroni. Pomiedzy falującymi lokami ledwie dostrzegam oko kamery przytwierdzonej u wezgowia mojego łóżka, tuż pod materacem, na którym leży Kris. Nie przeszkadza mi. To po prostu kolejny mebel, to wszystko. Wystarczy nie myśleć zbyt wiele, co się za tym kryje, o tej całej karuzeli studiów telewizyjnych, prezenterów, reklam, całych rodzin, krajów i kontynentów widzów – o tym niewiarygodnym widowisku, którego tylko my, jedyne dwanaście osób spośród wszystkich ludzi na Ziemi, nie obejrzymy, bo jesteśmy jego gwiazdami.

Biorę głęboki wdech i zamykam oczy.

Delikatny nacisk skafandra na moje plecy to jedyna oznaka zwiększającej się stopniowo prędkości statku, nieporównanie przyjemniejsza niż wrażenia w czasie startu rakiety.

W przestrzeni kosmicznej nie ma atmosfery i związanego z nią tarcia.

W przestrzeni kosmicznej nie ma powietrza, które mogłoby przenieść wibracje silnika jądrowego.

I tak zanurzam się w otchłani kosmosu i snu,

niepostrzeżenie,

bezgłośnie,

w poczuciu słodkiej iluzji, że nikt na Ziemi nie może mnie zobaczyć.

KONTRPLAN

Schron przeciwoatomowy, baza na przylądku Canaveral, niedziela 2 lipca, godz. 23.05

Człowiek z zębem rekina siedzi na metalowym krześle pod betonową ścianą okrągłego pomieszczenia bez okien, oświetlonego lampami halogenowymi o maksymalnej mocy. Białe, chirurgiczne światło podkreśla cienie na jego źle ogolonych policzkach, w jego blasku mienia się kajdanki spinające złożone na kolanach ręce i kostki nóg mężczyzny.

Naprzeciw więźnia stoi okrągły stół, za którym zasiada siedem osób: pięciu instruktorów programu Genesis i Gordon Lock, a honorowe miejsce w czarnym skórzanym fotelu z pikowanym oparciem zajmuje Serena McBee. Za plecami skutego rozciąga się cyfrowa ściana, gigantyczny ekran sięgający od podłogi po sufit, podzielony na liczne kwadraty transmitujące obrazy przesyłane przez kamery na Cupido. W tej chwili we wszystkich pomieszczeniach, łącznie z pokojami, w których śpią uczestniczki i uczestnicy programu, jest cicho i spokojnie. Jednak centralne okno wyświetla zupełnie inne widowisko – zapis ceremonii startu. Kolejne sceny następują jedna po drugiej: przemowa dyrektora technicznego, przysięgi uczestników, nieopisany tumult tuż przed odpaleniem silników.

Centralny monitor pokazuje zbliżenie ostatniej sceny. Wśród dziennikarzy próbujących zatrzymać dziewczęta, by zadać im ostatnie pytanie, wyróżnia się jedna postać. Nie ma wątpliwości: to ta sama niebieska hawajska koszula, którą ma na sobie więzień siedzący na krześle, rozpięta niemal do połowy, to jego zastygła w niemym krzyku twarz.

– Stop-klatka! – mówi Serena McBee, naciskając guzik na panelu sterowniczym zamontowanym w okrągłym stole przed jej fotelem.

Na centralnym monitorze zastyga obraz szeroko otwartych ust człowieka z zębem rekina, stojącego dwa kroki od ostatniej astronautki z rudymi włosami.

– Jest już późno, Ruben, to był długi dzień i wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni – mówi Serena, dokładnie artykułując każdą sylabę, jakby zwracała się do dziecka. – Marzymy tylko o jednym: by wyjść z tego wilgotnego bunkra i położyć się spać. Pytam więc po raz ostatni: co powiedziałeś tej dziewczynie? Powiedziałeś jej o raporcie Noego?

– Nic jej nie powiedziałem, przysięgam, Sereno! Ochroniarze odciągnęli mnie, zanim zdążyłem wydobyć choćby dwa słowa, wzięli mnie za wariata. Spędziłem cały dzień w izolatce, aż udało mi się przekonać ich, żeby uprzedzili doktora Montgomery’ego. Powiedziałem, że potrzebuję czegoś na uspokojenie. No i jestem w schronie, w samą porę, by zdążyć na naszą odprawę. Rozwiążecie mnie w końcu?

– Nie tak szybko, mój drogi Rubenie. Wciąż nie rozumiem, co też ci przyszło do głowy. Miałeś tylko przygotować te dwa kundły, Louve i Wardena, podać im środki uspokajające, żeby nie zaczęły szczebrać w trakcie startu, a później siedzieć cicho wśród swoich zwierząt i spokojnie czekać na rozwój wypadków. Nie zostałeś stworzony do występów na scenie tak jak my, jesteś człowiekiem, który powinien stać za kulisami. Czy możesz nam łaskawie wyjaśnić, co wyprawiałeś na platformie startowej? Może chciałeś zdobyć autograf? Całe szczęście, że nie wepchałeś się między dziennikarzy w swojej kurtce Genesis na plecach!

Więzień zaczyna drzeć. Błądzi wzrokiem po podłodze schronu, unika spojrzeń swych siedmiu sędziów.

– Ja... nie wiem, co mnie naszło... – jąka się. – Kiedy zobaczyłem w swoim małym telewizorze w laboratorium te dzieciaki, jak szykują się do wejścia na wieżę startową, to był szok. Musiałem ich zobaczyć na żywo. Ale wtedy było jeszcze gorzej. Wydawali się tacy szczęśliwi, że lecą. Nie wiedzą, że wyruszają na śmierć. W ich oczach było tyle nadziei, tyle oczekiwań!

Serena wzdycha głęboko.

Poprawia niewielki złoty sygnet, który zdobi mały palec jej lewej dłoni, z wygrawerowanym herbem: sześciokątną tarczą zamykającą w sobie pszczołę.

– My także mamy wielkie oczekiwania, Rubenie – mówi. – My także żywimy wielkie nadzieje. A ty o mały włos ich nie zaprzepaściłeś. Niewiele brakowało, byś wszystko zniszczył. Sądziłam, że mogę ci zaufać...

– Ależ możesz! – wykrzykuje Ruben, gwałtownie podnosząc głowę.

Po raz pierwszy patrzy swej rozmówczyni w twarz, a tik nerwowo wprawia jego powieki w drżenie.

– To była tylko chwila słabości, która już nigdy się nie powtórzy! – obiecuje. – Nie powiedziałem tym ochroniarzom niczego, co wiem, ani słowa! Nie rozmawiałem o tym nawet z żoną, ona nie ma o niczym pojęcia, z mojej strony nic wam nie grozi.

Ale Serena kręci głową ze smutkiem.

– Chciałabym móc ci wierzyć, mój biedny przyjacielu. Ale doświadczenie psychiatry nauczyło mnie, że ludzie wciąż powtarzają te same błędy, ciągle od nowa. Obawiam się, że jeśli raz pękłeś, to pęknieš znowu, jak ten nieszczęsny Sherman Fisher.

Na te słowa Ruben dosłownie zapada się w swoim krześle. Nie jest już postawnym facetem, tylko małym chłopcem. Urwisem, który popełnił straszne głupstwo i teraz próbuje uniknąć kary, choć w głębi duszy wie, że jest nieuchronna.

– To niesprawiedliwe... – szlocha. – Chciałem tylko w spokoju wykonywać swoją pracę... Dalej zajmować się zwierzętami... Nie prosiłem, by mnie w cokolwiek wtajemniczano...

– Żadne z nas o to nie prosiło – odpowiada spokojnie Serena. – Ale tak już jest. Los chciał, by dziewięć osób dzieliło ten sekret: Gordon Lock, dyrektor techniczny, ja sama, producentka wykonawcza, instruktorzy Roberto Salvatore, Geronimo Blackbull, Odette Stuart-Smith, Archibald Dragovic, Arthur Montgomery, Sherman Fisher i w końcu ty, Rubenie Rodriguezie, odpowiedzialny za opiekę nad zwierzętami w NASA jeszcze przed jej wykupieniem, a teraz pracujący jak my wszyscy dla Atlas Capital. Jesteśmy jedynymi pracownikami programu wiedzącymi o raporcie Noego, badaniu systemów podtrzymywania życia, które wykazało wady marsjańskich modułów mieszkalnych. Tylko my w całej bazie na przylądku Canaveral wiemy, że sześć par jaszczurek, szczurów i karaluchów, wysłanych potajemnie przez NASA w siódmym module mieszkalnym w czasie ostatniej misji zaopatrzeniowej, zdechło nagle po niecałych dziewięciu miesiącach. Gniazda Miłości są w rzeczywistości gniazdami śmierci, niezdolnymi do długotrwałego podtrzymywania życia. Wiemy o tym tylko my i kierownictwo Atlasa, które biorąc pod uwagę zainwestowane w ten program miliardy, postanowiło kontynuować go mimo wszystko. Ani inżynierowie podlegli dyrektorowi Lockowi, ani montażyści z mojej firmy produkcyjnej nie domyślają się prawdy. W tej chwili pierwsi pracują w sali kontroli lotów, a drudzy w montażowni, nie podejrzewając nawet, że uczestnicy lecą ku pewnej śmierci. Oczywiście nie ma mowy, byśmy pozwolili im na powolną, trwającą wiele dni lub nawet miesięcy agonię w wadliwym sprzęcie na oczach kamer. To miałyby fatalny wpływ na morale widzów, niektórzy mogliby nawet zażądać od Atlasa zwrotu pieniędzy. W zamian za to zaplanowaliśmy pewne tragiczne wydarzenie, zwalniające Atlas Capital od wszelkiej odpowiedzialności, które za jednym zamachem wyeliminuje dwanaścioro uczestników niedługo po lądowaniu na Marsie. Pieniądze zebrane w trakcie podróży z łatwością wystarczą na pokrycie kosztów i wygenerowanie ogromnych zysków dla akcjonariuszy, nie wspominając o bardzo atrakcyjnej premii, którą nasz pracodawca obiecał przelać na nasze konta: połowę po przybyciu na Marsa w nagrodę za milczenie i drugą połowę po tragicznym wydarzeniu w zamian za nasze krokodyle łzy. Przypomnij sobie przysięgę, którą złożyliśmy w tym bunkrze ponad rok temu: mowa jest srebrem...

– ... a milczenie złotem – kończą zgodnym chórem instruktorzy, jakby powtarzali mantrę.

Serena McBee składa ręce nad stołem i robi zatroskaną minę, która w jej przypadku ogranicza się do

nieznacznego zmarszczenia zbotoksowanego czoła.

– A ty, Rubenie Rodriguezie, przerwałeś to milczenie, a w każdym razie próbowałeś je przerwać tak jak wcześniej Sherman Fisher. Wyobraź to sobie: świat dowiaduje się, że Atlas wysłał misję na Marsa ze świadomością, że wszyscy pasażerowie zaraz po lądowaniu zginą! Wypadki się zdarzają, historia podboju kosmosu jest ich pełna, nikt nie miałby o to pretensji do Atlasa: NASA przeżyła katastrofę wahadłowca Challenger w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, a później Columbii w dwa tysiące trzecim. Ale morderstwo z premedytacją? Czegoś takiego opinia publiczna nigdy by nie przebaczyła. Wyobraź sobie medialny skandal, proces o umyślne zabójstwo i resztę życia spędzoną za kratami. Oj, zawiodłeś nasze zaufanie, mój drogi. Zawiodłeś moje zaufanie. Kiedy pomyślę, że osobiście poręczyłam za ciebie w kierownictwie Atlasa, że powiedziałam im, że dasz sobie radę, choć jesteś młodszy i mniej doświadczony niż pozostali konspiratorzy... A dziś samo twoje istnienie jest dla nas zagrożeniem.

Ruben zaczyna drzeć na całym ciele. Jego kajdanki stukają o siebie jak kastaniety.

– Nigdy nie chciałem złamać przyrzeczenia – jęczy. – Od miesięcy noszę je na swojej skórze... Popatrzcie! – Wypina pierś w kierunku lampy. Pod rozdartą koszulą obok zawieszzonego na rzemieniu zęba rekina błyszczy łańcuszek sięgający aż do piersi. Na łańcuszku wisi złoty wisiołek w kształcie wojskowego nieśmiertelnika, a na nim wielkimi literami wygrawerowano słowo „MILCZENIE”. – Zrobiłem sobie ten nieśmiertelnik, aby przypominał mi o mojej przysiędze codziennie rano, gdy golę się przed lustrem – mówi. – Abym pamiętał, że milczenie jest złotem. Przez rok było to moją jedyną obsesją: milczeć. Czy jedna sekunda słabości ma przekreślić te wszystkie starania? Nie skazujcie mnie na los Shermana, błagam was... Mam małą córeczkę... A poza tym kto zajmie się zwierzętami, jeśli mnie przy nich nie będzie?

Pot spływa obficie po policzkach Rubena, perli się na jego brodzie, cieknie wzdłuż rzemienia i łańcuszka z nieśmiertelnikiem. Jego wilgotne oczy mrugają gwałtownie od oślepiającego go światła lampy.

– Cicho, cicho, dosyć tej dziecinady – łaja go Serena. – Twoje karaluchy, świnki morskie i szczury laboratoryjne doskonale dadzą sobie radę bez ciebie, zapewniam cię. Twoja żona i jej dzieciak także. A co do tych świecidełek w kiepskim guście, możesz je oddać do skupu złomu. Spróbujmy załatwić tę sprawę jak odpowiedzialni dorośli. Zaszкодziłeś całej naszej siódemce, dlatego uważam, że będzie sprawiedliwie, jeśli wszyscy siedmioro zadecydujemy o twoim losie w głosowaniu. Jeśli o mnie chodzi, wydaje mi się, że jasno wyraziłam swój pogląd w tej sprawie. Miałeś szansę odmienić swe przeznaczenie biednego kubańskiego imigranta w drugim pokoleniu, Rubenie Rodriguezie. Mogłeś stać się nieprawdopodobnie bogaty, zamiast gnć wśród klatek ze zwierzętami. Mogłeś uszczęśliwić rodzinę jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdybyś tylko znał swoje miejsce. Ale nie sprostałeś zadaniu. Wierz mi, z wielkim smutkiem oddaję głos skazujący cię na śmierć. Twoja kolej, Robercie.

Instruktor nawigacji chrząka, wprawiając w drżenie swój podwójny podbródek.

– Złamał przysięgę. To zdrajca. Zasługuje na śmierć.

Ruben otwiera usta, by odpowiedzieć, ale głos zabiera już Geronimo Blackbull, instruktor inżynierii.

– Śmierć – rzuca swoim chropowatym od wypalonych papierosów głosem.

– Śmierć – dodaje natychmiast Archibald Dragovic. Oczy nauczyciela biologii zdają się rozbiegać w przeciwnie strony. Włosy falują mu pod wpływem ledwie wstrzymywanych napadów śmiechu, które wstrząsają jego ciałem w białym kitlu, jakby to wszystko niezmiernie go bawiło. – Spójrzcie na niego – szepcze. – Wygląda, jakby siedział na krześle elektrycznym!

Rzeczywiście Ruben drży tak mocno, że wibracje jego ciała przenoszą się na krzesło, którego nogi podskakują na betonowej podłodze. Odwraca zrozpaczone spojrzenie w stronę Odette Stuart-Smith, instruktorki planetologii, ubranej w beżowy golf sięgający jej pod samą brodę, na którym pobłyskuje mały srebrny krzyżyk.

– Odette! – błaga. – Byłaś przecież sąsiadką i przyjaciółką Shermana Fishera. Jesteś prawdziwą kobietą, masz prawdziwe serce i prawdziwą wiarę, wiem to. Nie jesteś zimnym robotem tak jak Serena ani psychopatką tak jak stary Dragovic, który uśmiercił połowę moich zwierząt, przeprowadzając na nich te swoje radioaktywne eksperymenty... Ratuj mnie, na miłość boską!

Marny trud. Ruben na próżno szuka oczu Odette z nadzieją ujrzenia w nich choćby przebłysku współczucia. Nie ma na to szans – okulary są zbyt grube, tęczęwki i źrenice kryją się zamazane za mętnymi szklami.

– Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremnie – mówi kobieta przenikliwym głosem. – A poza tym należy ponosić konsekwencje swoich czynów. Głosuję za karą śmierci, ale bądź pewien, że będę się za ciebie modlić, Rubenie, tak jak modliłam się za Shermana.

Próbując ignorować szyderczy śmiech Dragovica, nieszczęśnik zwraca się rozdzierającym głosem do doktora Montgomery'ego:

– Litości, doktorze! Ty leczysz ludzi, a ja zwierzęta. Obaj znamy wartość życia!

Arthur Montgomery patrzy na niego swoim stalowoniebieskim, wypranym z wszelkich emocji wzrokiem, nawet nie mruga powiekami. Jego śnieżny wąs ledwie drga, gdy wydaje wyrok:

– Śmierć.

Ruben pęka.

Zaczyna wrzeszczeć na całe gardło jak opętany lub obdzierany ze skóry:

– Ratunku! Pomocy! Pomocy!

Serena zakrywa uszy rękami, by chronić się od krzyków, ale tak delikatnie, żeby nie naruszyć idealnej fryzury, i spokojnie czeka, aż wyczerpany więzień zamilknie.

– Oszczędź nasze bębni i swoje struny głosowe – mówi wreszcie. – Wybraliśmy na swoją kwaterę główną najcichsze miejsce na całym przylądku Canaveral. Wiesz równie dobrze, jak ja, że nikt nie usłyszy twoich krzyków, bo ten schron przeciwoatomowy znajduje się dwanaście metrów pod kosmodromem.

Zaciera wypiełgnowane dłonie, wprawiając w ruch pobrzękujące bransoletki.

– Dobrze, wygląda na to, że bezwzględna większość rysuje się dosyć jasno. I choć rozczaruję to duże dziecko, którym pozostał Archibald, obawiam się, że krzesło elektryczne nie wchodzi w grę. Trzeba wybrać jakąś mniej spektakularną metodę. Doktor Montgomery mógłby na przykład podać ci za dużą dawkę tego środka uspokajającego, o który prosiłeś, Rubenie. Mógłby ci zrobić mały zastrzyk, wiesz, taki sam, jaki podajesz konającym zwierzętom, to nic nie boli. Jednakże tak ważna decyzja może zostać podjęta tylko jednomyślnie, nieprawdaż?

W odpowiedzi więzień wydaje z siebie tylko żalony pisk – z gardłem zdartym od krzyku nie jest już w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa.

Serena odwraca się więc do Gordona Locka, którego skóra lśni od potu bardziej niż kiedykolwiek.

– No dobrze, mój drogi, tylko ty jeszcze nie głosowałeś. Jaki jest zatem twój werdykt? Czy to nie mnie nazwałeś ledwie kilka godzin temu bezlitosną? Nadszedł czas, byś udowodnił swą wielkoduszość. Tylko od ciebie zależy, czy puścimy wolno naszego przyjaciela Rubena. Oczywiście, jeśli jesteś gotów ponieść takie ryzyko.

Gordon Lock porusza kwadratową szczęką, jakby chciał zetrzeć na proch swoje zęby. W końcu z jego ust wydobywa się ledwie słyszalny świst.

– Co, proszę? – dopytuje Serena z szerokim uśmiechem. – Nie usłyszeliśmy.

– Śmierć – odpowiada, krzywiąc się, Gordon Lock.

PLAN

Start + 18 godz., 5 min
(Pierwszy tydzień)

Absolutna cisza.

Unoszę się.

W przestrzeni.

Skuliłam się jak płód z logo programu Genesis, nie mam na sobie ani hełmu, ani skafandra, tylko cieniutki niby druga skóra czarny kombinezon.

Nie ma już kapsuły ani statku. Nie ma gry ani programu.

Są tylko gwiazdy, które krążą powoli dookoła mnie.

Albo dokładniej to ja kręcę się wokół własnej osi, zasysana przez przestrzeń kosmiczną. Przedemną małą błękitną kulka, która zakrywa słońce. Czy to Ziemia? Mrużę oczy i patrzę zza włosów unoszących się w nieważkości, starając się dostrzec zarys kontynentów, kształt oceanów.

Za daleko...

Za mało czasu...

Bo już odwracam się do góry nogami, a moim oczom ukazuje się druga kula, zupełnie różna od pierwszej, choć równie mała i tak samo zagubiona w bezkresnej próżni.

Czerwona kula.

Mars.

Tutaj nie ma kontynentów, nie ma oceanów. Tylko czerwone połacie równin, czerwone cienie gór, czerwone sieci kanionów, które przecinają planetę jak źle zagojone blizny.

Odwracam się.

Ziemia. Jeszcze trochę mniejsza, jeszcze odleglejsza.

Odwracam się.

Mars. Trochę większy, trochę bliższy.

Odwracam się.

Ziemia.

Odwracam się.

Mars.

Odwracam się.

Ocean ognia! Tam, za Ziemią, wstaje słońce. Jego promienie przecinają przestrzeń jak strzały i przebijają mnie na wylot. Mój kombinezon staje w płomieniach tak łatwo, jakby był z bibuły. Duszący dym wdziera się do moich nozdrzy i płuc. Czuję, że moja skóra się pali, pokrywa się pęcherzami, które głośno skwiercząc, wybuchają jeden po drugim...

Gwałtownie podnoszę powieki, ale niczego nie dostrzegam – blask słońca wciąż oślepia moje oczy!

Czuję, że klatka piersiowa się unosi, ale nie jestem w stanie się poruszyć... W nozdrzach ciągle mam zapach spalenizny!

To był tylko zły sen, jeden z tych koszmarów z dymem i płomieniami, które śniłam każdej nocy na Ziemi... Wciąż czuję na skórze skwierczenie pęcherzy!

Natychmiast się podnoszę.

Z półmroku wyłaniają się kontury pokoju w statku kosmicznym. Zapach filtrowanego powietrza, który nieco przypomina zapach plastiku w nowym samochodzie, zajmuje miejsce dymu. Moje długie włosy opadają ciężko na ramiona, po czym poznaję, że działa już sztuczna grawitacja. Ale skóra wciąż skwierczy pod kombinezonem. W napadzie paniki odrywam paski rzepów, którymi jestem przypięta do

łóżka, odpinam zamki kosmicznego skafandra, aż zdaję sobie sprawę, że skwierczenie nie dochodzi ze skóry, tylko z konkretnego miejsca na prawym udzie.

Co to?

Wsuwam rękę do kieszeni w skafandrze. Moje palce napotykają wibrujący przedmiot, którego bezgłośnie drżenie przenika całe moje ciało.

To telefon komórkowy Zęba Rekina, bezczelnego dziennikarza, który zatrzymywał mnie na platformie startowej tuż przed odlotem. Komórka brzęczy uparcie, na szczęście ma wyłączony głos, inaczej zbudziłaby pozostałe dziewczyny, które wciąż śpią spokojnie na swoich łóżkach.

Chwytam ją, by wydobyć ze skafandra. Zatrzymuję się w ostatniej chwili z ręką w kieszeni i zgiętym łokciem – wbijam wzrok w kamerę wiszącą u wezglowia posłania, która pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mam ochoty, by cały świat uważał mnie za złodziejkę, nawet jeśli to prawda. To zupełnie nie pasuje do obrazu kosmicznej bohaterki, który chciałabym po sobie pozostawić. Co więcej, regulamin surowo zabrania posiadania jakichkolwiek prywatnych urządzeń do komunikacji.

Powoli kładę się z powrotem na łóżku, ziewam ostentacyjnie i pomrukując, naciagam sobie kołdrę na głowę. Udaję, że znów zapadłam w sen.

Skulona pod przykryciem w końcu wyciągam komórkę z kieszeni skafandra. To model marki Karmafone, na pierwszy rzut oka wygląda całkiem zwyczajnie. Ekran rozświetla moją małą kaszmirową grootę. *Bzzz*. Pojawia się wiadomość: „POBUDKA! POWTÓRZYĆ ALARM ZA DWIE MINUTY CZY ANULOWAĆ?”.

W Ameryce nastał ranek, według zegarka w górnym rogu ekranu jest 7.35. Początek nowego dnia. Ogarnia mnie lekkie poczucie winy. Czy ten biedny Ząb Rekina zaśpi dziś przeze mnie? Czy szef go zwymyśla, bo spóźni się na zebranie redakcyjne? E tam, na pewno już się zorientował, że zgubił komórkę, która służy mu za budzik... A poza tym przecież to pirat – przed nikim nie musi się tłumaczyć!

Naciskam: „Anulować”.

Telefon przestaje wibrować. Znika komunikat o alarmie i pojawia się ekran główny komórki. Odruchowo naciskam ikonkę oznaczającą odblokowanie.

„HASŁO?”, pyta telefon.

Wstukuję: „DO ABORDAŻU!”.

Bzzz. Ekran świeci się na czerwono, oznajmiając: „HASŁO NIEPRAWIDŁOWE. JESZCZE TRZY PRÓBY I TELEFON ZOSTANIE ZABLOKOWANY”.

Hm, zobaczmy.

Wstukuję dla żartu nowe hasło: „SKRZYNIA UMARLAKA”.

Bzzz. „HASŁO NIEPRAWIDŁOWE. JESZCZE DWIE PRÓBY I TELEFON ZOSTANIE ZABLOKOWANY”.

Jakie hasło mogłeś ustawić, Zębie Rekina? Obracam telefon w rękach. Z tyłu chroni go plastikowe etui z obrazkiem przedstawiającym wielkiego białego rekina z szeroko otwartą paszczą skierowaną ku powierzchni morza, w którym pływa nieświadoma niebezpieczeństwa kobieta. Rozpoznaję plakat z filmu *Szczęki*, który oglądałam kiedyś w świetlicy schroniska dla młodych robotników i który sprawił, że byłam błada ze strachu.

Wisiolek i etui na komórkę – można by pomyśleć, że mój korsarz ma lekką obsesję na punkcie rekinów...

No to próbuję: „REKIN”.

Bzzz. „HASŁO NIEPRAWIDŁOWE. OSTATNIA PRÓBA I TELEFON ZOSTANIE ZABLOKOWANY”.

Gra wciąga mnie całkowicie.

To jest jak poszukiwanie skarbu – ja, budząca grozę wśród marynarzy siedmiu mórz korsarka Léo Ognistowłosa, mieszkająca w ukryciu w morskiej jaskini, ubrana w skóry leoparda, muszę odnaleźć

łup, który Ząb Rekina i jego parszywa banda oprychów zakopali gdzieś na tajemniczej wyspie.

Muszę zgadnąć, jakie wybrał hasło.

Podeksytowana tym baśniowym scenariuszem zamykam oczy i koncentruję się na zmagazynowanych w moim mózgu danych.

Jak wtedy, gdy zaczynam rysować, w myślach widzę wyraźnie scenę rozgrywającą się tuż przed startem. Wszystko do mnie wraca: hordy dziennikarzy, tyczki dźwiękowców najeżone jak lance, mikrofony wyciągnięte jak pięści. A pośrodku tego wszystkiego człowiek, który się na mnie rzucił.

Staram się wydobyć więcej szczegółów ze wspomnień. Widzę zmęczoną twarz Latynosa, oczy zaczerwienione jak rozżarzone węgle, zawieszony na szyi ząb rekina, wygniecioną hawajską koszulę. Co on mi krzyknął do ucha, kiedy się na mnie rzucił? „Zaczekaj!” Tak, tylko tyle zdążył mi powiedzieć, próbując wyciągnąć ze mnie ostatnie zwierzenia, zanim pochwycili go ochroniarze, rozdierając mu przy tym koszulę.

Widzę odskakujący guzik, kołnierzyk koszuli odchyła się, ukazując tors.

Coś błyszczało w zagłębieniu mostka, na piersi – coś złotego... podrabiany wojskowy nieśmiertelnik, *dog tag*, jaki noszą niektórzy mężczyźni udający weteranów jednostki specjalnej... Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że zauważyłam tę nieco kiczowatą ozdobę. Tyle innych rzeczy zaprzętało moją uwagę pośród wrzasków dziennikarzy, krzyków ochroniarzy i nawoływania Kris, która ciągnęła mnie za sobą do windy. Ale teraz w całkowitym spokoju widzę ją bardzo dokładnie: złota blaszka, na której wygrawerowano dziewięć liter tworzących słowo „MILCZENIE”. Moja pamięć działa jak aparat fotograficzny, który zapisuje wszystko w momencie naciśnięcia spustu migawki, nawet jeśli niektóre szczegóły przypominam sobie dopiero po jakimś czasie.

„MILCZENIE”... Dziwne słowo na nieśmiertelnik, zwykle zapisuje się na nich imię, nazwisko i grupę krwi. Ale jeśli się nad tym zastanowić, to całkiem poetyckie. To świetnie pasuje do filmu stwarzanego w mojej wyobraźni: o Zębie Rekina, samotnym poszukiwaczu przygód, który złożył śluby milczenia, a jego mroczna postać rzuca wyzwanie oceanom, gdy stoi na dziobie statku prującego fale pod czarną banderą. Ja też zawsze ceniłam milczenie, tego wiernego przyjaciela, który towarzyszył moim myślom, gdy budziłam się przed świtem, ten cień skradający się za koniuszkiem rysika, kiedy samotnie szkicuję na wielkim tablecie (starym modelu kupionym na wyprzedazy za oszczędności z robotniczej pensji, moje najcenniejsze dobro). Milczenie nie kłamie, jest czystsze i prawdziwsze niż większość słów. A może to właśnie to, hasło, klucz do skarbów ukrytych w telefonie? Podoba mi się ten pomysł – to ironiczne żądać milczenia, by uruchomić urządzenie przeznaczone do przenoszenia głosu.

Wykorzystuję ostatnią szansę, opuszkami palców wklepuję: „MILCZENIE”.

Ekranik zapala się na zielono, wydając z siebie aprobujące *bip*.

Wow! Świetny ruch! Między kapitanem Zębem Rekina i Léo Ognistowłosą działa chyba jakaś telepatia. Jeśli tak, to raczej on jest moją bratnią duszą, a nie któryś z sześciu szczurów lądowych chrapiących w tej chwili w drugim skrzydle statku Cupido...

Tak jak myślałam, wskaźnik sieci pokazuje zero zasięgu.

Na ekranie pojawiają się ikonki.

POGODA – nie, dzięki, i bez tego wiem, że to nie czas, by wychodzić ze statku bez skafandra ciśnieniowego...

MUZYKA – nie, to także nie czas, by budzić dziewczyny, chociaż w kosmosie nie ma już dnia i nocy, pobudkę na statku ustawiono zgodnie ze strefą czasową wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych na godzinę ósmą rano, czyli czas dużej oglądalności, gdy Amerykanie patrzą w telewizory, połykając kawę, nim wyjdą do pracy...

GALERIA – o, czemu nie?! Jestem ciekawa, jak wygląda życie mojej bratniej duszy. Pozwolisz, mój kapitanie? W końcu jeśli straszliwa Léo Ognistowłosa i nie mniej straszliwy Ząb Rekina są dla siebie stworzeni, to nie mogą mieć przed sobą tajemnic, prawda?...

Naciskam ikonkę.

Na ekranie pojawia się mozaika miniaturowych zdjęć. Wybieram pierwsze.

Mężczyzna, który się na nim pojawia, całkowicie się różni od tego napotkanego na platformie startowej, wykręcającego mi nadgarstek, próbującego mnie zatrzymać – dokładnie ogolony, uśmiechnięty, zrelaksowany. Opalone ramiona wychodzą spod tej samej błękitnej hawajskiej koszuli, jednak tym razem wyprasowanej. Gdybyś się tak do mnie uśmiechnął, zamiast wyrwać mi ramię, być może bym cię wysłuchała, Zębie Rekina! Być może nawet bym ci odpowiedziała.

Przesuwam palcem po ekranie, by przejść do następnego zdjęcia.

Tym razem przystojniak Ząb Rekina siedzi przy stoliku w restauracji nad brzegiem morza, z czarującym uśmiechem, a obok niego blondynka o bujnych kształtach. Za nimi przepiękny zachód słońca barwi plażę karmazynem. Hm... a ta to kto, Zębie Rekina? Zwykła znajoma? Nigdy mi o niej nie wspominałeś... No tak, mówi się, że piraci mają kobietę w każdym porcie!...

Kolejna fotografia: jeszcze raz Ząb Rekina i „zwykła znajoma”, ale już nie w restauracji. Ona trzyma w ręce butelkę ze smoczkim, a on tuli w ramionach niemowlę. Różowiutkie niemowlę. Niemowlę do schrupania. Nie takie do wyrzucenia w pierwszym lepszym śmietniku. Wszyscy troje wyglądają na tak szczęśliwych, że aż robi się od tego niedobrze. Zębie Rekina, ty zdrajco! Zrobiłeś za moimi plecami małego majtka! Wszystko między nami skończone!

No dalej! Do wyrzucenia! Wyłączam telefon komórkowy, naciskając brutalnie przycisk *on/off*. To nic, że to tylko gra – wołę zapamiętać Zęba Rekina jako mrocznego pirata, a nie spełnionego ojca. Widok tej szczęśliwej rodziny sprawia mi ból. Dlaczego? Ponieważ jest przeciwieństwem tego, czego zaznałam na Ziemi?... Czy dlatego, że nie jestem pewna, czy kiedykolwiek zaznam takiego szczęścia na Marsie?...

Nagle w pokoju rozlega się muzyka klasyczna. Zaskoczona pospiesznie wsuwam telefon pod materac, przyrzekając sobie, że szybko go stamtąd nie wyjmę, i odsuwam kołdrę. Muzyka płynąca z głośników zawieszonych pod sufitem jest coraz głośniejsza, także światło w pokoju jest coraz jaśniejsze. Dookoła mnie dziewczyny przeciągają się i wzdychają.

Monitory umieszczone nad każdym z łóżek zapalają się jednocześnie i ukazują Serenę siedzącą w swoim czarnym skórzanym fotelu. Dziś pod szary żakiet programu Genesis włożyła wrzosową bluzkę, a na jej uszach połyskują dobrane do tego ametystowe kolczyki – i jak zawsze ma srebrną broszkę w kształcie pszczoły, jej znak firmowy.

– *Dzień dobry uczestniczkom i uczestnikom, dzień dobry państwu, którzy oglądacie nas na kanale Genesis!* – mówi do mikrofonu. – *Mam nadzieję, że dobrze spaliście!*

– Jak księżniczki! – woła Fangfang z wrodzonym sobie zapalem z górnego piętra drugiego łóżka.

Z aksamitną opaską na oczy i włosami starannie związanymi specjalną wstążką naprawdę wygląda jak księżniczka, która właśnie się przebudziła. Dokładne przeciwieństwo Kelly, która ospale podnosi swoje ciężkie od kosmicznego skafandra ciało, wydając pomruki zranionego niedźwiedzia, ze skołtuniałymi włosami i gumą do żucia w ustach – trudno powiedzieć, czy zasnęła z tą wczorajszą, czy to już nowa.

– Można w końcu zdjąć to narzędzie tortur? – jęczy, spoglądając z obrzydzeniem na swój strój. – Nie mogę już na to patrzeć!

– *Tak, Kelly* – potwierdza Serena. – *Cupido jest już umieszczony na trajektorii Ziemia–Mars z prędkością przelotową. Będziecie mogły zdjąć skafandry i włożyć coś bardziej eleganckiego, nie ryzykując, że wasze ubrania wleczą pod sufit. Od tej chwili przez kolejne dwadzieścia trzy tygodnie wirówka będzie wprowadzać skrzydła statku w ruch obrotowy, wykonując dwa obroty na minutę i wytwarzając w pokoju sztuczną grawitację o sile równej tej, jaką zastaniecie na Marsie, czyli prawie trzykrotnie mniejszą od ziemskiej.*

Odczepiam niepotrzebne już pasy na rzepy i zdejmuję skafander. Moje ciało zdaje się o wiele lżejsze niż na Ziemi, ale jest już góra i dół, podłoga i sufit.

– Ekstra uczucie! – wykrzykuje Liz, schodząc z dolnego łóżka, które dzieli z Fangfang. – Mam wrażenie, że straciłam wszystkie zbędne kilogramy!

– Nie pleć bzdur! – Kelly ziewa i szuka po omacku swojego odtwarzacza, żeby się dobudzić głosem Jimmy’ego Gianta. – Nie masz żadnego zbędnego kilograma!

– Mam, tutaj, patrz... – mówi Liz, wydostając się ze swego skafandra.

Wykręca się, próbując złapać odrobinę tkanki tłuszczowej przez swój cienki czarny kombinezon, co oczywiście jej się nie udaje, bo nie ma czego złapać.

– *Rozejm, panienki!* – mówi Serena. – *Właśnie mi przekazano, że na drugim piętrze czeka na was śniadanie. A za kilka godzin rozpocznie się pierwsza szybka randka. W tym tygodniu zapraszają dziewczęta, panie mają pierwszeństwo. Każda z was będzie musiała się przygotować, ponieważ imię uczestniczki, która dostąpi zaszczytu rozpoczęcia gry w Kuli Spotkań, wylosujemy w ostatniej chwili.*

– Wiecie już, kogo zaprosicie, jeśli to wasze imię zostanie wylosowane?

To Safia, najmłodsza z nas, wypowiada na głos pytanie, które nam wszystkim ciśnię się na usta, po czym zanurza nos w swoim kubku kawy z logo Coffeo. Będzie obchodzić swoje osiemnaste urodziny dopiero w przeddzień lądowania na Marsie, dzień przed swoim ślubem. Ledwie dorosła, już zamężna, a przed nią długie lata prokreacji, by zaludnić nowy świat... Ale to przeznaczenie całej naszej szóstki, prawda?

Siedzimy wokół stalowego stołu na wysokich krzesłach przykręconych śrubami do podłogi. Na barze wyłożono produkty śniadaniowe, wszystkie dostarczone przez Eden Food, każdy w próżniowym opakowaniu z logo jednej z marek należących do tego wielkiego koncernu rolno-spożywczego: musli Happy Bear, sucharki Krunchy Bit, krem do smarowania pieczywa Mummy’s Secret. Postawiono też dwa dzbanki wody do rozcieńczenia napojów w proszku, ciepłą do mleka Daisy Farm, zimną do soku pomarańczowego Liquid Sunshine. U stóp baru Louve z nosem w swojej misce w kolorach karmy Best Friend Forever pochłania „potrawkę cielecą jak u babuni”, jeden ze smaków z francuskiej gamy luksusowych pokarmów dla pupilów. Przypominam sobie, jak mieszałam tę masę wielką chochlą w fabryce Eden Food France, i próbuję powstrzymać mdłości...

– Szczerze mówiąc, nie wiem, którego bym wybrała, jeśli to ja zostanę wyznaczona – odpowiada Fangfang, pocierając oprawki okularów. – Nie mam pojęcia!

– Ja też nie – wyznaje Safia. – Właśnie dlatego was pytam...

– Jeśli o mnie chodzi, muszę przyznać, że głos tego Rosjanina, Aleksieja, trafił w moją czułą strunę... – zdradza Kris rozmarzonym tonem. – Przypomina mi bohatera romansu, który czytałam: *Śnieżny książe*. Akcja rozgrywała się w czasach carów. Na myśl o nim wciąż mam dreszcze...

– Uważaj, żeby nie poniosła cię wyobraźnia. – Liz się uśmiecha. – Nawet nie widziałyśmy twarzy chłopców. Produkcja mogłaby jednak dać nam nieco więcej informacji. No nie wiem, choćby kartkę z krótkim opisem i zdjęciem czy coś w tym stylu. A tak poruszamy się po omacku, znamy jedynie imiona.

– I to jakie imiona! – wykrzykuje Kelly. – Jest tam nawet jeden, który ma na imię Mozart! Przysięgam: Mozart! Co za ludzie dają swojemu dziecku takie imię? W sumie mam ochotę go zaprosić, żeby się przekonać, czy ma na głowie upudrowaną perukę i aksamitną muszkę przyklejoną na twarzy. A ponadto odpowiada za nawigację w załodze chłopaków, to on będzie pilotował ich kapsułę w czasie lądowania na Marsie.

Chwyta butelkę syropu klonowego i topi swój sucharek w kleistej mazi, po czym odwraca się do mnie.

– A ty, Léo, jesteś bardzo cichutka. Chciałabyś któregoś zobaczyć w pierwszej kolejności?

Odstawiam szklankę z sokiem pomarańczowym. Znów widzę w myślach bolesny obraz szczęśliwej małej rodziny Zęba Rekina. Któregokolwiek chłopca wybiorę, nigdy nie będzie kolacji nad brzegiem morza ani zachodu słońca nad oceanem. Jedyne plaże, które przyjdzie nam oglądać, to plaże

marsjańskie – spopielale, rdzawe, niemuśnięte żadną falą od czasu, gdy planeta wyschła, czyli od milionów lat.

Przeganiem te bezużyteczne myśli z głowy. To nie pora, by poddawać się nostalgii. Chcę odsłonić przed współpasażerkami i widzami, którzy nas oglądają, sposób, w jaki zamierzam prowadzić grę, abym to ja miała nad nią kontrolę, a nie ona nade mną. Strategię, która dojrzewała we mnie przez wiele miesięcy.

– Serena powiedziała, że produkcja wylosuje imię pierwszej uczestniczki, prawda? – przypominam. – Kiedy nadejdzie moja kolej, zrobię to samo: wylosuję imię chłopca, którego zaproszę. I będę powtarzać losowanie przed sześcioma pierwszymi spotkaniami, by unikać wszelkich uprzedzeń. A później będę ich zapraszać w tej samej kolejności, i tak aż do końca podróży.

– Nigdy mi o tym nie wspominałaś – mówi Kris z lekkim wyrzutem w głosie. – I chyba nie do końca rozumiem twoje założenie. Czy to oznacza, że zamierzasz się spotkać z każdym uczestnikiem tyle samo razy?

– Tak, żadnego faworyzowania. Taki sam czas dla wszystkich, jak dla kandydatów w czasie kampanii wyborczej. A na koniec, kiedy znajdziemy się na orbicie Fobosa, przed wielkim skokiem, w pełni świadomie sporządzę ostatnią Listę Serca.

– Pfff! Żartujesz sobie? – parska Kelly. – Chcesz pokazać widzom, jaka to jesteś sprawiedliwa, czy naprawdę wierzysz w ten swój system? Leopardzica przyzwyczaiła nas do czegoś lepszego. Nawet Fangfang nie byłaby w stanie uraczyć nas równie drętwym pomysłem!

– Nie drętwym, tylko racjonalnym – poprawiam z uśmiechem. – Każda z nas ma inny pomysł na szybkie randki. Przedstawiłam swój. To mój sposób na utrzymanie kontroli, moje zasady gry!

Przez kolejne godziny zagospodarowujemy przestrzeń statku. Zaczynamy od urządzenia się w naszej sypialni. Z każdej strony piętrowego łóżka stoi szafa wnękowa, podzielona na dwie części – jedna do przechowywania masywnego kosmicznego skafandra, druga na nasze osobiste rzeczy, które przywiozłyśmy z Ziemi w ładowni kapsuły. Jeśli o mnie chodzi, poza dwoma tabletami, małym do szkicowania i dużym z portfolio, składa się na nie tylko kilka par wytartych dżinsów i spranych T-shirtów zabranych z szafki w hotelu robotniczym, które wciąż odrobinę czuć psią karmą. Śmieszny kontrast z ubraniami marki Rosier, prosto spod igły, które wcisnięto mi, bym służyła za chodzący wieszak: cuda z jedwabiu, tafty i satyny we wszystkich odcieniach czerni, a nawet długa czerwona muślinowa suknia z rozcięciem, godna ceremonii rozdania Oskarów, którą styliści z Rosiera zabarwili tak, by miała kolor identyczny z moimi włosami – krótko mówiąc, coś, czego nie włożyłabym nigdy w życiu, choćby mieli mnie zabić. Mam też kuferek z kompletnym zestawem do makijażu, z paletą kolorów bardziej wymyślną niż ta w pamięci tabletu – zapewne trzeba mieć doktorat, by umieć z tego skorzystać. I gwóźdź programu: diamentowy naszyjnik w szkatułce wyściełanej zielonym aksamitem. Pozostałe dziewczyny pewnie śliniłyby się na jego widok, ale ja nigdy nie noszę biżuterii i onieśmiela mnie to bardziej niż cokolwiek innego... Tak więc jestem pewna, że diamenty zostaną w pudełku, trudno, nie będzie reklamy Rosier & Merceaugnac.

– Ostatni akcent! – mówi Kris po drugiej stronie łóżka.

Po wewnętrznej stronie drzwi swojej szafy przykleja taśmą klejącą piękną reprodukcję starego obrazu. To Matka Boża z długimi blond włosami i jasnymi oczami, której słodkie, nieco rozmarzone oblicze przypomina mi właśnie Kris. Na kolanach Maryi siedzi dziecko z aureolą nad głową i uśmiecha się do niej.

– Podobna do ciebie... – mówię.

– Och nie, nie wydaje mi się – zaprzecza skromnie Kris. – Nie przypominam modelki Botticellego. Ale bardzo lubię ten obraz. Uspokaja mnie. Inspiruje.

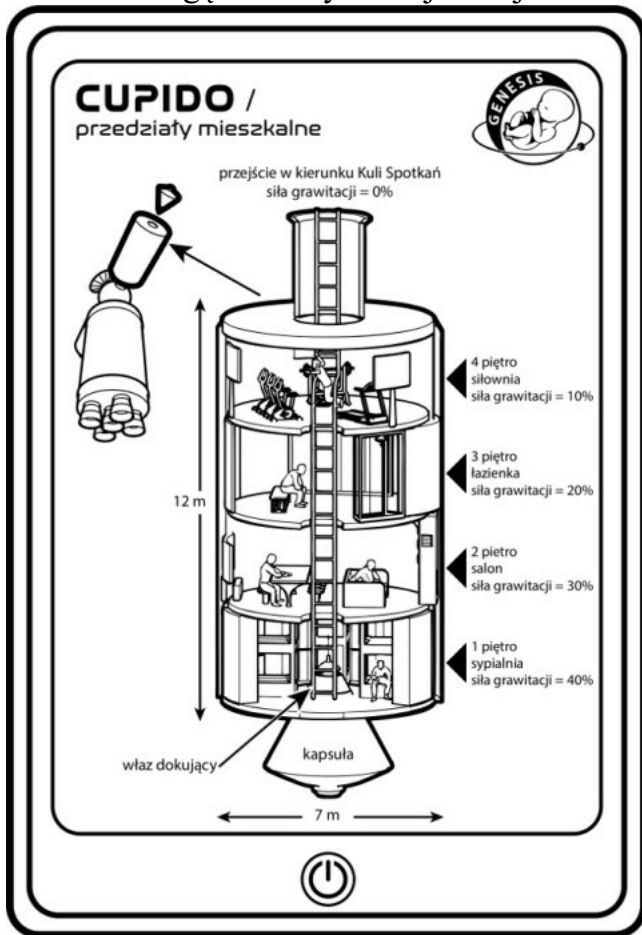
Kiwam głową. Nie jestem wierząca tak jak Kris – w każdym razie nie mam sprecyzowanych poglądów w tej kwestii. Ale wydaje mi się, że rozumiem, co chce przez to powiedzieć. To piękny obraz,

pełen znaczenia i nadziei dla nas, które wkrótce zostaniemy pierwszymi matkami na Marsie.

Po rozpakowaniu i ułożeniu rzeczy przychodzi czas na skorzystanie z łazienki. Udajemy się tam kolejno, parami, jedna bierze prysznic, druga siedzi przed lustrem na ławce przykręconej śrubami do podłogi. Fangfang i Liz idą pierwsze, a pozostałe dziewczyny czekają, korzystając z siłowni. Sala jest wyposażona w najnowocześniejsze maszyny do ćwiczeń i sprzęt siłowy rozstawione dookoła pomieszczenia. Kris i ja od razu wsiadamy na rowery stacjonarne przytwierdzone do podłogi, a Safia zaczyna wykonywać ćwiczenia rozciągające na macie.

– Hej, dziewczyny! Spróbujcie podnieść to! – woła Kelly ze słuchawkami w uszach. Ciągnie linę ze stukilogramowym ciężarem z taką łatwością, jakby to było piórko. – Superwoman musi być gotowa na wszystko!

– Całkiem nieźle. – Z ekranów wbudowanych w maszyny do ćwiczeń i panele na kierownicach rowerów uśmiecha się Serena. – Ale muszę przypomnieć widzom, którzy nas oglądają, że ten stukilowy obciążnik tak naprawdę waży tylko dziesięć kilogramów. W rzeczywistości wytwarzana przez wirówkę sztuczna grawitacja maleje stopniowo za każdym razem, gdy przechodzimy przez klapę do pomieszczenia na następnym piętrze. Im bardziej zbliżamy się do Kuli Spotkań, tym lżejsi się czujemy, co widzowie mogą zobaczyć w tej samej chwili co wy, na wykresie, który pojawia się na ekranie...



Tak jak wczoraj na ekranie pojawia się Cupido w 3D.

Następnie na ekranach pojawia się zbliżenie jednego z przedziałów mieszkalnych odwróconego o dziewięćdziesiąt stopni, by zaprezentować działanie sztucznej grawitacji: koniec skrzydła staje się dołem, a połączenie z wirnikiem górą.

– *Układ pomieszczeń zaplanowano w taki sposób, by zapewnić wam największy komfort i wygodę – komentuje Serena z offu. – Grawitacja osiąga czterdzieści procent w pomieszczeniu najbardziej oddalonym od osi obrotu, czyli w sypialni na pierwszym piętrze. To najprzyjemniejsze miejsce, panują tam warunki najbardziej zbliżone do ziemskich. W salonie na drugim piętrze siła grawitacji zmniejsza się do trzydziestu procent, ponieważ zbliżamy się do wirnika. Na trzecim piętrze, w łazience, siła grawitacji zmniejsza się do dwudziestu procent. Wreszcie na czwartym piętrze, w siłowni, gdzie właśnie się znajdujecie, siła grawitacji wynosi już nie więcej niż dziesięć procent. Z pewnością jest to bardzo destabilizujące środowisko, ale idealne, by przygotować was do walki ze skutkami nieważkości.*

Kamera przesuwa się w stronę oszklonej kuli i znów obraca o dziewięćdziesiąt stopni. Wewnątrz kuli unoszą się dwie małe czarne sylwetki, dziewczyna po lewej i chłopak po prawej stronie. Wyglądają jak dwie rybki w słoiku. W słoiku przedzielonym na pół szklaną nieprzekraczalną przegrodą.

– *Nad czwartym piętrzem każdego z przedziałów mieszkalnych znajduje się przejście do Kuli Spotkań, gdzie grawitacja jest zerowa – mówi Serena. – Każdą randkę odbywacie, unosząc się w powietrzu. Przypominam, że tylko widzowie na Ziemi będą mieli dostęp do tych pięknych obrazów i do całości przekazu na kanale Genesis. Wy, pasażerowie, będziecie musieli spróbować wyobrazić sobie spojrzenia i słowa, które uczestnicy wymieniają w Kuli Spotkań!*

Wizualizacja 3D znika z ekranu i znów pojawia się na nim promienna twarz Sereny.

– *Codziennie jedna z was poleci na spotkanie z jednym z uczestników, podczas którego będziecie fruwać niczym anioły! Trudno sobie wymarzyć bardziej romantyczną randkę, nieprawdaż?*

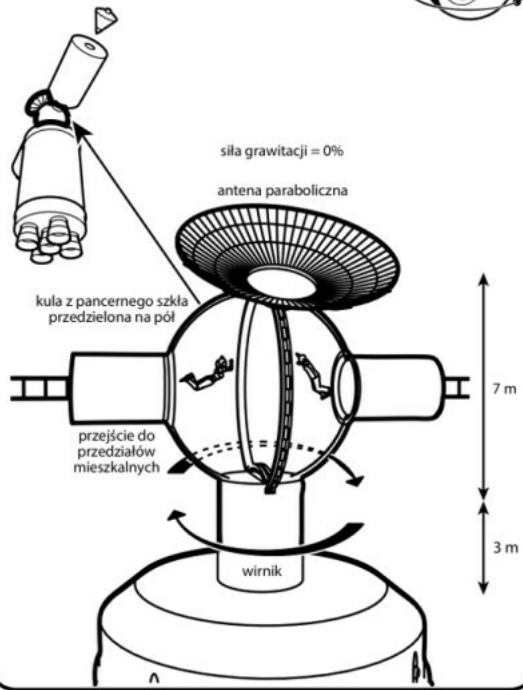
– No, chyba że anioły źle znoszą stan nieważkości i wymiotują sucharami marki Krunchy Bit i kawą z mlekiem Coffeo – zaznacza Kelly, dmuchając balon z gumy do żucia. – Przynajmniej dzięki tej przegrodzie nie da się obrzygać swojej randki...

Wchodzę pod prysznic jako ostatnia. Puściłam Kris przed sobą, a potem pomogłam jej zapleść te skomplikowane warkocze. Wróciła już do pokoju. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak ona to robi, ja nie miałabym cierpliwości. Szybkie mycie szamponem i suszenie suszarką, i tak jak dla mnie zbyt długie, to wszystko, co jestem w stanie zrobić dla swoich włosów. A one mszczą się na mnie na swój sposób, zwijając w niesforne, niemożliwe do rozczesania loki.

Ale dzisiaj jest jakoś inaczej. Dzisiaj ta niewielka ilość wody, która mi przysługuje, spływa po grubych rudych kosmykach, zamiast w nie wsiąkać. Uczucie na skórze też jest dziwne. Krople są jednocześnie lekkie jak płatki śniegu i gorące jak pocałunki – a przynajmniej tak je sobie wyobrażam, bo nigdy nikomu nie pozwoliłam się pocałować... Oczywiście to zjawisko wiąże się ze słabą siłą ciężenia: przy sile grawitacji wynoszącej zaledwie dwadzieścia procent woda prawie nic nie waży i zamiast płynąć, dąży raczej do bezruchu. Trzeba ją nakierować, by trafiła do odpływu w kabinie prysznicowej i spłynęła tam, gdzie zostanie poddana oczyszczeniu, aby mogła być ponownie wykorzystana.

Namydlając nagie ciało, nie mogę przestać myśleć o dłoniach jednego z uczestników, które w grudniu przebędą tę samą drogę. I to nie będzie już na wpół wyimaginowana postać jak Ząb Rekina, ale prawdziwy chłopak, z krwi i kości, odczuwający prawdziwe pragnienia i prawdziwy wstręt.

CUPIDO / Kula Spotkań



(Czy twój narzeczony nie będzie zawiedziony ciałem, które wybrał, choć wcześniej nie mógł go nawet dotknąć – podobnie do tych rzeczy, które ludzie kupują w internecie, widząc je jedynie na zdjęciu?)

Pocieram gąbką szczupłe nogi, umięśnione dzięki nocnym biegom uliczkami wokół hotelu robotniczego, kiedy nie mogłam zasnąć po kolejnym koszmarze pełnym ognia i dymu.

(Na Marsie nie będzie działu reklamacji, nie będzie gwarancji: „satisfakcja albo zwrot pieniędzy”).

Pocieram mlecznobiałą pierś, jedyną część ciała, której nie nakrapiają rude piegi.

(Na Marsie nie będzie prawa zwrotu, nawet jeśli wybrany artykuł ma ukrytą wadę).

Przeszywa mnie dreszcz w tym przeklętym momencie, kiedy palce sięgają pod prawe ramię. Nagle bez ostrzeżenia słodycz ustępuje miejsca absolutnej grozie. Centymetr wcześniej: skóra gładka jak wypolerowany przez wodę kamień. Centymetr dalej: szorstka, zdeformowana powierzchnia, od szczytu łopatek aż po talię. Moja skóra pamięta pożar, z którego ja nie mam żadnych wspomnień, a który mimo to zmienił moje życie na zawsze. Gdybym nie miała poparzeń trzeciego stopnia, być może rodzice nie zostawiliby mnie w tym śmietniku na pewną śmierć... Być może spędziłabym dzieciństwo i młodość razem z nimi... Być może bym ich nawet kochała... Nigdy nie wysłałabym zgłoszenia do programu Genesis i miałabym...

(Jest już za późno, by to zmienić, Léonor).

Nagle uświadamiam sobie, że znów słyszę ten głosik szepczący mi do ucha, odkąd weszłam pod prysznic – ten sam głos, który wprowadził zamęt w mojej głowie na platformie startowej, przez który o mało nie zrezygnowałam z misji, który czyha na najmniejszą wątpliwość, by zdobyć nade mną przewagę.

Przychodzi z tego miejsca na plecach, którego przed chwilą dotknęłam. Mam wrażenie, że rozwidlony język pieści płatek mojego ucha.

(Jest już za późno na zastanawianie się, kim byli twoi rodzice: nigdy ich nie poznasz).

(Jest już za późno na rozważanie konsekwencji twojego zgłoszenia: nie możesz się wycofać).

(Zdecydowałaś się polecieć, Léonor, więc jest już za późno, by żałować).

(Jest już za późno!)

(Jest już za późno!)

(Jest już za późno!)

Otwieram kopniakiem drzwi kabiny prysznicowej i wpadam do łazienki, jedyne pomieszczenia w przedziale mieszkalnym, w którym oszczędzono nam kamer i wzroku widzów.

Ale nie luster.

Moje odbicie ukazuje mi się brutalnie w lustrze okalającym pomieszczenie. Nie da się uciec od widoku pleców uchwyconego przez lustro na szafce za mną i odbitego w lustrze, które mam przed sobą, tuż nad umywalką.

Salamandra.

Tak nazywam oparzenie, które o mało mnie nie zabiło, kiedy miałam trzy lata, obejmujące naskórek, skórę właściwą i uszkodzające zakończenia nerwowe. To część mnie, która stała mi się obca. To pasożyt. Ma kształt długiej łuskowatej jaszczurki, zbudowanej z płatów przeszczepionej skóry wijącej się na prawo od kręgosłupa i wbijającej się pazurami w mój bok i łopatkę. Jej purpurowy kolor wydaje się nienaturalny, wręcz fantastyczny. Tak jak salamandra z mitów i legend jest odporna na działanie płomieni, ogień nie może jej zabić. Jest niezniszczalna i nigdy mnie nie opuści, będzie sączyć jad do mojego ucha do końca moich dni, będzie...

– Léo! Léo! Ogłosili wynik losowania, to...

Kłapa wjazdu w podłódze łazienki podnosi się gwałtownie, ukazując misterną koronę z warkoczy, którą sama pomagałam ułożyć na głowie Kris.

– ... Fangfang została wyznaczona.

Twarz Kris zastyga w osłupieniu, jej piękne błękitne oczy rozszerza przerażenie. Widzę w nich

prawdę bardziej okrutną niż ta, którą pokazują wszystkie lustra. Widzę, jakie uczucia naprawdę wzbudzam: odrazę i wstręt.

Kris nigdy nie powinna była zobaczyć mnie nago.

Nie miała do tego prawa.

Zdradziła mnie.

– Léonor... twoje... twoje plecy...

Ale ja nie jestem już Léonor. Jestem tą drugą mną, którą stworzyłam w wyobraźni: Léo Ognistowłosa, dziką, krwiożerczą, która traci nad sobą kontrolę i rzuca się na klapę, podczas gdy słowa z jej ust wylewają się jak niepowstrzymane wymioty:

– Wynoś się stąd! Jeśli powiesz o tym komukolwiek, to przysięgam, że cię zabiję!

KONTRPLAN

Schron przeciwatomowy, baza na przylądku Canaveral, poniedziałek 3 lipca, godz. 10.45

– Widzieliście to coś na jej plecach? Szkoda, taka ładna dziewczyna. – Roberto Salvatore krzywi się z niesmakiem.

Siedzi przy pogrążonym w półmroku okrągłym stole obok instruktorów programu i dyrektora Locka. Lampy halogenowe są zgaszone. Jedynym źródłem światła jest cyfrowa ściana w głębi pomieszczenia, z siatką obrazów zarejestrowanych przez kamery rozmieszczone na każdym piętrze statku Cupido: po lewej uczestniczki, po prawej uczestnicy, na środku główne okno pokazuje program wyświetlany na kanale Genesis, czyli to, co oglądają widzowie, z lekkim poślizgiem ze względu na opóźnienie komunikacji i czas montażu obrazów. W tej chwili emituje statyczne ujęcie salonu, w którym zebrały się dziewczęta.

Jednak spojrzenia zebranych w bunkrze są skierowane na ekran przedstawiający łazienkę.

Lustro weneckie filmuje wszystko, co się tam dzieje.

Filmuje nagość Léonor.

Filmuje bliznę po oparzeniu na jej plecach.

Filmuje jej paniczną reakcję, kiedy skacze na klapę wjazdu prowadzącego do salonu i zamyka ją kopniakiem nad głową Kris.

Wreszcie filmuje, jak pada załamana na zamknięte drzwiczki.

– Faj! – cedzi przez zaciśnięte usta Odette Stuart-Smith. – Całe szczęście, że kanał Genesis nie wyświetla zdjęć z łazienki, żeby program mogły oglądać także dzieci.

– A ja sądzę, że powinniśmy udostępnić nieocenzurowaną wersję tylko dla dorosłych, w płatnym abonamencie... – dodaje Roberto z łobuzerskim uśmieszkiem na szerokiej, oświetlonej blaskiem monitorów twarzy. – Jestem pewien, że wielu chętnie by zapłaciło, żeby to zobaczyć!

Gordon Lock ucina tę wymianę zdań, nim Odette zdąży się oburzyć, i odwracając się do doktora Arthura Montgomery'ego, pyta:

– Co ta dziewczyna ma na plecach? To jakiś trąd? Gigantyczna plama po winie?

– Nie wiem... – odpowiada doktor, gładząc swój cienki wąsik.

– Jak to nie wiesz? Jesteś lekarzem, a ta dziewczyna to twoja uczennica!

– Właśnie. Nie miałem jej badać, tylko polecono mi wpoić jej podstawy medycyny. To nie ja wybierałem uczestników programu.

W głębi sali otwierają się ciężkie opancerzone drzwi, wpuszczając promień białego elektrycznego światła.

– Serena McBee? – pyta Gordon Lock oślepiiony ostrym blaskiem, mrugając powiekami. – Czy to ty?

– Oczywiście, że to ja – odpowiada psychiatra. – Przecież poza wami tylko ja mam dostęp do tego bunkra przeciwatomowego jeszcze z epoki NASA. Przekazałam instrukcje swoim montażystom na górze. Tak czy inaczej, większość ruchów kamery jest z góry zaprogramowana, biorąc pod uwagę opóźnienie w łączności, które z biegiem czasu będzie coraz większe. Dzięki oprogramowaniu do rozpoznawania twarzy nasze kamery mogą robić automatycznie zbliżenia, aby dokładnie pokazać emocje uczestników. Tak więc mogę spokojnie do was dołączyć, by obejrzeć pierwszą szybką randkę, która rozpocznie się już za kilka minut. Mój głos transmitowany prosto z bunkra będzie towarzyszyć naszym gołąbkom w Kuli Spotkań.

Zamyka drzwi i siada w swoim wielkim skórzanym fotelu przed małym panelem sterowania, przy którym umieszczono mikrofon.

– Pragnę zauważyć, że to twoja sprawka – ciągnie dyrektor Lock. – To ty zatwierdziłaś ostateczny wybór kandydatów. Musiałaś widzieć ich nago, nie próbuj zaprzeczać! To ty w pełni świadomie umieściłaś na statku tę dziewczynę z odrażającą blizną!

Serena podnosi wzrok na monitor wyświetlający obraz z łazienki dziewcząt, gdzie na podłodze leży smukłe ciało Léonor. Piękne rude loki, jeszcze mokre, wiją się po posadzce niczym wodorosty. Jej twarz, przytulona do podłogi, jest niewidoczna. Jej ciało nie jest już ciałem, to skała przytrzymująca klapę całym swym ciężarem. Krągłe biodro przygniata nogę, łopatka przygniata nakrapiane piegami ramię. Oparzenie przypomina wykwit fioletowych porostów, jakie często pokrywają kamienie nad brzegiem morza.

– Odrażającą? – mówi Serena w zamyśleniu. – Odrza jest tylko w oczach patrzącego...

– Oszczędź nam tych swoich psychologicznych bredni – ucina Gordon Lock. – Mogę się założyć, że w oczach uczestników pojawi się potężna dawka odrazy, kiedy zobaczą, co się kryje pod sukienką tej dziewczyny. Jesteś aż taką sadystką? Szkoda mi tej biednej uczestniczki i szkoda mi tego nieszczęśnika, który ją wybierze. Pasażerowie wkrótce zgina, ja to wiem, ty to wiesz, wszyscy to wiemy. Ale dlaczego się zawzięłaś, żeby zatruć tę resztę życia, jaka im została? To nieludzkie! To nieproduktywne! Zrazisz widzów, a jeśli przestaną oglądać program, to będzie twoja wina!

– Kolejny raz niczego nie zrozumiałaś, mój biedny Gordonie.

– Słucham? – Dyrektor Lock się krztusi.

– Będzie dokładnie na odwrót. Widzowie się nie zrażą. Wręcz przeciwnie, będą do głębi wzruszeni. Widzisz, człowiek jest zwierzęciem stadnym. Współczucie jest wpisane w nasz kod genetyczny. To podstawowa zasada psychologiczna, nazywam to instynktem stada. Oczywiście ludzie nie wahają się, by poświęcić swych bliźnich, jeśli w grę wchodzi ich własny interes. Nasi biedni koledzy Sherman i Ruben musieli zapłacić za to, że stanęli między nami i naszą fortuną, grożąc, że zaprowadzą nas prosto do więzienia. Instynkt stada ich nie ocalił...

Archibald Dragovic nie może powstrzymać uśmiechu, podczas gdy Roberto Salvatore próbuje się ukryć w swoich zwałach tłuszczu, Geronimo Blackbull bawi się nerwowo zapalniczką, a Odette Stuart-Smith pociera mały krzyżyk zawieszony na szyi. Arthur Montgomery bez słowa wpatruje się swymi błękitnymi oczami w środek stołu.

– Głowy do góry! – ciągnie Serena, klaszcząc w dłonie, jak nauczycielka próbująca obudzić znużoną klasę. – Nie ma się czego wstydzić. Zapewniam was, że większość ludzi w naszej sytuacji postąpiłaby tak samo. Ale gdy siedzą przed ekranem w ciepłe swojego salonu? W takiej sytuacji mogą się jedynie rozczuć nad losem biednych wyrzutków, którzy nie są dla nich żadną konkurencją, w niczym im nie zagrażają. Mogą tylko wysłać więcej pieniędzy do Posagów, z czego Atlas wypłaci nam znaczny procent w postaci premii na koniec podróży.

Stwierdzenie to natychmiast rozluźnia atmosferę. Geronimo Blackbull odkłada zapalniczkę, a Odette Stuart-Smith zostawia w spokoju swój krzyżyk.

– Masz rację, Sereno – mówi Odette. – To, że się bronimy, gdy ktoś nas atakuje, nie oznacza automatycznie, że jesteśmy złymi ludźmi. Gdyby wszyscy dobrzy ludzie nadstawiali lewy policzek za każdym razem, gdy ktoś uderzy ich w prawy, gdzie zaszedłby ten świat?

– Nigdzie, droga Odette! – odpowiada Serena. – Nigdzie by nie zaszedł! Jesteśmy obdarzeni instynktem samozachowawczym, który stanowi idealną przeciwwagę dla instynktu stada. Nie ma się czego wstydzić.

– A zresztą my także możemy się rozczuć nad losem pasażerów Cupido – dodaje Roberto Salvatore. – Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, wyświadczyliśmy tym biedakom przysługę, wysyłając ich w kosmos. Owszem, doświadczenie będzie krótkie, ale jakże wyjątkowe w porównaniu z nędznym i nudnym żywotem, jaki prowadzili tu, na Ziemi.

– Brawo, Robercie! – chwali go Serena. – Pojąłeś wszystko w lot. Miło, że chociaż ty! Kiedy zapoznaliśmy się z raportem Noego, świadomie skierowałam swój wybór na tych, jak ich nazywasz,

biedaków, a to z trzech powodów. Pierwszy powód właśnie wam wyjaśniłam: liczę, że pod strzechami poleją się łzy, łzy tak rześiste, że trzeba będzie ogłosić stan klęski żywiołowej, byśmy w tych łzach nie utonęli. Każdy z wybranych przeze mnie uczestników ma sekret podobny do tego, który skrywa Léonor. Bolesną tajemnicę, którą będzie próbował za wszelką cenę ukryć przed współpasażerami i którą wzruszą się widzowie. Drugi powód jest taki, że w przypadku wyrzutek społecznych bez rodzin nie musimy się obawiać procesów sądowych wytaczanych przez bliskich i tym podobnych bzdur, kiedy już znikną, po zakończeniu podróży. W związku z tym nie będziemy musieli płacić żadnych odszkodowań. I wreszcie trzeci powód, który też już znacie... Tragiczne wydarzenie, które zakończy program, będzie bardziej wiarygodne i naturalne, jeśli spowoduje je emocjonalnie niestabilny wykojejeniec. Sesje relaksacyjne pod hipnozą, które przeprowadzałam w Dolinie Śmierci, pozwoliły mi wybrać spośród dwunastu uczestników umysł najbardziej plastyczny i uległy. Skorzystałam z okazji i zaprogramowałam go mentalnie, tak by rozhermetyzował Gniazda Miłości, kiedy już wyląduje na Marsie. To będzie o wiele bardziej eleganckie niż długa, bolesna agonía w wadliwych modułach mieszkalnych. Wystarczy jedno moje słowo, a mój podopieczny pogrąży się w somnambulicznym stanie i zupełnie nieświadomie wykona przewidziany plan z precyzją automatu. W oczach widzów jego gest będzie wyglądać na atak zimnej furii szaleńca, taki jak te masakry w szkołach, które regularnie dostarczają tematów reporterom stacji informacyjnych. I nikt, nawet przyszły morderca, który nie zachował żadnych wspomnień z tego programowania podczas hipnozy, nie będzie wiedział, że wszystko to zostało dokładnie przećwiczone podczas rocznego szkolenia.

PLAN

Start + 21 godz., 20 min (Pierwszy tydzień)

Podnoszę się powoli.

Zawsze się w końcu podnoszę.

Za każdym razem, gdy upadnę.

Za każdym razem, gdy zostanę zraniona.

Za każdym razem, gdy Salamandra jest już o krok, by mnie dopaść.

Wkładam bieliznę, dżinsy i koszulkę.

Dziewczyna w lustrze robi to samo.

To jeszcze nie ten poranek, kiedy uczesze włosy, pomaluje oczy i będzie grać uwodzicielkę, którą nie jest. To nie ją wyznaczył dzisiaj los. Ale nie może zostać w łazience. Za kilka chwil Fangfang będzie musiała tędy przejść, by dostać się do Kuli Spotkań. Lepiej się pospieszyć.

Biorę głęboki oddech i podnoszę klapę.

– Jesteś wreszcie!

Stawiam stopy na szczeblach drabiny, jedna za drugą, z poczuciem, że wszyscy się na mnie gapią, nawet pies.

Wszystkie dziewczęta są przygotowane, wystrojone, umalowane, a ja w moim starym wyciągniętym T-shircie czuję się jeszcze bardziej żalosna niż kiedykolwiek wcześniej.

– Jesteś totalnie szurnięta czy co? – rzuca Kelly, dławiąc się swoją gumą do żucia.

Wbiła się w tak obcisłe dżinsy, że wyglądają, jakby uszyto je na jej długich nogach. Wydatne piersi rysują się pod dopasowaną koszulką w czerwonej kratę, związaną na super płaskim brzuchu, gdzie w pępku błyszczą kolczyk, a gigantyczne złote koła w uszach trzęsą się po bokach twarzy za każdym razem, gdy coś mówi.

– Widziałaś, co zrobiłaś Kris, spuszczać jej klapę na głowę? Serio, widziałaś? Chyba powinnaś się leczyć!

Zerkam nieśmiało w stronę kanapy.

Leży na niej Kris, podtrzymywana przez Liz i Safię. Pod piękną fryzurą z warkoczy na alabastrowym czole sterczy błyszczący spuchnięty guz, nabiegły fioletową krwią. Jajo... To pierwsza absurdalna myśl, jaka przychodzi mi do głowy. Salamandra zniosła jajo...

Z moich ust wydobywa się cichy jęk:

– Och! Kris! Kris!

– Dałyśmy jej aspirynę i jakiś środek przeciwzapalny, to, co znalazłyśmy w apteczce – mówi Safia, zawinięta w szafranowe sari, w którym wygląda jak drogocenna lalka. – Nie jest w stanie utrzymać się na nogach. Stukałyśmy ze sto razy w klapę, żeby cię przywołać, ale nie odpowiadałaś. Léonor, ty jesteś naszą specjalistką od medycyny. Co trzeba zrobić?

Kochana Safia, tylko ona nie patrzy na mnie jak na trędowatą i prosi mnie o radę...

Co jej odpowiedzieć?

Zajęcia z pierwszej pomocy u doktora Montgomery'ego przebiegają mi przez głowę z prędkością błyskawicy, ale w nieodpowiedniej kolejności. Porażenie prądem elektrycznym, zatrzymanie akcji serca, krwotok... Pamiętam wszystko z wyjątkiem tego, co należy zrobić w wypadku uderzenia w głowę. Potrzeba lat, by wykształcić lekarza, a ja myślałam, że dam sobie radę w ledwie dwanaście miesięcy szkolenia, wszystko dlatego, że zakuwałam z podręczników dniami i nocami, bo przykleili mi ten nadmuchany tytuł specjalistki w dziedzinie medycyny, na który w żaden sposób nie zasługiwałam...

W rzeczywistości to, co się liczy, to nie żadne podręczniki ani tytuły. To praktyka, doświadczenie, czyli wszystkie te rzeczy, których nie mam, a tylko one pozwalają przypomnieć sobie właściwe zachowanie, kiedy nagły przypadek zdarza się bez ostrzeżenia.

Może jeśli dotknę Kris, pamięć wróci.

Kieruję się w stronę łóżka.

– Nie zbliżaj się!

Kris piorunuje mnie wzrokiem. Nigdy wcześniej nie widziałam, by jej oczy miały taki kolor. Z jasnoniebieskich zmieniły się w granatowe. Jej źrenice rozszerzyły się jak u sowy.

– Przysięgam ci, że nie chciałam... – mówię jednym tchem. – Gdybyś wiedziała, jak bardzo żałuję...

Kris podnosi nogi i stawia je na podłodze. Błękitna jedwabna sukienka, którą włożyła, na wypadek gdyby to ją wylosowano do randki w Kuli Spotkań, spływa po jej smukłych łydkach.

– Mówiłam ci, żebyś się nie zbliżała, chora świrusko. Nie potrzebuję twojej pomocy. Wyobrażasz sobie, że jutro może być moja kolej i Aleksiej zobaczy mnie w takim stanie?

Słowa, które wydobywają się z ust Kris, łamią mi serce. „Chora świrusko”. Czy to właśnie myśli: że jestem chora, że można się ode mnie zarazić? Czy właśnie to powiedziała innym uczestniczkom, a za pośrednictwem kamer także miliardom widzów, którzy w tej chwili nas oglądają: „Nie zbliżajcie się do Léonor, ma na plecach jakąś paskudną chorobę, to naprawdę obrzydliwe”?

Nagle jakiś ryk wstrząsa kadłubem statku.

To, co wydaje mi się hukiem grzmotu, okazuje się tylko dudnieniem bębnow. Z głośników rozlega się głos Sereny:

– *Fangfang, co ty jeszcze robisz w salonie? Szybka randka rozpoczyna się za pięć minut!*

Singapurka trzęsie się z oburzenia w swej obcisłej ciemnozielonej sukience podkreślającej jej smukłą sylwetkę. Mruga powiekami, być może z nerwów, a może dlatego, że niezbyt dobrze widzi, bo zdjęła okulary, by odsłonić przyklejone specjalnie na tę okazję sztuczne rzęsy.

– Ależ jestem gotowa już od kilku godzin! – wykrzykuje. – To Léonor zablokowała wejście na wyższe piętra!

– *Ta-ta-ta, koniec kłótni! Biegnij do Kuli Spotkań, jeśli nie chcesz stracić cennych minut szybkiej randki. Widzowie nie będą czekać. Zaraz zaczniesz się czołwka: jeden... dwa... trzy... poszło!*

Kiedy Fangfang rzuca się na drabinkę, ekran panoramiczny w salonie staje się czarny.

Przestrzeń. Kosmos usiany gwiazdami, bez początku i bez końca. Oszalamiający.

Słysząc instrumentalny wstęp do piosenki *Cosmic Love*, skrzypce i syntezatory o maksymalnej głośności na tle wirującej Drogi Mlecznej. Nagrany wcześniej głos, ochryply i pretensjonalny jak te ze zwiastunów hollywoodzkich filmów, nakłada się na muzykę: „Sześć uczestniczek z jednej strony...”.

Na ekranie pojawia się teraz obraz Cupido pędzącego z pełną prędkością przez kosmiczną próżnię. Kamera przechodzi przez metalowy kadłub i odsłania widok na przedział dziewcząt – nasz przedział. Znajdują się w nim sylwetki w dwóch wymiarach – jak wycięte z papieru i wklejone w sam środek dekoracji. Rozpoznaję zdjęcia, które nam zrobiono w trakcie szkolenia w Dolinie Śmierci. Nie wiedziałam, że zostaną wykorzystane w czołówce, którą pokazano nam dopiero teraz. Na ekranie wyświetla się imię każdej uczestniczki.

Podpis: FANGFANG, SINGAPUR (PLANETOLOGIA)

Podpis: KELLY, KANADA (NAWIGACJA)

Podpis: SAFIA, INDIE (ŁĄCZNOŚĆ)

Podpis: ELIZABETH, WIELKA BRYTANIA (INŻYNIERIA)

Podpis: KIRSTEN, NIEMCY (BIOLOGIA)

Podpis: LÉONOR, FRANCJA (MEDYCYNĄ)

Pozostałe dziewczęta zdają się zahipnotyzowane przez własny obraz na ekranie. Ich oczy błyszczą pod cieniami do powiek. Także oczy Kris. Jednak mnie przechodzi po plecach zimny dreszcz, te

splaszczony postaci, znieruchomiejące w swoich dresach programu Genesis. To trochę tak, jakbyśmy byli duchami. Jakbyśmy byli martwi.

Nie wytrzymam w tym salonie ani sekundy dłużej. Podnoszę klapę w podłodze, nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania. Kris jest tak wkurzona, że nie mogłabym do niej podejść. Wskakuję na drabinkę schodzącą do sypialni. Pragnę tylko ukryć się pod kocem. Zwinąć się w kłębek, z dala od tego wszystkiego.

Jednak na dole głośniki grają tę samą ogłuszającą muzykę. Nad trzema łózkami nie wyświetlają się już jelenie, delfiny ani góry, lecz ten sam obraz statku kosmicznego.

Nie da się uciec od tej czołówki.

Nie da się odwrócić oczu w momencie, gdy wreszcie pokażą twarze uczestników.

Głos z offu: *Sześciu uczestników z drugiej strony...*

Szybkie przejście do szerokiego planu. Kamera wychodzi ze statku, przechodzi dookoła i wchodzi do przedziału mieszkalnego chłopców, identycznego z naszym. Tam również pokazuje sześć nieruchomych postaci, a na ekranie pojawiają się imiona:

Podpis: TAO, CHINY (INŻYNIERIA) – kwadratowa szczęka, szeroka umięśniona szyja, siła Minotaura aż po końce krótkich czarnych, ostrzyżonych na jeża włosów.

Podpis: ALEKSIEJ, ROSJA (MEDYCYNA) – oczy tak błękitne, że można stracić głowę, włosy blond, gładko zaczesane, arystokratyczne, uśmiech księcia z bajki, jasny, pełen pewności siebie.

Podpis: KENJI, JAPONIA (ŁĄCZNOŚĆ) – fryzura wyrzeźbiona żelazem do włosów, włosy opadają na czoło i rozchodzą się na wszystkie strony jak u bohaterów mangi; zza ostrych kosmyków, które spadają na twarz jak maska, wзира raczej zagubione spojrzenie.

Podpis: MOZART, BRAZYLIA (NAWIGACJA) – opalone policzki, pełne usta, włosy czarne, błyszczące, kręcone, układają się w szalenie romantyczne fale, jednak spojrzenie jego oczu przeszywa niczym kula z pistoletu.

Podpis: SAMSON, NIGERIA (BIOLOGIA) – ogolona głowa przypomina posąg wyrzeźbiony w hebanie, sfinksa albo faraona, niezwykle zielone oczy mają w sobie coś nadprzyrodzonego.

Podpis: MARCUS, STANY ZJEDNOCZONE (PLANETOLOGIA) – brązowe włosy, nieco rozczochrane, u podstawy szyi wiję się i znika pod kołnierzykiem czarnej koszuli atramentowa linia, uruchamiając natychmiast moją wyobraźnię artystki (co przedstawia ten tatuaż? zwierzę? twarz? słowo?), jasnoszare oczy o srebrnym blasku pod gęstymi brwiami wpatrują się prosto we mnie, jakby rzuciły mi wyzwanie: „No chodź, sama się przekonaj...”.

I koniec.

Nie da się zrobić pauzy i przyjrzeć wybranej twarzy.

Nie można cofnąć filmu i obejrzeć ich jeszcze raz.

Już ich nie ma. A czołówka idzie dalej.

Głos z offu: *Sześć minut na spotkanie...*

Ciemność. Na ekranie pojawia się nieruchomy obraz, na którym widać miejsce spotkania: idealną kulę o przezroczystych ścianach, przedzieloną na środku szybą pancerną sięgającą od sufitu do podłogi.

Głos z offu: „Wieczność na miłość!...”.

Zbliżenie na gwiazdy przez szklane ściany. Z głębi kosmosu wynurza się planeta Mars i powoli rośnie.

Rzucam się na łóżko, zastraszona przez tę pulsującą czerwoną kulę, która napiera na mnie z trzech ekranów, w trzech rogach pokoju.

Chciałabym zamknąć oczy.

Ale nie mogę.

Muzyka staje się coraz głośniejsza, słysząc słowa piosenki:

On: *You skyrocketed my life*

Ona: *You taught me how to fly*

On: *Higher than the clouds*

Ona: *Higher than the stars*

Razem: *Nothing can stop our cosmic love*

Our cosmic love

Our cooomic looove!

Głos z offu: *Program Genesis: kiedy najambitniejszy program naukowy łączy się z najbardziej ekscytującą grą w szybkie randki...*

Efektowne przenikanie się obrazów: w łonie trzech planet Mars formują się trzy płody i przechodzą płynnie w trzy logotypy programu Genesis.

Pauza muzyczna.

Głos z offu: *... przeżyjecie na żywo najpiękniejszy romans wszech czasów!*

Ciemność.

Wszystkie ekrany gasną jednocześnie.

Serena nieraz przypominała: tylko widzowie na Ziemi mogą zobaczyć to, co się teraz stanie. I tak kolejne sześć minut będzie należeć do Fangfang, chłopca, którego wybierze – i całej ludzkości, z wyjątkiem dziesięciu pozostałych pasażerów Cupido, jedynych ludzi, którzy nie mają dostępu do kanału Genesis.

AKT II

KANAL GENESIS

Poniedziałek 3 lipca, godz. 11.00

Czarne tło.

Potem przejście do statycznego ujęcia wnętrza szklanej kuli o średnicy siedmiu metrów. Za jej ścianami wśród kosmicznej ciszy wolno płyną gwiazdy, na szczycie kuli dostrzegamy aureolę parabolicznej anteny transmisyjnej i wiązkę laserową, która przesyła informacje na Ziemię.

Napisy u dołu ekranu: PIERWSZE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: FANGFANG, LAT 19, SINGAPUR, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE PLANETOLOGII (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 2 SEKUNDY).

Kłapa po lewej otwiera się przy dźwiękach werbli.

Fangfang płynnie wlatuje do Kuli Spotkań. Aby uchronić włosy przed działaniem nieważkości, związała je w elegancki kok spięty specjalną srebrną klamrą, taką samą jak przy pasku, który podkreśla jej smukłą talię. Mruga oczami, bo włożyła szkła kontaktowe, do których nie jest przyzwyczajona.

Nagle rozlega się głos: *Witaj w Kuli Spotkań, Fangfang!*

Dziewczyna porusza się zaskoczona. Rozgląda się wokół siebie, próbując określić, skąd dobiega ten głos.

Serena (głos z offu): *To ja, Serena, mówię do ciebie. Dostałaś zaszczytu rozpoczęcia gry, Fangfang. Zamknij dobrze kłapę za sobą, by żadne ciekawskie ucho nie podsłuchiło tego, co zostanie powiedziane w Kuli Spotkań przez następne sześć minut.*

Fangfang posłusznie kiwa głową i przekręca dźwignię zamykającą kłapę od środka.

Następnie unosi się powoli.

Elastyczny materiał jej obcisłej zielonej sukienki uwydatnia falujący ruch ciała dziewczyny, płynącego w stronę przezroczystej przegrody dzielącej Kulę Spotkań na dwie części.

Wreszcie palce Fangfang dotykają gładkiej szklanej ściany. Delikatnie przykłada do niej obydwie dłonie, jakby się bała, że ją stłucze.

Serena (głos z offu): *Nie wiesz prawie niczego o uczestnikach. Jednak dziś musisz wybrać jednego chłopca, którego zaprosisz do Kuli Spotkań. A więc powiedz nam Fangfang: kogo chciałabyś zaprosić?*

Fangfang: Chcę zaprosić Tao.

Serena (głos z offu z niewielkim, dwusekundowym opóźnieniem): *Proszę, jaka stanowcza decyzja, bez chwili wahania! Czy możesz nam wyjaśnić, mnie i naszym widzom, dlaczego jesteś tak pewna i na jakiej podstawie dokonałaś tego wyboru?*

Fangfang: Chiny i Singapur są do siebie najbardziej zbliżone kulturowo. A bliskość kulturowa jest jednym z najważniejszych czynników decydujących o powodzeniu związku. Mówię biegle po chińsku, znam chińską kuchnię, mam wszystkie atuty, by uszczęśliwić chińskiego mężczyznę. Statystycznie największe szanse na udany związek mam właśnie z Tao.

Serena (głos z offu): *Brawo, Fangfang! Widzę, że dogłębnie przeanalizowałaś tę kwestię! Bardzo przemyślany wybór. Tylko czy w miłości wszystko może być przemyślane? Zaraz poznamy odpowiedź. Przed państwem Tao!*

Werble.

Teraz podnosi się kłapa po prawej stronie. W otworze ukazują się najpierw ścięte na jeża włosy Tao, następnie jego duża głowa i ramiona godne zawodnika futbolu amerykańskiego. Biała koszula przylega ściśle do rozbudowanych mięśni klatki piersiowej, szyja jest tak masywna, że nie da się zapiąć ostatniego guzika, nogi w czarnych spodniach zdają się nie mieć końca. Ciało, które wyłania się z wejścia, mierzy prawie dwa metry.

Zbliżenie na szeroką twarz Tao, rozjaśnioną na widok Fangfang promiennym uśmiechem. Nagle wydaje się dużo młodszy, mniej twardy, pełen prostoduszności skrywanej za imponującą muskulaturą atlety.

Serena (głos z offu): *Fangfang, specjalistka w dziedzinie planetologii. Tao, specjalista w dziedzinie inżynierii. Macie sześć minut, by się sobie przedstawić, a przy okazji także widzom, którzy oglądają was na żywo i umierają z ciekawości, by poznać wasze historie. Od tej chwili będę już milczeć. Teraz wasza kolej! Czas start!*

Na ekranie pojawia się tarcza zegara z podziałką jeden–sześć. Rozpoczyna się odliczanie wsteczne, sekundnik rusza w swą podróż dookoła tarczy.

Tao unosi się w powietrzu. Jego olbrzymie ciało, które w tej chwili nie waży zupełnie nic, przemieszcza się z zadziwiającym wdziękiem kaszalota w głębinach oceanu.

Tao (szepcze): Witaj...

Jak na kogoś tak zbudowanego jego głos jest zaskakująco delikatny, prawie nieśmiały. Mówi po angielsku z mocnym chińskim akcentem.

Fangfang: Witaj...

Tao: Dziękuję za zaproszenie.

Fangfang: Cała przyjemność po mojej stronie.

Cisza.

Naprzemienne zbliżenia uśmiechów Fangfang i Tao, obojga wyraźnie zawstydzonych.

Fangfang (gwałtownie przerywa milczenie, rozpoczynając przemowę, która z całą pewnością nie ma w sobie nic ze spontanicznej improwizacji): Wybrałam ciebie, ponieważ jestem w stanie uszczęśliwić cię bardziej niż ktokolwiek inny. Mówię po chińsku. I potrafię ugotować dania chińskiej kuchni.

Tao: Ach, to super! (po chwili jednak jego entuzjazm stygnie) Ale wiesz, że przez cały program nie wolno nam się porozumiewać w żadnym innym języku niż angielski, to jest zapisane w naszych umowach, aby widzowie rozumieli wszystko, co mówimy. A co do chińskiej kuchni, nie sądzę, byśmy znaleźli odpowiednie składniki tu, na statku, czy później na Marsie...

Fangfang (ma na to gotową odpowiedź, najwyraźniej przygotowała się na wszelkie zastrzeżenia): To nieistotne techniczne szczegóły. To, czy rzeczywiście będę gotowała chińszczyznę, nie jest najważniejsze. Chodzi o to, że te o r e t y c z n i e mogę mówić i gotować po chińsku.

Zbliżenie na skonsternowaną twarz Tao.

Tao: Eee... Wybacz, ale chyba nie rozumiem...

Fangfang: Widzisz, liczy się bliskość kulturowa. To nasz bagaż, to wszystko, co nas łączy i co dzielimy we dwoje, choć nie musimy tego w żaden sposób wyrażać.

Tao: Ach tak?...

Fangfang: Tak, to potwierdzone statystycznie.

Tao: Statystycznie?

Fangfang: Zbadane, udowodnione, jeśli wolisz. A poza tym... podobasz mi się.

Singapurka podkreśla ostatnie słowa wystudowanym trzepotem sztucznych rzęs, co zdaje się odnosić spodziewany skutek, gdyż policzki Tao lekko czerwienieją.

Fangfang: Jesteśmy dla siebie stworzeni. A przy okazji: ile chcesz mieć dzieci? Ja sądzę, że osiem to dobra liczba. A dla was, Chińczyków, to liczba szczęśliwa, prawda? Osiem oznacza dobrobyt, no nie?

Tao otwiera usta, po czym je zamyka. Kuli się i z powrotem rozkłada ramiona, jakby własne ciało nagle go zawstydziło. Tylko jego nogi się nie poruszają, unoszą się w powietrzu jakby zastygłe.

Fangfang (korzysta z okazji, by rzucić jeszcze jedno uwodzicielskie spojrzenie): Jesteś niesamowicie zbudowany, jeśli mogę coś dodać. Powiedz mi: skąd masz taką muskulaturę?

Tao: Pracowałem w wędrownym cyrku. Oddali mnie tam rodzice, gdy byłem jeszcze bardzo małym chłopcem, bo nie mieli pieniędzy, by mnie wykarmić i wykształcić w wiosce, w której mieszkaliśmy.

Zostałem akrobatą. Stałem na szczycie drabiny na jednej ręce i unosiłem na ramionach cały ciężar piramidy zbudowanej z ludzi. Tak, robiłem to wszystko i znacznie więcej, przed...

Fangfang: Przed programem Genesis, tak?

Tao nie odpowiada, ale Fangfang jest zbyt podekscytowana, by to zauważyć. Idzie za ciosem.

Fangfang: Ja także dorastałam bez rodziców. Zginęli w katastrofie lotniczej, gdy byłam całkiem małą. Singapur objął mnie państwową opieką. Od razu zauważono mój potencjał intelektualny i umieszczono mnie w szkole dla dzieci wybitnie uzdolnionych. Zanim zgłosiłam się do programu Genesis, byłam doktorantką na wydziale matematyki spekulatywnej. Wyprzedziłam innych studentów o cztery lata, ponieważ przeskoczyłam cztery klasy... Mówiąc krótko, jeśli ty przekażesz w genach swoją doskonałą budowę fizyczną, a ja swój intelekt, to z takiego połączenia powstaną cudowne dzieci! Najpiękniejsze dzieci na Marsie!...

Potok słów Fangfang zdaje się nie mieć końca, jednak nagle rozbrzmiewa dzwonek oznaczający, że czas spotkania upłynął.

Serena (głos z offu): *Koniec! Fangfang, Tao, czy jesteście pod wrażeniem uroku drugiej strony? Ciii! Na razie nic nie mówcie! Wróćcie teraz do swoich przedziałów mieszkalnych. Przypominam naszym widzom, że od tej chwili mogą zasilać Posagi tych dwojga wspaniałych młodych ludzi i dać im w niedalekiej przyszłości dostęp do lepszego Nowego Edenu.*

Fangfang i Tao oddalają się w przeciwne strony ekranu, podnoszą klapy i znikają w segmentach łączących Kulę Spotkań z ich przedziałami mieszkalnymi.

Stopniowe zaciemnianie kadru aż do całkowitej czerni.

Czołówka z prezentacją uczestników.

KONTRPLAN

Schron przeciwiatomowy, baza na przylądku Canaveral, poniedziałek 3 lipca, godz. 11.10

Lampy halogenowe w bunkrze zapalają się nieoczekiwanie, kiedy czołówka programu Genesis wyświetla się jeszcze na centralnym monitorze wielkiej cyfrowej ściany.

Siedzący przy okrągłym stole z pozostałymi instruktorami Roberto Salvatore gwizdże przeciągle swoimi mięsistymi ustami.

– *Mamma mia!* Nasza genialna uczennica może i ma doktorat z matematyki, ale w dziedzinie uwodzenia jest beznadziejna. Kompletnie spaprała sprawę z tym Chińczykiem. Założę się, że widzowie nie wyślą jej złamanego grosza!

Po drugiej stronie stołu Serena McBee odkłada mikrofon, przez który mówiła do uczestników w czasie ich szybkiej randki.

– Jeszcze się przekonamy, jak odebrali to widzowie i Tao – mówi, opierając się wygodnie w fotelu. – Mogą nas czekać niespodzianki. Widzisz, Robercie, miłość jest równie skomplikowana, jak twoje problemy z raketami, wyrzutniami i lotami balistycznymi.

– Ale musisz przyznać, że mówienie na pierwszej randce o zrobieniu ośmiorga dzieci to niezawodny sposób, by wystraszyć każdego faceta, nawet wiejskiego akrobatę! Nie wspomnę już o tym, że ta Singapurka jest płaska jak deska. Nie to, co Kanadyjka czy ruda, które mają wszystko, co trzeba, jak prawdziwie kobiety. Prawda, panowie?

Geronimo Blackbull energicznie kiwa głową, a strąki długich tłustych włosów kołyszą się jak liany po bokach jego jaszczurzej twarzy.

– Zgadzam się, ta laska nie czuje bluesa...

– Nie ma za grosz seksapilu – dodaje Gordon Lock, rzucając Serenie McBee wyzywające spojrzenie. – Człowiek się zastanawia, jakim cudem została wybrana do programu. Miejmy nadzieję, że oglądalność nie spadnie.

Archibald Dragovic chichocze złowieszczo, jak to ma w zwyczaju. Jego zezowate oczy robią się wielkie i okrągłe jak spodki, a naelektryzowane włosy sterczą na wszystkie strony świata.

– Dosyć tego! – ucina sucho Odette Stuart-Smith. Piorunuje mężczyźn wzrokiem zza swoich trójogniskowych okularów. – Jesteście poważnymi naukowcami w miejscu pracy, a nie pijaczynami przed telewizorem w jakimś barze, więc bardzo was proszę, oszczędźcie nam waszych obleśnych przemyśleń. Odrobinę przyzwoitości! Weźcie przykład z Arthura Montgomery’ego. Przynajmniej on jeden jest gentlemanem i potrafi się zachować.

Roberto Salvatore wzrusza pulchnymi ramionami.

– Gentleman, też coś! Jestem pewien, że doktorek także o tym myśli. Jest takim samym facetem jak my.

Doktor Arthur Montgomery pierwszy raz od początku emisji odcinka przestaje gładzić swój wąsik.

– Tak, jestem facetem – mówi. – Ale przede wszystkim jestem lekarzem. A dla lekarza bardziej interesujące od wymiarów uczestniczki było to, jak ten chłopak poruszał się w stanie nieważkości. Napinanie mięśni brzucha, by kontrolować balast dolnej części ciała... Sposób, w jaki ręce zastępowały nogi, by zachować równowagę... To wszystko jest niezmiernie ciekawe. A najzabawniejsze wydaje się to, że ta dziewczyna nawet nie zauważyła, że chłopak jest sparaliżowany.

PLAN

Start + 21 godz., 42 min (Pierwszy tydzień)

Ekran dookoła mnie zgasty wiele minut temu, zamilkły też muzyka i wszystkie ludzkie głosy. W ciszy nie ustaje jednak szpiegowska praca kamer, które bez przerwy rejestrują obraz.

Pozwalają nam oglądać samą czołówkę programu, by trzymać nas w napięciu, rozpalic ciekawość, wprowadzić w stan podniecenia i oczekiwania, ale zachowują w tajemnicy przed nami to, co zostało powiedziane w Kuli Spotkań, podobnie jak cały nagrany materiał. Mamy być aktorami tego programu, nie widzami. To podstawowa zasada gry. W końcu polega ona na tajemnicy. Współzawodnictwie. W tej chwili w Kuli Spotkań Fangfang robi zapewne wszystko, co może, by rozkochać w sobie chłopaka, którego wybrała. A pozostałe dziewczyny jak nic dyskutują gorączkowo w salonie, próbując zgadnąć, który to z uczestników. No chyba że wciąż jeszcze roztrząsają incydent ze mną w roli głównej i rozgłaszają całemu światu, jaką obrzydliwość ukrywam na plecach... Przez zamkniętą klapę nie da się usłyszeć ich rozmowy, nawet gdy przyłoży się ucho. Mogę sobie tylko wyobrażać, co mówią i jak ci wszyscy ludzie, którzy jeszcze wczoraj wiwatowali na moją cześć na Polach Elizejskich, zaczynają się krzywić, słysząc te rewelacje. Jak uśmiech na ich twarzach ustępuje miejsca grymasowi obrzydzenia. Już ich słyszę: „Jak to? Oszukano nas! A więc to tak, Léonor, z przodu szyk, z tyłu rzyg!”.

Te myśli napawają mnie przerażeniem, sprawiają, że chce mi się płakać.

Zamiast tego wstaję i gorączkowo wyciągam z szafki tabletki do szkicowania.

Rysowanie.

To zawsze mi pomaga, kiedy wszystko idzie źle. Prostokąt ekranu, na którym rysuję, traktuję jak okno do innego świata. W tym świecie mogę się schronić przed bólem rzeczywistości, tu mam nad wszystkim kontrolę.

Rysik zaczyna się ślizgać po gładkiej szklanej powierzchni, najpierw drżąc i niepewnie, ale w miarę jak zapominam o tym, gdzie jestem, i koncentruję się tylko na małym białym prostokącie, który wypełniam – ruchy rysika stają się płynne. Kreski zaczynają się układać w kształt młodej dziewczyny podobnej do mnie. Postrzępiona spódnica podkreśla linię jej bioder. Na piersi ma zawiązany stanik z lamparczej skóry. Czarna wstążka próbuje utrzymać w ryzach jej gęste włosy. W zaciśniętej dłoni trzyma staroświecki pistolet, którym mierzy prosto we mnie.

Spod moich palców wyszła właśnie Léo Ognistowłosa.

POZA PLANEM

**Plaża, 48 km od przylądka Canaveral,
poniedziałek 3 lipca, godz. 16.30**

Na pustym parkingu przy małej plaży stoi tylko jeden samochód.

To kamper z przyciemnianymi szybami.

Chłopak w okularach z czarnymi oprawkami zdejmuje marynarkę. Jego czerwona koszulka polo jest mokra od potu. Mięśnie pleców napinają się pod materiałem, kiedy montuje antenę paraboliczną na dachu kampera. Sprawdza przewody, ustawia talerz w odpowiedniej pozycji, rzuca ostatnie spojrzenie w kierunku przylądka Canaveral, który rysuje się w oddali. Z tej odległości sześciennym hangary na płycie wyrzutni raketowej wyglądają jak maleńkie klocki lego.

Chłopak wyjmuje z kieszeni dyktafon. *Klik!*

– List do mojego ojca. Poniedziałek trzeciego lipca, godzina szesnasta trzydzieści. Po całej nocy montowania mój system wydaje się gotowy. Za kilka minut nadejdzie chwila prawdy. Punkt bez powrotu. Chciałem uniknąć tego wszystkiego, ojczyste, ale nie dałeś mi wyboru...

Klik! Dyktafon łąduje w kieszeni, a jego właściciel wsiada do kampera.

Wewnątrz za przyciemnianymi szybami deska rozdzielcza bardziej przypomina kokpit samolotu niż część turystycznego auta. Wmontowano w nią skomplikowany sprzęt komputerowy, a obok tradycyjnych licznika prędkości i wskaźnika poziomu paliwa przykręcono dziesiątki diod, przycisków i gałek.

Chłopak opiera się wygodnie w fotelu kierowcy, sięga po klawiaturę i zaczyna niecierpliwie w nią stukać. Na siedzeniu pasażera leży jednostka systemowa komputera podłączona do dziwnego telefonu o wyglądzie gigantycznego pilota i do monitora – wyświetlają się na nim długie linie kodu, który chłopak właśnie wpisuje. Obok leży jeszcze wyłączony laptop.

Chłopak wzdycha i wciska klawisz „enter”.

Przez kilka sekund na monitorze widać białe tło. Następnie pojawia się jedna po drugiej pięć kresek oznaczających połączenie, a wraz z nimi triumfalna wiadomość:

NAWIĄZANO POŁĄCZENIE SATELITARNE.

MINIDRON AKTYWNY

PRZESŁANIE OBRAZU ZA 5 SEKUND

4 SEKUNDY

3 SEKUNDY

2 SEKUNDY

1 SEKUNDĘ

Ekran mruga, pojawiają się na nim świetliste paski, a następnie nieruchomy obraz: to ośrodek lotów kosmicznych obserwowany z żabiej perspektywy. W rogu pojawiają się współrzędne GPS przylądka Canaveral: 28° 29'20"N 80° 34'40"W.

Dokładnie w tym miejscu chłopak położył wczoraj dziwnego srebrnego żuka.

– *Yesss!* – wykrzykuje, opadając całym ciężarem na oparcie fotela.

Spostrzega swoje odbicie we wstecznym lusterku. Pod brązowymi włosami maluje się twarz przeorana zmęczeniem. Policzki są zapadnięte po nieprzespanej nocy spędzonej na pracy przy instalowaniu anteny, ale inteligentne kasztanowe oczy błyszczą z podniecenia zza okularów w czarnych oprawkach.

Sięga gorączkowo po swój dyktafon. *Klik!*

– List do mojego ojca. Udało się! Obszedłem system zagłuszania sygnałów chroniący bazę Genesis.

Mój minidron jest aktywny i gotowy, by zacząć spacer po bazie, a w konsekwencji obnażyć szczegóły tego skandalicznego przekrętu, finansowej czarnej dziury stworzonej przez ludzi, którzy nie mają pojęcia o kosmosie. Jeszcze nie wiem, co tam odkryję. Pewnie nic więcej poza burdelem, w którym nauka sprzedaje się show-biznesowi, ale to nie ma znaczenia. Liczy się to, że udowodnię całemu światu, że można się włamać do systemu chroniącego program Genesis, że całe to przedsięwzięcie pachnie amatorszczyzną, a ludzie z Atlas Capital to banda clownów, którzy nie wiedzą, co robią. Opinia publiczna zawsze będzie ciekawa tego, co dzieje się za kulisami, chętnie słucha o wadach wykrytych w systemie i oszustwach, które próbuje się przed nią ukryć w mediach.

Chłopak głęboko wzdycha, po czym kontynuuje:

– Wyobrażam sobie, jak odsłuchujesz to nagranie, tato, i wydaje mi się, że widzę, jak bledniesz. Zastanawiasz się, dlaczego to robię? Zastanawiasz się, dlaczego podejmuję takie ryzyko, dlaczego kładę na szli swoją przyszłość i twoją karierę? Bardzo dobrze wiesz dlaczego. Mars zawsze był moim największym marzeniem. Już w podstawówce każde wakacje spędzałem w centrach przygotowań do lotów kosmicznych, a całe kieszonkowe wydawałem na naklejki do albumów z bohaterami kosmosu. Miałem je wszystkie w co najmniej trzech egzemplarzach! Powinienem zostać wybrany do tej misji. Na papierze byłem idealnym kandydatem: prymus w liceum, kapitan klubu wioślarskiego, w wieku szesnastu lat laureat nagrody dla najlepszego młodego naukowca w Kalifornii, syn urzędnika wysokiego szczebla zatrudnionego w NASA przy programie Genesis. Pamiętasz, jak się czułem, kiedy ponad rok temu dowiedziałem się, że nie jestem jednym z dwunastu wybranych, którzy pojadą na szkolenie do Doliny Śmierci? Ale się pozbierałem. Powiedziałem sobie, że ty i twoi współpracownicy musieliście mieć dobry powód. I przekonałem samego siebie, że ci, których wyłoniliście, byli jeszcze lepiej przygotowani ode mnie. I oto wczoraj, w tym samym czasie co reszta ludzkości, dowiedziałem się, kim są astronauty, których tożsamości nie chciałeś zdradzić własnemu synowi, zasłaniając się koniecznością zachowania tajemnicy. Wciąż nie mogę dojść do siebie. Ci nieudacznicy, te wyrzutki społeczne bez najmniejszej wiedzy o kosmosie ukradły mi moje miejsce i marzenia całego życia? Czułem się jak ofiara żartu w ukrytej kamerze! Próbowałem się z tobą skontaktować i żądać wyjaśnień. Ale nie odpowiadałeś. Olałeś mnie. Dlaczego? Dlaczego?! Ale na to nagranie będziesz musiał odpowiedzieć. Kiedy je otrzymasz, cały świat będzie świadkiem włamania do systemu programu Genesis, ale tylko ty będziesz wiedział, że dokonał tego twój syn Andrew. Wyobraź sobie, jaki wybuchnie skandal, jeśli wyjawię publicznie, kim jestem. Wyobraź sobie, jak zareagują twoi pracodawcy z Atlas Capital, kiedy dowiedzą się, że udało mi się włamać do systemu dzięki telefonowi satelitarnemu i dzięki wszystkiemu, czego mnie nauczyłeś. Będę milczał tylko w zamian za obietnicę, której tym razem będziesz musiał dotrzymać: przyrzekniesz, że znajdę się w następnej załodze, która za dwa lata polecą Cupido na Marsa.

Klik! Andrew odkłada dyktafon.

Wierzchem dłoni odgarnia włosy i wyciera pot z czoła.

Następnie wciska kilka klawiszy na klawiaturze i chwytą dżojstik podobny do tego, jaki używa się w grach komputerowych. Obraz na monitorze zaczyna drgać – to nie połączenie się urywa, tylko minidron zaczyna swą wędrówkę po kamienistej ziemi ośrodka lotów kosmicznych. Z głośników dochodzi ciche brzęczenie, podczas gdy małe metalowe skrzydełka żuka zaczynają wibrować i dron unosi się nad przylądkiem Canaveral.

Jednym ruchem kciuka Andrew przesuwają dżojstik do góry.

Ziemia błyskawicznie się oddala. Druciany płot z powtykanymi maskotkami i kartkami z życzeniami maleje w oczach, a z nim także czapka strażnika, który wciąż stoi na warcie na krańcu drogi i nawet się nie domyśla, co dzieje się nad jego głową.

Dron pruje powietrze, kierując się do największego hangaru z wymalowanym na ścianie gigantycznym logo i dachem najeżonym antenami. Leci wzdłuż ogromnego muru z białego betonu, po czym nurkuje ku uchylonym drzwiom, przy których grupka pracowników w szarych strojach programu

Genesis plotkuje, pałac papierosy.

Przez nikogo niezauważony dron, nie większy od owada, prześlizguje się przez szczelinę. Ekran monitora na chwilę ciemnieje, kiedy zamontowana w żuku kamera przystosowuje się do sztucznego światła wewnątrz budynku. Zaraz jednak pojawia się obraz długiego białego korytarza oświetlonego neonowymi lampami. Dron mija wiele zamkniętych identycznych drzwi. Nagle otwierają się jedne po prawej stronie i wybiega z nich kobieta niosąca stos dokumentów.

– Uwaga! – woła Andrew, przechylając dżojstik, by wyprostować lot drona, którym zachwiał podmuch powietrza.

Obraz na monitorze niebezpiecznie zbliża się do ściany po lewej stronie, dron w ostatniej chwili unika jednak kolizji i leci dalej w górę korytarza, w ślad za spieszącą się kobietą. Nad podwójnymi drzwiami, które zamykają perspektywę, świeci się jasny napis: „Sala kontroli lotów”.

Kobieta chwytą identyfikator zawieszony na szyi i przykłada go do czujnika elektromagnetycznego, który strzeże dostępu do pomieszczenia. Czujnik emituje krótki sygnał dźwiękowy i czerwone światło zmienia się na zielone.

Skrzydłowe drzwi rozchylają się z cichym skrzypnięciem, ukazując przestronną okrągłą salę, pogrążoną w półmroku rozjaśnianym przez dziesiątki ekranów komputerów, za którymi uwijają się inżynierowie programu.

– No to jesteście! – Andrew się cieszy. – A teraz zaczynamy przedstawienie!

Utrzymując dron w stałej pozycji za pomocą dżojstika, drugą ręką wystukuje na klawiaturze kod, po czym włącza laptopa leżącego obok monitora.

Na ekranie pojawia się strona internetowa o tytule wypisanym agresywnymi czerwonymi wielkimi literami:

GENESIS PIRACY

Kulisy programu Genesis, jakich nigdy nie widzieliście!

– Go!

Andrew naciska ostatni przycisk, a film nagrywany przez minidron zostaje udostępniony na żywo w streamingu na stronie Genesis Piracy.

Chłopak bierze dżojstik w obie dłonie i pozwala swemu szpiegowi fruwać nad rzędami inżynierów. Czasami zniża lot i zza pleców jednego z nich rejestruje obraz z ekranu jego komputera, przedstawiający a to trajektorię lotu Cupido, a to pomiary ilości paliwa i tlenu w statku czy inne dane techniczne, których osoby postronne nie powinny nigdy poznać.

Ilekcję któryś z inżynierów przeciąga się na krześle lub się odwraca, Andrew przechyla dżojstik i kieruje dron do góry, a ciche brzęczenie urządzenia jest zagłuszane przez szum wentylatorów chłodzących maszyny w sali kontroli misji.

Od czasu do czasu Andrew zerka na laptopa. Licznik pod filmem w streamingu, pokazujący, ilu internautów ogląda właśnie stronę Genesis Piracy, pędzi jak szalony:

12 039...

12 082...

12 141...

... I wcale się nie zatrzymuje. Uśmiech na twarzy Andrew z każdą sekundą staje się coraz szerszy.

Chłopak popycha dźwonek do przodu i kieruje swojego szpiega w stronę podium w głębi sali, na którym stoi barczysty łysy człowiek, zajęty wydawaniem instrukcji kilku pracownikom.

– Dyrektor Lock! – szepcze Andrew.

Dron zatrzymuje się w locie nad błyszczącą łysiną Gordona Locka.

Andrew przekręca gałkę na swym kontrolerze, by ustawić poziom głośności dźwięku, aż słowa dyrektora technicznego programu Genesis rozbrzmiewają czysto i wyraźnie w głośnikach monitora... i w filmie dostępnym w streamingu dla całego świata.

– ... niech mi pan wydrukuje pełny raport z pomiarów parametrów życiowych z dwóch przedziałów Cupido do codziennej rutynowej kontroli.

– Już się robi, panie dyrektorze.

– I nich pan nie zapomni dołączyć pomiarów promieniowania.

– Oczywiście, panie dyrektorze.

Nagle w samochodzie rozlega się dzwonek telefonu komórkowego. Wygrywa *Marsz Imperialny* z filmu *Imperium kontratakuję*.

– To naprawdę kiepski moment! – warczy Andrew.

Nie puszczając dżojstika, zaczyna grzebać w gmatwaniu kabli elektrycznych leżących na podłodze samochodu i w końcu znajduje komórkę – zupełnie normalny, zgrabny model, niepodobny do masywnego telefonu satelitarnego kontrolującego minidron.

Na ekranie wyświetla się imię dzwoniącego wraz ze zdjęciem przedstawiającym mroczny czarny hełm Dartha Vadera:

POŁĄCZENIE PRZYCHODZĄCE: STATEK MATKA

Andrew wzdycha z rezygnacją. Niechętnie odkłada dżojstik, oddalając minidron od dyrektora Locka i pozwalając urządzeniu zawisnąć wysoko pod sufitem sali kontroli lotów.

Naciska przycisk i transmisja na obydwu monitorach zostaje zatrzymana.

Dopiero wtedy odkłada kontroler, po czym chwytą za telefon.

– Halo, Mamo! Jeśli dzwoniisz, żeby zapytać, co słyhać, to mogę powiedzieć, że wszystko dobrze, jestem właśnie w... eee... Luizjanie. Bardzo fajnie zrobić sobie taką wycieczkę po kraju przed rozpoczęciem studiów. Dzięki temu prawie przebolelałem, że nie lecę teraz na Marsa. Prawie. Ale wiesz co, właśnie prowadzę, więc proszę cię, dzwoniemy się później, okej?

Andrew już ma się rozłączyć, ale głos w słuchawce natychmiast go od tego odwodzi.

– Andrew Ethanie Fisherze! Natychmiast zaparkuj samochód!

Chłopak drętwieje. Na jego gładkim czole pojawia się zmarszczka. Czy to możliwe, by matka domyśliła się, że wcale nie znajduje się w Luizjanie, tylko jest na Florydzie, gdzie całkowicie nielegalnie infiltruje właśnie jedno z najbardziej strzeżonych miejsc na świecie?

– No dobrze, zgoda... – mruczy. – Parkuję... Już... Zaparkowałem. Co się dzieje?

– Twój ojciec...

– Ach, ekspert od łączności postanowił w końcu dać znak życia, po trzech tygodniach milczenia? Przypomniał sobie nagle, że ma rodzinę, że ma syna? Zapewniam cię, że nawet będąc na Marsie, kontaktowałem się z tobą częściej niż on.

– Andrew, zamknij się, przestań już z tą marsjańską obsesją! Twój ojciec... Sherman nie żyje. Jego ciało właśnie odnaleziono w Dolinie Śmierci.

PLAN

Start + 1 dzień, 19 godz., 55 min
(Pierwszy tydzień)

– Masz prawdziwy talent, Léo.

Podnoszę wzrok znad tabletu leżącego na moich kolanach, na którym właśnie rysuję. Zaszłam się w łóżku ze śniadaniem i rysikiem, kiedy tylko wybrzmiała poranna symfonia zapowiadająca drugi dzień podróży na Marsa. Nie mogę się zdobyć na to, żeby spojrzeć w oczy dziewczętom, nie mówiąc już o wysłuchiwanie ich obelg. Wolę się zadręczać wśród okruczeńców sucharów Krunchy Bit – nawet jeśli drapią mnie i kłują niemiłosiernie przez piżamę...

Teraz jednak nie mogę dłużej unikać konfrontacji. Safia wbija we mnie badawcze spojrzenie swoich podkreślonych kajalem oczu, stojąc niecały metr ode mnie. Wygląda jak zawsze doskonale, jest już wystrojona od stóp do głów. Czerwoną kropkę na czole zastąpiła błękitna łezka, dopasowana kolorem do jej nowego sari.

– To jest super! – mówi, pochylając się nad moim ramieniem, by lepiej widzieć. – To ty, prawda?

Patrzę na rysunek, nad którym pracuję, ten zaczęty wczoraj: Léo Ognistowłosa mierząca z pistoletu. Obok pojawił się galeon, na jego dziobie stoi piratka. Żeglujecie on jednak nie po oceanie, ale po morzu gwiazd.

– To Léo Ognistowłosa, która rusza na podbój Marsa – wyjaśniam. – Strzeż się! Mówią, że jest wybuchowa...

Safia uśmiecha się porozumiewawczo.

– Rozumiem, będę uważać. Mogę?

Delikatnie bierze tablet i przesuwając palcem po ekranie, by przejść do kolejnego rysunku. Pojawia się mężczyzna w rybackich, na gołym ciele nosi skózaną kamizelkę, a pierś zdobi mu naszyjnik z ostrych zębów. Wydawca romansów, w których zaczytuje się Kris, nie powstydziliby się takiej okładki.

– A on? – pyta Safia. – Kim jest ten tajemniczy przystojniak? Nie przypomina żadnego z uczestników.

– To kapitan Ząb Rekina, człowiek, który zabija żarłaczce gołymi rękami. Choć jest zaprzysięgłym wrogiem Léo Ognistowłosej, jednocześnie kocha ją do szaleństwa. Złożył śluby milczenia. Przysiągł, że nie wypowie ani słowa, dopóki jej nie odnajdzie. Dopiero gdy stanie z nią twarzą w twarz, znów przemówi, wyzywając ją na pojedynek lub prosząc o rękę.

– Co za wyobraźnia! Naprawdę się zastanawiam, skąd ty to wszystko bierzesz...

Biorę od Safii tablet, żeby go wyłączyć, ale nie odpowiadam. Przecież się nie przyznam, że inspiracją dla postaci kapitana był prawdziwy facet, który ma już prawdziwą kobietę i prawdziwe dziecko. Wolę o tym zapomnieć. Postać, którą stworzyłam, jest o wiele bardziej tajemnicza.

– Czy Kris czuje się już lepiej? – pytam.

– Znacznie lepiej. Jej guz jest dwa razy mniejszy niż wczoraj. Sen dobrze jej zrobił.

Safia przysiadła na brzegu mojego łóżka.

– Wiesz – mówi – za chwilę wylosują uczestniczkę, która będzie mogła zaprosić dziś któregoś chłopca na randkę. Pomyśl, że to możesz być ty! Powinnaś pójść na górę i przygotować się razem z resztą dziewczyn.

– Żeby mnie zwymyślały i patrzyły na mnie jak na psychopatkę? Nie, dziękuję, mowy nie ma.

– Przestań być dla siebie taka surowa. Jestem pewna, że to, co się przydarzyło Kris, to był zwykły wypadek...

– No i tu się mylisz. To nie był wypadek. Spuściłam jej tę cholerną klapę na głowę, a potem

wskoczyłam na nią obydwoma nogami.

Natychmiast żałuję tych szorstkich słów. Za późno, żeby ugryźć się w język. Ech, gdybym odgryzła go sobie raz a dobrze, wyszłoby mi to pewnie na zdrowie. Dlaczego zawsze muszę dodatkowo prowokować? Dlaczego musiałam odepchnąć Safię, kiedy najwyraźniej po prostu stara się być miła?

– Przepraszam – szepczę. – Jestem trochę... trochę zdenerwowana.

– Tak jak my wszystkie – mówi Safia, biorąc mnie delikatnie za rękę. – I to jest całkiem normalne. Cały stres podróży, emocje, jakie wywołuje ta niezwykła przygoda, którą właśnie przeżywamy, świadomość, że otaczają nas miliony kilometrów próżni... nie wspominając już o ciśnieniu związanym z grą! Wyobraź sobie, Fangfang jest w siódmym niebie! Powiedziała nam, że Tao jest fantastyczny, że można paść na jego widok. Jest pewna, że zdobyła u niego sporo punktów.

Ciśnienie związane z grą! Gdyby tylko Safia wiedziała... W rzeczy samej ciśnienie skacze mi na myśl o tym, że być może Kris opowiedziała pozostałym dziewczynom, co zobaczyła w łazience, w tym także Fangfang, która z kolei nie omieszkała wyjawić tego Tao. Oczywiście prędzej czy później musiałabym zdradzić swój sekret chłopcom albo przynajmniej jednemu z nich. Ale nie tak szybko. Nie w ten sposób. Jeśli stało się to, czego się obawiam, w tej chwili wszyscy uczestnicy uważają mnie za potwora i żaden nie zaprosi mnie nigdy do Kuli Spotkań...

Tak, ciśnienie mam takie, że czuję się jak żywy szybkar. Wiele bym dała, by móc uchylić zawór, choćby miała to być ledwie pięciosekundowa rozmowa z kimś, komu mogłabym się zwierzyć. Safia, która wpatruje się we mnie swymi wielkimi sarnimi oczami pełnymi zrozumienia, z pewnością najlepiej się do tego nadaje.

– Muszę cię o coś spytać, Safia – mówię. – Ale tylko ciebie.

Ostatnie słowa, „ale tylko ciebie”, podkreślam wymownym spojrzeniem w stronę kamery nad łóżkiem i kieruję do widzów krótkie przeprosiny:

– Państwo wybaczą, ale to bardzo osobista sprawa...

Naciągam kołdrę na głowę.

– Chodź tutaj – podpowiadam Safii.

– Pod twoją kołdrę? Myślisz, że mamy prawo skryć się przed kamerą?

– No tak, w przeciwnym razie umieściliby je także w łazience. Mogłybyśmy się przenieść tam, ale póki co nie mam ochoty przechodzić obok pozostałych dziewczyn...

Safia wsuwa głowę i ramiona pod kawałek delikatnego kaszmiru, pod którym się schowałam. Zostawiam tylko niewielką szparę, by wpuścić odrobinę światła, wystarczającą, żebyśmy się widziały.

– Witaj w morskiej grocie, kryjówce Léo Ognistowłosej. Nie zwracaj uwagi na okrucy, zrobiłam tu sobie mały piknik, zaraz to wytrzępię...

– Zabawne! – parska Safia. – Tutaj naprawdę ma się wrażenie, że jest się w jakimś innym miejscu! – Instynktownie zniża głos. – A więc, Léo, o co chcesz mnie zapytać?

– Czy... Czy Kris powiedziała wam, co zobaczyła, kiedy przyszła po mnie wczoraj do łazienki?

– Co zobaczyła? Nie wspomniała o niczym specjalnym, co mogłaby zobaczyć... poza tobą.

– No właśnie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem...

Czuję, jakby głęboko wewnątrz mnie rozwiązał się zaciśnięty węzeł.

Kris nic nie powiedziała!

Czuję, że znów zacznę normalnie oddychać.

Kris nic nie powiedziała!

– To nic takiego – odpowiadam z uśmiechem. – Mam po prostu poniżej karku takie małe... znamię, trochę rzucające się w oczy.

Czuję się niezręcznie, okłamując Safię, która jest dla mnie taka miła. Ale całe moje życie sprowadza się do tego kłamstwa: zachowywać się, jakbym była normalną dziewczyną, i ukrywać Salamandrę. Nie

czuję się na siłach, by pokazać ją Safii, jeszcze nie teraz.

– Tak, wiem, to śmieszne – dodaję, by temat został na zawsze pogrzebany. – To taki absurdalny kompleks. Ale cóż począć, wszyscy mamy jakieś kompleksy, prawda?

Safia kiwa głową z poważną miną.

– Rozumiem – przyznaje. – Tak jak mówisz, każdy z nas ma małą skazę, z którą stara się jakoś żyć. Jestem pewna, że twoje znamię to nic poważnego, pewnie jest całkiem urocze. Ale rozumiem, że chcesz je ukryć. To twój wybór. Nie wiem, czy to pomoże, ale powiem ci, że ja mam w życiorysie coś znacznie gorszego...

Po tych słowach nieco unosi kóldrę nad głową i odgarnia swe gęste czarne włosy, gładkie i błyszczące jak jedwab, by rozchylić sari pod szyją i pokazać mi swój dekolt. Mimo półmroku wyraźnie rozróżniam obrzęknięte i ciemniejsze fragmenty skóry po prawej stronie, między mostkiem a początkiem piersi. Te fragmenty nie są większe niż ślady po dużych kroplach deszczu, zupełnie nieporównywalne z Salamandrą, która zajmuje połowę moich pleców. Jednak rozpoznaję szorstką powierzchnię poparzonej, zmasakrowanej, martwej skóry.

– Sparzył cię... ogień... – szepczę z gardłem ściśniętym od emocji.

– Nie, nie ogień. Zrobił mi to człowiek.

Safia jest teraz tak blisko, że czuję jej oddech na mojej twarzy przy każdym słowie, które wypowiada.

– Człowiek? – powtarzam.

– Ten, którego wybrali dla mnie rodzice, a ja nie zgodziłam się go poślubić. Miałam szesnaście lat, a on trzydzieści pięć. Nie potrafił znieść odmowy. Próbował mnie oszpecić, oblewając kwasem, jak czasem robią wzgardzeni zakochani mężczyźni w moim kraju.

– To straszne!

– Nie tak straszne jak jego twarz po tym, jak udało mi się przechylić naczynie z kwasem w jego stronę. Na mój dekolt spadło tylko kilka kropli. Wyobraź sobie twarz, na którą poleciało trzy czwarte przeznaczonego dla mnie kwasu...

Historia Safii robi na mnie ogromne wrażenie. Kiedy mi to wszystko opowiada, jej głos nawet nie drży, a na nachylonej ku mnie pięknej gładkiej twarzy, która o mało nie została zupełnie oszpecona, nie malują się żadne emocje. I pomyśleć, że uważałam ją za małą, delikatną dziewczynkę, zdecydowanie zbyt kruchą, by lecieć na Marsa! Miała odwagę pokazać mi swoją skórę, podczas gdy ja nigdy nie zdobędę się na to, by odsłonić swoją. Muszę przyznać, że trochę mi wstyd.

– O ironio, mój napastnik nie złamał żadnego prawa, ale ja ledwie uniknęłam więzienia – opowiada dalej Safia. – Ale nie uniknęłam gniewu rodziny, która uznała, że ją zhańbiłam i żaden mężczyzna nie zechce mnie już nigdy poślubić. Nazajutrz po tym, jak rodzice się mnie wyrzekli, zgłosiłam się do lotu na Marsa. Serena wybrała mnie mimo ciężającej nade mną hańby. Dzięki niej i dzięki tej grze będę mogła przeżyć to, czego moi bliscy mi odmówili: będę mogła sama wybrać sobie męża.

Safia zakrywa dekolt sari i spuszcza na ramiona zasłonę czarnych włosów.

– A więc widzisz, myślę, że nie powinnaś się przejmować swoim małym znamieniem – podsumowuje ciepłym głosem. – Teraz lepiej biegnij na górę się przygotować. Jeśli wypadnie na ciebie, to chyba nie chcesz pójść do Kuli Spotkań w piżamie!

Kręcę głową, delikatnie strząsając z siebie kóldrę, która spływa z moich rudych loków jak welon.

– Dziękuję, Safia. To wiele dla mnie znaczy. Możesz być pewna, że nikomu nie powiem o twoich bliznach.

– Ani ja o twoim znamieniu.

Moje znamię... Co za eufemizm. Co za wstyd. Ale Safia niczego nie zauważa.

– Idziemy? – pyta.

– Idziemy.

KONTRPLAN

**Schron przeciwatomowy, baza na przylądku Canaveral,
wtorek 4 lipca, godz. 10.30**

– Mamy przejebane!

Roberto Salvatore wpada do bunkra, zasłaniając swym zwalistym ciałem ścianę cyfrowych monitorów, na których uczestniczki i uczestnicy przygotowują się do kolejnej szybkiej randki.

Rzuca gazetę na środek stołu zawalonego filiżankami po kawie i resztkami śniadania, przy którym siedzi szóstka pozostałych konspiratorów. Na pierwszej stronie widnieje fotografia przedstawiająca jakąś białą błyszczącą kulę.

– A co to takiego? – Geronimo Blackbull, instruktor inżynierii, ziewa. Zdejmuje ze stołu nogi w kowbojskich butach i pochyla swoją pomarszczoną twarz nad gazetą. Okruchy pączków ze stołu wplątują się w długą czarną sieć jego włosów jak ryby w morskich głębinach. – To nowa egzoplaneta odkryta poza Układem Słonecznym?

– Nie opowiadaj głupstw! – oburza się Odette Stuart-Smith, instruktorka planetologii. – Gdyby tak było, pierwsza bym o tym wiedziała.

– Szczerze wątpię, czy z twoją krótkowzrocznością zdołałabyś zauważyć cokolwiek poza Układem Słonecznym. Z trudem dostrzegasz koniec własnego nosa.

Gordon Lock gwałtownie ucina tę rozmowę:

– Dosyć! To nie czas na dziecinadę. Dla waszej informacji: to zdjęcie przedstawia moją głowę widzianą z góry. – Chwyta gazetę i gniewnym głosem odczytuje informację na pierwszej stronie: – „Włamanie do programu Genesis: nielegalnie udostępniane filmy z sali kontroli misji zyskują tyle samo odsłon co oficjalna strona Genesis”.

Gordon Lock odrzuca gazetę, jakby sam dotyk papieru napawał go wstrętem.

– Od wczorajszego wieczoru, gdy odkryliśmy stronę Genesis Piracy, wiemy, że w tych murach jest szpieg – przyznaje. – Ale to nie powód, by tracić zimną krew. Poprosiliśmy już amerykański rząd o zablokowanie adresu genesis-piracy.com. Na razie szpieg dostał się wyłącznie do sali kontroli, a tu nikt nie wie o naszym sekrecie. Nie ma czerwonego alarmu.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie ma czerwonego alarmu – protestuje Roberto Salvatore, a jego obwisłe policzki trzęsą się pod wpływem emocji. – Kto może wiedzieć, jakimi informacjami ten cholerny szpieg naprawdę dysponuje i jakie jeszcze rewelacje zamierza ujawnić? A jeśli dowiedział się o raporcie Noego? A jeśli zdradzi światu, że wszystkie te przekłete zwierzęta wysłane potajemnie w siódmym Gnieździe Miłości zdechły? To wszystko twoja wina, Gordonie. W twojej ekipie inżynierów jest szpieg, którego nie potrafiłeś zdemaskować. Cholera, facet sfilmował cię z odległości dwóch metrów, a ty się nawet nie zorientowałeś!

Gordon wali pięścią w stół z całą siłą tkwiącą w jego ramieniu zapasnika, przewracając filiżankę kawy na biały kitel Archibalda Dragovica.

– Te insynuacje są nie do przyjęcia! Nie ma żadnej możliwości, by pracownicy sali kontroli domyślali się czegokolwiek o naszym małym porozumieniu, rozumiesz? Żadnej! Co więcej, żaden pracownik nie ma interesu w tym, żeby rozpowszechniać tajne informacje, ryzykując utratę pracy. A biorąc pod uwagę kąt, z jakiego filmowano, jest oczywiste, że to nie człowiek trzymał i obsługiwał kamerę.

– A więc kto? – pyta z powątpiewaniem Geronimo Blackbull, nawijając kosmyki swych czarnych włosów na końcówki palców ozdobionych pierścieniami z wizerunkami trupich czaszek. – Duch jednego z pasażerów Challengeera czy jakiejś innej ofiary katastrofy kosmicznej, który powrócił na Ziemię, by się zemścić na niegodziwcach wysyłających młodych astronautów na pewną śmierć?

Odette Stuart-Smith blednie.

– Zamknij się, bezbożniku, podstarzały, satanistyczny hipisie! Nie żartuje się z zaświatów.

Instynktownie dotyka krzyżyka zawieszzonego na szyi osłoniętej golfem.

– Ja nie wierzę w duchy – mówi dyrektor Lock. – Za to wierzę w technologię. Myślę, że mamy tu do czynienia z latającym robotem. Zdalnie sterowanym dronem.

– Niemożliwe! – protestuje Geronimo Blackbull. – To miejsce to prawdziwa elektromagnetyczna forteca. Łączność naziemna na całym obszarze przylądka Canaveral jest zagłuszana, z wyjątkiem zabezpieczonej sieci wewnętrznej, w której działają tylko przewodowe kamery monitoringu, krótkofalówki załogi i broszka-mikrofon Sereny. Jeśli zaś chodzi o świat zewnętrzny, możliwe są tylko trzy sygnały i kontrolujemy je wszystkie. Pierwszy jest sygnałem przychodzącym do bazy: to strumień danych ze statku Cupido, przechwytywany przez nasze odbiorniki. Dwa pozostałe wychodzą od nas: po pierwsze odsyłamy sygnał zwrotny do statku, co pozwala Serenie na interakcję z pasażerami, po drugie po zmontowaniu ujęć transmitujemy je na kanale Genesis na cały świat. To wszystko. Bez obrazy dla naszej dewotki, ale ten domniemany dron nie może przecież latać mocą Ducha Świętego!

Odette Stuart-Smith dłużej nie wytrzymuje – robi znak krzyża i mamrocze początek modlitwy:

– Chronń nas, Boże...

– Nie liczymy na ochronę Boga, tylko na samych siebie.

Gdy głos zabiera kolejna osoba, zwracają się na nią wszystkie oczy. To Serena McBee, rozparta w swoim wielkim czarnym skórzanym fotelu, gdzie w milczeniu od początku przysłuchiwała się rozmowie. Kiedy wstaje, jej srebrne włosy lśnią, odbijając blask halogenowych lampek.

– Tym razem Gordon Lock ma rację, panika niczemu nie służy – ciągnie. – Atlas oczekuje od nas zachowania minimum zimnej krwi, drodzy przyjaciele. To dlatego zaufałam właśnie nam. Musimy po prostu bardziej uważać. Co do raportu Noego, nie wiem już, jakim językiem mam wam to powtarzać: zaszyfrowany plik cyfrowy został usunięty, a dla widzów kanału Genesis siódme Gniazdo Miłości jest tak samo puste jak sześć pozostałych.

Ten bunkier, który wybraliśmy na naszą kwaterę główną, został gruntownie przeczesany pod kątem ukrytych mikrofonów bądź kamer. Ponadto przed wejściem wisi czytnik siatkówki oka, więc dostęp ma tu wyłącznie nasza siódemka. Tutaj nie musimy się niczego obawiać. Zabezpieczyłam także dostęp do montażowni: każdy, kto tam wchodzi, musi przejść przez służbę kontrolną. Nie ma szans, by dron wśliznął się niezauważony. Pozostaje nam odszukać miejsce, w którym jest teraz ukryty. Czy znajduje się wciąż w sali kontroli? Nie wiemy, jakie są kształt i rozmiary urządzenia ani prawdziwe intencje tego, kto nim kieruje. Z pewnością nie robi tego dla pieniędzy, ponieważ na stronie Genesis Piracy nie ma ani jednej reklamy, co zresztą utrudnia jego namierzenie. Dlaczego więc ten haker działa? Z zamiłowania do ryzyka, dla sławy i chwały, z powodu jakichś politycznych ideałów czy z rządu zemsty? Jestem pewna, że wkrótce się zdradzi. Kiedy następnym razem przystąpi do akcji, będę na niego czekać. Ludzka psychika nie ma tajemnic dla kogoś takiego jak ja, kto ma do niej klucz...

Ledwie Serena McBee kończy zdanie, gdy na cyfrowej ścianie w głębi bunkra pojawia się nowe okno, a wszystkie pozostałe maleją.

Ukazuje się w nim twarz młodej asystentki Sereny w srebrnych słuchawkach, zrosniętych z nią już chyba na stałe, w transmisji na żywo z montażowni.

– O co chodzi, Samantha? – pyta producentka.

– Chciałam panią uprzedzić, że w wyniku losowania przeprowadzonego pod nadzorem Komisji Kontroli Gier i Zakładów do dzisiejszej szybkiej randki została wybrana Elizabeth, Brytyjka. Spotkanie rozpocznie się za dziesięć minut.

– Doskonale! Muszę przyznać, że bardzo lubię tę dziewczynę. Wie, czego chce, i nie cofnie się przed niczym, by to zdobyć. Jednocześnie wykazuje dużą empatię wobec innych, przynajmniej tak to wygląda na zewnątrz. Ta mała daleko zajdzie, nie to, co te, które rzucają się na podłogę całe

w spazmach przy pierwszych małych trudnościach czy dąsają się w łóżku, bo spotkała je mała przykrość. Będę komentować z bunkra, tak jak wczoraj. Możesz wydać dyspozycje, Samantha.

KANAL GENESIS

Wtorek 4 lipca, godz. 11.00

Czarne tło.

Przejdźcie do statycznego ujęcia wnętrza Kuli Spotkań na tle nieba usianego gwiazdami.

Napisy: DRUGIE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: ELIZABETH, LAT 18, WIELKA BRYTANIA, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE INŻYNIERII (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 5 SEKUND).

Werble.

Zbliżenie na kok Elizabeth, który wylania się z wejścia do Kuli po lewej stronie. Dziewczyna jak zwykle jest ubrana skromnie: beżowe opięte na kostkach spodnie, obcisły sweter w kolorze écru z długimi rękawami i golfem grzecznie zakrywającym szyję, włosy wysoko opięte w kok baletnicy.

Serena (głos z offu): *Witaj, Elizabeth! Słodka, spokojna Elizabeth. Twoja skromność i uczciwość z pewnością zdążyły już przekonać do ciebie widzów... Czy przekonają także chłopców? Moja droga Elizabeth, jak się w tej chwili czujesz? Nie masz zbyt dużej tremy?*

Elizabeth (z tajemniczym uśmiechem): *Dziękuję, Sereno, czuję się dobrze. Myślę, że jestem gotowa. (Starannie zamyka za sobą dźwiękoszczelne drzwi). Nasza mała umowa wciąż aktualna?*

Serena (głos z offu pięć sekund później): *Oczywiście, że wciąż aktualna! Wystarczy, że dasz znak ręką w kierunku kamery. Ale nie zdradzajmy widzom niczego więcej, by nie psuć niespodzianki... Powiedz nam raczej: którego chłopca pragniesz dzisiaj zaprosić?*

Elizabeth: *Chcę zaprosić Aleksieja, specjalistę w dziedzinie medycyny...*

Serena (głos z offu): *Ach, Rosja! Kraj baletu! Jestem pewna, że to zaważyło na twoim wyborze. Powiadomimy szczęśliwego wybranca. Do usłyszenia za chwilę, Elizabeth!*

Głos spoza kadru milknie.

Elizabeth natychmiast rozpina i zdejmuje spodnie, które odlatują niczym zeschnięty liść porwany przez wiatr, odsłaniając długie nogi w czarnych kabaretkach. Następnie ściąga sweter. Ukazują się nagie ramiona i dekolt eksponujący jej zgrabne piersi, uwydatnione przez wytworny gorset z czarnego aksamitu, bogato zdobiony kryształkami, które mieniają się i błyszczą niczym gwiazdy za szybą szklanej kuli. Dziewczyna rozpuszcza włosy, które rozpościerają się wokół niej niczym czarny aksamitny sztandar. Jeszcze ostatnie pociągnięcie: wyciąga spod gorsetu szminkę i pewną ręką maluje usta na ciemnoczerwony kolor, co błyskawicznie zmienia ją w *femme fatale*.

Werble.

Plan totalny.

Na ekranie wyświetla się zegar odliczający minuty spotkania i w tej samej chwili po prawej stronie Kuli Spotkań zza trapu wylania się jasna głowa Aleksieja.

Zbliżenie: platynowe włosy, fryzura żywcem wyjęta z jakiegoś hollywoodzkiego filmu, oczy stalowoniebieskie, mocno zarysowana szczeka – dzisiejszy wybraniec wygląda jak model z żurnala. Całość dopełnia biały garnitur z elegancką szarą lamówką przy klapie podkreślający idealnie zbudowane ciało.

Aleksiej (na widok Elizabeth): *Wow!*

Elizabeth (z uśmiechem na czerwonych ustach): *To samo mogę powiedzieć o tobie: Wow! Strzał w dziesiątkę!*

Aleksiej (głębokim głosem, w którym pobrzmiewa lekki słowiański akcent): *Wyglądasz po prostu... cudownie! Muszę się upewnić: pozostałe dziewczyny nie są tak wystrzałowe jak ty? Już jedna przyprawia mnie o palpitacje serca, przy sześciu padłbym chyba na zawał!*

Elizabeth (porozumiewawczo mruga okiem): Jeśli przeżyjesz to spotkanie, twoje serce przetrwa wszystko. Pozostałe dziewczyny są urocze, na swój sposób, i to by było tyle, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć. Ta gra opiera się na rywalizacji. Nie wiem, czy będą w stanie jej sprostać. Ale gusta są różne, więc nie chciałabym, żebyś pomyślał, że się przechwalam.

Aleksiej: A jednak miałabyś do tego pełne prawo!

Uśmiecha się szeroko, pokazując równy rząd błyszczących zębów. W policzkach pojawiają mu się małe dołeczki, co natychmiast wyłapują kamery.

Elizabeth (zniżając głos): Twój uśmiech jest nieprzyzwoicie czarujący.

Aleksiej (także o ton niżej): To ty sprawiasz, że czuję się oczarowany.

Elizabeth: Och! Nie da się ukryć, że między nami iskrzy! Musimy trochę obniżyć temperaturę, bo inaczej wszystko zaraz wybuchnie! A może każde opowie coś o sobie? (Patrzy na zegarek). Zostały nam tylko cztery minuty. Po dwie dla każdego?

Aleksiej: Okej, ja zacznę. Ale jeśli pozwolisz, zdejmę marynarkę, bo rzeczywiście zrobiło mi się przy tobie strasznie gorąco... (zręcznym ruchem zrzuca marynarkę, rozluźnia krawat, rozpina kołnierzyk koszuli i podwija rękawy, odsłaniając umięśnione przedramiona) ... i zamknę oczy, bo twój blask mnie oślepia. Obawiam się, że jeśli wciąż będę na ciebie patrzył, to nie będę w stanie sklecić ani jednego sensownego zdania. A nie chcę wyjść przed taką dziewczyną na kretyna!

Oboje zanoszą się szalonym śmiechem.

Zbliżenie na zamykające się powieki Aleksieja. W kącikach oczu zbierają mu się małe łzy, które spływają i rozpraszają się w przestrzeni Kuli na małe drobinki jak rozerwany sznur pereł.

Aleksiej (pozwalając, by jego ciało dryfowało w przestrzeni): A więc urodziłem się na przedmieściach Moskwy w zwyczajnej rodzinie z klasy średniej, bez historii. Nie byliśmy bogaci, jednak rodzice jakoś wiązali koniec z końcem dzięki małemu sklepikowi spożywczemu, który prowadzili. Mój ojciec przewidywał, że go zastąpię, kiedy przejdzie na emeryturę. Ale ja chciałem czegoś innego. Czegoś większego, bardziej ekscytującego, szlachetniejszego. Od dzieciństwa marzyłem o rycerstwie, o bohaterskich czynach przekraczających ludzkie możliwości, o wielkiej Rosji, tej legendarnej, która już nie istnieje. Rzuciłem liceum i zacząłem się spotykać z innymi młodymi ludźmi, którzy tak jak ja tęsknili do tego ideału.

Z wciąż zamkniętymi oczami Aleksiej zaczyna się kręcić wokół własnej osi, prezentując swoje dobrze zbudowane, sprężyste ciało.

Wskazówka zegara wyświetlającego się na ekranie jest już na półmetku swej trasy – połowa czasu minęła.

Aleksiej: Przez dwa lata żyłem z nowymi przyjaciółmi. Prowadziliśmy wspaniałe dyskusje, robiliśmy rzeczy, o których nigdy nie myślałem, że je zrobię. Stawialiśmy czoło miejskiej dżungli, która w gruncie rzeczy jest odpowiednikiem głębokich kniei, gdzie dawni rycerze szukali przygód i wyzwań, by udowodnić swoją wartość. A później, pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że nawet to mi nie wystarcza. Potrzebowałem czegoś więcej. I zgłosiłem się do programu Genesis. (Bez uprzedzenia otwiera niebieskie oczy). Oto moja historia. Jestem tu, by urzeczywistnić marzenie z dzieciństwa. Próbuję zostać rycerzem pozaziemskiej przestrzeni.

Elizabeth: To piękna historia. Romantyczna. Ale czy przeznaczeniem każdego rycerza nie jest umrzeć z miłości do szlachetnej damy, której ofiaruje swe serce? Przynajmniej tak się dzieje we wszystkich operach i baletach.

Aleksiej (przykłada dłoń do szklanej ściany, która oddziela go od dziewczyny): Na Ziemi byłaś tancerką, prawda, Elizabeth?

Zamiast odpowiedzieć, Elizabeth sprawdza na zegarku, ile czasu jej zostało – ponad dwie minuty – po czym daje ręką znak w kierunku kamery, wyciągając kciuk do góry.

W tej chwili w Kuli Spotkań rozbrzmiewa przepiękny utwór grany przez orkiestrę symfoniczną.

Wszystkie gwiazdy na niebie zdają się ruszać do walca.

Aleksiej (z szeroko otwartymi oczami, bardzo poruszony): Ja... Znam tę melodię! To rosyjski balet, prawda? Czajkowski? *Jeziro łabędzie*?

Elizabeth z wdziękiem rozpościera ramiona, imitując lot wielkiego czarnego łabędzia, coraz szerzej i mocniej, w miarę jak muzyka staje się coraz głośniejsza. Unosi się pomału nad oszołomionym Aleksiejem.

Elizabeth: Byłam tancerką, wciąż nią jestem i zawsze będę, bo tancerką jest się przez całe życie. Tak samo jak ty chciałabym się wznieść ponad banał codziennego życia. Moi rodzice nigdy tego nie rozumieli, dla nich to nie był prawdziwy zawód, tylko strata czasu. Chcieli zakazać mi tańca, abym skupiła się na studiach. Ale ja poświęcałam cały swój czas na ćwiczenia, bo miałam tylko jedno marzenie: dostać się do Royal Ballet, najbardziej prestiżowej grupy baletowej w Wielkiej Brytanii.

Muzyka nabiera dramatyzmu.

W idealnej harmonii ze skrzypcami, poruszając się w stanie nieważkości, jakby to było jej naturalne środowisko, Elizabeth zaczyna się kręcić wokół własnej osi, płynie przez Kulę Spotkań, a jej włosy wirują niczym czarne pióra łabędzia. Elegancki ruch ręką, by sprawdzić, ile czasu jeszcze zostało – trochę ponad minutę.

Elizabeth (mówi teraz bardzo szybko): Niekończące się kłótnie. Ciągłe ucieczki z domu. W końcu samodzielne życie w wieku szesnastu lat. Dołączyłam do małego zespołu baletowego. Potem do następnego, trochę większego. Wszystko w jednym celu: by przygotować się do egzaminu wstępnego do Royal Ballet. Pracowałam dzień i noc. Bez wytchnienia. Aż przestałam odczuwać ból. Aż przekształciłam swoje ciało w dzieło sztuki.

Muzyka staje się mroczna i niepokojąca.

Wskazówka zegara niemal ukończyła swój bieg. Zostało zaledwie kilka sekund... Elizabeth wykonuje figurę *entrechat*, która przeradza się w skok na kilka metrów. Jej sprężyste ciało wzbija się w kierunku anteny, która wieńczy Kulę Spotkań, a kryształ na gorsecie tancerki odbijają światło gwiazd. Dziewczyna opiera się o szklaną przegrodę dokładnie w miejscu, gdzie dotyka jej Aleksiej, po czym ze zdumiewającą łatwością wykonuje szpagat w pionie i patrzy głęboko w oczy oniemiałego chłopaka.

Elizabeth (na jednym oddechu): To dzieło sztuki mogłoby być twoje, rycerzu, ponieważ Royal Ballet go nie chciał. Nie przyjęli mnie. Wieczorem tego samego dnia, gdy się o tym dowiedziałam, wysłałam zgłoszenie do programu. Postanowiłam zostać gwiazdą tańca na przekór wszystkim. A ty mógłbyś zostać moim księciem.

Elizabeth muska szklaną szybę pomalowanymi ustami, zostawiając ślad pocałunku kilka centymetrów od twarzy Aleksieja. W tej samej chwili głos dzwonka brutalnie przerywa muzykę z *Jeziro łabędziego*.

To koniec spotkania.

Elizabeth łączy nogi, opiera się o szklaną ścianę, odpycha się od niej i odlatuje w głąb szklanej kuli, gdzie delikatnie zbiera swoje spodnie i sweter, by znów je na siebie włożyć.

Serena (głos z offu): *Brawo! Bravissimo! Co za popis! A przede wszystkim co za niespodziankę zgotowała nam nasza słodka Elizabeth, nasz biały łabędź, który skrywał pod spodem czarne pióra. Czy Aleksiej poprosi o bis? Odpowiedź w przyszłym tygodniu, kiedy to chłopcy będą zapraszać dziewczęta.*

Już w swoich zwykłych ubraniach Elizabeth wyciąga z kieszeni chusteczkę i wyciera szminkę z ust, szybko związuje też włosy nową gumką. Następnie kłania się jak w teatrze, po czym podnosi klapę i znika w korytarzu.

Stopniowe zaciemnianie kadru aż do całkowitej czerni.

Czołówka.

PLAN

Start + 1 dzień, 21 godz., 45 min
(Pierwszy tydzień)

Liz wraca do salonu. Lekki uśmiech błąka się na jej bladych wargach, których nigdy nie maluje, chyba że bardzo delikatnie. Jej sweter jest trochę zmięty, a z koczka, upiętego, zdaje się, z mniejszą starannością niż zwykle, wymknęło się kilka kosmyków – to z pewnością efekt stanu nieważkości panującego w Kuli Spotkań.

Dziewczyny okrażają ją i zarzucają pytaniami, a Louve biega dookoła, poszczekując, jakby też chciała się przyłączyć do rozmowy. Ja wolę się przysłuchiwać z oddalenia, siedząc na kanapie. Moja obecność zdaje się tolerowana, ale odkąd Safia przyprowadziła mnie tu z sypialni, żadna z dziewczyn poza nią nie odezwała się do mnie słowem. Dają mi odczuć, że kwarantanna jeszcze się nie skończyła.

– Opowiadaj! – woła Kris, która od początku zdaje się szaleć na punkcie Aleksieja. – Czy na żywo jest równie słodki, jak na zdjęciu w czołówce?

– Taaak... – Liz się uśmiecha, podsycając ekscytację dziewczyn.

– Szczegóły! – żąda Kelly. – Chcemy szczegółów!

Liz nie wytrzymuje dłużej, pozwala sobie na wybuch entuzjazmu:

– W rzeczywistości jest cudowny! Bardzo naturalny, z anielskim uśmiechem! A przy tym romantyczny. Prawdziwy książę z bajki.

– Wiedziałam! – wykrzykuje triumfalnie Kris. – Jak bohater mojej ukochanej powieści *Śnieżny książę*! – Natychmiast dodaje z pewną obawą: – Myślisz, że mu się spodobałaś?

– Ja? O nie! Ja jestem taka... nijaka. Nie będzie chciał mnie więcej widzieć. Te sześć minut to zapewne jedyne chwile, jakie spędziłam i spędzę w jego towarzystwie.

Deklaracja Liz wywołuje lawinę słów pocieszenia. Trudno stwierdzić, czy są szczerze, ale tego wymaga gra, nieprawdaż? Jedyne Louve zdaje się nie podzielać ogólnego podniecenia, trzymając wartę przy swojej pustej misce w głębi kącika kuchennego.

Oddalam się od grupy, by pogłaskać ją po głowie.

– Mam wrażenie, że uśmiech Aleksieja i muskuły Tao nic cię nie obchodzą, co? Jedyne, czym jesteś zainteresowana, to twój obiad. Poczekaj, otworzę puszkę. Kuskus po królewsku, może być?

Uznaję krótkie szczeknięcie Louve za entuzjastyczną zgodę.

Chwilę później suczka zanurza nos w żółtawej, śmierdzącej miksturze, która przypomina mi najlepsze czasy w Eden Food France.

– Léo?...

Zrywam się na równe nogi.

Za moimi plecami stoi Kris – ale nie ta okrutna Kris o oczach granatowych jak noc, niedawno przeze mnie odkryta, tylko ta, którą uważam za siostrę: Kris o oczach jasnoniebieskich, wcielenie uprzejmości i słodczy.

– Czy mogę cię prosić o wybaczenie, Léo?...

Jej głos odrobinę drży. Ciało również. Z pewnością obawia się, że rozkwaszę jej czymś nos – pięścią albo otwieraczem do puszek, który ciągle trzymam w dłoni. To, że myśli, że mogłabym znowu zrobić jej krzywdę, rozdziera mi serce.

– Żartujesz, Kris?! – Rzucam okiem na pozostałe dziewczyny, ale są zbyt skupione na Liz, by zwracać na nas uwagę. – To raczej ja powinnam prosić ciebie o wybaczenie po tym, co się stało... – Dodaję szeptem: – Powinnam była powiedzieć ci o wiele wcześniej o swojej... skazie, zamiast pozwolić, byś odkryła ją w ten sposób. Ale bardzo się bałam, że poczujesz do mnie odrazę. Dziękuję, że nie

powiedziałaś o tym dziewczynom, choć sobie na to zasłużyłam.

Kris uśmiecha się nieśmiało.

– Wcale nie czuję do ciebie odrazy, wręcz przeciwnie, uważam, że wyglądasz dzisiaj prześlicznie.

Prześlicznie? Zerkam na swoje odbicie w małym lusterku zawieszonym nad kuchennym blatem. Choć nie zdobyłam się na to, by zmienić stare wytarte džinsy na sukienkę, to odważyłam się włożyć jeden z topów od Rosiera, który wydał mi się najskromniejszy: koszulkę z szarego dżerseju, która opina mi piersi i talię (zażądałam, by wszystkie moje ubrania zakrywały ramiona – ludzie od Rosiera musieli pomyśleć, że jestem zmarzluchem takim jak Liz). To spora odmiana w porównaniu z bezkształtnymi T-shirtami, które zwykle noszę. Zamieniłam też zwykłą praktyczną, ale nudną gumkę na szeroką wstążkę z czarnej satyny, którą wplotłam misternie we włosy, tak jak nauczyli mnie ludzie od Rosiera, przez co nadałam fryzurze odrobinę niewątpliwej elegancji. No i wreszcie nałożyłam delikatny makijaż – nic wielkiego, ale ponieważ nie maluję się prawie wcale, to dla mnie prawdziwa rewolucja. Błyszczący na ustach sprawia, że wydają się pełne i zmysłowe, tusz wydłuża rzęsy i podkreśla oczy – nigdy wcześniej nie zauważyłam, że są takie złociste.

– Dziękuję... – odpowiadam.

Kris uśmiecha się dużo śmieiej. Jej twarz jaśnieje.

Guz na czole już prawie całkiem zniknął.

– Udało mi się przygotować deser ze składników, które tu mamy – mówi. – Żółtko z tubki i śmietana w proszku: nie wiem, ile są warte. Ponadto przy tak małej sile ciężenia trudno to ubić. Ale liczę, że będzie jadalne. Przygotowałam crème brûlée, twój ulubiony deser, Leopardzico!

KONTRPLAN

Schron przeciwbombowy, baza na przylądku Canaveral, wtorek 4 lipca, godz. 11.55

– Patrzcie, obrażalska wróciła! – szydzi Serena McBee, wskazując jeden z ekranów po lewej stronie. – Znowu doskonale się rozumieją... aż do następnej kłótni. Korzystajmy, póki czas.

Naciska swoją srebrną broszkę i szybko wydaje krótkie instrukcje:

– Serena do montażowni. Przełączcie się na kamerę G2R: *girls, 2nd floor, right view*. Zostańcie tam przynajmniej przez kwadrans, zanim przełączycie na stronę chłopców. Wzruszające pojednania i wylewne uczucia to jest to, co widzowie kochają najbardziej.

Centralny ekran, na którym widać to, co oglądają widzowie kanału Genesis, pokazuje sześć uczestniczek zasiadających razem do obiadu. Kelly jako pierwsza radośnie wita powrót Léonor.

Kelly: No nareszcie. Bestia już ujarzmiona?

Fangfang: Świetnie wyglądasz, Léo.

Liz: Jestem taka szczęśliwa, że znowu jesteśmy wszystkie razem, tak jak wcześniej!

Jednak po kilku chwilach na cyfrowej ścianie otwiera się nowe okno, w którym pojawia się twarz Samantha.

– Proszę pani...

– Tak, Samantha? – odpowiada Serena z pewnym rozdrażnieniem. – Co się dzieje? Prosiłam o kwadrans na G2R, nie dwie minuty. Czy zamiast wydawać instrukcje stąd, będę zmuszona pojawić się osobiście w montażowni i sama wykonać własne polecenia?

– Nie, pani polecenia są jasne. Ale przyszli panowie z policji, którzy chcą z panią porozmawiać.

Kadr widoczny na ekranie nieco się poszerza, ukazując dwóch poważnych mężczyzn w garniturach i krawatach. Stoją w montażowni obok asystentki.

– Serena McBee może nas zobaczyć? – pyta starszy z nich.

– Tak – odpowiada Samantha. – Pani McBee jest w tej chwili na spotkaniu w podziemiach, ale widzi panów, słyszy i może odpowiedzieć. Proszę mówić prosto do kamery monitoringu.

– No dobrze... Eee... Dzień dobry pani. Tu inspektor Larry Garcia z FBI.

– Dzień dobry, panie inspektorze – odpowiada Serena. – Przykro mi, że nie mogę w tej chwili przyjść na górę. Kończymy ważne spotkanie z moimi współpracownikami. Rozumie pan, uroki programów na żywo...

Serena patrzy znacząco na wspomnianych współpracowników, jakby chciała dać im do zrozumienia, że mimo wizyty policji wszystko jest pod kontrolą. Białe, surowe światło lamp halogenowych pada na zaniepokojone twarze: Roberto Salvatore stuka nerwowo w blat stołu, Geronimo Blackbull ogląda własne pierścienie z trupimi czaszkami, Odette Stuart-Smith uczepiła się swego krzyżyka, Archibald Dragovic i doktor Montgomery po prostu zaciskają zęby. Co do Gordona Locka, zalewa go zimny pot, jak zawsze, kiedy jest zaniepokojony.

– Uroki programów na żywo? – powtarza inspektor Garcia na ekranie. – Ach tak, oczywiście... Musi być pani bardzo zajęta. Moja żona i ja jesteśmy wielkimi fanami pani programu *Wizyta u profesor McBee*. Porady, jakich tam pani udziela, bardzo pomogły naszemu małżeństwu. Bukiet kwiatów co tydzień potrafi zdziałać cuda!

Na surowej twarzy inspektora Garcii pojawia się uśmiech, odbicie małych małżeńskich triumfów, intymnych chwil szczęścia.

– Dziękuję, inspektorze – odpowiada Serena. – Ale obawiam się, że nie przyjechał pan tu, na przylądek Canaveral, by dać mi kwiaty. Co mogę dla pana zrobić? Mogę przyjść na górę za kilka minut,

jeśli pan sobie życzy.

– Nie, nie, proszę spokojnie skończyć spotkanie, pani McBee – mówi inspektor, odzyskawszy swój profesjonalny ton. – To nic pilnego. Chciałem tylko panią poinformować, że... odnaleźliśmy pani współpracownika Shermana Fishera.

– Sherman! – wykrzykuje Serena, perfekcyjnie odgrywając zaskoczenie. – Bogu niech będą dzięki! ... Nareszcie! Mam nadzieję, że wszystko u niego w porządku?

– Zginął w wypadku samochodowym na drodze biegnącej przez Dolinę Śmierci. Jego samochód uderzył w skałę. Zgon nastąpił zapewne kilka tygodni temu, ale trzeba było czasu, żeby odnaleźć ciało na tym odludziu... Pogrzeb odbędzie się w niedzielę niedaleko Beverly Hills. Bardzo mi przykro, pani McBee.

PLAN

Start + 2 dni, 18 godz., 30 min (Pierwszy tydzień)

W sypialni rozbrzmiewa symfonia obwieszczająca początek naszego trzeciego dnia na pokładzie Cupido. Na monitorach nad łózkami pojawia się twarz Sereny. Założyła dziś szmaragdowe kolczyki, idealnie dopasowane do cieni na powiekach.

– Dzień dobry wszystkim! Dziś mamy środę. W Ameryce właśnie wybiła godzina ósma rano! Gotowi na nowy dzień... i na nowe spotkanie?

Odpowiada jej zgodny chór ziewnięć i potakiwań.

Dziewczęta wstają jedna po drugiej.

Dziwnie się czuję, kiedy moje bose stopy dotykają ziemi. Ciało wydaje się zbyt lekkie. Jeszcze się nie przyzwyczałam do grawitacji sześćdziesiąt procent słabszej niż na Ziemi. Najwyraźniej Kris też nie, sądząc po sposobie, w jaki schodzi z górnego piętra łóżka.

– Uważaj! – wołam, łapiąc ją w ostatniej chwili.

– Ups! Dziękuję, Léo! Jestem taka niezdarna. Kręci mi się w głowie...

– To przez ten guz? – pytam zaniepokojona.

– Nie, już go nawet nie czuję. Ale odkąd jesteśmy na pokładzie statku, za każdym razem, kiedy przechodzę z pozycji poziomej do pionowej, mam zawroty głowy i mdłości... Tak jak w czasie ćwiczeń w wirówce przeciążeniowej, pamiętasz?

– Jestem pewna, że to przejdzie z czasem, Kris. W końcu dopiero co wystartowaliśmy, musisz dać organizmowi czas, by się przyzwyczał. Jeśli chcesz, zrobię ci zastrzyk z lekiem przeciwhistaminowym. To pomaga na chorobę kosmiczną.

Naszą rozmowę przerywa Serena – jej zwielokrotniona twarz ma nam coś ważnego do zakomunikowania.

– Czy mogę prosić o waszą uwagę, droga młodzieży?

Odpowiada jej głośnie zgodne „tak!”, mimo to pozostaje nieruchoma przez kilka chwil, jakby nie usłyszała. To już prawie trzy dni, odkąd wystartowaliśmy, co oznacza, że trzy sekundy świetlne dzielą nas od Ziemi – potrzeba tych trzech sekund, by nasze „tak!” dotarło do uszu Sereny, i kolejnych trzech sekund, byśmy usłyszeli jej reakcję.

– Doskonale – mówi w końcu z opóźnieniem. – Drogie uczestniczki, drodzy uczestnicy i wy, najdrożsi widzowie, przyszedł czas, by po raz pierwszy podsumować wysokość Posagów. Od startu Cupido darowizny z czterech stron świata nie przestają napływać! Zobaczmy, jak to wygląda w tej chwili...

	POSAGI		
UCZESTNICZKI			UCZESTNICZY
Kirsten (DEU)	2 580 234 \$	Aleksiej (RUS)	3 000 560 \$
Elizabeth (GBR)	2 470 260 \$	Tao (CHN)	1 905 345 \$
Fangfang (SGP)	1 905 256 \$	Mozart (BRA)	1 305 333 \$
Kelly (CAN)	1 290 556 \$	Marcus (USA)	1 103 510 \$
Safia (IND)	845 567 \$	Samson (NGA)	785 903 \$
Léonor (FRA)	306 567 \$	Kenji (JPN)	702 455 \$

Twarcz Sereny znika, by ustąpić miejsca tabeli złożonej z dwóch kolumn: po jednej stronie dziewczęta, po drugiej chłopcy, przy każdym zdjęcie portretowe, sklasyfikowani jak konie wyścigowe zgodnie z sumą zarobionych pieniędzy.

– Po stronie dziewcząt przewagę zdobyła Kirsten dzięki swemu urokowi. A może chcieliście ją

pocieszyć po jej małym wypadku, drodzy widzowie?

Jestem ostatnia w rankingu, i to z wynikiem bardzo odstającym od pozostałych, ale zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Zaskakujące, że znaleźli się jednak ludzie, którzy wpłacili trzysta tysięcy dolarów na psychopatkę ogłuszającą przyjaciółki i spędzającą większość czasu w łóżku na rysowaniu jak autystyczne dziecko. Pewnie pomyliły im się przyciski, gdy wysyłali przelewy. W każdym razie czuję, że nie zasługuję na te pieniądze...

– *Jeśli chodzi o chłopców, niezaprzeczalnym faworytem jest Aleksiej* – ciągnie Serena spoza kadru. – *Jego uśmiech jest już wart ponad trzy miliony dolarów! Ale wszystko może się jeszcze zmienić, ponieważ mamy dopiero trzeci dzień podróży, która potrwa sto sześćdziesiąt jeden dni. A więc, drodzy widzowie, nie wahajcie się i wysyłajcie przelewy. Co środę będziemy robić podsumowanie. Przypominam, że każdy uczestnik będzie mógł wykorzystać przeznaczone dla niego pieniądze do zakupu na aukcji sprzętów z bazy Nowy Eden zrzuconych na Marsa. Pokażemy wam je w połowie drogi, w specjalnym odcinku waszego ulubionego programu na kanale Genesis, oczywiście!*

Tabela z wysokością Posagów wyświetla się na ekranie przez długie minuty, dzięki czemu możemy się zachwycać zdjęciami portretowymi chłopców, które dotąd widziałyśmy tylko przez krótką chwilę w czołówce programu.

– Aleksiej jest taki piękny... – Kris wzdycha. – Te oczy w kolorze lodowego błękitu sprawiają, że mięknię mi kolana.

– Na żywo są jeszcze bardziej oszałamiające – potwierdza Liz.

Kelly gwizdże przeciągle.

– Czekajcie, dziewczyny, skoro mowa o oczach, widziałyście oczy tego czarnoskórego? Nie no, serio, taka zieleń, że wow! Ten Samson w poprzednim życiu musiał chyba być modelem... A poza tym jest cholernie dobrze zbudowany... Mozart zresztą też, widać, że nieźle napakowany pod tą białą koszulką... I Marcus, Amerykanin. Spójrzcie na jego seksowne ramiona. Która dziewczyna nie chciałaby, by ją objęły? Mój Boże, chyba zaraz zemdleję!

– Żaden nie jest tak cholernie dobrze zbudowany jak Tao – ucina Fangfang, która, zdaje się, już całkowicie przypisała sobie wielkiego Chińczyka. – A poza tym kolor oczu zawsze można zmienić. Nie wiadomo, może niektórzy uczestnicy noszą kolorowe soczewki kontaktowe...

Jednomyślne potępiające okrzyki natychmiast uciszają Fangfang.

– Co za bzdura! – Kelly na nią napada. – To tak, jakbym powiedziała, że bicepsy Tao są silikonowe!

– Przecież doskonale widać, że oczy Aleksieja są prawdziwe! – dodaje Kris, gotowa na wszystko, by bronić swego śnieżnego księcia.

– A poza tym liczą się nie tylko mięśnie – przypomina Safia. – Osobiście uważam, że Kenji też jest ładniutki, na swój sposób...

– Rzeczywiście jest coś w tym jego dzikim, tajemniczym wyglądzie – potwierdza Liz. – Wybór nie będzie prosty, dziewczyny! Serena naprawdę wyłoniła najlepszych! Zaczynam się zastanawiać, czy Léo nie ma racji z tą swoją zasadą, by co tydzień zapraszać innego chłopaka. Ale nie każdy ma tyle samodyscypliny i cierpliwości...

W tym momencie ekran gaśnie, wywołując falę gniewnych protestów, co ratuje mnie od konieczności wypowiedziania się na temat swojej słynnej reguły gry – i bardzo się z tego cieszę.

– W każdym razie jest coś, co nie będzie czekać, drogie koleżanki – rzuca Kelly. – Trzy porcje crème brûlée, które zostały z wczoraj w lodówce. Powiem tak: kto pierwszy, ten lepszy!

Zaczynają się histeryczne piski i przepychanka do drabiny prowadzącej do salonu, a ja wcale nie zamierzam być ostatnia.

– Tak bardzo się cieszę, że się pogodziłyśmy – mówi Kris, nakładając warstwę pastelowego lakieru na paznokcie.

Stojąc za kanapą, kończę upinać jej blond warkocze w koronę dookoła głowy. Sama zdecydowałam

się ostatecznie na fryzurę z czarną satynową wstążką, której szerokie zwoje „łączą się harmonijnie z moimi puklami” (jak ujęła to Kris).

– Ja też się cieszę, choćby ze względu na crème brûlée – mówię.

Kris podnosi na mnie zaniepokojone błękitne oczy.

– Ale nie tylko dlatego, mam nadzieję...

– Oczywiście, że nie. Także ze względu na strudel z jabłkami i ciasto czekoladowe. Liczę na to, że na pokładzie znajdują się składniki.

Kris wybucha śmiechem.

– Jesteś niemożliwa!

– Być może – odpowiadam z uśmiechem, nie potrafiąc zachować powagi ani sekundy dłużej. – Ale przyznaj, że nasza przyjaźń przynosi pewne praktyczne korzyści. Beze mnie twoja słynna korona jest ledwie cieniem samej siebie. Serio, kto wczoraj pomógł ci ją zrobić? Wyglądała jak wiązka siana...

Przez twarz Kris przebiega cień niepokoju.

– Naprawdę? Masz rację, efekt był inny niż zwykle... Fangfang nie ma twoich zdolności. Wiazka siana! Całe szczęście, że wczoraj nie wylosowano mnie!

– Ale spójrz na to inaczej: stylizacja na piękną wieśniaczkę ma w sobie powiew świeżości, to się może podobać...

– Léonor!

– Tak, tak, zapewniam cię. Liz mówiła, że twój Rosjanin jest bardzo naturalny. Może kocha wieś, hoże dziewczoje pachnące skoszoną trawą i igraszki w stogu siana.

Naśladuję ton głosu i maniery fryzjerki z szykownego salonu:

– Tapirujemy końcówki, by uzyskać efekt chłopki w zagrodzie, *madaaame?*

Kris nie wytrzymuje dłużej, wskakuje na kanapę i rzuca się na mnie.

– Poczekaj, Leopardzico, zaraz ciebie natapiruję!

Urządzamy szaleńczą pogoń przez salon.

– Uważajcie! – krzyczy oburzona Fangfang, podnosząc do góry stopy z palcami rozdzielonymi wacikami. – Zachowujecie się jak małe dziewczynki. Mogłybyście wreszcie dorosnąć. Zniszczycie mi pedicure!

Ale nic nie może nas uspokoić. Gonimy się jak szalone. Przeskakujemy po cztery szczeble na drabinie, a z nami Louve – powszechnie wiadomo, że pudle to najlepsze psy cyrkowe! Poszczekiwanie, krzyki radości, mniej lub bardziej kontrolowane poślizgi i upadki, bitwa na poduszki. Nie ma czasu, by złapać oddech, znów wpadamy do salonu, napotykać zbulwersowany wzrok Fangfang. Ona ma rację, zachowujemy się jak małe dziewczynki – i czujemy się z tym cholernie dobrze!

– No już spokojnie, spokojnie! – Dobia nas głos nie wiadomo skąd. – Cóż za żywiołowość, panienki, aż miło popatrzeć.

Twą Sereny pojawia się na panoramicznym ekranie naprzeciwko kominka.

Zatrzymuję się w końcu, opierając ręce na kolanach, zdyszana od śmiechu i biegania, podczas gdy Louve pokonuje ostatnie szczeble drabiny, ziewając ciężko – zawsze trochę więcej kosztuje ją wspinanie się niż schodzenie.

– To już prawie czas na naszą codzienną randkę – ogłasza Serena. – Uczestniczka dnia zostanie jak zwykle wylosowana na kilka chwil przed rozpoczęciem spotkania...

Atmosfera w salonie momentalnie się zagęszcza, a każda z dziewcząt wstrzymuje oddech – poza mną i Kris, dyszącymi jak zwierzęta.

– Kto uda się zaraz do Kuli Spotkań? Może to będzie Kelly, która prezentuje dziś fryzurę godną gwiazdy pop?... Albo Safia, która udekorowała smukłe dłonie eleganckim rysunkiem henną, wyglądającym jak koronkowe rękawiczki?... Wylosowana została Léonor.

KANAL GENESIS

Środa 5 lipca, godz. 11.00

Czarne tło.

Stopniowe rozjaśnienie kadru, w którym ukazuje się pusta Kula Spotkań.

Napisy: TRZECIE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: LÉONOR, LAT 18, FRANCJA, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE MEDYCYNY (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 7 SEKUND).

Werble.

Po lewej stronie kadru pojawia się płomień – to włosy Léonor ujarzmione satynową wstążką. Ma na sobie tę samą co wczoraj koszulkę z szarego dżerseju i swoje nieśmiertelne sprane dżinsy. Stopniowe, coraz większe zbliżenie na twarz dziewczyny. Jej policzki wciąż jeszcze są zaróżowione od wysiłku. W wielkich złotawych oczach, podkreślonych eyelinerem czarnym jak jej wstążka, odbijają się gwiazdy dryfujące wolno w bezkresie kosmosu.

Serena (głos z offu): *Właśnie to nazywamy pięknem, którego nie da się opisać, nieprawdaż, moja droga Léonor? Jestem pewna, że próbujesz zachować wszystko, co widzisz, w swej pamięci artystki, by przetworzyć to na dzieło sztuki...*

Léonor (zachwycona): To jest po prostu... cudowne! Piękniejsze, bardziej rozległe, nieogarnione i imponujące niż wszystko, co mogłam sobie wyobrazić. I ta cisza, Sereno!... Myślę, że mogłabym tu zostać i całymi godzinami wsłuchiwać się w pustkę...

Przez siedem sekund trwa cisza – to czas potrzebny, by Serena usłyszała głos Léonor, a następnie by jej odpowiedź dotarła na Cupido.

Serena (głos z offu): *Naprawdę całymi godzinami? Ale przypominam ci, masz przed sobą tylko sześć minut! A więc zdradź nam: kogo postanowiłaś dziś zaprosić? Czy jesteś ciekawa, jak wygląda Aleksiej i jego uśmiech wart miliony? Czy wybór padnie na Tao z ciałem Supermana? A może chcesz spróbować szczęścia z innym uczestnikiem?*

W odpowiedzi Léonor wsuwa dłoń do kieszeni dżinsów i wyjmuje z niej garść papierków.

Léonor: Sereno, wybierz cyfrę od jeden do sześciu.

Znów upływa kilka sekund, po których spoza kadru rozbrzmiewa głos Sereny.

Serena (głos z offu): *Ślucham?... Nie jestem pewna, czy dobrze cię zrozumiałam. Czy z transmisją wszystko w porządku?...*

Zbliżenie na otwartą dłoń Léonor, w której zagłębieniu spoczywają małe papierki. Każdy poczwórnice złożony, z numerem wypisanym na odwrocie czarnym atramentem.

Léonor: Myślisz, że nie mówiłam poważnie, kiedy wyjawiałam swoje zasady gry? Powiedziałam, że gdy nadejdzie moja kolej, wylosuję imię uczestnika. W końcu w prawdziwym życiu to przypadek decyduje, kogo spotkamy. Próbuję po prostu twardo stąpać po ziemi, że się tak wyrażę.

Tym razem ciszę przerywa wybuch śmiechu Sereny.

Serena (głos z offu): *Widzę w tym twoją nieograniczoną kreatywność, Léonor! A także nonkonformizm. No tak, twoje własne zasady gry! Masz charakter i to mi się w tobie podoba (odchrząkuje). Jeden. Wybieram cyfrę jeden. Ponieważ uważam, że w misji takiej jak nasza wszyscy powinniśmy być zjednoczeni, w każdej chwili: ty, Léonor, i pozostali pasażerowie, ja i organizatorzy, i wy wszyscy, drodzy widzowie, którzy oglądacie nas w tym momencie. Powinniśmy stanowić jedność, połączyć siły całej ludzkości w drodze na Marsa!*

Léonor chowa pięć papierków z powrotem do kieszeni dżinsów, zostawiając tylko szósty, ten z numerem jeden.

Zbliżenie na zwinne palce rozkładające papieraek tak delikatnie, jakby rozpakowywały wykwinną

czekoladkę.

Między zagięciami pojawia się imię: MARCUS.

Serena (głos z offu): *Dobrze, dobrze! Zdaje się, że odkryjemy dziś nowego uczestnika, Marcusa, Amerykanina, specjalistę w dziedzinie planetologii w drużynie chłopców! Czy miałam szczęśliwą rękę? Odpowiedź poznamy już za chwilę...*

Głos spoza kadru milknie, pozostawiając Léonor w zupełnej ciszy szklanej kuli. Dziewczyna pozwala ciału unosić się swobodnie w powietrzu. Podnosi rękę i dotyka włosów, jakby się zastanawiała, czy ich nie rozpuścić...

Nim zdąży się zdecydować, rozbrzmiewają werble – z wjazdu po prawej stronie Kuli wyłania się głowa Marcusa, a następnie całe jego ciało. Jest ubrany na czarno, jego ciemna koszula i spodnie zlewają się z kosmicznym tłem. Starannie uczesane, gęste i gładkie kasztanowe włosy podkreślają regularne rysy i harmonijne proporcje twarzy chłopaka. Szare oczy pod prostymi grubymi brwiami błyszczą w świetle reflektorów, co nadaje jego spojrzeniu niezwykłą intensywność.

W dole ekranu pojawia się tarcza zegara – spotkanie się rozpoczęło.

Marcus: Witaj. Dziękuję, że mnie zaprosiłaś.

Jego głos jest poważny, ciepły. Odrobinę zachrypnięty.

Léonor: Z technicznego punktu widzenia to Serena cię zaprosiła. Ja tylko wypisałam sześć imion na sześciu skrawkach papieru, a ona wybrała jeden.

Zbliżenie na Marcusa w bliskim planie obejmującym głowę i ramiona chłopaka. Uśmiecha się delikatnie – prawy kącik ust unosi się jednocześnie z prawą brwią. Lewa strona twarzy pozostaje nieruchoma.

Marcus (nieco prowokacyjnie): Rozumiem. Jesteś z tych niezdecydowanych. Typ dziewczyny, która potrzebuje, by ktoś inny podjął za nią decyzję, na przykład mężczyzna.

Léonor: Dla twojej informacji: decyzja, by pozostawić wybór losowi, była w pełni samodzielna.

Marcus: Niegłupie...

Léonor (unosi podbródek, jej złote oczy rzucają wyzwanie): Przecież nie zakochałabym się od pierwszego wejrzenia w jednym z uczestników po tym, jak przez pięć sekund widziałam jego zdjęcie w czołówce. Ani w tobie, ani w nikim innym.

Marcus: Masz ciekawy sposób uwodzenia. Powiedzieć facetowi, którego zaprosiłaś, że nie jest w twoim typie...

Léonor: Wcale tego nie powiedziałam...

Marcus: Ach!

Léonor: ... ale może tak właśnie myślę!

Ciała dwojga młodych ludzi wolno płyną ku sobie. Mierzą się wzrokiem, oceniają, podziwiają.

Ich ręce opierają się o szklaną ścianę niemal w tym samym momencie.

Marcus (jego uśmiech rozciąga się także na lewą stronę ust): Niezła z ciebie hazardzistka, Léonor...

Teraz Léonor nie może powstrzymać uśmiechu. Choć robi, co może, by to ukryć, widać, że jest poruszona. Zaintrygowana. A może nawet więcej. Widać to choćby w sposobie, w jaki próbuje się bronić.

Léonor: A ty, Marcusie, jesteś arogancki. „Niezdecydowana”... „Hazardzistka”... Jakim następnym epitetem mnie obdarzysz, choć wcale mnie nie znasz?

Marcus: A co byś powiedziała na „urocza”?

Pożera dziewczynę wzrokiem. Kamera także nie chce stracić ani jednego szczegółu z tego, co się dzieje. Uśmiech Léonor jest taki rzadki.

Taki olśniewający.

Taki ulotny.

Léonor opiera się o szybę i delikatnie od niej odpycha. Oddała się powoli, dystans między Marcusem

a nieuchwytną dziewczyną rośnie. Ale ona nie może oderwać oczu od chłopaka.

Léonor: Pomyliłam się. „Arogancki” to zbyt subtelne określenie jak na tak prymitywne techniki uwodzenia.

Marcus: W takim razie pozwól, że spróbuję czegoś bardziej wyrafinowanego.

Nie dając Léonor czasu na odpowiedź, wkłada rękę we włosy. Między jego palcami nie wiadomo skąd pojawia się pąk bladioróżowej róży.

Puszcza łądyżkę i kwiat ulatuje do góry.

Marcus: Hmm... zbyt bezbarwna jak dla ciebie... Bez charakteru...

Ponownie przeczesuje dłonią włosy. Tym razem między jego kciukiem i palcem wskazującym w czarodziejski sposób pojawia się amarantowa róża całkowicie rozkwitła.

Tę też odrzuca, a róża odlatuje, gubiąc kolorowe płatki.

Marcus: Ta jest zbyt otwarta, za bardzo pragnie zwrócić na siebie uwagę, więc też się dla ciebie nie nadaje...

Palce Marcusa po raz trzeci zanurzają się w jego gęstych kasztanowych włosach, ostatecznie burząc uczesanie. Wyjmuje z nich czerwoną różę o idealnych proporcjach, której głęboka, intensywna barwa zdaje się odbiciem koloru włosów Léonor.

Marcus (wykrzykuje po francusku): *Voilà!*

Kosmyki włosów opadają mu z powrotem na czoło, gdy chłopak skłania lekko głowę, i wyciąga różę w kierunku Léonor, która obserwuje go z rozbawieniem, dryfując pośrodku Kuli.

Léonor (znów się uśmiecha): Pozwól, że zgadnę... Zanim zgłosiłeś się do programu Genesis, byłeś kwiaciarzem.

Marcus: Byłem ulicznym artystą. Żebrakiem, jeśli wolisz, w okolicach Las Vegas, Phoenix, Los Angeles... i jeszcze kilku miejscach. Dzięki temu, że spałem pod gwiazdami, zapisałem je wszystkie w pamięci i zapragnąłem zobaczyć z bliska. A ty byłaś modelką u Rosiera, prawda?

Léonor: Niezupełnie. Pracowałam dla twojego sponsora *platinum* Eden Food, ale nie jako hostessa. Byłam robotnicą w fabryce psiej karmy pod Paryżem.

Marcus: Chociaż nie jestem kwiaciarzem, wiem, że najpiękniejsze róże rosną na oborniku.

Léonor nagle spogląda na swój zegarek. Czy chce sprawdzić, która jest godzina? A może pragnie choć na chwilę uciec przed wzrokiem Marcusa, żeby ukryć emocje i znaleźć w sobie siłę, by odzyskać kontrolę?

Léonor (wpatrując się w swój nadgarstek): Cóż, została nam tylko minuta. Myślę, że najwyższa pora dać spokój z poezją i wyłożyć karty na stół... (gwałtownie podnosi głowę. Już się nie uśmiecha). Gdybyś zobaczył mnie w fabryce ubraną w fartuch i czepek ochronny, uznałbyś, że nie mam w sobie nic z róży. Gdybyś powąchał moje perfumy, to byłoby raczej Pedigree numer pięć. A co do ciebie, jestem przekonana, że zabrałeś ze sobą cały transport kwiatów, żeby wykonać swój mały popis przed każdą z nas: bladioróżowe róże dla blondynek, amarantowe dla brunetek i czerwone dla mnie, dyżurnej rudej.

Marcus: Aj!

Wypuszcza z rąk ostatnią różę, która unosi się, by dołączyć do dwóch pozostałych pod szklanym sufitem.

Léonor: Co się stało?

Marcus: Ta róża ma kolce. Ukłuła mnie.

Léonor: Może potrzebujesz kwiatu z gładką łądyżką, który nie kłuje. A mnie potrzeba partnera, przy którym nie tracę głowy. Tak jak powiedziałam: nie chcę miłości od pierwszego wejrzenia, która uderzy we mnie jak piorun. Bo piorun... parzy.

Głos dziewczyny drży nieznacznie, kiedy wypowiada to ostatnie słowo. Ale czy chłopak znajdujący się naprzeciwko albo widzowie oddaleni o miliony kilometrów są w stanie to zauważyć?

Léonor: Nie chcę spłonąć jak wiązka słomy. Chcę trwać. Dlatego właśnie wylosowałam imię swojego

dzisiejszego gościa: aby dać wszystkim równe szanse. Tak samo zrobię z pięcioma kolejnymi zaproszeniami: przeprowadzę losowanie. A później będę zapraszać każdego z uczestników według tej samej kolejności, i tak przez pozostałe dwanaście tygodni. Wreszcie kiedy w grudniu wejdziemy na orbitę Fobosa, ułożę ostateczną Listę Serca, najbardziej racjonalną, jak to tylko możliwe.

Ręce Marcusa bezradnie opadają wzdłuż ciała.

Nie ma już żadnych sztuczek w zanadrzu, na dziś to koniec.

Jego uśmiech także zniknął. Entuzjazm opadł. Zostało tylko ogromne rozczarowanie.

Marcus: Chcesz mi powiedzieć, że nie zaprosisz mnie przed upływem dwunastu tygodni? Nie przed nadejściem września? Nawet jeśli miałabyś ochotę?

Léonor (kiwa głową z powagą): Tak, dobrze zrozumiałeś. I jeśli o mnie chodzi, możesz zrobić tak samo. Możesz zaprosić mnie raz na sześć randek. Częstsze zaproszenia nic nie dadzą. Odrzucę je i nie przyjdę. Nawet gdybym miała ochotę. To moje warunki. Moje zasady gry.

Marcus (marszczy swoje grube brwi): I to nazywasz racjonalnym postępowaniem?

Odpowiedzią na jego pytanie jest tylko przenikliwy dźwięk dzwonka.

To koniec spotkania.

Serena (głos z offu): Time out! *Ani słowa więcej! Léonor, Marcusie, wróćcie do swoich przedziałów.*

Ale Léonor się nie rusza.

Ani Marcus.

Chłopak otwiera usta, aby krzyknąć, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobywa.

Serena (głos z offu): *Wszelkie próby rozmowy są daremne. Łączność między dwoma częściami Kuli Spotkań została przerwana. Musimy przestrzegać czasu przeznaczzonego na każdą szybką randkę.*

Marcus milknie, ale na jego twarzy wciąż mały się gniew.

Ze złością unosi kołnierz koszuli, odsłaniając fragment tatuażu, ten, który widać na fotografii w czołówce programu. Kamera robi zbliżenie na kreskę, która zaczyna się u nasady szyi i wijąc się, znika pod kołnierzykiem.

Marcus odpina pierwszy guzik. Linia biegnie dalej najeżona cierniami.

Marcus odpina drugi guzik. Na wytatuowanym na skórze pędzie pojawiają się listki o delikatnych żyłkach.

Odpina trzeci guzik. Na piersi wykwitła róża. Jej płatki tworzy wir wykaligrafowanych liter, które wijąc układają się w zdanie: „Chwytaj dzień”.

Stopniowe zaciemnianie kadru aż do całkowitej czerni.

Czołówka.

PLAN

Start + 2 dni, 21 godz., 45 min (Pierwszy tydzień)

– No i? Jak było? Opowiadaj!

Gdy tylko pojawiaam się w salonie, pięć pozostałych dziewczyn dopada mnie tak łapczywie jak wygłodniała Louve swoją poranną miskę.

Są tu wszystkie, drżące z podniecenia, zarówno Kris, Kelly i Safia, które zrobiły się na bóstwo przed losowaniem, jak i Fangfang i Liz ubrane w zwykłe dresy.

– Było... dziwnie.

To jedyne określenie, jakie znajduję na opisanie tego, co właśnie przeżyłam.

Ponieważ naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

Ponieważ wypełnia mnie jednocześnie słodycz i gorycz, choć nigdy nie wierzyłam, że to możliwe.

Od początku spotkania czułam, jakby słowa paliły mnie w ustach niczym lawa, a moja słynna ironia wylewała się wraz z nią z mojego wnętrza niczym erupcja wulkanu, której nic nie jest w stanie zatrzymać. Ale spodziewany wybuch nie nastąpił. Było coś w szarych oczach Marcusa, co ochłodziło mój wewnętrzny ogień. Jakiś spokój. Powaga. I być może – kto by pomyślał, na tym statku opętanym rywalizacją na każdym kroku, w samym środku tego szalonego widowiska nastawionego na poszukiwanie sensacji – tak, być może jakiś rodzaj szczerości. Poruszyło mnie to tak bardzo, że zaczęłam się w środku trochę rozplęwać.

Ale spotkanie skończyło się wybuchem złości Marcusa, który pozostawił po sobie gorzki smak i ściał atmosferę

– Musisz powiedzieć nam więcej, Léo – błaga Kris, uwieszając się na moim ramieniu. – „Dziwnie” to za mało! Ojej, co za męka nie móc zobaczyć, co się dzieje na randkach innych uczestników! Powiedz, naprawdę wylosowałaś chłopaka?

– No tak, tak jak zapowiedziałam pierwszego dnia. Na tym opierają się moje zasady gry, pamiętacie? Los padł na Marcusa.

Tak, moje zasady gry, a nie zasady programu Genesis, który stawia oczywiście na pełne egzaltacji, liryczne uniesienia, rozdzierające namiętności, romantyczne dramaty i tym podobne. A ja chcę pozostać panią swoich uczuć i emocji. Chcę się chronić. Chcę móc wybrać tego, który będzie potrafił zaakceptować nas takie, jakie jesteśmy – Salamandrę i mnie. I przede wszystkim – przede wszystkim! – nie chcę się zakochać w nieodpowiednim chłopcu.

– No dobrze, ale jaki był ten Marcus? – naciska Kris, wrywając mnie z moich myśli.

– Kojący. Irytujący. Przewidywalny. Zaskakujący. Wszystko naraz. Więc podtrzymuję: dziwny.

Kelly w swojej kraciastej koszulce bez rękawów krzyżuje ręce na piersi i patrzy na mnie pytająco, żując gumę.

– Albo kojący, albo irytujący. Musisz się zdecydować!

Zbywam jej uwagi machnięciem dłoni.

– Sama nie wiem, co mówię, w głowie mi się kręci, to pewnie skutek nieważkości.

Ale dziewczyny nie pozwalają mi się tak łatwo wywinąć. Podsyciłam tylko ich ciekawość. Chcą więcej szczegółów.

– Léo, no powiedz wreszcie! – prosi Liz. – O czym rozmawialiście?

– O ogrodnictwie.

– Och! – wykrzykuje Fangfang. – Opowiedział ci o możliwości wzbogacenia marsjańskiej gleby związkami azotowymi, abyśmy pewnego dnia mogli zacząć uprawiać rośliny i samodzielnie zaspokajając

głód, prawda? Te zagadnienia były omawiane na szkoleniu z planetologii, które odbył tak jak ja. Fascynujący temat, ale dosyć techniczny, trudny do wyłożenia w zaledwie sześć minut...

Nieznośna Fangfang! Wszystko kojarzy jej się z tymi jej cholernymi książkami.

– Nie, nie opowiadał mi o związkach azotowych, ani o uprawie roślin – odpowiadam, zmuszając się do uśmiechu. – Ale może i tak wciskał mi jakieś głodne kawałki. Przyszłość pokaże. A na razie, nie wiem, jak wy, ale ja zjadłabym konia z kopytami. Kris, mogę ci pomóc w kuchni?

Po skończonym lunchu, uprzątnięciu stołu i wytarciu naczyń elektrostatyczną ściereczką (ponieważ woda jest zbyt cenna, więc musimy ją oszczędzać) Liz proponuje kawę przy partyjce kart.

– Zabrałam na pokład karty francuskiego taroka – mówi. – Pomyślałam sobie, że to miły sposób na wspólne spędzenie czasu.

– Powinniśmy raczej powtarzać... – wtrąca Fangfang.

Kelly wzrusza ramionami.

– Opuść choć na dwie sekundy, prymusko! Będiesz miała pięć miesięcy na zakuwanie!

– Tylko że ja mam prawdziwy materiał do opanowania, nie jakiś tam kosmiczny kodeks drogowy! – Fangfang się unosi. – Zadokowałaś kapsułę do Cupido i już, zajęło ci to kilka godzin i twoje małe zadanie skończone! Statek został wprowadzony na trajektorię Ziemia–Mars i nic ani nikt nie może go z niej wytrącić. Ale moja praca dopiero się rozpoczyna: planetologia to złożona nauka, która pozwoli nam poradzić sobie w nowym świecie...

– Moje „małe zadanie” wcale nie jest skończone – odparowuje Kanadyjka. – Może nie zauważyłaś, ale nie jesteśmy jeszcze w naszym nowym świecie. To ja za pięć miesięcy będę pilotować kapsułę z orbity Fobosa. Jeśli nas rozwalę o tę piękną scenografię albo posadzę kapsułę setki kilometrów od bazy Nowy Eden, to na co nam się zdadzą twoje lekcje z planetologii?

Safia postanawia się wtrącić, zanim sprawy zajdą za daleko.

– Tylko kilka rozdań, a potem zabierzemy się do nauki, dobrze? – proponuje. – Czy ktoś może mi wyjaśnić reguły gry?

– Cóż, to nie jest skomplikowane – mówi Liz. – Léo, pomożesz mi zademonstrować? Jestem pewna, że znasz grę w taroka na pamięć tak jak wszyscy Francuzi, prawda?

– Nie miałam zbyt często okazji do grania. Jeśli chodzi o życie towarzyskie i rozrywki, to w hotelu robotniczym panowała raczej zasada „każdy sobie rzepkę skrobie”... Chyba zapomniałam trochę tych zasad...

– Nie ma żadnych wymówek: wyższa karta zbija niższą, a potem podlicza się punkty. No dalej, gramy!

Sadowimy się na kanapie i na podłodze, pięć z nas gra, a szósta jest sędzią. Staram się skupić, popijając kawę rozpuszczalną Coffeo. Ale moja fotograficzna pamięć ciągle odtwarza wydarzenia z sześciominutowego spotkania w Kuli, poszczególne obrazy nakładają się na karty do gry. Jak zawsze w takich sytuacjach mam wrażenie, że przeżywam wszystko jeszcze raz kadr po kadrze, tyle że za drugim razem dostrzegam więcej detali.

– Pagat!

Oczy Marcusa...

– Przebijam!

Głos Marcusa...

– Dama kier, proszę bardzo!

Róże Marcusa...

Nigdy nie byłam wielką fanka kwiatów jak tyle innych dziewczyn. Kwiaty są zbyt delikatne. Więdną i usychają, nietrwale jak przysięga, której się nie dotrzymuje. Tak więc myślę, że mogłabym dosyć łatwo zapomnieć o różach Marcusa. A w każdym razie o trzech pierwszych, które wyczarował: białoróżowej, amarantowej i czerwonej. Tylko że była jeszcze czwarta – czarna róża wytatuowana na jego ciele. Ta

nigdy nie przekwitnie – raczej zwiędnie na skórze Marcusa, teraz tak gładkiej, na skórze, która zestarzeje się na Marsie tak samo jak skóra jego wybranki... Ta róża nie została stworzona, by oszukiwać czy osładzać fałszywą obietnicę. To, co mówi, nie jest kłamstwem. To przekonanie tak silne, że człowiek z krwi i kości wypisał je na własnym ciele, by zostało tam na zawsze. „Chwytaj dzień”, mówią mi Marcus, tym swoim nieco zachrypniętym głosem, i jego róża. A co ja im odpowiedziałam? „Nie wcześniej niż za dwanaście tygodni...”

Po dziesięciu rozdaniach, przerywanych wybuchami śmiechu, z moich marzeń wyrывa mnie okrzyk głośniejszy niż inne.

– Gdzie się podział król kier?! – pyta Fangfang, która tak wciągnęła się w grę, że zapomniała o swoich świętych powtórkach. – Partia jest skończona i nikt jej nie wygrał. – Kelly, ty rozdawałaś. Umieściłaś króla kier w swoim talonie? Dobrze wiesz, że to zabronione. Liz mówiła, że nie wolno odkładać króla!

– Hej, uspokój się! – Kanadyjka odpira atak. – Nie tknęłam twojego króla kier.

Dziewczyny zaczynają się coraz bardziej nakręcać.

– To nie jest żaden mój król kier! Jest częścią talii, więc należy do wszystkich!

– Taa, jasne. Tak jak Tao? Może się podzielisz?

Policzki Fangfang pod okularami przybierają barwę purpury.

– Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć? – pyta.

– Chcę powiedzieć, że od czasu waszej randki w Kuli Spotkań zachowujesz się, jakbyście już byli małżeństwem. Ale przypominam ci, że nic nie jest jeszcze postanowione. I jeśli na przykład Tao mi się spodoba, to nie będę miała skrupułów, by mu to okazać. Ani by go zaprosić, kiedy przyjdzie moja kolej.

– Nie kłóćcie się! – prosi Liz. – Na tym statku znajdzie się wystarczająco dużo królów. Sześciu, po jednym dla każdej. Zastąpimy króla kier jakąś inną kartą, aż odnajdziemy prawdziwego króla kier, który musiał się gdzieś zawieruszyć. To co, jeszcze jedna partyjka?

Ale nikt nie ma już ochoty.

Ponieważ wszystkie zrozumiałyśmy, że na tym statku jest tak jak w grze karcianej – nie każdy król jest królem kier. I w przeciwieństwie do tego, co twierdzi Liz, nie dla wszystkich wystarczy.

Na tę myśl czuję swędzenie na plecach.

(Trzymałaś swojego króla kier w dłoniach – szydzi Salamandra. – Ale straciłaś go przez swoją głupotę. A teraz karty są już przetasowane!)

KANAL GENESIS

Czwartek 6 lipca, godz. 11.00

Czarne tło.

Stopniowe rozjaśnienie kadru, w którym ukazuje się pusta Kula Spotkań.

Napisy: CZWARTE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: KIRSTEN, LAT 18, NIEMCY, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE BIOLOGII (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 9 SEKUND).

Werble.

Kirsten ubrana w jedwabną błękitną sukienkę unosi się powoli po prawej stronie ekranu, próbując utrzymać równowagę. Ale każdy ruch sprawia, że jeszcze bardziej ją traci. W końcu decyduje się opuścić ręce i trzymać je wzdłuż ciała. Uśmiecha się do kamer, jakby chciała przeprosić za swoją niezdarność.

Zbliżenie: pod koroną z warkoczy, która promienieje, jakby naprawdę wykonano ją z czystego złota, subtelny makijaż rozświetla anielską twarz dziewczyny. Wszystko jest pastelowe: perłowy blask na ustach, odrobina różu na policzkach i kąciki oczu muśnięte białą kredką.

Serena (głos z offu): *Witamy Kirsten, naszą czwartą uczestniczkę! Jak tam głowa, moja droga?*

Kirsen (szybko uspokaja Serenę): Nic już nie czuję. Zupełnie się zagoiło.

Podczas gdy wiązka lasera anteny parabolicznej przesyła wiadomość na Ziemię, Kirsten odważa się oderwać ramiona od ciała, by wskazać palcem czoło. Po guzie, który już niemal całkowicie zniknął, został ledwie delikatny cień.

Serena (głos z offu): *W każdym razie coś za historia! Jestem przekonana, że widzowie chcieliby się dowiedzieć, co się stało z Léonor w łazience...*

Kirsten: Léo nic tu nie zawiniła! Ja... Pośliznęłam się na szczeblach drabiny prowadzącej na trzecie piętro, to wszystko. Przesadziłam, oskarżając Léo, podczas gdy w rzeczywistości sama jestem sobie winna. Taka ze mnie niezdara.

Wypowiedziawszy te słowa w przestrzeń, uśmiecha się z zakłopotaniem, co czyni ją jeszcze śliczniejszą.

Serena (głos z offu): *W takim razie niezdarność jest częścią twojego uroku, Kirsten. Podbiłaś już serca milionów widzów, o czym świadczy piękny Posag, który ci przygotowują. Sądzę jednak, że dziś celujesz w jedno konkretne serce, a ci, którzy oglądają nasz program od początku, domyślają się, o kogo chodzi. Kirsten, pytam cię tylko dla zasady: kogo pragniesz zaprosić?*

Kirsten: Chcę zaprosić Aleksieja.

Pod sklepieniem szklanej kuli upływa dziewięć sekund, w czasie których zdaje się, że imię Aleksieja rozbrzmiewa, jakby powtarzane przez echo.

Serena (głos z offu): *Doskonale! Podczas gdy niektóre uczestniczki tak bardzo wahają się przy wyborze, że wolą zdać się na ślepy los, ty jesteś zdecydowana od samego początku. Czy mogę zapytać dlaczego, Kirsten? Czy to z powodu jego dużego Posagu? Czy zapragnęłaś połączyć wasze fortuny, jego, najhójniej obdarowanego przez widzów chłopca, i twoją, najzamożniejszej dziewczyny? Czy to po prostu siła jego słowiańskiego uroku?*

Kirsten: Nie chodzi o pieniądze, Sereno. Kiedy usłyszałam głos Aleksieja zza kurtyny na platformie startowej, coś we mnie drgnęło... Poczułam to jeszcze mocniej, gdy zobaczyłam jego zdjęcie w czołówce, a teraz to coś wypełnia mnie całą. (Przyciska dłoń do serca trochę zakłopotana i spuszcza wzrok). Wiem, że kiedy mówię takie rzeczy, wyglądam na egzaltowaną, naiwną pensjonarkę. Ludzie mogą pomyśleć, że naczytałam się kliwionych romansideł. Ale zawsze ufałam swojemu instynktowi.

Werble.

Zbliżenie na twarz Kirsten, która nerwowo przygryza dolną wargę.

Aleksiej wyłania się z wejścia po prawej stronie, ubrany w swój nieskazitelnie biały garnitur z szarą lamówką, a na ekranie pojawia się zegar odliczający minuty spotkania.

Aleksiej: Dzień dobry... Kirsten, tak?

Uśmiecha się szeroko, w jego policzkach tworzą się dołeczki.

Kontrplan: Jak za sprawą efektu lustrzanego odbicia nieśmiały aż do tej chwili uśmiech Kirsten także się poszerza.

Kirsten: Tak. Mam na imię Kirsten, ale możesz mówić do mnie „Kris”.

Aleksiej: Zgoda. Pod warunkiem że ty będziesz mi mówić „Aleks”.

Kirsten kiwa głową. Jej policzki rumienia się delikatnie – i nie jest to wyłącznie zasługa różu.

Kirsten: Aleks, jesteś dokładnie taki, jak opisała cię Liz... Dokładnie taki, jak sobie wyobrażałam.

Aleksiej: A ty na żywo jesteś jeszcze piękniejsza niż twoja podobizna w czołówce.

Kirsten: Żartujesz sobie ze mnie...

Aleksiej: Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak poważny.

Młody Rosjanin pozwala swemu ciału płynąć w powietrzu, ale nie odrywa oczu od Kris, która tymczasem stara się, z mniejszym lub większym powodzeniem, pozostać nieruchoma.

Aleksiej: Jeśli Liz mówiła wam o mnie, to z pewnością opowiedziała trochę moją historię, to, że opuściłem rodziców, by szukać przygód w Moskwie, i tak dalej. Ale ja nie wiem nic o tobie, Kris. Kim jesteś? To znaczy kim jesteś poza tym, że jesteś aniołem, który spadł z nieba?

Kirsten (jej policzki jeszcze mocniej różowieją): Nie mam w sobie nic z anioła. Uwierz mi. Jestem zwykłą dziewczyną, która ma swoje wady i zalety.

Aleksiej: Widzę przed sobą wyłącznie zalety i zero wad.

Kirsten: To dlatego, że jeszcze mnie nie znasz. I widzisz mnie ze zbyt dużej odległości. Wiesz, co mówi przysłowie: diabeł tkwi w szczegółach...

Aleksiej (przysuwa się do szklanej ściany): W takim razie muszę być chyba krótkowidzem, bo nadal żadnej nie dostrzegam... Pomóż mi: jakie masz wady?

Kirsten (zaczyna wyliczać na palcach): Po pierwsze jestem niezdarna. Potrzebowałam trzy razy więcej czasu w wirówce przeciążeniowej niż pozostałe dziewczyny, by nauczyć się poruszać w stanie nieważkości, nie robiąc ciągle koziółków.

Po drugie jestem roztrzepana. Mój instruktor pan Dragovic bardzo się starał, by wyszkolić mnie przez ten rok, ale obawiam się, że nigdy nie zrozumiałam więcej niż połowy tego, co do mnie mówił.

Po trzecie całkowicie brakuje mi pewności siebie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że zostałam wybrana do udziału w tej misji. Mam wrażenie, że popełniono błąd na którymś etapie selekcji. Bez mojej przyjaciółki Léo, która motywowała mnie i wspierała przez całe szkolenie w Dolinie Śmierci, nie byłoby mnie dziś tutaj.

Aleksiej (śmieje się serdecznie. Teraz on zaczyna wyliczać na palcach swej dłoni): Po pierwsze to, co w tej misji najważniejsze, to nie umiejętność unoszenia się przez sześć minut w szklanej kuli, lecz twarde stąpanie stopami po ziemi czy mówiąc dokładnie, po Marsie, przez resztę naszego życia.

Po drugie z tego, co mówił nam Samson, nasz specjalista w dziedzinie biologii, stary Dragovic jest kompletnie szurniętym naukowcem, którego nie da się zrozumieć.

Po trzecie ty mówisz „brak pewności siebie”, a ja mówię „skromność”. Cnota, której pewnym pasażerkom Cupido bardzo brakuje.

Kirsten (unosi brwi): Pewnym pasażerkom? O kim mówisz? Nie, zapewniam cię, żadna z nas nie jest zarozumiała i tworzymy zgrany zespół...

Aleksiej (uśmiecha się tylko tajemniczo, nie wyjawiając imienia): Myślę, że jeśli masz jakąś wadę, to jest nią prostoduszność. Ale w moich oczach to wcale nie jest wada. Wierzę w ideały i pragnę, aby matka moich dzieci także w nie wierzyła...

Błękitne oczy Aleksieja błyszczą.

Za jego plecami rozpościera się przepastna, niezgłębiona kosmiczna próżnia.

Kirsten (instynktownie ścisza głos): Te ideały, o których mówisz... Co dokładnie masz na myśli?

Aleksiej: Mam na myśli idealną parę, której nic nie jest w stanie zniszczyć. Miłość twardą jak diament. Rodzinę wykutą w stali.

W chwili, gdy Aleksiej wypowiada te słowa, jego głos także brzmi twardo jak diament, a jego źrenice rzucają stalowy blask.

Ale chwilę później czarujący uśmiech ociepla jego oczy i całą twarz.

Aleksiej: A więc, Kirsten w koronie ze złota, czy jesteś gotowa podjąć to wyzwanie?

Kirsten (wytrzymuje jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem i tym razem już się nie rumieni): Czekałam na nie całe życie.

Dźwięk dzwonka – spotkanie skończone.

KONTRPLAN

Schron przeciwoatomowy, baza na przylądku Canaveral, czwartek 6 lipca, godz. 11.12

– Złoty uśmiech dla niego, złota korona dla niej, złoty Posąg dla nich obojga. A ja powiem po prostu: złota para, a znam się na tym po dwudziestu latach matrymonialnego *talk-show*! Dziękuję, droga Kirsten, dziękuję, drogi Aleksieju, za te magiczne chwile i do zobaczenia wkrótce!

Serena McBee wyłącza mikrofon, przez który komentowała dzisiejszą szybką randkę, i odkłada go na stół, by czekał na jej kolejne wejście na antenę.

Centralny ekran na cyfrowej ścianie naprzeciwko niej gaśnie i staje się czarny.

Następnie zaczyna lecieć czołówka z muzycznym podkładem piosenki *Cosmic love* oraz sylwetkami uczestników.

– I szach-mat! – wykrzykuje psychiatra, odwracając się do kolegów, pozostałych konspiratorów siedzących za stołem. – Powiem wam, że tych dwoje zbierze jeszcze setki tysięcy dolarów. A z nimi i my w ramach naszej nagrody. Kirsten i Aleksiej są ucieleśnieniem marzeń wszystkich gospodyń domowych przed pięćdziesiątką: młodzi, uduchowieni i głupi. „Niezniszczalna miłość”, jakie piękne, górnolotne i napuszone słowa! Tymczasem nic na tej ziemi nie jest niezniszczalne. Sherman Fisher może o tym zaświadczyć. A skoro o nim mowa, Odette, kazałam ci zarezerwować bilet lotniczy. Polecisz na jego pogrzeb w niedzielę.

Odette Stuart-Smith wstaje gwałtownie z krzesła, trzęsąc się z oburzenia pod swym beżowym golfem.

– Dlaczego ja?! – krzyczy.

– Ponieważ znałaś zmarłego najlepiej z nas wszystkich, oto dlaczego – odpowiada spokojnie Serena McBee. – Twój dom w Beverly Hills stoi dwa kroki od domu Fishera. Program Genesis powinien wysłać swego przedstawiciela na ceremonię, choć tyle możemy zrobić. Nieobecność byłaby co najmniej podejrzana...

– A jeśli policja czegoś się domyśla? – protestuje krucha kobietka w okularach, drżąc na samą myśl.

– Policja niczego się nie domyśla – uspokaja ją Serena. – Rozmawiałam z tym inspektorem, który był tu we wtorek, Larrym Garcia. Śledczy ustalili, że był to wypadek drogowy, tak jak to zaplanowaliśmy. Trzeba przyznać, że ciało Shermana było nie do rozpoznania po dwóch tygodniach w Dolinie Śmierci, kiedy leżało obok przewróconego samochodu wystawione na palące słońce i rzucone na żer kojotom... A co do trucizny wstrzykniętej mu przez doktora Montgomery'ego, już dawno się rozłożyła i nie da się jej wykryć w tym, co zostało z jego żył. No więc, moja droga Odette, nie każ się prosić! Wymagamy od ciebie jedynie, byś pokazała swą uroczą twarzyczkę na pogrzebie. Polecisz z Miami do Los Angeles i z powrotem, załatwisz sprawę w jeden dzień. Wywiąż się ze swoich obowiązków, które, pozwól, że ci przypomnę, są niczym w porównaniu z moimi. To ja, jako selekcjonerka uczestników do programu, będę musiała się wytłumaczyć, gdy jeden z nich wymorduje jedenaścioro pozostałych. I nie robię z tego wielkiej sprawy!

Instruktorka planetologii mamrocze pod nosem kilka niezrozumiałych słów, ale nie ośmiela się otwarcie zaprotestować.

Gordon Lock korzysta z okazji i podchwytuje ostatnie słowa Sereny:

– A właśnie, skoro już o tym mówisz: wciąż nie chcesz nam wyjawić, kim jest ten tajemniczy kamikaze. Bylibyśmy spokojniejsi, gdybyśmy wiedzieli...

– Ciii! – Serena kręci głową jak dorosły, który odmawia zbyt łakomemu dziecku cukierka. Wolę to zachować w tajemnicy. Gdybyście wy, pozostali instruktorzy, poznali tożsamość astronauty, którego zahipnotyzowałam, moglibyście nieświadomie zacząć traktować go inaczej w czasie rozmowy... co

mogłoby doprowadzić do nieprzewidzianych konsekwencji. Wolę, byście mieli niespodziankę. A tak w ogóle, jeśli coś pójdzie źle, zawsze pozostaje nam wyjście awaryjne: możemy własnoręcznie rozhermetyzować moduły mieszkalne na odległość, za pomocą pilota, który zmajstrował nam Geronimo...

Serena wyciąga małe czarne pudełko ze swej torebki ze skóry pytona, pokazuje je przez chwilę jak prezydentka telezakupów, po czym starannie chowa z powrotem.

– ... ale nie martwcie się, nie sędzę, byśmy musieli się posuwać do ostateczności. Gwarantuję wam, że morderca dokładnie wykona swoje zadanie na długo przed wyjściem na jaw wad technicznych modułów mieszkalnych. Nigdy nie będę zmuszona użyć pilota do dekompresji. Nie ma się czym przejmować. Od pierwszej emisji program chodzi jak szwajcarski zegarek. I dopóki produkcja jest w toku, a wszystko działa bez zarzutu, możemy nawet, ja czy ktokolwiek z was, wyjechać na jakiś czas. Jak wiecie, sama zamierzam nadzorować wszelkie działania z mojej posiadłości na Long Island w stanie Nowy Jork. Pogoda jest tam znakomita o tej porze roku, a ja potrzebuję odetchnąć po zawirowaniach tych ostatnich miesięcy. Będę monitorować program i wydawać instrukcje zdalnie. Wrócę na przylądek Canaveral dopiero w grudniu, na zakończenie gry. Radosne lądowanie, szczęśliwe ceremonie zaślubin i oczywiście tragiczne wydarzenie!

Roberto Salvatore wstaje z krzesła, trupio blady.

– Chyba nie mówisz serio, Sereno! Oczywiście to było zaplanowane, ale teraz wszystko się zmieniło! Pomyśl o dronie krążącym gdzieś w tych murach, o niebezpieczeństwie włamania do systemu, które wisi nad nami jak miecz Damoklesa!

Producentka kręci głową z pobłażaniem.

– Uspokój się, Robercie. Przy twojej nadwadze tak będzie rozsądniej. Nie chcielibyśmy, żebyś nam tu dostał apopleksji, twoje serce też nie jest niezniszczalne. Przecież już ci tłumaczyłam, że baza została zabezpieczona, dron nie może tu odkryć ani wyjawić niczego kompromitującego. A ponadto podjęliśmy dodatkowe środki ostrożności. Wyjaśnij mu, Geronimo.

Instruktor inżynierii odkłada wykałaczkę, którą pracowicie dłuubał sobie w zębach. Chrząka, potrząsając długimi czarnymi włosami. Ich splątane grube strąki przywodzą na myśl liście gotowanego szpinaku.

W końcu, ani na chwilę nie zmieniając wiecznie zblazowanej miny, zabiera głos:

– Uruchomiliśmy specjalny plan. Plan Rapax.

– Plan Rapax? – powtarza Roberto Salvatore. – A co to takiego?

Geronimo Blackbull wyjmuje spod stołu trójkątny przedmiot, czarny i błyszczący, wyglądający jak pięćdziesięciocentymetrowy nietoperz zaopatrzony w dwie pary śmigieł.

Naciska przycisk, a urządzenie unosi się nad stołem zupełnie bezgłośnie.

– To jest właśnie to. Rapax piątej generacji. Widzicie, z dronami jest jak z ptakami: są drapieżniki i są ofiary. Ten oto model to najbardziej kompaktowy i niezawodny łowca dronów, jakiego kiedykolwiek zbudowano, wyposażony w ultrawrażliwe czujniki częstotliwości i ultraprecyzyjne celowniki laserowe. Cuda techniki. Całkowicie bezszelestne. Czego więcej możemy pragnąć, my, konspiratorzy?! Rozmieściliśmy ich setkę w najbardziej strategicznych miejscach bazy. Niech no tylko szpieg ośmieli się znów oderwać od ziemi, a gwarantuję wam, że zostanie zestrzelony w kilka sekund.

Na dowód Geronimo Blackbull podrzuca wykałaczkę do sufitu.

Z czubka rapaksa natychmiast strzela wiązka światła i poraża cienki drewniany patyczek w locie, nie wydając przy tym najmniejszego szmeru.

Szary popiół opada na stół jak delikatny deszczyk.

Roberto Salvatore siada powoli, jakby się obawiał, że gwałtowny gest może sprowokować rapaksa do kolejnego strzału.

Serena nie podziela jego niepokoju – spokojnie chowa rzeczy do torebki, wstaje ze skórzanego fotela

i kieruje się do drzwi bunkra, które otwiera, przystawiając oko do małej skrzynki zawierającej skaner tęczówki.

– Zostawiam was pod opieką dyrektora Locka – rzuca, zatrzymując się w drzwiach. – Przez pięć najbliższych miesięcy możecie się ze mną kontaktować przez Samanthę. A tymczasem... *enjoy the show!*

Serena odchodzi korytarzem oświetlonym zawieszonymi pod sufitem jarzeniówkami.

Rytmiczny stukot jej wysokich obcasów odbija się głuchym echem od betonowych ścian.

Dociera do windy, która otwiera się przed nią bez najmniejszego dźwięku.

Wchodzi do kabiny i naciska guzik.

Podczas gdy maszyna złożona z kabli i krążków wciąga ją bezszelestnie na powierzchnię, kobieta patrzy na swe odbicie w lustrze windy. Jej pozbawione zmarszczek oblicze nie zdradza żadnych emocji. Uśmiech, przyklejony na trwałe do twarzy, znika po raz pierwszy, zastąpiony przez nieruchomą, gładką maskę, pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

– Poziom zero – informuje syntetyczny głos.

Serena odwraca się w chwili, gdy otwierają się przesuwne drzwi.

Uśmiech znów maluje się na jej twarzy, jak gdyby nigdy z niej nie schodził.

Przy windzie czeka wierna Samantha ze swoją srebrną słuchawką.

– Pani samolot czeka na lądowisku gotowy do startu.

– Doskonale, Samantho. A więc będę w domu jeszcze przed wieczorem. Uprzedziłaś Harmony?

– Tak, proszę pani. Pani córka czeka z urodzinową kolacją.

PLAN

Start + 4 dni, 8 godz., 30 min
(Pierwszy tydzień)

– Gdybyś wiedziała, jak to jest, Léo! Kiedy popatrzył mi prosto w oczy... Jeszcze nigdy w życiu niczego takiego nie czułam. Takich emocji nie ma nawet na stronach *Śnieżnego księcia*.

Kris siedzi na małym stołku w łazience i nie przestaje przeżywać swojej szybkiej randki. Cały dzień była w siódmym niebie. Dochodzi niemal godzina dwudziesta druga ziemskiego czasu, lampy na Cupido zostały przygaszone, by odtworzyć rytm dobowy. Ale Kris zdaje się zbyt podekscytowana, by móc się położyć spać.

– Cieszę się twoim szczęściem... – mówię, rozplatając ostatni z jej warkoczy.

Reszta włosów, już rozpuszczona, spływa na jej ramiona niczym złoty płaszcz.

– ... chciałabym tylko, żebyś się za bardzo nie ekscytowała. W końcu to dopiero początek podróży i widziałas się tylko z jednym uczestnikiem.

– I nie mam najmniejszej potrzeby spotykania się z kolejnym, Léo! – wykrzykuje Kris. – Jestem pewna, że to ten właściwy: Aleksiej i nikt inny!

Kręcę głową bez słowa.

– Ty też od razu będziesz wiedziała, kiedy spotkasz swoją bratnią duszę – dodaje Kris, nie zauważając mojego zakłopotania.

(Hmm... Już to wiesz, prawda? – szepcze mi Salamandra za szyją. – Przypomnij sobie, co się stało w Kuli Spotkań... Pomyśl o tym, co wtedy czułaś...)

W moich myślach niczym błysk pojawia się twarz Marcusa. Staram się szybko wyrzucić go z głowy.

– „Bratnia dusza”? – udaje mi się wykrztusić głosem bardziej drżącym, niżbym tego chciała. – Naprawdę w to wierzysz? Ja nie wiem nawet, czy coś takiego istnieje. A jeśli tak i jeśli każdy człowiek ma swoją bratnią duszę wśród miliardów innych, to jakie jest prawdopodobieństwo, że sześć takich idealnych par spotka się w tym samym czasie na tym statku? Zerowe, jeśli chcesz znać moje zdanie! Statystycznie mamy przerąbane.

– Zaczekaj chwilę, zanim wyciągniesz wnioski, Leopardzico – odpowiada Kris z uśmiechem. – Zostało ci jeszcze pięciu uczestników, pięć możliwości, by zagrać statystyce na nosie. Musisz tylko dać im szansę... a twoje racjonalne myślenie musi się wyłączyć na sześć minut.

– To nie jest takie proste...

– Właśnie, że jest, Léo. Sześciu chłopców i sześć dziewczyn: to wręcz najprostsza rzecz na świecie. Dlaczego nie chcesz tego przyznać?

Kris wstaje ze stołka, by spojrzeć mi w oczy. Z rozpuszczonymi długimi blond włosami bardziej niż kiedykolwiek przypomina Madonnę Botticellego z reprodukcji, która wisi w jej szafce.

Chwyta mnie za ramiona, przysuwa się do mnie na odległość kilku centymetrów i patrzy mi prosto w oczy.

– To to coś, co widziałam wtedy w łazience, prawda? – szepcze cichutko. – To to coś na twoich plecach?

Biorę głęboki oddech. Żaden odgłos nie dochodzi z salonu pod moimi stopami, gdzie trzy dziewczyny oglądają komedię na panoramicznym ekranie. Żaden odgłos nie dochodzi też z góry, z sali gimnastycznej, gdzie Kelly pozbywa się na bieżni nadmiaru energii przed pójściem spać. Dobrze zatrzęsnięte kłapy stanowią doskonałą izolację dźwiękową – tutaj, w zaciszu łazienki, nikt nie może nas podsłuchać ani podejrzeć.

– To coś na moich plecach ma imię – mówię w końcu. – To Salamandra.

– Salamandra?... – powtarza Kris.

– Kiedy byłam małą, natknęłam się w bibliotece sierocińca na książkę z obrazkami przedstawiającymi baśniowe zwierzęta. Książka nosiła tytuł *Bestiariusz*. Była w niej strona poświęcona salamandrze, czarnej jaszczurce o jadowitej skórze, która żyje w ogniu, nie płonąc. Postanowiłam nazwać tak bliznę po oparzeniu, które o mało mnie nie zabiło, gdy miałam trzy lata, i z powodu którego, jestem tego pewna, porzucili mnie rodzice. Które zatruwa każdy dzień mojej egzystencji.

Kris nagle puszcza moje ramiona – czyżby się bała, że się czymś zarazi od Salamandry przez moją koszulkę z dżerseju?

– Czy to boli? – pyta.

– To zależy. Czasami Salamandra piecze tak, że chciałoby się zedrzeć skórę. Wyobrażam sobie wtedy, jak drapią mnie jej pazury. A czasami wcale jej nie czuję. Ale ona cały czas tam jest, ukryta na moich plecach, syczy mi nieustannie do ucha. Czyha na dzień, w którym spuszczę głowę i w końcu zwycięży w tej walce. Już cztery razy próbowała rozłożyć mnie na łopatki. Do tej pory zawsze się podnosiłam.

Czuję w skroniach, że serce zaczyna mi bić szybciej.

Tego, co zamierzam opowiedzieć Kris, nie wyjawiałam nigdy nikomu, poza Sereną McBee w trakcie selekcji do programu.

– Pierwszy raz to było w sierocińcu – opowiadam. – Miałam może pięć, góra sześć lat. Salamandra była wtedy jeszcze bardzo młoda, wciąż ruchliwa, wciąż parząca. Nie miała jeszcze fioletowego koloru, tylko różowy, jej powierzchnia była nie chropowata i twarda, lecz gładka i sprężysta. Musiałam co miesiąc jeździć do szpitala, gdzie sprawdzano, jak się goi, nakładano opatrunki, podawano mi leki. Pracownicy pomocy społecznej udawały, że te wizyty mają na celu kontrolę moich piegów i przebarwień, uważały bowiem, że wyjawienie pozostałym sierotom prawdy może spowodować odrzucenie mnie przez grupę. Ale pewnego wieczoru po powrocie ze szpitala trzy małe bachory, które uważały się za przywódców bandy, dopadły mnie i zagnały do rogu sali sypialnej. Chciały sprawdzić, czy na ciele mam tyle samo piegów, ile na twarzy. Nigdy nie zapomnę tego, który zerwał ze mnie bluzkę, podczas gdy dwaj pozostali mnie przytrzymywali. „Skóra ropuchy! Skóra ropuchy!”, wrzeszczał. „Patrzcie, ma skórę jak ropucha!” Jego ręka powędrowała do moich rajstop, z pewnością chciał sprawdzić, czy na dole też jestem ropuchą. Złapałam ją w locie. Zębami, bo ręce miałam unieruchomione. I ugryzłam. Aż poczułam smak krwi na języku. Jego wycie sprawiło mi szaloną satysfakcję. To było trochę tak, jakbym to ja była za jego pośrednictwem, jakbym wykrzyczała swój wstyd i upokorzenie.

Żrenice Kris rozszerzają się lekko w rozproszonym świetle łazienki. Mam wrażenie, że wylewam z siebie nie tylko wspomnienia, ale też cały potok okrutnego bólu. Ale ona kiwa głową, zachęcając mnie, bym mówiła dalej.

– Za drugim razem, kiedy Salamandra o mało mnie nie zabiła, była już prawie całkiem zablizniona. Miałam osiem lat. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Po latach tkwienia w sierocińcu w końcu dowiedziałam się, że jakaś para postanowiła mnie przygarnąć. Byli idealni. Kobieta miała słodki uśmiech, włosy lekkie niczym chmura i bransoletki, które dzwoniły radośnie na przegubach jej dłoni za każdym razem, gdy się poruszyła. Mężczyzna był duży, silny, pachniał przyjemnie wodą po goleniu, a kiedy mówił, jego niski głos sprawiał, że czułam się bezpieczna. Podpisali papiery, wzięli dokumentację medyczną, zebrali pochwały pracowników socjalnych za to, że mają odwagę wybrać tę sierotę „mimo jej problemów”. Jednak odwaga nie trwała długo. Jeszcze tego samego wieczoru kobieta, nakładając masę, którą w tamtym czasie musiałam mieć codziennie smarowane plecy, zawahała się przez chwilę. Jej ręka zawisła w powietrzu. Bransoletki nagle przestały dzwonić. Kiedy mnie dotknęła, poczułam, że jej palce drżą z obrzydzenia. Następnego dnia mężczyzna odprowadził mnie do domu dziecka bez słowa, jakby nie chciał już ze mną niczego dzielić, nawet swego pięknego głosu, z obawy, że zostanie skażony. Tamtej

nocy we wspólnej sypialni, której miałam nadzieję nie ujrzeć nigdy więcej, przyrzekłam coś sobie... Przyrzekłam sobie, że już nigdy nikomu nie zaufam. Wszystkie rodziny zastępcze, do których później trafiłam, nie były dla mnie nikim więcej niż przypadkowymi obcymi ludźmi.

Z ust Kris wydostaje się kilka słów:

– Léo... Moja Léo...

Z powrotem kładzie ręce na moich ramionach i teraz rozumiem, że wcześniej zabrała je nie ze strachu przede mną, lecz by nie sprawić mi bólu.

– Kiedy Salamandra zaatakowała mnie po raz trzeci, była już dorosła, zakrzepła w tej pozycji, jaką ma do dziś – ciągnę. – Właśnie zaczęłam pracę w fabryce Eden Food France. Od kilku tygodni mieszkałam w hotelu robotniczym dla młodych pracowników. W piwnicy znajdowała się pralnia z dwiema pralkami do dyspozycji mieszkańców. Pewnej niedzieli, kiedy zesłam tam z koszem na bieliznę, zaczęła mnie kierowniczką hotelu. „Inne dziewczęta się skarżą”, powiedziała. „Boją się, że twoja... twoja przypadłość może być zaraźliwa. Dlatego odtąd, dla dobra wszystkich, lepiej, żebyś prała bieliznę ręcznie w umywalce w swoim pokoju. Rozumiesz, prawda?” Bez słowa wyjęłam rzeczy z pralki, choć kotłowało się we mnie jak w maglu. „Tak, pani Cocharde”. Poczekalam, aż się odwróci, i pozwoliłam popłynąć łzom. Od tamtej pory nigdy już nie płakałam, nawet gdy Salamandra zaatakowała mnie po raz czwarty...

– ... Trzy dni temu, kiedy wpadłam nagle do łazienki – zgaduje Kris. – Och, Léo! Gdybym wiedziała! Tak bardzo żałuję! I teraz już rozumiem, dlaczego wahałaś się przed wejściem do kapsuły!

– Nie powinnaś niczego sobie wyrzucać. Nie jesteś za nic odpowiedzialna, tak samo jak Serena, jedyna osoba poza tobą związana z programem Genesis, która wie o istnieniu Salamandry. Jestem wam ogromnie wdzięczna: jej, że zatrzymała mnie w programie, tobie, że nie odcięłaś się ode mnie, i wam obu, że dochowałyście sekretu.

Moje serce zwalnia rytm.

Wyrzuciwszy to wszystko z siebie, poczułam ogromną ulgę, ale teraz, gdy fala emocji już opadła, powinnam wziąć się w garść.

– To ja muszę panować nad Salamandrą – mówię. – Wiem, że zaatakuje mnie po raz piąty, kiedy dowie się o niej mój przyszły mąż. Chcę tylko, by stało się to jak najpóźniej, żebym zdążyła się jak najlepiej przygotować na przyjęcie ciosu. Właśnie dlatego przyjąłam tę sztywną zasadę, że będę zapraszać każdego z uczestników po kolei, tylko raz na dwanaście tygodni. Tuż przed sporządzeniem ostatniej Listy Serca pokażę Salamandrę temu, którego wybiorę i który wybierze mnie, aby zdecydował świadomie. Pozostałe dziewczyny mają mnie za sztywniarę, ale ty wiesz, dlaczego to robię: żeby się chronić. Przeżyję, nie martw się. Jeśli jest coś, czego nauczyłam się przez te piętnaście lat przymusowego życia z Salamandrą, to właśnie tego: jak przeżyć!

AKT III

KONTRPLAN

**Willa Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
czwartek 6 lipca, godz. 21.00.**

– Nawet nie tknęłaś kolacji, Harmony. Tak dłużej być nie może. Musisz coś zjeść. Musisz nabrać sił. Serena McBee siedzi na końcu długiego stołu z hebanu, nad którym wiszą w rzędzie trzy wspaniałe żyrandole rozjaśniające przestrzeń delikatnym światłem.

Sześć metrów dalej, na drugim krańcu stołu przy skraju jedwabnego haftowanego bieżnika, stoi drugie krzesło. Kuli się na nim młoda, wychudzona dziewczyna, ubrana w delikatną sukienkę z szarej koronki z długimi rękawami. Na stojącym przed nią porcelanowym talerzu leży połowa homara i odrobina fasolki szparagowej. Jedzenie jest nieruszone, zupełnie nietknięte.

– Nie jestem głodna – odpowiada.

Jej głos jest delikatny i kruchy jak szkło. Jasne oczy także przypominają szklane koraliki – w rzeczywistości cała jej twarz wydaje się dziwnie przezroczysta. Skóra jest tak blada i tak cienka, że niemal można dostrzec przebiegającą przez nią sieć drobnych niebieskich żyłek. Długie jasne włosy, pełne blasku, niemal białe, przypominają gładkie i błyszczące pajęczne nici. Mimo chudości podobieństwo dziewczyny do siedzącej naprzeciwko kobiety jest uderzające – od razu widać, że to matka i córka.

– To nie jest kwestia głodu lub jego braku – stwierdza Serena McBee. – Ludzie, którzy kierują się tylko swoimi pragnieniami i swoją niechęcią, kończą jako niewolnicy. Tak łatwo nimi manipulować...

Serena delikatnie bierze do ręki jeden z wielu kryształowych kieliszków ustawionych przed jej talerzem – wąski i wysmukły, wypełniony szampanem.

Podnosi go do ust i delektuje się smakiem.

– Mmm... Ten merceaunac cuvée impériale z sześćdziesiątego dziewiątego naprawdę zasługuje na swoją reputację. Szampan z roku księżycowego, Harmony, tak jak ten, który pili uczestnicy programu. Wykosztowałam się, ale było warto! Cudownie komponuje się z homarem. Naprawdę szkoda, że nie chcesz spróbować. Ale może zostawiasz sobie miejsce na ciasto urodzinowe?

Serena klaszcze w dłonie, wprawiając w drżenie bransoletki, które podzwaniają.

– Deser! – rozkazuje.

Dwaj młodzi mężczyźni w kamizelkach kelnerów, do tej pory idealnie milczący i idealnie wtopieni w cień rzucany przez ściany, kierują się w stronę stołu krokiem tak lekkim, że zdają się lewitować nad świeżo wypastowanym parkietem. Każdy z nich nosi przy skroni srebrny zestaw słuchawkowy, zaczepony na prawym uchu.

Naczynia znikają bez najmniejszego hałasu, ustępując miejsca dwóm talerzykom z kawałkami wykwinnej szarlotki. Każda z nich jest prawdziwym dziełem sztuki cukierniczej, wykonanym z bezy o misternym kształcie posypanej czerwonymi kandyzowanymi owocami, lśniącymi niczym rubiny. W szarlotkę ustawioną przed Harmony wbito osiemnaście białych świeczek, cieniutkich jak bierki mikado. W kawałku Sereny tkwi tylko jedna świeczka.

– Wszystkiego najlepszego z okazji naszych urodzin, moja droga! – wykrzykuje Serena, podnosząc kieliszek szampana. – Aby osłodzić te pyszności, cukiernik użył miodu, który zebrałam własnoręcznie w naszej pasiece. No, uśmiechnij się wreszcie. Nie co dzień kończy się osiemnaście lat!

– A ty, mamo, ile kończysz dziś lat?

Serena zanosi się srebrzystym śmiechem.

– To mój mały sekret, kochanie. Niektóre kobiety od pewnego wieku wołają już nie liczyć. Ja wręcz przeciwnie, liczę bardzo dokładnie, choć nie zdradzam wyniku, ale każde kolejne urodziny uznaję za swoje osobiste zwycięstwo nad czasem. Pewnego dnia to zrozumiesz. Tymczasem jednak zdmuchnij

świeczki.

Ale Harmony jeszcze nie skończyła.

– A mój ojciec?

– Jak to twój ojciec? – pyta Serena, gwałtownie odstawiając kieliszek na stół. – Mówiłam ci ze sto razy, że umarł niedługo przed twoim urodzeniem.

– Ile miałby dziś lat?

– To pytanie jest bezprzedmiotowe i nieistotne. Zdmuchnij świeczki, skarbie.

Ton Sereny zamyka wszelką dyskusję.

Na drugim końcu stołu Harmony bierze głęboki wdech. Rysunek żył na jej skroniach i czole zaznacza się coraz wyraźniej, w miarę jak płuca napełniają się powietrzem, a w ciele zaczyna krążyć świeżo natleniona krew.

– Dmuchaj! – nalega Serena.

Z pogrążonej w półmroku części przestronnej jadalni, w której się znajduje, nie jest w stanie dostrzec małej czerwonej kropelki uformowanej pod nosem Harmony.

– No dalej! Wszystkie za jednym zamachem! Nie zawieź mnie!

Lecz w momencie wydechu kruchym ciałem Harmony wstrząsa gwałtowny kaszel. Z nozdrzy wytryska strumień czerwonej krwi i miesza się z malinowym sosem, którym oblano szarlotkę.

– Harmony! – krzyczy Serena, podnosząc się z krzesła. – Tylko nie dziś, nie w dzień naszych urodzin!

Ale Harmony nie może odpowiedzieć. Nieprzytomna pada na stół, rozbijając kryształowe kieliszki, a kawałki szkła mieszają się z jej błyszczącymi włosami.

KANAŁ GENESIS

Piątek 7 lipca, godz. 11.00

Czarne tło.

Stopniowe rozjaśnienie kadru, w którym ukazuje się pusta Kula Spotkań.

Napisy: PIĄTE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: KELLY, LAT 19, KANADA, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE NAWIGACJI (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 11 SEKUND).

Werble.

Kelly wyłania się z segmentu łączącego przedział mieszkalny dziewcząt ze szklaną kulą i dokładnie zamyka za sobą klapę. Upięła swe gęste jasne włosy w dwa kucyki, które unoszą się teraz po bokach jej twarzy. Kraciasta koszula związana nad pępkiem odsłania wypracowane na fitnessie mięśnie brzucha. Kolczyk w pępku błyszczy jak gwiazda, podobna do tych rozsianych po niebie.

Serena (głos z offu): *Dzień dobry, Kelly...*

Kelly: Witaj, Sereno. Masz dziś trochę niewyraźny głos. Czyżbyś była wczoraj wieczorem na jakiejś balandze?

Cisza, która następuje po pytaniu Kelly, mogłaby wskazywać, że producentce wykonawczej nie spodobał się żarcik – ale w rzeczywistości to tylko opóźnienie w łączności między statkiem a Ziemią.

Serena (głos z offu): *Balanga? Tak, można to i tak nazwać. Miałam wczoraj urodziny i położyłam się dosyć późno. Ale dość o mnie. To ty jesteś bohaterką dnia, Kelly! To twój pierwszy raz w Kuli Spotkań... Z kim chciałabyś go dzielić? Czy ty także dasz się skusić Aleksiejowi?*

Kelly (nawija kosmyki lewego kuczka na palce, których paznokcie pomalowała różowym lakierem, dopasowanym oczywiście do błyszczyka na ustach): Nie sądzę. Słodki księżę z filmu Disneya to nie moja bajka. Jedynym blondynem, który mi się podoba, jest Jimmy Giant, współczesny James Dean. Lubię buntowników, facetów, w których żyłach płynie gorąca krew, a nie lód. Wystarczająco namarzłam się w Kanadzie przez całe lata. Nigeria i Brazylia przemawiają do mnie bardziej niż Rosja. No i imię Mozart mnie intryguje. To dlatego, że kocham muzykę, a z takim imieniem... niewykluczone, że jest muzykiem. Choć wątpię, by mógł dorównać Jimmy'emu, bogowi country rocka.

Werble.

Kelly korzysta z krótkiej chwili oczekiwania, by wypluć gumę do żucia w chusteczkę i schować ją do kieszeni džinsów.

Z prawej strony ekranu pojawia się Mozart. On także jest ubrany w džinsy i biały podkoszulek z dekoltem w serek, który podkreśla jego muskulaturę i karmelową barwę skóry.

Mozart (głębokim głosem, w którym pobrzmiwa tęskny akcent): *Dzień dobry...*

Zbliżenie na jego opaloną twarz. Kruczoczarne włosy, gęste i błyszczące, kręcą mu się zmysłowo na karku i skroniach, nadając chłopakowi wygląd młodego fauna, usta układają się w uśmiech, któremu nie można się oprzeć, a długie czarne rzęsy ocieniają intensywne spojrzenie.

Kelly: Cześć, artysto! A może powinnam raczej powiedzieć: wyrazy uszanowania, panie Mozarcie? (wykonuje ukłon w powietrzu, po czym gwałtownie podnosi głowę, odrzucając kucyki na plecy) A gdzie biała peruka? Gdzie puder ryżowy i jedwabne pończochy? Nie nosisz ich na zdjęciu w czołówce, ale sądziłam, że na spotkanie w Kuli bardziej się postarasz. Jestem rozczarowana...

Mozart: Pończochy są pod džinsami. Pokazać ci? (podnosi koszulkę, odsłaniając doskonale zarysowane mięśnie brzucha. Spod džinsów o obniżonej tali wyłania się gumka bokserki) Te bokserki mają pięćdziesiąt procent jedwabiu, idealnie przylegają do ciała, są superwygodne. Szkoda, że sama nie możesz dotknąć, by się przekonać...

Kelly (gwizdże): Fiu, fiu. No, można powiedzieć, że nie owijasz w bawełnę. Walisz prosto do celu!

Zawsze pokazujesz swój kaloryfer na pierwszej randce?

Mozart: A ty?

Kelly: Ja?...

Mozart: Bardzo mi się podoba twoja minimalistyczna interpretacja kraciatej koszuli kanadyjskiego drwala!

Dziewczyna wolno spuszcza wzrok na własny brzuch pod związanymi końcami koszuli, po czym wybucha śmiechem, zdając sobie sprawę, że jest tak samo obnażona jak jej gość.

Kelly: Trafiony, zatopiony! A ja myślałam, że poznam bełkocącego markiza! Czuję, że się ze sobą dogadamy, ty i ja! Ale powiedz: twoi rodzice na serio dali ci na imię Mozart?

Mozart (opuszcza koszulkę): Moi rodzice zwiali z mojego życia jakieś pięć minut po tym, jak pojawiłem się na świecie, więc nie sądzę, by zdążyli nadać mi jakieś imię.

Kelly: Ach! Więc jesteś porzuconym dzieckiem, tak jak Léo!

Mozart (unosí brwi): Léo?...

Kelly: Inna laska z Cupido. Zapomnij, będziesz miał mnóstwo czasu, by ją poznać. Na razie jesteśmy tylko ty i ja. A ty ciągle nie odpowiedziałeś na pytanie o swoje imię.

Mozart: To dziewczyny z faweli Inferno wybrały dla mnie to imię, sympatyczne babki! To jedyne imię, jakie mam, więc je lubię mimo wszystko.

Kelly: Fawela Inferno?

Mozart: Najbardziej zatęchłe slumsy w Rio, mieście, z którego pochodzę. W sumie nawet słowo „slumsy” jest zbyt wyszukane, by opisać to wysypisko śmieci pod gołym niebem, na które w końcu rozciągnęła się sąsiednia fawela, bo trzeba było gdzieś upchnąć tych wszystkich ludzi. Wyobrażasz sobie?

Kelly (nagle poważnie): Wyobrażam sobie... W każdym razie próbuję.

Mozart: W Inferno panuje zasada: każdy troszczy się o siebie samego, Bóg o wszystkich. Chociaż Bóg nigdy mi specjalnie nie pomógł, jeśli mam być szczery. Ale nie mam do niego pretensji, myślę, że biedak robi, co może, a ja nie jestem pamiętliwy (na dowód pokazuje krzyżyk zawieszony na grubym złotym łańcuchu, który wisi na jego szyi). Tymczasem ludzie z faweli przyjęli mnie jak swego. Drobn przestępcy, fałszerze za trzy grosze i wszelkiego rodzaju złodziejaski. Zwykle uważa się ich za zakałą ludzkości, ale większość z nich ma złote serce. Wychowała mnie grupa młodych kobiet z faweli, uważam je trochę za swoje starsze siostry. Jeśli chodzi o „wychowywanie”... zajmowały się mną, kiedy miały czas, bo nie leniły się, tylko pracowicie uwodziły turystów na plażach Copacabana czy Ipanema albo ćwiczyły sambę, by zostać następnymi królowymi karnawału. A ja byłem zwinny jak małpa, a do tego taki mały: potrafiłem zakradać się do eleganckich dzielnic Rio i w mgnieniu oka opróżniać wszystkie kieszenie dookoła, w ramach redystrybucji bogactwa. Pytasz, skąd moje imię? Byłem młodym geniuszem, wirtuozem, „Mozartem wśród kieszonkowców”. Nie, żebym się tym chwalił, teraz, jestem skruszonym grzesznikiem. Dorosłem, miałem już tego dość, chciałem zamknąć ten rozdział i wrócić na właściwą ścieżkę. Kiedy helikoptery zrzuciły na fawelę deszcz ulotek programu Genesis, postanowiłem zgłosić swoją kandydaturę. Muszę przyznać, że miałem prawdziwe szczęście, że mnie przyjęli, patrząc na moje CV!

Mozart mierzy Kelly wyzywającym spojrzeniem, jakby mówił: „Przyznaj, że cię to szokuje”.

Jednakże Kanadyjka, daleka od oburzenia, uśmiecha się szeroko.

Kelly: Jeśli o mnie chodzi, zaliczyłeś pierwszą rundę spotkania bez problemu. Po pierwsze jesteś specem od nawigacji, a to prawdziwa robota wymagająca działania, nie jakaś mętna dziedzina w stylu planetologii. Po drugie zauważyłam, że nosisz bokserki tej samej marki co Jimmy Giant, a to oznacza, że masz dobry gust. Po trzecie świetnie wiem, co czujesz, bo mnie też traktowano jak kogoś z marginesu. Ludzie używali określenia „trailer trash”, śmieć bez prawdziwego domu. Sympatyczne, co? A wszystko dlatego, że razem z mamą i trzema braćmi mieszkałam w przyczepie kempingowej na obrzeżach

Toronto. No dobra, to prawda, że wszyscy siedzieli na bezrobociu, a przyczepa była za mała dla pięciu osób, dlatego postanowiłam się zgłosić do programu Genesis, by trochę odetchnąć.

Mozart (żartuje): A więc oto, czym jesteśmy ty i ja: dwoma śmieciami fruującymi w przestrzeni kosmicznej...

Kelly (precyzyjnie): Dwoma pięknymi śmieciami.

Mozart: Ten, który widzę przed sobą, jest naprawdę wspaniały! Moim marzeniem byłby wspólny recykling. Stopień w jedno, by stworzyć coś niezwykle cennego, czego nikt nie ośmieliłby się wyrzucić... Popatrz, już zaczynam się poddawać recyklingowi.

Na te słowa chłopak zaczyna robić w powietrzu fikołki z zadziwiającą sprawnością, a Kelly śmieje się do łez.

Mozart: Popatrz! Raz w jedną, raz w drugą stronę!

Nagle śmiech Kelly gwałtownie się urywa.

Mozart to zauważa i natychmiast nieruchomieje w powietrzu.

Mozart: Co się stało?

Kelly (zakrywa usta dłonią z wyrazem bezgranicznego przerażenia na twarzy): Twoja... Twoja szyja!

Kamera, szybka jak błyskawica, robi zbliżenia karku Mozarta. Kiedy się obracał, kosmyki czarnych włosów uniosły się, odsłaniając szyję, na której błyszczy mała srebrna metalowa kulka, przyciągająca światło lamp.

Mozart: Co moja szyja?... (rozpaczliwie poprawia włosy) To tylko kolczyk, nic więcej. Jak ten w twoim pępku.

Ale Kelly nie słucha.

Wcale go już nie słucha.

Kelly (wrzeszczy): Stop! Zatrzymajcie to wszystko! W tej chwili!

Mozart (rzuca się na szklaną ścianę i przykleja czoło do szkła. Teraz on krzyczy): Ale co się stało? Co takiego powiedziałem? Co takiego zrobiłem?

Kelly: Wypuście mnie stąd, do cholery! Wypuście mnie albo stanie się coś złego!

Nagle przenikliwy dzwonek zagłusza krzyki – zegar na dole ekranu zakończył odliczanie. To koniec spotkania.

Serena (głos z offu): *Słuchaj, Kelly, po co się tak denerwować? Czy to z powodu błędów młodości Mozarta? Czy jego przeszłość zszokowała cię aż do tego stopnia?*

Ale nie ma już nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na pytania Sereny – zanim dotarły do Kuli Spotkań, Kelly zdążyła otworzyć drzwi i zniknąć w korytarzu prowadzącym do przedziału dziewcząt.

Stopniowe zaciemnianie kadru aż do całkowitej czerni.

Czołówka.

PLAN

Start + 4 dni, 21 godz., 42 min (Pierwszy tydzień)

W salonie roznosi się metaliczny dźwięk zamykanej klapy.

Louve, którą właśnie szkicowałam, skacze na równe nogi. Koniec pozowania na dziś.

Wyłączam tablet i podnoszę wzrok na Kelly, która zlatuje z górnych pięter niczym wściekły buldożer. Patrząc na jej zaczerwienione policzki, od razu można się domyślić, że wystąpił jakiś problem.

– Coś poszło nie tak? – pyta Fangfang i właściwie nie wiadomo, jaka odpowiedź bardziej by ją ucieszyła, twierdząca czy przecząca.

– Jeśli ktoś cię zapyta, powiedz, że nic na ten temat nie wiesz!

Singapurka gwizdże pod nosem.

Ale Kelly wcale nie zwraca na nią uwagi. RzUCA się do stołu, przy którym jemy posiłki, zgnania z niego naczynia pozostałe po śniadaniu i wrzuca je do kosza na brudną zastawę. Na skraju stołu zostawia tylko jedną szklankę. Następnie chwytA mydło leżące na zlewie i kładzie je z drugiej strony stołu. Kuca. Bierze głęboki oddech i daje przyczek mokrej kostce mydła, która ślizga się po stole w kierunku szklanki, ale zatrzymuje się w pół drogi, nie dotykając celu.

– Pudło... – warczy przez zęby.

Łapie szczotkę do mycia naczyń i gorączkowo szoruje stalową powierzchnię stołu, po czym ponawia próbę z mydłem.

Po tym, jak ofuknęła Fangfang, nikt nie śmie zapytać, co się dzieje.

– Mnie także relaksuje sprzątanie, kiedy jestem zestresowana – mówi wreszcie Kris, by rozładować atmosferę.

– Ja nie sprzątam! – wrzeszczy Kelly. – Ja uprawiam curling! Dla mnie to jak modlitwa, więc będę wdzięczna, jeśli przestaniecie mnie rozpraszać!

I znów zaczyna zawzięcie szorować...

– Uprawia curling? – powtarza Kris ściszym głosem.

– Wydaje mi się, że to rodzaj takiej gry w kule, tylko że na lodzie – wyjaśniam. – Nie widziałaś tego nigdy w telewizji? Jeden zawodnik wypuszcza na lodowisko kamień, a pozostali szczotkują przed nim lód jak szaleni, żeby dojechał do celu.

– To nie ma nic wspólnego z grą w kule! – ryczy Kelly, oburzona.

Ups... więc mówiłam zbyt głośno...

– Dla twojej informacji: curling jest dyscypliną olimpijską – mówi stanowczym tonem, wymachując mi mydłem przed nosem, jakby chciała mnie nim nakarmić. – W Kanadzie traktujemy to bardzo poważnie. Zresztą po co ja się, do cholery, męczę, wyjaśniając to dziewczynom, którym tylko jedno w głowie: chcą za wszelką cenę znaleźć faceta, nawet jeśli do wyboru mają samych drani! *Ciao*, spadam stąd razem z Jimmym i zostawcie mnie wszyscy w spokoju!

Z niezwykłą precyzją wrzuca mydło do zlewu. Następnie ze złością zabiera swój odtwarzacz ze stołu-ładowarki i wybiega z salonu, by schronić się w sypialni – tak samo jak ja cztery dni temu.

KONTRPLAN

**Willa Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
piątek 7 lipca, godz. 15.30**

– Bardzo mnie przestraszyłaś, Harmony – mówi Serena McBee tonem pełnym wyrzutu.

Ubrana w elegancki fioletowy kostium siedzi u wezłowania dużego metalowego łóżka z regulowanym oparciem, jakie widuje się w szpitalach. Jednak przestronny pokój umeblowany przepięknymi antykami w niczym nie przypomina szpitalnej sali, a młoda dziewczyna leżąca w łóżku w niczym nie przypomina pacjentki w szpitalnej koszuli – delikatna szara koronka jej sukni rozlewa się na białych prześcieradłach niczym drogocenna piana.

– Musisz lepiej o siebie dbać, musisz odżywiać się prawidłowo i przyjmować lekarstwa. Już jako małe dziecko byłaś tak wątpliwa, że kazałam zaryglować okna w twoim pokoju, ze strachu, by nie porwał cię byle podmuch wiatru. Ale ostatnio twój stan jeszcze się pogorszył. Ten kryzys wczoraj wieczorem... Obiecasz mi, że się postarasz?

– Obiecuję, mamó – odpowiada Harmony.

Wciąż jest bardzo blada, a jej policzki nadal są zapadnięte. Jednak jasnozielone oczy, tak podobne do oczu matki, błyszczą w promieniach słońca wpadających do pokoju przez wielkie okratowane okno.

– Mogę ci wierzyć? – nalega Serena.

– Możesz, mamó. To moje postanowienie z okazji dorosłości. Dojrzeć. Stać się kobietą spełnioną jak ty.

Serena bierze ręce córki w swoje dłonie.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, moja kochana. Zresztą z każdym rokiem stajesz się coraz bardziej do mnie podobna! Pewnego dnia zajmiesz moje miejsce, będziesz z dumą nosić barwy rodu McBee i nasz szlachecki herb odziedziczony po szkockich przodkach.

Prezentuje złoty sygnet, który nosi na małym palcu, z wygrawerowanym pszczelim plastrzem i pszczołą pośrodku.

– Tak, mamó – odpowiada Harmony.

Przezroczyście spojrzenie dziewczyny gubi się w przestrzeni ogromnego pokoju. Przebiega po rzędzie porcelanowych lalek siedzących grzecznie na gzymsie kominka z ornamentalnym zdobieniem w kształcie liści, po ruchomej jedwabnej dekoracji w kształcie motyla fruującego pod sufitem, po wszystkich pamiątkach, którymi jest usiany ten dziecięcy pokój. Jedynym znakiem, że dziecko już dorosło, są powieści leżące na nocnym stoliku, złożone napisy na ich grzbietach błyszczą nieśmiało na skórzanych oprawkach. *Duma i uprzedzenie. Rozważna i romantyczna. Perswazje.*

– Wiem, że nie było mnie przy tobie przez te ostatnie miesiące – ciągnie Serena. – Przygotowania do programu Genesis, szkolenie w Kalifornii, to wszystko zajęło mi mnóstwo czasu. Ale teraz to się zmienia, obiecuję. Począwszy od dziś, pracuję zdalnie. Będę musiała wyjechać z Long Island raz czy dwa, żeby spotkać się z ludźmi z Atlasa w Nowym Jorku, ale to kwestia zaledwie kilku godzin. A pozostały czas spędzimy razem, Harmony, tutaj, w willi McBee. A właśnie, przez to wszystko zapomniałam dać ci urodzinowy prezent!

Serena pochyla się i wyjmuje coś spod krzesła – to czarna szkatułka, którą wkłada w smukłe dłonie córki.

– Och! – wzdycha dziewczyna, podnosząc wieczko.

W szkatułce leży przepiękny diamentowy naszyjnik.

– Osiemnaście kamieni, po jednym na pamiątkę każdego roku, który przeżyłaś na ziemi – mówi Serena, zawieszając klejnoty na szyi Harmony. – Podoba ci się?

Dziewczyna podnosi się nieco wyżej na atlasowych poduszkach, aby popatrzeć na swoje odbicie w wielkim przechylnym lustrze stojącym naprzeciw okna.

– Ogromnie! – wykrzykuje. – Dziękuję, mammo!

Serena wstaje i całuje Harmony w czoło.

– Zostawiam na toaletce drożdżówkę i herbatę. Później każę ci przygotować wywar z mleczka pszczelego z naszych uli. Doskonale dodaje sił, twoje ciśnienie wciąż jest bardzo niskie. A teraz odpocznij, kochanie. Oddychaj głęboko, tak jak cię uczyłam. Włączę ci telewizor, żebyś się trochę rozerwała.

Podchodzi do ogromnego płaskiego ekranu wiszącego na ścianie między dwoma impresjonistycznymi obrazami w pastelowych barwach. Pociąga palcem po gładkiej powierzchni. Ekran natychmiast się włącza, pokazując program na kanale Genesis. Ciasny, pozbawiony okien salon, w którym gromadzą się pasażerowie statku, zdaje się jakby przedłużeniem przestronnego, skąpanego w słonecznym świetle pokoju dziewczyny.

– Pamiętasz, jak sześciu uczestników programu, a później sześć uczestniczek przybyło do naszego domu zaraz po tym, jak zostali wybrani, przed wyjazdem do Doliny Śmierci? – pyta Serena.

– Tak, mammo, to było bardzo miłe z twojej strony, że ich zaprosiłaś. A ja bardzo się cieszyłam, że mam szansę spotkać się z nimi choć ten jeden raz.

– To dlatego, że oni nigdy nie mieli bliskich albo ich stracili, rozumiesz? Chciałam przed odlotem pokazać im wzór kochającej się rodziny, coś, co będzie dla nich inspiracją, kiedy już dotrą na Marsa. Jest tyle nieszczęścia na tym świecie... To wielki dar, że tak dobrze się rozumiemy, Harmony.

Serena zmierza do wyjścia, ale zatrzymuje się na chwilę przy drzwiach, by wyjąć z kieszeni kostiumu pęk kluczy.

– Harmony...

– Tak, mammo?

– Rozumiesz, dlaczego cię zamykam, prawda? To znaczy rozumiesz, dlaczego od wczesnego dzieciństwa trzymam cię pod kluczem w willi McBee?

– Ponieważ mnie kochasz, mammo.

Serena się uśmiecha.

Zamyka za sobą drzwi i dwukrotnie przekręcając klucz w zamku.

Stukot jej obcasów cichnie i nie słychać już prawie nic, z wyjątkiem szczebiotania uczestniczek dyskutujących na ekranie telewizora, w którym zmniejszono głośność do minimum.

Dopiero wtedy Harmony wstaje z łóżka – bardzo powoli, jakby się bała, że połamie kruche kończyny, wykonując jakiś zbyt gwałtowny ruch.

Podchodzi do okna, opiera się całym ciężarem ciała o szybę, by ją rozsunać. Delikatny wiatr wpada przez kraty – to bryza charakterystyczna dla lata w Hamptons, najbardziej eleganckiej i luksusowej części Long Island, a właściwie całego kraju. To tu spędza wakacje śmietanka nowojorskiej elity, tu buduje swoje letnie rezydencje. Mimo gorąca Harmony drży pod koronką, która zakrywa jej barki i ramiona. Chwyta kraty w obie dłonie i przysuwa do nich twarz. Za oknem rozciągają się przepiękne angielskie ogrody willi McBee. Wypełniają je ekstrawaganckie kwietniki tonące w różach, wśród których wiją się pnącza powojnika, połacie jaskrów błyszczących jak złoto w promieniach słońca, kobierce lawendy falujące na wietrze niczym fioletowe morze, eksplozja zapachów i kolorów. Tam, za żywopłotem, widać dachy kilkudziesięciu uli. A jeszcze dalej, za drzewami, można dostrzec setki fanów uczepionych płotu posiadłości w nadziei, że uda im się ujrzeć najwyższą kapłankę programu Genesis.

Harmony odwraca wzrok od tego wszystkiego i wpatruje się w bezchmurne niebo.

Zaczyna uderzać paznokciem w metalową kratę: *cyk! cyk! cyk!*

... jakiś kształt pojawia się na lazurowym sklepieniu...

cyk! cyk! cyk!

... szary kształt...

cyk! cyk! cyk!

... gołąb.

Z gwałtownym trzepotem skrzydeł, od którego rozwiewają się cienkie włosy Harmony, siada na parapecie okna. Na twarzy dziewczyny pojawia się wyraz ulgi, kiedy dostrzega przywiązaną do nogi gołębia czerwoną fioletkę.

– Dziękuję... – szepcze. – Dziękuję...

Pod okrągłym obojętnym okiem nieruchomego ptaka drżącymi palcami rozwiązuje nitkę przytrzymującą fioletkę.

Z kieszeni sukienki wyjmuje maleńką złotą puderniczkę i z głośnym kliknięciem otwiera okrągłe pudełeczko. Pod puszką do pudru nie ma zupełnie nic, ani drobinki. Harmony wyjmuję zatyczkę z czerwonej fioletki i przesypuje jej zawartość do puderniczki: drobniutki biały proszek, opalizujący i mieniający się niczym śnieg.

Dopiero wtedy podnosi głowę i zdaje sobie sprawę z obecności gołębia, który wciąż wpatruje się w nią przez kraty w oknie.

– Tak, wiem... – zwraca się do niego ciepło. – Trzeba zapłacić...

Otwiera stojącą na toalecie dużą szkatułkę na biżuterię, w której w osobnych przegródkach wyłożonych purpurowym aksamitem leżą pierścionki, kolczyki i naszyjniki podobne do tego, który właśnie ofiarowała jej matka. Wybiera złoty kolczyk z rubinem – doskonale mieści się w fioletce, którą dziewczyna starannie zamyka i przywiązuje z powrotem do nogi gołębia.

Ptak bezszelestnie wzbija się w niebo, a Harmony wraca do łóżka.

Siada na brzegu materaca, który prawie się nie ugina pod naciskiem jej zbyt lekkiego ciała.

Sięga po jedną z powieści Jane Austen – *Dumę i uprzedzenie* – otwiera ją i cicho wyrzywa stronę. Na czubek wydartej kartki przesypuje kilka gramów białego proszku z puderniczki. Delikatnie wysypuje proszek na nocny stolik i ostrożnie popycha brzegi maleńkiego stosiku, aż formuje się z niego cienka prosta linia. Na koniec wkłada puszek z powrotem do puderniczki, by ukryć swój skarb, zamyka wieczko i chowa puderniczkę do kieszeni, po czym pochyla się nad mieniającą się cienką linią proszku.

– Nadszedł czas, by wyruszyć w podróż, Jane... – szepcze, zwijając między cienkimi palcami stronę z książki, aż tworzy się rurka z papieru i słów.

Harmony przytyka jeden koniec do delikatnego noska, a drugi do początku białej kreski. Wciąga proszek, robiąc tak głęboki wdech, na jaki pozwalają jej płuca.

Opada z powrotem na łóżko, wypuszczając z rąk kartkę, która spada na ziemię.

Całe ciało się napina.

Żrenice się kurczą.

Ręce i nogi podnoszą się nad materacem, niemal białe włosy wzbijają się powietrze, jakby były w stanie nieważkości.

KANAL GENESIS

Sobota 8 lipca, godz. 11.00

Czarne tło.

Stopniowe rozjaśnienie kadru, w którym ukazuje się pusta Kula Spotkań.

Napisy: SZÓSTE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: SAFIA, LAT 17, INDIE, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE ŁĄCZNOŚCI (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 14 SEKUND).

Werble.

Safia pojawia się po lewej stronie kadru. Włożyła swoje sari w kolorze szafranu, którego fałdy, umiejętnie ułożone, falują dookoła niej niczym jedwabiste płatki gigantycznego kwiatu. Jej długie czarne włosy, starannie związane, błyszczą niczym onyks. Poza czerwoną kropką, która zdobi jej czoło, nosi też dzisiaj złoty kolczyk w prawym nozdrzu.

Serena (głos z offu): *Safio! Cóż za wyrafinowanie! Cóż za egzotyka! Dzięki tobie miliony widzów, którzy nas oglądają, nie mogą oderwać wzroku od ekranu! Lecz tylko jeden z uczestników będzie miał okazję cieszyć się tym niezwykłym widokiem. Który, Safio?*

Safia: Waham się między Samsonem i Kenjim...

Pod szklanym sklepieniem upływają kolejne sekundy jak przedłużający się wielokropek, nim wahanie Safii dotrze na Ziemię.

Serena (wreszcie odpowiada, powtarzając jak odległe echo imiona dwóch uczestników): *Samson czy Kenji? Interesujące... A dlaczego właśnie oni?*

Safia: Ponieważ żaden z nich nie został jeszcze zaproszony. Wyobrażam sobie, że musi im być trochę smutno... Chciałabym zaprosić obydwu, ale niestety to niemożliwe.

Serena (jej srebrzysty śmiech rozbrzmiewa w szklanej kuli z czternastosekundowym opóźnieniem): *Ach, Safio! Cóż za altruizm, godny Matki Teresy! To dobrze, że troszczysz się o uczucia innych ludzi, ale jakie są twoje pragnienia? Czy żaden z tych dwóch uczestników nie pociąga cię bardziej? A więc Samson czy Kenji? Kenji czy Samson? Musisz wybrać!*

Safia (waha się przez chwilę, po czym podejmuje decyzję): Samson jest naprawdę bardzo, bardzo przystojny. Ale sądzę, że dziś wybiorę Kenjiego, ponieważ jest najmłodszy z chłopców. Ma siedemnaście lat tak samo jak ja. Mamy ze sobą coś wspólnego.

Werble.

Głos spoza kadru milknie i Safia zostaje zupełnie sama pośród ciszy. Czeka cierpliwie, oddychając spokojnie, tak jak nauczyła ją Serena. Czasem tylko przygląda fałdy sari wdzięcznym ruchem dłoni.

Mijają kolejne chwile.

Zamieniają się w minuty.

Wreszcie Serena znów zabiera głos.

Serena (głos z offu): *Przykro mi, Safio, ale mamy mały problem... Kenji nie chce przyjść.*

Zbliżenie na jeszcze przed chwilą pogodną twarz najmłodszej uczestniczki, która teraz już nie ukrywa niepokoju.

Safia: On... On nie chce się ze mną zobaczyć?

Czternaście sekund opóźnienia w łączności stanowi dla młodej Hinduski prawdziwą torturę. W jej czarnych oczach podkreślonych kajalem można dostrzec całą gamę gwałtownych emocji, które targają nią, gdy czeka na odpowiedź na swoje pytanie.

Serena (wykręca się): *Nie wiem, co ci odpowiedzieć poza tym, że musisz wybrać innego uczestnika. Może piękny Aleksiej? Pewnie umierasz z niecierpliwości, by go poznać, tak jak pozostałe dziewczęta...*

Safia (na jej twarz powraca spokój, odpowiada zdecydowanie): Nie. Nie Aleksiej. Samson. Chcę

zaprosić Samsona.

Tym razem oczekiwanie nie trwa długo. Ogolona głowa Samsona szybko pojawia się po prawej stronie kadru. Pierwsze, co uderza, kiedy się na niego patrzy, to szmaragdowa zieleń oczu odcinająca się niezwykle na czarnym, hebanowym tle skóry. Ubrał się z prostotą, w beżowe lniane spodnie i koszulę, która podkreśla smukłość jego ciała. Wąska muszka przydaje mu nieco niezaprzeczalnej elegancji.

Samson: Dziękuję za zaproszenie, Safio... nawet jeśli nie byłem twym pierwszym wyborem.

Safia (trochę zakłopotana, płacze się w wyjaśnieniach): Wahałam się... Pomyślałam o solidarności najmłodszych uczestników... Powinnam była zaprosić najpierw ciebie...

Samson (wybucha śmiechem – śmiechem czystym, słonecznym, w którym odsłania swe jaśniejące bielą zęby): Tylko się z tobą droczę, moja piękna! Nie musisz przeproszać. Jestem bardzo szczęśliwy, że byłem drugi w kolejce. A co do Kenjiego... nie wie, co traci.

Safia (wydaje się nieco uspokojona, uśmiecha się nieśmiało): Wiesz, dlaczego nie przyszedł? (natychmiast dodaje) Nie, żebym żałowała, nic z tych rzeczy, ale to trochę przykre. Uznał, że jestem brzydka, kiedy zobaczył czołówkę, tak?

Samson: Nie staraj się zrozumieć. Kenji jest dość dziwny... Nie, tak naprawdę jest zdrowo stuknięty. Nie odzywa się do nikogo.

Safia: Jest niemy?

Samson: Powiedziałbym raczej: autystyczny. Sparaliżowany ze strachu w kontakcie z innymi ludźmi. Znasz ten typ? Nie będę ci opowiadał o szkoleniu w Dolinie Śmierci, ale oswojenie go to nie była bułka z masłem. Z trudem daliśmy radę w dwanaście miesięcy. No to wyobraź sobie teraz, sześć minut twarzą w twarz z nieznaną dziewczyną... w dodatku olśniewającą!

Safia (rumieni się lekko na ten komplement): Nie rozumiem. Dlaczego produkcja miałaby wybrać osobę z autyzmem do takiej misji?

Samson (wzrusza ramionami): Skąd mogę wiedzieć? Kenji ma inne zalety. Jest geniuszem elektroniki. Jego mózg to prawdziwy żywy komputer. Zna na pamięć częstotliwości radiowe używane w przestrzeni kosmicznej, potrafi obliczyć czas transmisji z zamkniętymi oczami, o każdej porze dnia i nocy może ci powiedzieć, jakie jest położenie Marsa, Fobosa, Ziemi i wszystkiego, co krąży w Układzie Słonecznym. To się liczy, jeśli jest się specjalistą w dziedzinie łączności. A poza tym nie wiem, jak u was, po stronie dziewczyn, ale u nas, po stronie chłopców, nikt nie jest doskonały... Może poza Aleksiejem, ten facet wygląda na nadczołowieka.

Safia: „Nikt nie jest doskonały”? Co chcesz przez to powiedzieć?

Samson (kręci głową): Przepraszam, ale przyrzekliśmy sobie z chłopakami, że nie będziemy się nawzajem krytykować. W każdym razie nie mam ochoty gadać o kolegach. W moim kraju jest takie przysłowie: „Wielbłądy nie śmieją się ze swoich garbów”. Sami powiedzą to, co mają do powiedzenia, gdy spotkają się tutaj z dziewczynami i usłyszą ich pytania. Ja mogę mówić tylko za siebie.

Safia: A więc zadam ci pytanie, Samsonie: na czym polega twoja niedoskonałość? Muszę przyznać, że trudno mi ją sobie wyobrazić, kiedy patrzę na chłopaka o wyglądzie modela. Choćby twoje oczy! Są magiczne! W dodatku jesteś miły i lojalny wobec przyjaciół.

Szeroki uśmiech Samsona nagle gaśnie.

Samson (ścisza głos): Te, jak je nazywasz, „magiczne oczy” to moje najgorsze przekleństwo. W wiosce, gdzie przyszedłem na świat, mówi się, że niektóre dzieci są czarownikami, te o zbyt jasnej skórze albo zbyt jasnych oczach jak moje. Takiego potomstwa nikt nie chce, bo przynosi pecha. Rodzice je porzucają, starszyzna wyrzuca z wioski, a kiedy na ludzi spada głód albo choroby, to mszczą się właśnie na wyrzutkach. Zabijają te dzieci, by odpędzić nieszczęście.

Safia (wykrzykuje): To niesprawiedliwe!

Samson: Tak już jest. Nigeria to przepiękny kraj, pełen wspaniałych ludzi. Ale niczego nie zmienia się tak trudno jak tradycji...

Na te słowa twarz Safii oblewa się purpurą.

Safia: Tradycja! Co dobrego przyniosła nam tradycja poza ładnymi tkaninami? (gwałtownie przerzuca fałdę sari przez ramię) Wojny, morderstwa, sieroty!... Cierpienie, krew i łzy!... Oto, co przyniosła nam tradycja! Przez tradycję moi rodzice chcieli, bym poślubiła człowieka, którego nie kochałam, i wszyscy bliscy odwrócili się ode mnie! Jeśli cały ten program ma jakiś sens, jeśli jest coś, co nasza dwunastka powinna zrobić, to nie dopuścić, by tradycja zapałała korzenie w marsjańskiej ziemi! (Patrzy głęboko w oczy Samsona). Umieszczę cię na pierwszym miejscu swojej Listy Serca, Samsonie. A jeśli wyjdę za ciebie za pięć miesięcy, to będę bardzo szczęśliwa. Nasze dzieci będą miały twoje wspaniałe zielone oczy. Będą patrzyły na Ziemię z planety, na której nie dosięgnie ich ludzkie okrucieństwo. A wszyscy, którzy na Ziemi cierpią prześladowania, będą mogli patrzeć na Marsa jak na symbol nadziei, której nikt nie będzie mógł im odebrać.

Samson (na jego twarz powraca uśmiech): *Wow!* Nieźle jak na pierwsze spotkanie! Byłem drugi w kolejce, a teraz myślisz o tym, by wziąć ze mną ślub! W sumie może nie jestem jednak takim pechowcem?...

Dźwięk dzwonka kończy spotkanie.

Serena (głos z offu): *Kto by pomyślał! Szybka randka, która zmienia się w żarliwą obronę praw człowieka... i chyba oświadczyły! To dopiero widowisko! Brrr... Aż przeszły mnie dreszcze, do tej pory mam gęsią skórkę! I jestem pewna, że wy czujecie podobnie, drodzy widzowie! Jeśli przekonali was Safia i Samson, nie wahajcie się ani chwili, tylko pokażcie im to, zasilając ich Posagi, aby zielonookie dzieci mogły się narodzić i wychować w najpiękniejszym Gnieździe Miłości w bazie Nowy Eden!*

Stopniowe zaciemnianie kadru aż do całkowitej czerni.

Czołówka.

POZA KADREM

Cmentarz Calvary, hrabstwo Los Angeles, niedziela 9 lipca, godz. 15.30

– Sherman Fisher był przykładnym mężem i ojcem. Był również wzorowym obywatelem miasta Beverly Hills, w którego życiu aktywnie uczestniczył. I wreszcie był szanowanym członkiem środowiska naukowców, czego odzwierciedleniem było jego wysokie stanowisko w NASA, jeszcze przed zmianą właściciela, a ostatnio w programie Genesis, przy którym pracował.

Ksiądz odsuwa się na chwilę od mikrofonu przyczepionego do mównicy, by wyjąć z kieszeni sutanny chusteczkę i wytrzeć sobie czoło. W to lipcowe popołudnie słońce jest naprawdę oślepiające. Jego ostre światło wydłuża cienie rzucane przez płyty nagrobne wystające z pożółkłej trawy cmentarza Calvary we wschodniej części hrabstwa Los Angeles.

Wokół wykopanego w suchej ziemi dołu zebrało się około stu osób ubranych na czarno. Mężczyźni rozluźniają kołnierzyki koszul, kobiety podnoszą woalki, by wpuścić pod nie trochę powietrza, niektóre wachlują się nawet książeczkami do modlitwy, gdzieś w tłumie płacze jakieś dziecko.

– To żarliwe oddanie pracy przyczyniło się do odejścia Shermana – ciągnie ksiądz, chowając chusteczkę. – Wysłanie człowieka na Marsa stało się celem i sensem jego życia. Z rozmów, które prowadziłem z nim jako jego proboszcz w Beverly Hills, wiem, że widział w tej misji sposób na oddanie czci Bogu, na bliższą kontemplację piękna jego dzieła stworzenia. Ostatnio Sherman znalazł się w gronie tych osób, na które spadła ogromna odpowiedzialność za wyszkolenie kandydatów do marsjańskiej kolonizacji w obozie treningowym w Dolinie Śmierci. Poświęcił się temu zadaniu całkowicie, nie szczędząc sił, dniami i nocami, do tego stopnia, że widywał swych bliskich tylko przez jeden weekend w miesiącu. Ale Sherman, człowiek kosmosu, nie lubił latać. Dlatego wracał do Beverly Hills samochodem. Wszystko wskazuje na to, że w kontakcie z rozgrzanym o tej porze roku asfaltem pękły opony w jego chevrolecie. Pan wezwał do siebie swego syna zaledwie kilka dni przed startem misji, nad którą tak ciężko pracował. Ktoś mógłby dojrzeć w tym okrutną ironię. Ja jednak wierzę, że Sherman mógł obserwować start rakiety z najlepszego miejsca, jakie można sobie wyobrazić, czyli z nieba, stojąc u boku swego Stwórcy. I jestem pewien, że wciąż będzie czuwać nad swymi uczniami, przez kolejne dni, miesiące i lata. A teraz już oddam głos tym, którzy znali Shermana o wiele lepiej niż ja. Zapraszam małżonkę zmarłego Vivian Fisher.

Ksiądz odsuwa się kilka kroków do tyłu, by ustąpić miejsca przy mównicy. U jej stóp ustawiono fotografię portretową w ozdobnej ramie przedstawiającą tego, któremu właśnie złożył hołd – człowieka o surowej twarzy, ubranego w garnitur i krawat, z czołem pooranym zmarszczkami wskazującymi na liczne zmartwienia. Stojąca przed wykopanym dołem trumna jest szczelnie zamknięta.

Wysoka, szczupła kobieta, elegancka mimo tragedii, która ją przygniotła, wychodzi z tłumy, zostawiając za sobą dwa piękne charty siedzące nieruchomo jak figury z chińskiej porcelany – jednego całego czarnego, drugiego całego białego. Kiedy wdowa kieruje się z godnością w stronę mównicy, poprawiając woalkę, dziecienny głosik szepcze wśród szlochów:

– Ale powiedz, Drew, nie zobaczymy już taty zanim... zanim... zanim go zakopią?

Dwunastoletnia dziewczynka, która zadała to pytanie, podnosi zaczerwienione oczy na starszego brata stojącego obok niej w pierwszym rzędzie. Wyprostowany jak struna w czarnym garniturze, z włosami przygładzonymi za pomocą wosku przypomina posąg, tak samo nieruchomy jak charty, które trzyma na smyczy. Jego oczy za okularami w czarnych oprawkach nie są zaczerwienione, ale napięcie ściągające twarz mówi więcej niż wszystkie łzy.

– Nie, Lucy – szepcze zdławionym głosem. – Nie zobaczymy już taty. Znaleźli go w Dolinie Śmierci

wiele dni po tym, jak doszło do wypadku. Nie mogliśmy... go rozpoznać. Lepiej zachować go we wspomnieniach takiego, jaki jest na tym zdjęciu, tam, obok ojca Daniela.

– Ale tata wygląda na tym zdjęciu tak poważnie...

– Bo tata był poważny, Lucy. Zwłaszcza odkąd zaczął pracować dla programu Genesis. Musiał mieć wiele zmartwień, obowiązków... To jedno z ostatnich zdjęć, jakie mu zrobiono.

Lucy znów szlocha, ale zaraz milknie.

Na mównicy ich matka przygotowuje się do zabrania głosu.

– Spotkałam Shermana po raz pierwszy w Country Clubie w Berkeley – zaczyna. – On studiował fizykę, a ja starożytne języki. Już wtedy kosmos był jego największą pasją. Zauważyłam, że nasze specjalizacje wcale nie są od siebie tak odległe, ponieważ wszystkie planety noszą łacińskie nazwy. To była nasza pierwsza rozmowa, wtedy po raz pierwszy śmialiśmy się razem...

Andrew zamyka oczy.

Oddycha głęboko.

Koszula na jego piersi unosi się i opada w rytm oddechu, jakby chłopak wchłaniał w siebie drżącą przemowę matki, stłumione szlochy siostry i szum gorącego wiatru w gałęziach stuletnich sekwoi.

– Zapraszam Andrew, syna zmarłego.

Andrew natychmiast otwiera oczy.

Odrywa się od tłumu i niczym robot kieruje w stronę mównicy.

Morze głów odwróconych w jego stronę zdaje się niewyraźne jak fatamorgana.

Andrew wsuwa dłoń do kieszeni marynarki, by wydobyć z niej kartkę papieru, na której nabazgrał przemowę. Ale słowa także są zamazane, jakby jego okulary przestały działać, jakby cały świat się rozplywał.

To nic.

Andrew upuszcza kartkę, która unosi się na wietrze.

Przecież i tak wie, co chce powiedzieć.

– Za miesiąc wracam do Berkeley na studia – mówi cicho do mikrofonu. – To miejsce jest dla mnie prawdziwym symbolem. Po tym, co właśnie usłyszeliście, zapewne domyślacie się dlaczego: to tam mój ojciec poznał moją matkę. Tak więc gdyby nie Berkeley, nie byłoby mnie na świecie. Ale tak naprawdę nie to jest najważniejsze. Liczy się to, że Berkeley nadaje sens mojemu życiu. Ponieważ jest to droga, którą pokazał mi ojciec: droga wytrwałości, pracy, poświęcenia. Zawsze ogromnie go podziwiałem. Zawsze był dla mnie wzorem. Tak, był surowy, ale też sprawiedliwy. Od wczesnego dzieciństwa najbardziej bałem się, że go zawiodę. A największą satysfakcją było dla mnie usłyszeć z jego ust pochwałę.

Andrew przerywa na krótką chwilę.

Wczepia się obiema rękami w brzegi mównicy.

– W tym ostatnim czasie tata był nieobecny. Jak wspominał ojciec Daniel, zawładnął nim program Genesis. Byłem zazdrosny, przyznaję, myśląc o tych nieznanym w moim wieku, którym poświęca tyle czasu, podczas gdy dla własnego syna ma go tak mało. Ale dziś najważniejsze jest dla mnie to, że tuż przed śmiercią ojciec spełniał marzenie swojego życia, marzenie, które narodziło się w nim, gdy był w moim wieku, w ławkach Berkeley, a prawdopodobnie jeszcze wcześniej: było to pragnienie, by dotknąć dłońią gwiazd. Był już za stary, by samemu zostać astronautą. Ale robił wszystko, żeby wysłać w kosmos innych ludzi.

Andrew jeszcze raz bierze głęboki wdech.

Jego wzrok unosi się wysoko ponad głowami żałobników, ku oślepijącemu niebu, ku człowiekowi, do którego kieruje ostatnie słowa swojej przemowy.

– Dzisiaj składam ci obietnicę, ojcze. Przysięgam, że okażę się ciębie godzien. Że ja także pewnego dnia dotknę gwiazd. Że polecę na Marsa i że ty także tam polecisz za moim pośrednictwem.

Odwraca się szybko, a ksiądz klepie go współczująco po ramieniu.

– Dobrze powiedziane, Andrew.

Kolejne przemowy następują po sobie, w straszliwym upale, jak we śnie. Aż ksiądz wzywa ostatnią osobę:

– Zapraszam na koniec Odette Stuart-Smith, która była zarówno sąsiadką Shermana w Beverly Hills, jak i jego znamienitą koleżanką w programie Genesis. Możemy sobie wyobrazić, jak wiele ma obowiązków, jednak znalazła czas, by przybyć dziś do nas specjalnie z przylądka Canaveral i złożyć zmarłemu ostatni hołd.

Z tłumu wyłania się drobna kobieta, uginając się pod ciężarem ogromnego wieńca, który trzyma obydwoma rękami. Mimo upału jest ubrana w golf, który sięga jej aż po brodę.

Rzuca na zebranych spojrzenie znad krawędzi mównicy, ale nie da się stwierdzić, czy rzeczywiście coś widzi, bo jej źrenice całkowicie znikają za szklami okularów o grubości denka od butelki.

– Raz... dwa... – mówi do mikrofonu. – Raz... dwa...

– Ee... Nie trzeba go testować, moja córko – wtrąca kapłan, nieco zaskoczony. – Mikrofon jest sprawny, używaliśmy go przez całą uroczystość.

– Po prostu sprawdzam – odpowiada Odette Stuart-Smith. – W lotnictwie wolimy zawsze sprawdzić sprzęt dwa razy. To kwestia profesjonalizmu.

– Ach tak? No dobrze, skoro pani tak mówi...

Drobna kobieta odwraca się do zebranych, demonstrując przygnębioną minę.

– Szanowne panie, szanowni panowie, droga rodzinno Shermana Fishera... Sherman był dla mnie kimś więcej niż tylko kolegą z pracy, był bliskim przyjacielem, za którym już zawsze będę tęsknić. Dziś moje serce przygniata ból tak ciężki jak... jak... – przez kilka chwil szuka odpowiedniego porównania, po czym doznaje nagłego przypływu natchnienia – jak ta przepiękna kwiatowa kompozycja, ofiarowana z wdzięcznością przez ekipę programu Genesis!

Rzuca wieniec na trumnę, ewidentnie zadowolona, że się go pozbyła. Wszystkie kwiaty, które w niego wpleciono, są czerwone, czerwona jest także biegnąca w poprzek szarfa z pompatycznym napisem: „SHERMANOWI FISHEROWI WDZIĘCZNA MARSJAŃSKA CYWILIZACJA PRZYSZŁOŚCI”.

– Chciałabym powiedzieć więcej – ciągnie Odette Stuart-Smith – ale jeszcze dziś wieczorem muszę być z powrotem na przylądku Canaveral, a mój samolot odlatuje za niecałe dwie godziny.

Przez zgromadzenie przebiega szmer.

Ale Odette Stuart-Smith już uciekła. Szybkim krokiem zmierza w stronę cmentarnej bramy, podczas gdy ksiądz bierze mikrofon, by zaintonować ostatnią modlitwę przed złożeniem trumny do grobu.

– „Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono...”

Andrew pochyla się do ucha Lucy, wkładając jej w dłonie smycze dwóch chartów.

– Zostań z Yingiem i Yangiem, zaraz wracam.

Dyskretnie się oddala i zaczyna biec śladem Odette Stuart-Smith, podczas gdy pradawne słowa Koheleta nikną zagłuszone uderzeniami butów chłopaka deptających trawnik.

„... czas rozdierania i czas zszywania...

... czas milczenia... i czas... mówienia...”

Andrew dopada kobietę przy bramie, za którą kłębią się setki osób odgradzonych przez kordon policji, które przyszły, by choć z daleka wziąć udział w pogrzebie.

– Pani Stuart-Smith!

Odette odwraca się gwałtownie z wyrazem przerażenia wymalowanym na twarzy.

– To ja, Andrew.

– Ach, Andrew – odpowiada, sztywniejąc. – Twoja przemowa była bardzo wzruszająca. Życzę ci

wielu sukcesów w Berkeley. Ale spieszę się na samolot, a żeby dostać się do taksówki, muszę się jeszcze przedrzeć przez ten tłum.

Ruchem podbródka wskazuje nieznanym tłoczącym się za ogrodzeniem. Niektórzy trzymają portrety zmarłego, który zyskał sławę dzięki programowi Genesis, inni transparenty z żarliwymi hasłami: „Sherman Fisher, bohater kosmosu, bez którego to wszystko nie byłoby możliwe”, „Zostaniesz na zawsze w naszej pamięci, Shermanie”, „Niech pierwsze dziecko urodzone na Marsie nosi imię Sherman!”.

– Proszę poczekać! – woła Andrew. – Chciałem tylko zadać pani kilka pytań, bo była pani blisko mojego ojca w czasie jego ostatnich dni. Czy mówił pani o mnie? Czy wie pani... dlaczego nie zostałem wybrany do programu?

– Powiedziała ci, że nie mam czasu – odpowiada sucho Odette, najwyraźniej pragnąc oddalić się tak szybko, jak to tylko możliwe.

Ale palce Andrew zaciskają się na jej chudym ramieniu.

– Błagam panią, niech mi pani odpowie. Muszę wiedzieć. Kiedy się dowiedziałem, kim są wyłonieni w rekrutacji astronauty, że to wybryki natury ewidentnie wybrane pod publiczność, niemal wyszedłem z siebie. Miałem straszny żal do ojca! Ale po przemyśleniu wszystkiego okropnie mi wstyd, bo jestem pewny, że walczył o mnie jak lew. Atlas musiał wywierać na niego ogromną presję, skoro nie udało mu się przeforsować mojej kandydatury, prawda?...

Na twarzy Odette Stuart-Smith pojawia się grymas.

– Puść mnie natychmiast, słyszysz?! – rozkazuje ostrym głosem. – Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, Sherman nie kiwnął nawet palcem, by poprzeć twoją kandydaturę. Było wręcz odwrotnie: oficjalnie się jej sprzeciwił.

Andrew puszcza ramię kobiety jakby rażony prądem.

– Jak to? – pyta błady jak ściana. – Nic nie rozumiem. Ojciec zawsze mnie wspierał w mojej fascynacji kosmosem, bo była to też jego pasja, którą sam we mnie zaszczepił, gdy byłem jeszcze mały. Zawsze mi obiecywał, że jeśli tylko nadarzy się okazja, pozwoli mi lecieć na Marsa, nawet jeśli miałyby to być podróże w jedną stronę. Nieraz mi powtarzał, że byłby dumny, widząc, jak tworzę historię, nawet gdyby wiązało się to z koniecznością opuszczenia rodziny. Podziwiałem go tak bardzo właśnie za to, że miał odwagę mi to powiedzieć. W moich oczach był to największy dowód miłości, jaki ojciec może dać synowi.

– Cóż, to były tylko słowa – stwierdza Odette ze złośliwym uśmiechem. – Twój ojciec nie był nadczłowiekiem. Stchórzył i spuścił z tonu. Gdyby to zależało ode mnie i od pozostałych organizatorów, oczywiście dalibyśmy ci szansę i wysłalibyśmy cię na Marsa. Ale Sherman wolał egoistycznie zatrzymać cię tu, na Ziemi, niż pozwolić ci odlecieć.

Andrew wygląda jak człowiek, który stracił grunt pod nogami.

Zaczyna drżeć.

– Wszystko, co wiedziałem o swoim ojcu, było nieprawdą... – bełkoce. – Rzeczy, które mi opowiadał, były stekiem kłamstw. Myślałem, że go znam, ale był kimś zupełnie obcym!

– Moje kondolencje, Andrew – kończy Odette Stuart-Smith i odwraca się na pięcie.

PLAN

Start + 6 dni, 21 godz., 30 min
(Pierwszy tydzień)

– I tak oto Sherman Fisher na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Serena, widoczna na panoramicznym ekranie, spuszcza wzrok w postawie głębokiej zadumy. Za oknem za jej plecami rozciąga się widok na ogrody willi McBee, z której nasza matka chrzestna łączy się teraz ze statkiem kosmicznym. Pogodny, słoneczny krajobraz kontrastuje z żałobną sukienką z czarnej koronki, którą ma na sobie. Z niezwykłym taktem, znajdując właściwe słowa, jak to tylko ona potrafi, powiadomiła nas o śmierci Shermana Fishera, który zginął w nieszczęśliwym wypadku samochodowym i dziś został pochowany. Dlatego nie był obecny na ceremonii startu.

W salonie Cupido panuje cisza i konsternacja. Poza Safią, jego uczennicą, żadna z nas tak naprawdę nie знаła instruktora łączności. Z daleka wydawał się dosyć nieprzystępny i zimny. Powiedziałabym nawet – ponury, jego twarz była surowa jak więzienna dyscyplina, jakby się bał zbyt wiele od siebie dać. Ale to niczego nie zmienia, wszystkie jesteśmy w szoku. Organizatorzy programu Genesis tak wiele dla nas zrobili! Stracić jednego z nich, to jak stracić członka rodziny.

– Życie toczy się dalej – mówi dzielnie Serena, podnosząc głowę. – Program Genesis toczy się dalej. Nadszedł moment ogłoszenia pierwszych List Serca.

Nie potrafię powstrzymać słów, które cisną mi się na usta, bo taka już jestem, zawsze mówię to, co myślę.

– Nie sądzisz, że moglibyśmy odłożyć to na później, Sereno? I uczcić Shermana Fishera jednym dniem milczenia?

Na początku twarz Sereny na szerokim ekranie pozostaje niewzruszona. Jednak po chwili, kiedy dociera do niej moja prośba, maluje się na niej smutny, lecz wdzięczny uśmiech.

– Twoja propozycja jest bardzo wielkoduszna, droga Léonor – mówi. – Ale Sherman nie życzyłby sobie takiego dnia. Widzisz, milczenie nie było jego mocną stroną. Nie zapominajmy, że był ekspertem w dziedzinie łączności. Najlepszym sposobem, by uczcić pamięć naszego drogiego zmarłego, będzie iść dalej naprzód. Show must go on!

Drzemiąca we mnie rysownicza nie może się powstrzymać, by nie zauważyć, jak doskonale Serena wygląda w żałobie, jak zresztą we wszystkich swoich strojach. Czarne onyksowe kolczyki, dopasowany cień do powiek, wszystkie te detale – ta kobieta potrafi być niezwykle modna i elegancka nawet w rozpacz.

Rozlegające się w salonie nagranie werbli wywołuje gorączkowe poruszenie. Dziewczyny są podekscytowane. Wiadomość o wypadku Shermana tylko zwiększyła napięcie związane z oczekiwaniem na ogłoszenie pierwszych List Serca.

A skoro mowa o sercu, czuję, że moje wali tak, że zaraz wyskoczy mi z klatki piersiowej. Dlaczego? Przecież powtarzałam sobie, że ten pierwszy ranking nic dla mnie nie znaczy. To zasada, którą sobie narzuciłam: zachować trzeźwy osąd nie poddawać się szaleństwu cotygodniowych rankingów.

– Każdy uczestnik i każda uczestniczka starannie wypełnili dziś rano swoją tabelkę – przypomina Serena z ekranu. – Taka klasyfikacja to bardzo trudne zadanie, zwłaszcza za pierwszym razem. Jestem przekonana, że było wiele wahania...

Wahania? Nie dla mnie. Ja mam metodę. Ułożyłam po prostu chłopców w kolejności alfabetycznej, od A do Z (czy, mówiąc dokładniej, do T). Żadnego faworyzowania. Zresztą to wszystko jest tylko po to, by podgrzać atmosferę, podkreślić emocje związane z grą uwodzenia, dać widzom i współpasażerom pretekst do domysłów i spekulacji.

Tak jakby odgadła moje myśli z odległości trzech milionów kilometrów, ze swej przytulnej willi, Serena, cała w czerni, przypomina zasadę programu:

– *Po ogłoszeniu tego pierwszego rankingu i następnych dwudziestu dwóch klasyfikacji nic jeszcze nie zostanie przesądzone. Te tygodniowe Listy Serca służą przede wszystkim zmierzeniu temperatury relacji, mają pomóc uczestniczkom i uczestnikom w zorientowaniu się, jak się nawzajem postrzegają. Liczyć się będzie jedynie ostatnia, dwudziesta trzecia Lista Serca, którą ogłosimy w dzień wejścia na orbitę Fobosa. Wszystkie, które ją poprzedzają, można uznać za wstępne szkice, wprawki przed stworzeniem ostatecznego arcydzieła miłości i harmonii.*

Czuję, jak palce Kris zaciskają się na mojej dłoni.

Tak samo jak na platformie startowej, kiedy się zawahałam, czy zgodzić się na udział w tej misji.

To było zaledwie tydzień temu, siedem krótkich dni, a ja mam wrażenie, jakby to było w innym życiu.

– *Jak zwykle panie mają pierwszeństwo* – oznajmia Serena.

Jej twarz znika z ekranu, a w jej miejsce pojawia się tabela z sześcioma kolumnami.

– *Oto klasyfikacja uczestników sporządzona przez dziewczęta* – ciągnie Serena spoza kadru. – *Zgodnie z logiką ci, którzy potrafili oczarować swą partnerkę w czasie spotkania w Kuli, znaleźli się na szczycie klasyfikacji. Jedynym wyjątkiem, który potwierdza regułę, jest Mozart. Najwyraźniej nie zrobił dobrego wrażenia na Kelly...*

Fangfang (SGP)	Kelly (CAN)	Elizabeth (GBR)	Safia (IND)	Kirsten (DEU)	Léonor (FRA)
1. Tao	1. Aleksiej	1. Aleksiej	1. Samson	1. Aleksiej	1. Aleksiej
2. Kenji	2. Samson	2. Tao	2. Aleksiej	2. Tao	2. Kenji
3. Marcus	3. Marcus	3. Samson	3. Marcus	3. Mozart	3. Marcus
4. Aleksiej	4. Tao	4. Marcus	4. Tao	4. Samson	4. Mozart
5. Mozart	5. Kenji	5. Mozart	5. Mozart	5. Kenji	5. Samson
6. Samson	6. Mozart	6. Kenji	6. Kenji	6. Marcus	6. Tao

Kelly przestaje na chwilę żuć gumę, by rzucić komentarz:

– I wolałabym nie mówić, jak go oceniam!

– Nie, rzeczywiście nie mów – ostrzega Fangfang. – To pora największej oglądalności, a kanał Genesis nie może puszczać przekleństw.

Kris szturcha mnie łokciem i szepcze mi zaniepokojona do ucha:

– Zdajesz sobie sprawę, aż cztery spośród nas umieściły Aleksieja na pierwszym miejscu? W tym także ty, Léo!

– Tłumaczyłam ci przecież, że ustawiłam ich w porządku alfabetycznym. W przyszłym tygodniu odwrócę kolejność i twój książę wylądjuje na końcu mojej listy.

– No tak, ale mimo wszystko... Ja umieściłam Marcusa na ostatnim miejscu, żeby nie zrobić ci przykrości, bo po waszej szybkiej randce zdawało mi się, że ci się spodobał...

Serena nie daje Kris czasu na dodanie czegokolwiek.

– *Nie czekając dłużej, przejdźmy teraz do klasyfikacji uczestniczek sporządzonej przez chłopców.*

Na ekranie pojawia się nowa tabela.

Ostatnia w trzech z sześciu rankingów. Skłamałabym, utrzymując, że jest mi to obojętne. Ale czego się tak naprawdę spodziewałam? Jestem ewidentnie najgorszą partią. W porównaniu z pozostałymi konto mojego Posagu zieje pustką, co jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę moje zachowanie, wahania nastrojów, wybuchy złego humoru i temperament polarnego niedźwiedzia, które zaprezentowałam widzom. Jednak... nie spodziewałam się, że Marcus także umieści mnie na końcu. Wierzyłam, że coś się między nami wydarzyło – coś, co było warte więcej niż pieniądze.

Tao (CHN)	Aleksiej (RUS)	Mozart (BRA)	Kenji (JPN)	Samson (NGA)	Marcus (USA)
1. Fangfang	1. Kirsten	1. Kelly	1. Kirsten	1. Safia	1. Elizabeth
2. Kirsten	2. Elizabeth	2. Léonor	2. Elizabeth	2. Kirsten	2. Kelly
3. Elizabeth	3. Kelly	3. Kirsten	3. Léonor	3. Elizabeth	3. Safia
4. Safia	4. Léonor	4. Safia	4. Fangfang	4. Kelly	4. Kirsten
5. Kelly	5. Fangfang	5. Elizabeth	5. Safia	5. Fangfang	5. Fangfang
6. Léonor	6. Safia	6. Fangfang	6. Kelly	6. Léonor	6. Léonor

– Tutaj też najwyższej plasują się te uczestniczki, z którymi chłopcy już się spotkali... tak samo z jednym rzucającym się w oczy wyjątkiem: Léonor, która najwyraźniej nie przekonała do siebie Marcusa...

Serena jeszcze przekręca nóż tkwiący w ranie.

A ta rana sprawia mi ogromny ból.

(Oczywiście, że coś się między wami wydarzyło! I właśnie dlatego nigdy ci nie wybaczy. Przypomnij sobie jego gniew pod koniec waszego spotkania. Zepsułaś wszystko tą swoją głupią zasadą, by zaprosić go tylko raz na dwanaście tygodni. Wykreślił cię z listy potencjalnych partnerek raz na zawsze. I teraz jest już za późno!)

Przełykam gulę, która utworzyła mi się w gardle, i dłużej nie słucham okropnego głosu Salamandry w swojej głowie.

Jeśli Marcus jest zbyt ograniczony, by zaakceptować moje zasady, tym gorzej dla niego. To nie on wykluczy mnie, lecz ja automatycznie odrzucę jego. Nigdy nie mogłabym się związać z tak niecierpliwym facetem. „Chwytaj dzień!”, mówi. Otóż ja potrzebuję kogoś zrównoważonego, rozsądnego... dojrzałego. Jeśli Marcus teraz reaguje w ten sposób, tak impulsywnie, to jak się zachowa, kiedy zobaczy Salamandrę? Odpowiedź brzmi: nigdy jej nie zobaczy.

Między nami jest tak jak z tym biednym Shermanem: to koniec.

KONTRPLAN

**Willa Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
środa 12 lipca, godz. 15.30**

– Arthurze, mój drogi przyjacielu, dziękuję, że tak szybko przyjechałeś! – Serena McBee podnosi się znad ula, nad którym się pochylała. Jej szyty na miarę dopasowany kombinezon pszczelarski sprawia, że wygląda jak biała wróżka otoczona rojem pszczół. Kapelusz z szerokim rondem z ochronną woalką przypomina te noszone przez bogate damy w czasie niedzielnych ekskluzywnych *garden party*. Nawet lateksowe rękawice chroniące przed użądleniem wyglądają na niej szykownie.

– Przybyłem tak szybko, jak tylko się dało – odpowiada doktor Montgomery.

Stoi wyprostowany w swym eleganckim tweedowym garniturze w bezpiecznym oddaleniu od otoczonej brzęczącą chmurą pani domu.

– Niemal tyle samo czasu, ile trwa lot z Miami do Nowego Jorku, zajęło mi przedzieranie się przez hordy wielbicieli i dziennikarzy otaczających twoją willę! Czy posłałaś po mnie z powodu Rubena Rodrigueza? Jakaś łódź rybacka właśnie wyłowiła jego ciało z morza w miejscu, gdzie je wyrzuciliśmy...

– Wiem. Oczywiście praktyczniej by było, gdyby ten nudziarz dał się pożreć rybom, skoro tak kochał zwierzęta. Ale to nie problem. Jedno z nas pojedzie z wieńcem tak jak do Shermana. I sprawdzi przy okazji, czy Ruben nie pozostawił po sobie niczego kompromitującego. Ale pomówmy raczej o tym, dlaczego cię wezwałam. Harmony. Nie jest z nią dobrze. Chciałabym, żebyś to ty ją zbadał, bo mam do ciebie całkowite zaufanie.

– Znów źle się poczuła?

– Zemdląła w czasie naszej urodzinowej kolacji. Co za przekleństwo, ta jej wątłość i słabowitość! Moje żelazne zdrowie to chyba jedyna cecha, której po mnie nie odziedziczyła.

– Rzeczywiście jest do ciebie bardziej podobna niż jakakolwiek inna córka do swej matki... – zaczyna doktor Montgomery. Jego czoło marszczy się delikatnie. – Ale powiedz mi: czy ona przypadkiem nie wie o naszej tajemnicy?

– Oczywiście, że nie! Za kogo ty mnie uważasz? Harmony nie jest w stanie zadbać o samą siebie, jakże mogłabym od niej wymagać, by strzegła takiego sekretu? Ale na razie dość o mojej córce. Zobaczysz ją za chwilę, nie wyleci ze swej klatki. Skoro już tu jesteś, podejdź i zobacz ten cud.

Serena wyjmuje z ula ramkę. Pomiędzy drewnianymi deseczkami rozciąga się sieć złotych plastrów, do których przywierają skupiska czarnych owadów.

– Podejdź bliżej! – nakazuje.

– Ale ja nie mam ubrania ochronnego...

– Chyba mi nie powiesz, Arthurze, że lekarz twojego kalibru boi się małego ukłucia? Nie masz się czego obawiać, kilka minut temu odymiłam ul. To niezawodna sztuczka pszczelarska. Pszczoły oszołomione dymem myślą, że w ulu jest pożar, i wszystkie gromadzą się wokół królowej...

Doktor Montgomery nerwowo pociera swój wąsik, ale nie odpowiada. Powolnym krokiem zbliża się do pszczelarki.

– Spójrz na te wszystkie małe robotnice, które dla mnie pracują – mówi Serena, poruszając ramką. – Każda inna, a jednocześnie wszystkie identyczne. Każda doskonale wie, co ma robić, gdzie jest jej miejsce, jakie zadanie ma do wykonania w swoim krótkim pszczelim życiu.

Jej głębokie westchnienie unosi ochronną siateczkę przy kapeluszu.

– To, co masz przed oczami, Arthurze, to idealny model społeczeństwa. Żadnych sentymentów, żadnego egoizmu. Żadnych psychologicznych tarć, które u tak zwanych zaawansowanych w rozwoju gatunków przeradzają się w klótnie, konflikty i wojny. Ul to doskonała jedność: energia wszystkich

mieszkańców skierowana na jeden cel.

Delikatnie wkłada ramkę z powrotem do ula i opuszcza pokrywę służącą jako dach.

Potem zdejmuje kapelusz, odsłaniając jak zawsze idealną srebrną fryzurę – każdy włos znajduje się na swoim miejscu.

– Dzięki tobie i programowi Genesis mieszkańcy Ziemi są zjednoczeni jak nigdy przedtem – ośmiela się wtrącić Arthur Montgomery. – Te miliardy widzów, których krew pulsuje w rytm kolejnych szybkich randek... Czegoś takiego świat jeszcze nie widział. Ani koncerty gwiazd rocka na rzecz walki z głodem na świecie, ani igrzyska olimpijskie nigdy nie wytworzyły takiej jedności. Kiedy pomyślę, że za pięć miesięcy to wszystko pęknie jak bańka mydlana... Nie obawiasz się, że to do ciebie jako tej, która wybierała uczestników, widzowie będą mieć pretensje, gdy jeden z nich załatwi wszystkich pozostałych?

Serena chwyta lekarza za ramię, na co ten niezauważalnie sztywnieje.

Patrzy mu prosto w twarz swymi jasnozielonymi oczami, w których błyszczą zimna, niezdrowa ekscytacja.

– Ludzie nie będą mieć do mnie żadnych pretensji, Arthurze. Widzowie za bardzo przywiążą się do dwunastki astronautów przez te dwadzieścia trzy tygodnie podróży, by kwestionować moją selekcję. Morderczy napad szału wywoła grozę i żal, ale nie złość. A jeśli o mnie chodzi, wystarczy, że powiem odpowiednie słowa i będę płakać szczerymi łzami. To nie będzie bańka, która pękła, to będzie wstrząsający finał! Wyobraź sobie! Międzynarodowy pogrzeb! Pamięć astronautów uczczona na całym świecie minutą ciszy! Może to tylko jedna minuta, ale przez tę minutę cała ludzkość będzie zjednoczona tak jak pszczoły, które właśnie widziałeś. Tragiczne wydarzenie będzie niczym gigantyczne odymienie ula: cały ludzki rój zbierze się wokół swojej królowej, w tym przypadku wokół producentki wykonawczej programu Genesis, czyli mnie. Ty potrafisz to zrozumieć, mój przyjacielu, nie to, co pozostali konspiratorzy, których jedyną motywacją jest chciwość. Ty, ty jesteś z tej samej gliny co ja...

Chwyta Arthura Montgomery'ego za krawat, przyciąga go do siebie i kładzie na jego policzku dłoń w lateksowej rękawiczce.

– Ty jesteś wizjonerem, Arthurze. Filantropem. Poetą.

– Sereno... – duka lekarz.

W jednej chwili cały lodowy pancerz jego pewności siebie topnieje. Cała zbroja udawanego spokoju pęka, a mężczyzna drży jak podłotek, który po raz pierwszy flirtuje z dziewczyną.

– Wiesz, że zawróciłaś mi w głowie. Uległem twojemu urokowi od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy, dwa lata temu, u początków programu Genesis. Od tamtej pory każda noc, którą mi dajesz, rozpala moje serce i zmysły, każdy dzień przeżyty z dala od ciebie jest dla mnie udręką. Ale zostałem na przylądku Canaveral, aby mieć oko na pozostałych konspiratorów, tak jak mnie prosiłaś. Zrobię wszystko, co zechcesz, wiesz o tym. Myślę, że zahipnotyzowałaś mnie swymi pięknymi oczami tak samo jak uczestnika, który doprowadzi do tragicznego wydarzenia.

Serena McBee wybucha śmiechem – tym swoim wyjątkowym srebrzystym śmiechem, który spływa z jej ust jak metalowy deszcz.

– Nie, mój drogi Arthurze! Ty jesteś mężczyzną o twardym charakterze, a nie dezorientowanym nastolatkiem. Innymi słowy, jesteś zbyt silny, by cię zahipnotyzować. To zresztą twoja męska zimna krew mnie uwiodła. Masz w sobie odwagę, nie to, co ta fajtlapa Gordon Lock i banda podstarzałych neurotyków, która go otacza. Dlatego nie powinni się dowiedzieć o tym, co nas łączy. Tylko by to zbrukali. A poza tym w ten sposób, bez zdradzania naszej relacji, będzie ci łatwiej ich pilnować, czyhać na najdrobniejsze potknięcie. Ale skoro już tu jesteś i jeszcze nie wracasz na Florydę, zostań u mnie na noc.

PLAN

Start + 10 dni, 21 godz., 15 min
(Drugi tydzień)

– *Dziś los wyznaczył Marcusa!* – ogłasza Serena z panoramicznego ekranu w salonie. – *Za kilka minut dowiemy się, którą uczestniczkę zaprosi na spotkanie w Kuli.*

To nasz drugi tydzień na pokładzie Cupido, tydzień chłopców. Przez trzy pierwsze dni wylosowani zostali kolejno Samson, Tao i Aleksiej. Pierwszy zaprosił Liz, a dwaj pozostali Kris – trzeba przyznać, że obydwie mają wzięcie...

– Jeśli Marcus mnie zaprosi, to nie pójdę, tak jak Kenji nie przyszedł do Safii – szepcze mi Kris do ucha. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że umieścił cię na ostatnim miejscu po tym, jak cię zobaczył. Nie masz czego żałować: ten chłopak kompletnie nie ma gustu!

Staram się uśmiechnąć do Kris. Stoi przede mną, jakby chciała mnie ochronić, jak zwykle urocza w jednej ze swoich niebieskich sukienek, które wypełniają jej szafę.

– Niczym się nie martw – przekonuję. – Marcus nic dla mnie nie znaczy. Jeśli o mnie chodzi, to może zaprosić, którą chce.

Może zaprosić, którą chce... Czy to oznacza, że biorę pod uwagę także siebie? Czy jakaś część mnie jeszcze wierzy, że Marcus będzie przestrzegał moich zasad mówiących, że możemy się spotkać raz na sześć randek? Nie, oczywiście, że nie. Dał mi jasno do zrozumienia, że nie chce grać w tę grę. Tym gorzej dla niego.

Nagle z ekranu zalewa nas potok głośnej muzyki skrzypcowej: zaczyna się czołówka programu.

– *Sześciu uczestników z jednej strony... Sześć uczestniczek z drugiej...*

Ukradkiem rzucam okiem na pozostałe dziewczyny. Wszystkie tu stoją piękne jak z obrazka, znieruchomiałe niczym posągi, zahipnotyzowane przez twarze, które pojawiają się i znikają na ekranie. Każdego dnia mam wrażenie, że czołówka jest puszczana szybciej niż dnia poprzedniego. Ogarnia mnie wywołujące zawroty głowy uczucie, że wszystko przyspiesza ku ostatecznemu rozwiązaniu. Ku marsjańskim parom, lecz czy rzeczywiście idealnym? Ku małżeńskiemu szczęściu, tak jak obiecuje program? Dla nas, pasażerów Cupido, jedyne, co następuje po tym, jak skończy się czołówka, to całkowita ciemność na ekranie, który gaśnie na czas szybkiej randki w Kuli Spotkań.

– *Marcus właśnie zdradził nam swój wybór!* – oznajmia nagle głos Sereny.

Ten głos rozbrzmiewający w salonie zdaje się dochodzić ze wszystkich stron naraz – ze ścian naszpikowanych głośnikami, mikrofonami, kamerami i setkami innych czujników, których istnienia nawet się nie domyślamy.

– *Potwierdzając szaloną popularność naszych dwóch czołowych uczestniczek, zdecydował się zaprosić Elizabeth!*

Liz odwraca się do nas, mrugając długimi czarnymi rzęsami, które w dodatku są prawdziwe.

– Mnie? – dziwi się, otwierając szeroko oczy, jakby jej właśnie oznajmiono, że trafiła szóstkę w lotto. – Nie wierzę!

Z trudem powstrzymuję gwałtowne pragnienie, by zerwać Liz z głowy ten cholerny koczek baletnicy i zatkać jej nim buzię.

Dlaczego?

Przecież, jak powiedziałam Kris, Marcus nic dla mnie nie znaczy.

A ja nic nie znacę dla niego, co właśnie udowodnił mi kolejny raz.

– I trach, nokaut! – burczy Kelly, otwierając nową paczkę gum do żucia. – Znowu przygotowujemy się na darmo!

Od spotkania z Mozartem w zeszłym tygodniu jest strasznie drażliwa i podenerwowana. Mimo że wszystkie próbowałyśmy ją podpytywać, nikomu nie chciała zdradzić, co się właściwie wydarzyło w szklanej kuli.

– Dwie godziny czesania, malowania, picowania, strojenia się, i wszystko diabli wzięli – dodaje. – Czy naprawdę nie mogliby powiedzieć nam rano, kto został wybrany, zamiast kazać nam się tu kisić tyle czasu?

– No właśnie! – dorzuca Fangfang, pierwszy raz zgadzając się ze swoją najgorszą nieprzyjaciółką. – Tyle zmarnowanego czasu, który mogłybyśmy poświęcić na naukę!

Singapurka najwyraźniej nie pogodziła się z tym, że Tao nie zaprosił jej na randkę... a ona z pewnością miała o wiele więcej powodów niż ja, by liczyć na odwzajemnienie zaproszenia.

– Ale to podstawowa zasada gry – próbuje wytłumaczyć Kris. – Zaskoczenie, napięcie...

– Napięcie? Jakie napięcie? – ryczy Kanadyjka, osiągając momentalnie osiem stopni w skali Richtera. – To dotyczy wyłącznie ciebie i Liz, to całe napięcie!

– Wcale nie, nie tylko nas – próbuje się bronić Kris. – Przypominam ci, że Mozart sklasyfikował cię na pierwszym miejscu, nawet jeśli tobie niespecjalnie się spodobał...

Mam wrażenie, że w oczach Kelly migają błyskawice.

– Odwal się ode mnie z tym Mozartem albo przyrzekam, że tak ci przywalę, że usłyszysz swoje własne requiem!

Kris chowa twarz w białej sierści Louve. Zawsze tak robi, kiedy jest smutna i zdenerwowana. A we mnie, jak zawsze w takich sytuacjach, gotuje się krew.

– Hej, ty, królowa disco! – rzucam do Kelly. – Idź, posłuchaj sobie swojego pięknisia Jimmy’ego Gianta, okej? A my tu będziemy mieć chwilę spokoju.

Kanadyjka pokazuje mi środkowy palec, po czym wciska słuchawki na uszy.

Fangfang siada do nauki ze swoim tabletem.

Safia milczy, wpatrując się uparcie w czubki butów, które wyglądają jak pantofelki dla lalki.

Włączam swój tablet, przygotowując się do skończenia portretu Louve, ale nakreślone linie rozmywają mi się przed oczami, a rysik tkwi nieruchomo w dłoni. W całkowitej ciszy salonu nie ma już niczego, co mogłoby odwrócić bieg myśli, zagłuszyć zdradziecki głosik, który szepcze mi za plecami:

(W tej chwili inna chwytła dzień zamiast ciebie).

KONTRPLAN

**Wieżowiec Atlas Capital, Nowy Jork,
czwartek 13 lipca, godz. 16.00**

Drzwi windy otwierają się na ostatnim, pięćdziesiątym piętrze drapacza chmur. Wyłania się z niej Serena McBee ubrana w czarny garnitur, który jeszcze wydłuża jej smukłą sylwetkę. Dwunastocentymetrowe pozłacane obcasy zapadają się w grubej wykładzinie, która wyściela całą podłogę, tłumiąc wszelkie dźwięki. Kobieta rusza w kierunku ogromnego okna, za którym rozciąga się zapierający dech w piersiach widok na panoramę Nowego Jorku. Na środku tego oszałamiającego pomieszczenia stoi ogromna rzeźba z brązu: półnagi tytan dźwigający na swych barkach ziemski glob. To Atlas, mitologiczny olbrzym, którego imię przyjął fundusz inwestycyjny.

Za posągiem na tle drapaczy chmur odcina się ciemna sylwetka. Zdawałoby się, że to człowiek w ciemnym garniturze, ale w jego ruchach jest coś dziwnego, przypominającego szarpanie... Dłonie skrywają się w czarnych rękawiczkach, a na głowie nosi coś, co przywodzi na myśl kask motocyklowy z przyciemnianą szybą zakrywającą całą twarz.

– *Pani McBee, witamy w siedzibie Atlas Capital* – wydobywa się głos z kasku.

Głos? Raczej nagranie.

Ta istota, u której nie da się dostrzec ani centymetra skóry, nie ma w sobie nic z człowieka, za to wszystko z maszyny.

To robot.

– *Pozwoli pani, że ją zeskanuję, zgodnie z protokołem bezpieczeństwa?* – skrzeczy syntetyczny głos.

– *Czyń swą powinność, mój dzielny...* – Serena pochyla się, by przeczytać imię na identyfikatorze przypiętym do marynarki maszyny – mój dzielny androidzie Oraculonie.

Za czarnym wizjerem kasku pojawiają się dwie czerwone kropki.

Android powoli skłania głowę idealnie płynnym ruchem dzięki ukrytemu pod garniturem zestawowi przekładni – mechanizmowi szwajcarskiego zegarka, bardziej precyzyjnemu niż kości i mięśnie. Jego laserowe spojrzenie omiata gościa od stóp do głów i z powrotem.

– *Nic do zgłoszenia, żadnego mikrofonu ani kamery. Jedynie pięćdziesiąt dziewięć kilogramów materii organicznej, jeden kilogram tkaniny, pięćset gramów skóry i kilka gramów złota* – oznajmia syntetyczny głos.

– *No proszę, dobra wiadomość, zrzuciłam kilogram!* – wykrzykuje Serena. – *Możesz mi także obliczyć zawartość tkanki tłuszczowej w organizmie i opracować odpowiedni, spersonalizowany program treningowy, androidzie Oraculonie?*

Robot zamiera.

– *Tkanka tłuszczowa osiemnaście procent...* – odpowiada bardzo poważnie po kilku sekundach. – *Co do programu treningów, przykro mi, ale nie ma tego w moich...*

– *Te gadzety nie mają za grosz poczucia humoru...* – Serena wzdycha. – *Daj spokój, androidzie Oraculonie.*

– *Informacja przyjęta: zapytanie anulowane. Spotkanie z zarządem Atlas Capital wkrótce się rozpocznie. Proszę zająć miejsce, pani McBee.*

Android wskazuje jedno z krzeseł ustawionych wokół posągu Atlasa. Czeka, aż kobieta usiądzie, po czym staje naprzeciw niej.

Po kilku sekundach czarny wizjer kasku zmienia się w okrągły ekran przedstawiający białą twarz w 3D, należąca do androgenicznej istoty o niemożliwym do określenia wieku, pozbawionej znaków szczególnych i płci – prawdziwe oblicze anonimowości.

Jednak oblicze wypowiada się i ożywia, w miarę jak z kasku wydobywają się słowa:

– *Dzień dobry, pani McBee.*

– *Już się ze mną witałeś.*

– *Jeden drobny szczegół: „dzień dobry” mówił pani poprzednio program zapisany w pamięci robota. A teraz to cały zarząd Atlasa wita panią poprzez usta naszej cybernetycznej wyroczni, tego cudu technologii, androida Oraculona.*

Serena elegancko krzyżuje nogi i wbija jasnozielone oczy w znajdujący się naprzeciw niej ekran.

– *Ile osób kryje się za tym kaskiem? Dlaczego nie spotykamy się osobiście?*

– *Doskonale pani wie dlaczego. Ogólnie rzecz ujmując, grupa Atlas nie szuka reklamy ani kontaktów interpersonalnych. Nie dążymy do tego, by znało nas społeczeństwo ani nasi dostawcy. Jesteśmy strukturą inwestycyjną, która wykupuje firmy, gdy są już dojrzałe, by wycisnąć z nich wszystkie soki. A skórkę wyrzucić. Zainwestowaliśmy znaczną sumę, by wykupić NASA, i powierzyliśmy pani odpowiedzialność za program Genesis. Nie ma nic więcej do dodania...*

– *Zwłaszcza tego, że zdecydowaliście się kontynuować program mimo raportu Noego i śmierci mieszkańców siódmego Gniazda Miłości, nieprawdaż?*

Trójwymiarowa twarz w wizjerze kasku nie zdradza żadnych emocji.

– *Cóż, pani McBee, doskonale pani wie, że nigdy nie słyszeliśmy o żadnym raporcie Noego. Wie pani także, że nie mamy żadnej wiedzy o nieszczelności marsjańskich modułów mieszkalnych. Nie mamy pojęcia o istnieniu pilota, który pozwolił pani rozhermetyzować moduły mieszkalne na odległość, ani o pani planie zmanipulowania jednego z astronautów, by wykonał tę robotę za panią, zanim wady sprzętu wyjdą na jaw.*

Serena rozprostowuje, a później znów krzyżuje nogi.

Jej twarz także nie zdradza żadnych emocji.

– *Oczywiście, że nie macie o tym wszystkim pojęcia. Gdzie ja miałam głowę? Ale w takim razie po co mnie tu dziś wezwano? Chyba nie chodzi o tę śmieszłą piracką stronę, o której zresztą nie słychać od wielu tygodni? Nie będziecie mi też chyba wyrzucać, że wprowadziłam na pokład Cupido chuligana z faweli, żeby dodać programowi nieco pikanterii?*

– *Nie, ufamy, że załatwi pani te operacyjne szczegóły. Produkcję widowiska także pozostawiamy w pani gestii. Oczywiście w pierwszej chwili otrzymaliśmy skargę od sponsora platinum Mozarta, firmy budowlanej Brazimo, ubolewającej, że jej nazwa została skojarzona z imieniem przestępcy. Ale publiczność okazała współczucie dla Brazylijczyka po tym, jak Kanadyjka sklasyfikowała go na ostatnim miejscu, czego wyrazem były masowo napływające datki, które miały go wesprzeć. I nagle Brazimo wycofało skargę. Blisko dwa tygodnie po starcie dochody z reklam i darowizn są dwukrotnie wyższe od tego, co przewidywały nasze najbardziej optymistyczne prognozy. W tym tempie nasza inwestycja zwróci się w połowie podróży, a cała reszta to będzie czysty zysk. Zarządza pani tym wszystkim po mistrzowsku. Atlas Capital jest niezwykle usatysfakcjonowany, że powierzył pani stery programu Genesis...*

Psychiatra delikatnie skłania głowę, by podziękować za komplement.

– *Ale amerykański rząd każdego dnia żałuje, że sprzedał NASA – ciągnie android Oraculon, a właściwie skrywający się za nim tajemniczy rozmówcy. – Jak pani zapewne wie, ultraliberalna partia prezydenta Greena wygrała wybory blisko cztery lata temu dzięki obietnicy wyprzedania instytucji należących do państwa amerykańskiego i spłaty długu publicznego...*

– *Każdy pamięta tę kampanię wyborczą – przerywa Serena. – „With President Green, take America out of the red!” Czapki z głów przed specami, którzy wymyślili to niezapomniane hasło wyborcze.*

– *Doskonale. Jednak dziś, w obliczu sukcesu kanału Genesis, ci sami wyborcy, którzy wynieśli Greena do władzy, zarzucają mu, że sprzedał NASA znacznie poniżej jej rzeczywistej wartości. Opozycja oskarża go o sprzedaż programu marsjańskiego po zaniżonej cenie. Trzeba przyznać, że odkąd go wykupiliśmy, okazuje się niezwykle rentowny, a przychody z reklam bardzo pomogłyby rządowi...*

W rezultacie notowania Greena są najniższe w historii, wszystkie sondaże pokazują, że po listopadowych wyborach prezydenckich jego kadencja nie zostanie przedłużona.

– Współczuję mu z tego powodu, ale zupełnie nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną czy z wami – stwierdza Serena. – Atlas to prywatny fundusz inwestycyjny, który nic nie jest winien tym państwowym biurokratom. My nie robimy polityki, my robimy interesy.

Trójwymiarowa twarz milczy przez sekundę. Jej białe, pozbawione źrenic oczy przypominają oczy marmurowego posągu – podobnego do wyroczeni, u których stóp starożytni składali ofiary w nadziei ujrzenia choćby skrawka swego przeznaczenia.

– *Według naszych informacji gabinet prezydenta Greena zamierza się wkrótce z panią skontaktować, by zaproponować pani, ostatnio najpopularniejszej osobie w Stanach Zjednoczonych, stanowisko wiceprezydenta w najbliższych wyborach. Takiej okazji nie wolno przegapić, jesteśmy nawet gotowi przekazać jakiś procent zysków z programu Genesis na sfinansowanie pani kampanii wyborczej. Jeśli, wraz z Greenem, zostanie pani wybrana, stanie się pani jego najbliższą współpracownicą. Będzie go pani mogła zachęcić do zwiększenia sprzedaży, rezerwując dla Atlasu pierwszeństwo wyboru. Jest jeszcze tyle instytucji, które moglibyśmy wykupić i na nasz sposób uczynić rentownymi: szkoły i szpitale publiczne... Proszę sobie tylko wyobrazić obowiązkowe oglądanie reklam w czasie zajęć, i to już od przedszkola! Reality show o nieuleczalnie chorych, z ostatnim tchnieniem na żywo! Można zarobić niesłychane pieniądze, wykorzystując zarówno niemowlęta, jak i staruszków. A my oczywiście będziemy potrafili wyrazić naszą wdzięczność za pani poświęcenie dla ojczyzny.*

PLAN

Start + 11 dni, 21 godz., 0 min
(Drugi tydzień)

– Powiedz: „Aaa”.

– Aaaaaaaa – mówi Liz, szeroko otwierając usta.

Zapalam małą latareczkę, którą wyjęłam z mojego lekarskiego kuferka, i omiatam otwartą buzię wiązką światła.

– Niczego tam nie widzę... Nie wygląda na zaczerwienione... Nie wydaje mi się, żebyś miała zapalenie gardła, Liz.

– Jesteś pewna?

Pewna? Jak mogłabym być pewna, skoro nigdy w życiu nie diagnozowałam zapalenia gardła? Jedyne migdałki, jakie oglądałam z tak bliska, to te w moim tablecie z materiałami do nauki.

– Bo widzisz, ja jednak czuję, że zaziębiłam się wczoraj, wychodząc spod prysznic – upiera się Liz. – Trochę boli mnie gardło przy przełykaniu i głowa też jakby trochę boli. Powinnam była od razu wysuszyć włosy, zamiast czekać z tym jak idiotka. Jestem bardzo delikatna, bardzo łatwo się przeziębiam! A poza tym... ten system odzyskiwania wody z moczu... jakoś nie mam do niego zaufania, jestem pewna, że jakieś zarazki pozostają...

– Zawsze mogę ci przepisać kurację antybiotykową... – mówię. – Na wszelki wypadek. Ale zapalenie gardła zwykle wywołują wirusy, więc antybiotyk nic tu nie da.

– Ach! No widzisz, czyli jednak mam zapalenie gardła!

Nie ma sensu tłumaczyć. Przyszła do mnie, osoby odpowiedzialnej za leczenie pasażerów statku, doskonale wiedząc, czego chce – antybiotyków, by uspokoić swoje małe hipochondryczne lęki. Diagnoza uczennicy lekarza zupełnie jej nie obchodzi. A wiedząc, ile ta diagnoza jest warta, całkowicie ją rozumiem.

– Trzymaj – mówię, podając jej torebkę pigułek. – Rano i wieczorem podczas posiłków przez siedem dni. I przyjmij całą dawkę, nawet jeśli w trakcie przestaniesz odczuwać objawy choroby. Przyjdź do kontroli za tydzień.

– Okej, pani doktor!

Chwyta lekarstwa i zamierza wyjść z łazienki, gdzie się schroniliśmy, by odbyć tę medyczną konsultację. Ranek już się kończy i za chwilę z ekranu w salonie dowiemy się, który z chłopców został dziś wylosowany.

– Liz? – rzucam w momencie, gdy podnosi klapę.

Odwraca się.

– Tak?

– Jaki był wczoraj ten Marcus?

Od razu jestem na siebie wściekła, że zadałam to pytanie. Co mi do tego, jaki był? Nienawidzę tej słabej, niepewnej siebie Léo, która zrodziła się we mnie po spotkaniu z Marcusem. Po prostu nienawidzę Marcusa!

Liz patrzy na mnie spod swych długich czarnych rzęs.

Przez uchyloną klapę dochodzi z dołu muzyka z czołówki, która zaczyna właśnie lecieć na ekranie w salonie. Kiedy dźwięk skrzypiec narasta, mam wrażenie, że Liz przygląda mi się z bardzo, bardzo wysoka, jakby stała na szczycie góry, na którą ja nigdy nie zdołam się wspiąć. Ale wiem, że to ja sama dopatruję się tego wyrazu pogardy u Liz, która jest przecież chodzącą bezpretensjonalnością

– Marcus był taki, jak go opisałaś – rzuca wreszcie. – Dziwny. To znaczy w dobrym znaczeniu

tego słowa. Zrobił mi pokaz magicznych sztuczek.

– Numer z różami?

W moim głosie jest więcej goryczy, niżbym chciała. Zdaję sobie z tego sprawę.

– Z różami? – powtarza Liz, unosząc brwi. – Nie. Używał tylko kart. Prosił, bym w myślach wybrała jedną kartę, i za każdym razem właśnie tę wyjmował z talii! Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak to robił. W jego zachrypniętym głosie jest coś uwodzicielskiego, nie sądzisz? A jego oczy... są takie intensywne! Powiedziałaabyś, że są raczej szaroniebieskie czy niebieskoszare?

– Zupełnie nic bym nie powiedziała, bo już nic nie pamiętam. Może są w kolorze gęziej kupy?

– Jesteś bezlitosna! – Liz się śmieje. – Piekłisz się przez tę Listę Serca, tak?

– Wcale nie!

– Dla mnie to właśnie jest najdziwniejsze w zachowaniu Marcusa, dziwniejsze niż te jego magiczne sztuczki: to, że sklasyfikował taką dziewczynę jak ty na samym końcu. Trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć, jaka z ciebie petarda... Chociaż wiele jeszcze ukrywasz. Ja nie mam zbyt wiele do pokazania. Ale ty? Jaka szkoda, że chowasz wszystko pod starymi, wytartymi džinsami i koszulkami z dekoltem pod szyję! A twoje włosy? Dlaczego chcesz je za wszelką cenę wiązać? Bardzo ładnie ci z tą wstążką, ale jeszcze piękniej wyglądasz, gdy są rozpuszczone.

Nie mam czasu, by podziękować Liz za jej życzliwość ani by dodać jej wiary w samą siebie, ani tym bardziej, by jej powiedzieć, że w moim przypadku odsłonięcie choćby centymetra więcej nagiego ciała absolutnie nie wchodzi w grę – bo w tej samej chwili Kris wsuwa głowę przez uniesioną klapę. Bardzo ostrożnie – jak wiadomo, lepiej dmuchać na zimne.

– Co wy tu jeszcze robicie, dziewczyny?! – woła. – Zwłaszcza ty, Léo! Mozart został przed chwilą wylosowany i to ciebie zaprosił na randkę dzisiejszego dnia!

Ostatnie słowo – dnia! – odbija się echem w mojej głowie.

Dzisiejszy dzień.

Chwytaj dzień!

Krew się we mnie gotuje, a ciało zaczyna działać jak automat.

– Chwileczkę! – słyszę swój krzyk, kiedy zbiegam po drabince.

Przebiegam przez salon, schodzę do sypialni i otwieram drzwi szafy.

Zrzucam džinsy i wkładam pierwszą spódnicę, jaka wpada mi w ręce – całe szczęście, że jest czarna, to ulubiony kolor marki Rosier, ale błyszcząca i krótsza niż cokolwiek, co śmiałabym na siebie włożyć, bo kończy się znacznie powyżej kolan. Następnie wsuwam stopy, przyzwyczajone do trampek, w sztywne lakierki – są trochę sztywne, nierozchodzone, ale pasują, bo rozmiar jest idealnie dobrany.

– *Voilà*, jestem gotowa! – mówię, rozwiązując satynową wstążkę i pozwalając, by włosy spłynęły na ramiona.

KANAŁ GENESIS

Piątek 14 lipca, godz. 11.05

Léonor: Dzień dobry, Mozarcie z Brazylii...

Dziewczyna unosi się z lewej strony Kuli ku szklanej szybie, przy której czeka na nią gospodarz dnia. Asymetryczna drapowana spódnica z czarnej tafty, na tyle wąska, by przylegając do bioder i ud, nie poddać się stanowi nieważkości, doskonale uzupełnia szary top z dżerseju i całkowicie odmienia jej sylwetkę. A może raczej: odkrywa jej figurę, jakby istota o talii osy wydostała się nareszcie z kokonu spranego denimu. Migoczące fałdy spódnicy ozywają przy każdym ruchu dziewczyny, odbijając blask lamp oświetlających szklaną kulę. Długie, zgrabne nogi, których nieskazitelna biel mocno kontrastuje z ciemną, bogatą tkaniną, poruszają się w przestrzeni z niezwykłym wdziękiem. Stopy w błyszczących lakierkach zdają się wspinać bez najmniejszego wysiłku po stopniach niewidzialnych schodów. Bujne rozpuszczone włosy, otaczające twarz o idealnie harmonijnych rysach i ogromnych oczach, dopełniają wizerunku jednocześnie klasycznego i szalenie nowoczesnego, ultrakobiecego – wizerunku modelki Rosiera w całej okazałości.

Zbliżenie na oniemiałą z zachwytu twarz Mozarta.

Mozart: Dzień dobry, Léonor. Jesteś... bardzo piękna. Zupełnie inna, niż sobie wyobrażałem.

Niezdarnym, jakby nieśmiałym gestem odrzuca opadający na oczy kosmyk czarnych włosów. Choć nosi tę samą białą koszulkę z dekoltem w serek, którą miał na sobie w czasie pierwszej randki w Kuli Spotkań, bardzo się zmienił. Wygląda, jakby wstydził się własnego ciała, które jeszcze w zeszłym tygodniu z taką zwinnością poruszało się w nieważkości. Podczas gdy Léonor zyskała mnóstwo wdzięku, Mozart stracił całą pewność siebie. Jego czarne błyszczące oczy są podkrążone, jakby nie spał od wielu nocy.

Léonor: Inna?

Mozart (z wahaniem): Kelly powiedziała mi, że rodzice cię porzucili, tak jak mnie. Pomyślałem, że jest coś, co nas łączy. Nie spodziewałem się, że zobaczę dziewczynę z taką klasą.

Spuszcza wzrok, jakby dla niego gra była już skończona.

Jakby już się poddał.

Ale Léonor wciąż przybliżyła się do pancерnej szyby, a jej długie włosy falują powoli niczym morskie fale spowite purpurowym blaskiem zachodzącego słońca.

Léonor (przyznaje bezceremonialnie): Tak, zostałam porzucona. A mówiąc dokładniej, wyrzucona do śmietnika.

Mozart: Ty, wyrzucona do śmietnika? (niedowierza) Niemożliwe! Wymyśliłaś to, żeby się ze mnie nabijać. Kelly powiedziała ci, że wychowałem się na wielkim wysypisku śmieci, i drwisz sobie ze mnie, żeby mnie jeszcze bardziej pogrzyżyć. Żeby jeszcze mocniej dać mi odczuć, jakim jestem zerem. Śmieciem, szumowiną!

Zaciska zęby.

Jego oczy jeszcze bardziej błyszczą – najwyraźniej próbuje powstrzymać łzy.

Jego głos jest już ledwie zduszonym piskiem, jakby niewidzialna ręka zaciskała mu się na gardle.

Mozart: Kelly wszystko wam opowiedziała, prawda? Powiedziała, że odkryła, kim naprawdę jestem? Ale po co w ogóle zadają takie głupie pytania?! Jasne, że powiedziała, kim byłem, wam i widzom na całym świecie! Nie tylko drobnym złodziejaszkiem, sympatycznym kieszonkowcem... Nie tylko ujmującym Robin Hoodem z faweli... Ale członkiem najbardziej zbrodniczego gangu w Ameryce Łacińskiej, Aranhy, po portugalsku: Pajaka. A ja myślałem, że po tym, co się stało w zeszłym tygodniu, gra będzie dla mnie dalej trwać! Co za krety!

Léonor otwiera usta, by odpowiedzieć, ale chłopak nie daje jej szansy. Teraz, kiedy rana się otworzyła, już nic nie może powstrzymać krwotoku.

Mozart: Sądziłem, że zgłaszając się do programu, mogę się odciąć od przeszłości, ale to niemożliwe! Bo nie da się zapomnieć, że posłało się dziesiątki ludzi do piachu! Bo moja przeszłość siedzi w moim pieprzonym ciele jak jakiś pieprzony nowotwór i zostanie tam już na zawsze! (odgarnia swoje brązowe loki, odsłaniając opaloną szyję. Błyszczą tam mała srebrna kulka, która wywołała furję Kelly) Jajo śmierci! (mówi z goryczą) Każdy członek Aranhry takie nosi, ja też. Wszczepili mi je, kiedy miałem dziewięć lat. Przyciągnęła ich reputacja małego Mozarta, geniusza rabunku. To właśnie w najbiedniejszych fawelach rekrutują nowych członków. Jeśli mówisz im „tak”, dostajesz jajo w szyję, jeśli mówisz im „nie”, dostajesz kulę w łeb. Myślałem, że tu, na pokładzie statku, wszyscy uznają to za zwykły kolczyk. Ale z jakiegoś nieznanego mi powodu Kelly wie, że to nie jest żaden kolczyk: to ampułka jadu armadeiry, zwanej także wałęsakiem brazylijskim, najbardziej jadowitego pająka w Brazylii i na całym świecie, podłączona bezpośrednio do rdzenia kręgowego. Oto, dlaczego wierność członków gangu Aranha jest wręcz legendarna. Tym, którzy próbują uciec, nigdy nie udaje się odejść daleko: wystarczy, że szef naciśnie przycisk, by zdalnie otworzyć jajo i wywołać natychmiastowy paraliż układu oddechowego i krwionośnego i śmierć na miejscu, gdziekolwiek by byli, choćby na drugim końcu planety.

Nagle twarz Mozarta wykrzywia grymas bólu. Dwie grube żyły pojawiają mu się na środku czoła, pulsując, jakby miały zaraz wybuchnąć. Żrenice się rozszerzają.

Léonor (rzuca się na szklaną ścianę, wali w nią z całych sił zaciśniętymi pięściami i kopie czubkami swoich lakierków): Mozart! Co się dzieje? Co ci jest? Czy to przez to coś... to jajo, które się otworzyło? (gwałtownie unosi głowę ku rozgwieżdżonej kopule, rozrzucając na boki czerwoną burzę loków, i krzyczy, szukając wzrokiem niewidzialnych kamer) Sereno! Przerwijcie spotkanie! Zrób coś! Mozart został otruty!

Ale nikt nie odpowiada. Jej krzyki nikną w pustce pod obojętnym spojrzeniem gwiazd. Mały zegar w dole ekranu niewzruszenie odlicza kolejne sekundy. Została jeszcze minuta spotkania, którego nic ani nikt nie przerwie.

Léonor (odwraca się szybko w stronę chłopaka, próbuje uspokoić własną panikę i przemówić głosem osoby odpowiedzialnej za udzielenie współpasażerom pierwszej pomocy): Oddychaj powoli. Przestań się ruszać. Trzeba za wszelką cenę spowolnić krążenie krwi i rozprzestrzenianie się jadu. Gdy tylko to cholerne spotkanie dobiegnie końca, Aleksiej wstrzyknie ci dawkę surowicy i zrobi masaż serca, żeby...

Mozart (szybko ucina dalsze lekarskie rady): To nie otrucie. Masz rację, że po tym wszystkim, co zdradziłem, szef na pewno nacisnąłby guzik, ale jestem zbyt daleko od Ziemi, by można było aktywować jajo. To był mój plan ucieczki przed gangiem Aranha: kosmos! Ale nie udało mi się uciec przed wspomnieniami. Zabrałem je ze sobą na pokład tego statku, ale one tak bardzo cuchną śmiercią, że ten smród nie pozwala mi zasnąć. Pieprzony dealer zero-G, najbardziej ohydneho narkotyku na świecie: oto, kim byłem, zanim wszedłem na pokład Cupido!

Po twarzy Mozarta płyną łzy – łzy wyglądające jak kwaśny deszcz, który wypala mu rogówkę i żłobi na policzkach błyszczące rowki. Jego zamglone oczy uciekają przed spojrzeniem Léonor – z powodu wstydu i poczucia winy.

Ale dziewczyna nie odwraca wzroku.

Léonor: Przeszłość nie ma już znaczenia.

Mozart (podnosi głowę, bardzo powoli, jakby się bał, że oślepnie, napotykając złociste spojrzenie swojej rozmówczyni. Z jego wydatnych ust, mokrych od łez, wydobywa się pełne niedowierzania pytanie): Co powiedziałaś?

Léonor: Powiedziałam, że przeszłość nie ma już znaczenia. Cokolwiek zrobiliśmy, kimkolwiek byliśmy, zostawiliśmy to wszystko za sobą. Przypomnij sobie, dlaczego wybrali nas, takich młodych:

abyśmy patrzyli tylko w przeszłość, tylko w kierunku Marsa. A więc ważne jest nie to, co do tej pory robiłeś ze swoim życiem, Mozarcie, lecz to, co masz zamiar zrobić z nim od teraz. Jeśli znów zechcesz mnie zaprosić, możesz na mnie liczyć. Przyjdę raz na sześć spotkań.

Rozlega się przenikliwy dzwonek.

Łączność między dwiema częściami Kuli Spotkań natychmiast zostaje przerwana.

Serena (głos z offu): *Cóż za szokujące wyznanie, drodzy widzowie! Kiedy pierwszy raz spotkaliście Mozarta, myśleliście, że macie do czynienia z drobnym złodziejaszkiem, lecz dzisiaj wyznał, że był prawdziwym przestępcą! A raczej, mówiąc dokładnie, że był przestępcą, zanim wsiadł na pokład Cupido... Oczywiście produkcja od początku zna prawdę o przeszłości Mozarta. Zdecydowaliśmy się wybrać go mimo wszystko z dwóch powodów. Po pierwsze ze względu na jego wyjątkowe umiejętności pilotażu. A po drugie żeby dać mu drugą szansę. Mozart wzruszył nas do łez, błagając, byśmy umożliwili mu odkupienie win, tak samo jak przed chwilą wzruszył Léonor. Teraz to wy jesteście jego jedynymi sędziami, drodzy widzowie. Wyruszając na Marsa, Mozart uciekł przed zemstą swego gangu i przed wymiarem sprawiedliwości swojego kraju, ale przed waszym sądem nie ucieknie. Czy uważacie, tak jak Léonor, że ma prawo dostać drugą szansę? Czy wręcz przeciwnie, przestaniecie zasilać jego Posag, by spadając na ostatnie miejsce w klasyfikacji, został skazany na najskromniejsze Gniazdo Miłości w Nowym Edenie? To zależy tylko od was i waszej hojności.*

Za pancernymi szybami szklanej kuli nieruchome gwiazdy świecą blaskiem zimnym jak lód.

Ale ostatnie spojrzenie, którym Mozart obdarza Léonor po tym, jak osuszył łzy wierzchem dłoni, jest gorące jak ogień.

Dżingiel.

Stopniowe zaciemnianie kadru aż do całkowitej czerni.

POZA PLANEM

Droga stanowa 190 w stanie Kalifornia, Dolina Śmierci, sobota 15 lipca, godz. 10.25

Na skraju lśniącej drogi stoi mały motel, jedyny budynek w promieniu wielu kilometrów. Przymocowane do elewacji litery z przerdzewiałego metalu tworzą nazwę tego przybytku: HOTEL ALIFORNIA (oczywiście napis powinien obwieszczać „Hotel California”, ale „C” odpadło).

Za pokrytym czerwonym pyłem jednopiętrowym budynkiem rozciąga się pustynny, spalony słońcem krajobraz. Przed motelem na małym parkingu wyłożonym topniejącym w skwarze asfaltem parkują trzy samochody: dwa osobowe i kamper z przyciemnianymi szybami i chromowanymi felgami.

W pokoju nagle rozlega się muzyka symfoniczna.

To *Marsz Imperialny z Imperium kontratakuje*. Spod pościeli, na którą padają palące promienie słońca przenikające przez dziurawe zasłony, wyłania się ręka. Palce szukają po omacku telefonu komórkowego, który wydaje z siebie te wojenne dźwięki, leżącego na nocnym stoliku wśród pustych butelek po piwie. Ale ramię jest za krótkie, udaje mu się jedynie popchnąć telefon, który spada na podłogę i będąc już poza zasięgiem właściciela, kontynuuje swój donośny koncert smyczków, bębnów i trąbek.

Młody mężczyzna z nagim, dobrze umięśnionym dzięki uprawianiu wioślarstwa, torsem podnosi się na łóżku. Jego modna fryzura jest kompletnie rozczochrana, a okulary, w których zasnął, przykleiwszy twarz do poduszki, odcisnęły mocny czerwony ślad na jego czole i policzku. To Andrew Fisher. Z koszmarnym kacem.

Wstaje, burcząc pod nosem, ubrany w same bokserki, i ciągnie za sobą prześcieradło, które przewraca nocny stolik z pustymi butelkami, po czym sięga po telefon.

– Tak, mam? – mówi przymulonym głosem.

– Nie, Drew, to ja, twoja ukochana siostrzyczka. Pożyczyłam komórkę mamy po kryjomu, żeby do ciebie zadzwonić.

Andrew Fisher przeciera oczy.

– Lucy – mówi łagodnie. – Jak miło cię słyszeć.

– Mnie byłoby miło cię widzieć – odpowiada dziewczynka z wyrzutem. – Wyjechałeś tak szybko po pogrzebie! Dom bez ciebie jest taki pusty. Yin i Yang bardzo za tobą tęsknią.

– Wybacz mi, siostrzyczko. Obiecuję, że wkrótce wrócę. Tymczasem możesz do mnie dzwonić, kiedy tylko zechcesz, ale teraz muszę być tu, gdzie jestem.

– Czyli gdzie?

– A obiecasz mi, że nie powiesz mamie? Uznałaby, że to chore.

– Jakie?

– Przygnębiające.

– Obiecuję.

– Jestem w Dolinie Śmierci.

– I jak, jest tam przygnębiająco?

– Nie, jest pięknie. To przypomina trochę Marsa.

– Marsa, planetę, na której chcesz kiedyś zamieszkać.

– Tak, Lucy. Pamiętasz, to coś, czego pragnąłem najbardziej na świecie. Ale teraz uzmysłowiłem sobie, że to już prawie nie ma znaczenia. Teraz liczy się dla mnie nie to, by tam polecieć, lecz by zrozumieć, dlaczego ojciec mnie tam nie wysłał. Chcę po prostu zrozumieć ojca. Może tu, gdzie zginął, w Dolinie Śmierci, znajdę jakiś znak, jakąś odpowiedź. Czy to wszystko ma dla ciebie sens?

Głos w słuchawce milknie na chwilę.

– Myślę, że tak – odpowiada w końcu.

– Uprzedzam, że o tej porze nie ma już ani jajecznicy, ani boczku. Zostały tylko tosty i fasolka w sosie pomidorowym.

Zwalista, tęga kelnerka, wciśnięta w wąski fartuszek, którego szwy wyglądają, jakby miały zaraz pęknąć, patrzy na Andrew z góry. Chłopak, który znalazł tyle siły, by wciągnąć na siebie koszulkę klubu wioślarskiego (na lewą stronę), siedzi ledwie żywy przy restauracyjnym stoliku, przy oknie tak brudnym, że z trudem da się przez nie wypatrzeć parking. Ze stojącej w głębi starej szafy grającej dobiega melodia powtarzającej się w kółko piosenki *Hotel California*, hitu zespołu The Eagles z lat siedemdziesiątych XX wieku. Zdaje się, że jest to hymn tego miejsca, w którym czas dawno temu się zatrzymał.

Welcome to the Hotel California

Such a lovely place

Such a lovely face

Plenty of room at the Hotel California

Any time of year

You can find it here.

Andrew pociera sobie skronie, jakby chciał przegonić migrenę.

– Jaka jest ta wasza fasolka?

– Tłusta i mączysta! – odpowiada poirytowana kelnerka.

– Świetnie. W takim razie wezmę podwójną porcję. Może to wchłonie resztki alkoholu, które mam we krwi.

Kelnerka wzdycha – tym razem już bez irytacji, tylko ze współczuciem.

– I przyniosę ci jeszcze aspirynę – mówi, kręcąc głową z politowaniem. – I nie wyprowadzaj się jeszcze z pokoju. Nie ma mowy, byś kierował autem w tym stanie. I tak nie mamy kompletu gości... A można wiedzieć, co cię tu w ogóle sprowadza?

– To moja wakacyjna podróż przed powrotem na uczelnię.

– I nie miałeś gdzie się wybrać, tylko do Doliny Śmierci? No nie wiem, na jakąś plażę, w góry czy choćby do Las Vegas? Zawsze marzyłam, żeby pojechać do Las Vegas... Czego szukasz w tej zapadłej dziurze?

– Wspomnień – szepcze Andrew. – Duchów. A szczególnie jednego, ducha człowieka, którego uważałem za lepszego od innych, ale okazało się, że wcale taki nie był. Oszukiwał mnie przez całe swoje życie, mając czymś, czego nie mógł mi dać. Nie wiem, czy zdradził mnie z miłości, czy z tchórzostwa, i to pytanie zatruwa mi życie...

– Tracisz czas. Duchy nie słuchają naszych pytań, a jeszcze rzadziej na nie odpowiadają. Tutaj słychać tylko szum wiatru i grzechotniki.

Ale Andrew jest już myślami gdzie indziej.

Jego spojrzenie zagubiło się gdzieś w brudnym, nieprzeniknionym oknie i oparach alkoholu.

Zrozumiawszy, że nic z niego nie wyciągnie, kelnerka odwraca się na pięcie. Podchodzi do baru. Siedzi za nim stary mężczyzna i śledzi z ponurą miną przyciszone wiadomości telewizyjne na dużym ekranie o wyblakłych kolorach.

– Biedny chłopak... – mruczy kelnerka pod nosem. – Zalany w sztok od samego rana... A jestem pewna, że nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat. Niech no pan powie, panie Bill, sprawdził mu pan dowód, zanim zaserwował mu pan alkohol wczoraj wieczorem?

– Moja biedna Cindy, nie możemy sobie pozwolić na taką drobiazgowość w stosunku do klientów ostatnimi czasy, przy całym tym kryzysie – odpowiada z roztargnieniem właściciel. – Dolina Śmierci jeszcze nigdy tak bardzo nie zasługiwała na swą nazwę. Jeszcze miesiąc temu było tu trochę ludzi, ciekawskich, którzy próbowali rzucić okiem na obóz szkoleniowy Genesis. Ale od startu panuje martwa

cisza. Nie będziemy mieć nawet prawa do obiecanej ulgi podatkowej, która tak by pomogła drobnym przedsiębiorcom. Nieudacznicy z rządu nie dostają nawet złamanego grosza z wpływów z reklamy, a razem z nimi i my nic z tego nie mamy. No właśnie, patrzcie, ten pajac Green odstawia jeden ze swoich numerów!

Na ekranie telewizora mężczyzna w czarnej marynarce i zielonym krawacie gestykuluje, stojąc na mównicy na tle słynnej niebieskiej zasłony w sali konferencyjnej Białego Domu. Pan Bill chwyta pilota i daje głośniej.

– ... nadal będę robić to, co obiecałem i po co zostałem wybrany – przemawia dobitnie prezydent Green. – Sprzedając instytucje, nie tylko likwiduję monstrualny dług publiczny pozostawiony przez moich poprzedników, ale także uwalniam Amerykanów od tych starych biurokratycznych mamutów, które pochłaniają znaczną część naszych podatków.

Kolejne ujęcie pokazuje salę konferencyjną wypełnioną po brzegi dziennikarzami. Kobieta w pierwszym rzędzie chwyta mikrofon, który właśnie jej podano:

– Panie prezydencie, odkąd uruchomiono program Genesis, nikt już nie uważa dawnej państwowej Agencji Kosmicznej za biurokratycznego mamuta... – ripostuje. Patrzy w swoje notatki i zaczyna wyliczać z szybkością karabinu maszynowego: – Siedemdziesiąt pięć procent ludności Ziemi ogląda program na żywo... Sto milionów przychodów z reklam każdego dnia... Całkowity zysk osiągnięty do czasu lądowania na Marsie szacowany na minimum piętnaście miliardów dolarów... nie licząc darowizn wpłacanych przez widzów... ani przyszłych dochodów z transmisji pokazujących życie astronautów na Marsie... I wszystko to wpływa do kasy prywatnego funduszu inwestycyjnego, zamiast służyć obywatelom Stanów Zjednoczonych!

Prezydent Green uczepiony mównicy przyjmuje każdą liczbę jak celnie wymierzony cios.

– Będę nadal robić to, co obiecałem... – powtarza jak zdarta płyta. – Minimum państwa, minimum kosztów, minimum podatków. Historia mnie osądzi...

W tym momencie w lokalu rozlega się dzwonek. To dźwięk budzika z mechanicznego zegara wiszącego na ścianie między plakatem Jimmy'ego Gianta na błyszczącym papierze a pożółkłym portretem Jamesa Deana, dwóch idoli z dwóch różnych epok, a jednak tak zaskakująco do siebie podobnych z tymi swoimi blond włosami, buntowniczym uśmiechem i mrocznym spojrzeniem pomimo dzielących ich dziesięcioleci.

Dochodzi godzina jedenasta.

Twarz Cindy jaśnieje z radości.

– Już czas, panie Bill! – woła. – Niech pan uciszy tego patałacha Greena i zmieni kanał. Szybko, szybko!

Staruszek rzuca się na pilota tak zwinnie, jakby nagle ubyło mu ze dwadzieścia lat. Prezydent Green znika z ekranu, ustępując miejsca czołówce programu Genesis z dźwiękiem podkręconym na cały głos.

W głębi restauracji Andrew prostuje się, a po plecach przebiega mu dreszcz. Ale ani Cindy, ani jej pracodawca tego nie zauważają, bo ich oczy są wpatrzone w telewizor.

Sześciu uczestników z jednej strony...

Sześć uczestniczek z drugiej strony...

Sześć minut na spotkanie...

Wieczność na miłość!

Na ekranie pojawia się logo Genesis z planetą-łonem, po czym znika, ustępując miejsca widokowi Kuli Spotkań na tle rozgwieżdżonej otchłani kosmosu.

Wyświetla się napis: DWUNASTE SPOTKANIE W KULI. GOSPODARZ: KENJI, LAT 17, JAPONIA, SPECJALISTA W DZIEDZINIE ŁĄCZNOŚCI.

– Tajemniczy Japończyk! – wykrzykuje Cindy rozemocjonowana do granic. – W końcu postanowił wyjść ze swojej nory... Na swój sposób jest całkiem przystojny. Wygląda trochę jak postać z kreskówki!

Na ekranie pojawia się młody mężczyzna z poldługimi włosami. Szpiczaste kosmyki rozchodzą się we wszystkie strony, przecząc zarówno prawom ziemskiej grawitacji, jak i prawom nieważkości. Jest ubrany w szary matowy strój, równie futurystyczny, jak jego fryzura, coś pomiędzy dressem z kapturem, kombinezonem motocyklowym a strojem wojowników ninja.

Z telewizora rozbrzmiewa głos Sereny McBee:

– Jakże się cieszę, że w końcu cię widzę, mój drogi Kenji! Oglądający nas z pewnością też są uradowani. Jesteś ostatnim uczestnikiem tego tygodnia. Kogo wywołasz? Może Safię, której z tajemniczych powodów odmówiłeś spotkania w zeszłym tygodniu?

Zbliżenie na twarz chłopaka. Sztywne kosmyki zasłaniające czoło i policzki tworzą coś w rodzaju rycerskiej przyłbicy – są jak zbroja, za którą skrywają się czarne oczy.

Kenji: Chcę zaprosić Léonor.

Werble.

W niemal opustoszałej restauracji hotelu California, trzy miliony kilometrów od pędzącego przez przestrzeń kosmiczną statku, Cindy klaszcze w dłonie z radości!

– Léonor! Jedna z moich ulubionych uczestniczek! Przełałam nawet kilka dolarów, by zasilić jej Posag, oczywiście na miarę swoich skromnych możliwości. Mam nadzieję, że jej notowania pójdą w górę, że znajdzie mężczyznę swojego życia i zamieszka w jednym z najpiękniejszych Gniazd Miłości! Jej włosy są po prostu... niesamowite! Gdyby tylko udało mi się uzyskać taki kolor...

Bierze w palce kosmyk swych marchewkowych włosów i patrzy na niego ze złością i rozczarowaniem – ale niezbyt długo, bo już po chwili ekran telewizora znów przyciąga całą jej uwagę.

Pojawiają się na nim czerwonozłote włosy Léonor, tańczące jak płomień w pozbawionym grawitacji pomieszczeniu. Dziewczyna ma na sobie tę samą szarą dżersejową koszulkę i asymetryczną spódnicę z czarnej tafty, na której widok z ust Billa wydobywa się pełen podziwu gwizd.

– No, no. To jest coś. Prawdziwy francuski szyk!

– Cicho, panie Billu – usadza go Cindy, która nie chce stracić ani sekundy programu.

Léonor: Myślałam, że nie chcesz uczestniczyć w grze, Kenji. Zmieniłeś zdanie? Czy może tylko z Safią nie chciałeś się spotkać? To błąd, bo to naprawdę świetna dziewczyna...

Kenji (unika wzroku swojej rozmówczyni): Nie chodziło o Safię. Tylko o rozbłysk.

Léonor: Rozbłysk?

Kenji (zaczyna mówić z ogromną prędkością, połykając końcówki zdań, jak ktoś, komu zwykle nie pozwala się dokończyć tego, co ma do powiedzenia): Tak, rozbłysk słoneczny. Prawdopodobieństwo, że słońce wyśle w przestrzeń kosmiczną strumień cząstek jonowych, było bardzo wysokie w zeszłym tygodniu, gdy Safia mnie zaprosiła. Przewidywanie takich zdarzeń należy do moich obowiązków jako specjalisty od łączności. Ponieważ rozbłyski słoneczne mogą zakłócać transmisje radiowe. Nie mówię już o ryzyku napromieniowania cząstkami kosmicznymi. Wolałem się schronić w przedziale mieszkalnym, niż wchodzić do Kuli Spotkań. Przykro mi.

Cindy kładzie ręce na biodrach.

– Co to za bełkot? Nic nie rozumiem z tego, co opowiada ten cyborg! A pan, panie Billu?

Hotelarz wzrusza ramionami z niepewną miną.

– Wygląda mi na lekko stukniętego...

Siedzący przy stoliku w drugim końcu sali Andrew wydaje się już całkowicie otrzeźwiały. Jego oczy za okularami w czarnych oprawkach wbijają się w ekran i w Léonor, która mówi: „Nie musisz się obawiać o swoje zdrowie w Kuli Spotkań, Kenji. Jako specjalistka w dziedzinie medycyny gwarantuję ci, że jesteś bezpieczny. Bo choć Kula jest przezroczysta, to jesteśmy chronieni przed rakotwórczym promieniowaniem...”.

– Ponieważ tarcza magnetyczna, którą wytwarza silnik jądrowy, obejmuje cały statek – kończy Andrew jednocześnie z Léonor, jakby połączyła ich telepatyczna więź. Wie o budowie Cupido więcej niż

którykolwiek z jego pasażerów.

Na ekranie chłopak kręci głową. Wciąż nie ma odwagi spojrzeć na Léonor.

Kenji (mruczy pod nosem): Wiem, że tarcza magnetyczna ma nas chronić. Ale nic nie poradzę, mam lekką paranoję... (Waha się przez chwilę, po czym kontynuuje). Nie, w rzeczywistości to kompletna fobia, tak przynajmniej twierdził psychiatra, który prowadził moją terapię, zanim zgłosiłem się do programu Genesis. Słowo „fobia” pochodzi od „phobos”, tak samo jak nazwa księżycy Marsa. Wiedziałaś, że po grecku oznacza to „strach”? Astronomowie nadali mi to imię z mitologii: Fobos, bóg strachu, był synem Marsa, boga wojny. Wojna płodzi strach, logiczne. Ja, zdaje się, boję się wszystkiego. Przejmuję się bez powodu niewidzialnymi rzeczami, które nie istnieją. Ale skąd ten mój psychiatra może wiedzieć, co istnieje, a co nie? Nikt nie może zobaczyć promieniowania kosmicznego, a jednak jest wszędzie dookoła nas! (omiata Kulę niespokojnym wzrokiem, jakby w każdej chwili mogło go dosięgnąć kosmiczne promieniowanie. W końcu pyta nieco zakłopotany) Powiedz: czy będzie ci przeszkadzało, jeśli włożę kaptur?

Léonor (uśmiecha się): Nie ma problemu. Wiem, co znaczy nieśmiałość. Ale nie obawiaj się, nie zamierzam cię zjeść.

Kenji: To nie jest nieśmiałość. Chodzi o to, że mój strój jest pokryty warstwą aluminium, która chroni przed falami: zwykłe środki ostrożności na wypadek burzy magnetycznej. Serena kazała mi zaakceptować moją paranoję. W końcu ona też jest psychiatrą, i to ze stosem dyplomów. Twierdzi, że dobrze mieć na pokładzie Cupido, a później także na Marsie, szczególnie ostrożnego i wyczulonego członka załogi, który będzie zwracał uwagę na najdrobniejsze szczegóły i zagrożenia. Poza tym mówi, że wysłać kogoś cierpiącego na fobię na Fobosa to tak, jak wybić klin klinem, że to mnie uleczy! Mam nadzieję, że się nie myli.

Léonor: Serena nigdy się nie myli. Jesteśmy tu, ponieważ w nas wierzy, ponieważ wierzy w to, że każdy z nas ma swoją rolę do odegrania i jest niezbędny, by program Genesis zakończył się sukcesem.

Twarz Japończyka się rozluźnia. Teraz on też się uśmiecha.

Kenji: Dziękuję, że mnie uspokoiłaś. Przy okazji: bardzo mi się podoba twój pomysł, by zapraszać każdego z nas po kolei, raz na sześć randek. To ogranicza konieczność przebywania w Kuli. Dlatego dzisiaj zaprosiłem ciebie. (wkłada na głowę swój kaptur, tak głęboki, że niemal zakrywa mu oczy. Widać już tylko jego usta, które szepczą jeszcze kilka słów) No, to mnie ochroni przynajmniej przed jednym ze słońc...

Léonor: Jednym ze słońc?

Kenji: Tym, które znajduje się na zewnątrz statku, żółtym, mniej lśniącym. Drugie, czerwone, właśnie znajduje się przede mną. Marcus miał rację: to słońce naprawdę promienieje!

Zbliżenie na głowę Léonor, otoczonej długimi włosami jak promieniami czerwonej gwiazdy.

– Jakie cudowne włosy! – wzdycha Cindy z podziwem i zazdrością. – Rzeczywiście wygląda jak słońce!

Na ekranie dziewczyna szeroko otwiera swe złotobrązowe oczy, okolone rzęsami, które maskara Rosier wydłuża w nieskończoność.

Léonor: Słońce? Marcus tak mnie nazwał?

Kenji: Tak, a jest specjalistą od planetologii, więc wie, o czym mówi. Powiedział, że byłaś jak czerwony olbrzym. Wiesz, taka gwiazda u kresu życia, która płonie, buzuje i umierając, spala cały system słoneczny wokół siebie...

AKT IV

PLAN

Start + 73 dni, 1 godz., 15 min
(Jedenasty tydzień)

– Stałam się potworem!

– Ależ nie, Fangfang – uspokajam. – Wszystko wróci do normy.

Singapurka siedzi na ławce przykręconej do podłogi w łazience i nagle wybucha płaczem.

Wielkie łzy płyną po jej spuchniętych, nadętych jak balony policzkach.

– Nie, no ale popatrz, jak ja wyglądam! – pochlipuje. – Jak jakiś okropny, chory na bulimię świstak z policzkami wypchanymi ziarnem!

– To nie ziarno, Fangfang. To twoja krew, która opuszcza nogi i podchodzi do twarzy. Przy zmniejszonej grawitacji siła ciężenia, która kieruje przepływ krwi do stóp, działa trochę słabiej...

– Ale przecież uczę się po całych dniach w pokoju, w którym grawitacja wynosi czterdzieści procent! – protestuje Fangfang.

– Po trzech miesiącach podróży w przestrzeni kosmicznej to już nie wystarczy. Musisz czasem wyłączyć tablet i trochę się poruszać. Musisz więcej ćwiczyć. Nie tylko ze względu na krążenie, ale także po to, by zapobiec zanikowi mięśni.

Fangfang wydaje z siebie rozdzierający krzyk:

– Świstak bulimik z żabimi nogami, w dodatku zniedołężniały jak stara, rozgotowana kluska! Każdego dnia coraz bardziej brzydnę, podczas gdy ty, Léo, choć na początku byłaś na szarym końcu i nikt nie postawiłby na ciebie złamanego grosza, stajesz się coraz piękniejsza. Nic dziwnego, że Tao nie zaprasza mnie już do Kuli Spotkań.

Postanawiam zignorować „nikt nie postawiłby na ciebie złamanego grosza”, bo w głębi duszy zdaję sobie sprawę, że sama też nie postawiłabym na siebie. Jednak wbrew wszelkim oczekiwaniom w ciągu tygodni stopniowo zaczęłam się wspinać w klasyfikacji, zarówno pod względem wysokości datków, które wpłynęły na konto mojego Posagu, jak i na Listach Serca u większości chłopców. Léonor, silnik Diesla szybkich randek – rozkręca się powoli, ale za to jaki wytrzymały!

– Przesadzasz... – mówię. – Tao zaprosił cię już trzy razy...

– Trzy razy to nic dla osób, które są sobie przeznaczone!

To o wiele lepiej niż a n i r a z u, mam ochotę odpowiedzieć.

Ale się powstrzymuję.

To mogłoby sugerować, że dotyka mnie, że jestem jedyną uczestniczką, której Marcus ani razu nie zaprosił przez te jedenaście tygodni podróży, a to absolutnie nieprawda. To mogłoby pokazywać, że jestem typem dziewczyny, której jakiś facet może w sześć minut zawrócić w głowie, a tak się przecież nie stało. Wręcz przeciwnie, całe szczęście, że dał mi spokój! Marcus jest jedynym uczestnikiem, który nie zaakceptował moich reguł gry. Jedynym, co do którego jestem w stu procentach pewna, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Pozostałych pięciu wciąż ma u mnie szanse. Choć niektórzy z pewnością nieco większe niż inni... Zwłaszcza jeden...

– Począwszy od dziś, będziesz spędzać co najmniej dwie godziny dziennie na siłowni – zalecam Fangfang, ucinając potok własnych myśli. – Przepiszę ci też godzinę dziennie w komorze dekompresyjnej, aby pobudzić krążenie i by krew łatwiej docierała do twoich stóp. Będziemy śledzić postępy w czasie cotygodniowej kontroli. Zobaczysz, za jakieś dwadzieścia dni odzyskasz swoją piękną smukłą sylwetkę!

– Tak, ale co, jeśli Tao postanowi zaprosić mnie wcześniej? – lamentuje Fangfang.

– Bez paniki. W mojej apteczce są nie tylko tabletki i strzykawki. Mam także to!

Wyciągam pudełeczko pudru brązującego i za pomocą dużego pędzla nakładam go obficie na policzki Fangfang, by nieco wyszczuplić twarz. Przez ostatnie trzy miesiące miałam czas, by nauczyć się posługiwać produktami od swojego sponsora *platinum*, które na początku tak bardzo mnie onieśmielały, odważyłam się też wyjąć z szafy kilka strojów od Rosiera (starannie unikam jednak czerwonej muślinowej sukienki z rozcięciem). Zasadniczo makijaż niewiele się różni od rysowania: to przecież linie i kolory, które trzeba harmonijnie połączyć. To nawet większa frajda dotykać palety cieni do oczu, mieszać kolory palcami, używać prawdziwych kredek i prawdziwych pędzelków, zamiast wciąż tego samego rysika, którym szkicuję na tablecie. Nie sądziłam, że będę z tego czerpać tyle przyjemności. Często ćwiczyłam na własnej twarzy, zamknięta samotnie przed lustrem w łazience, wymyślając sobie tysiące wcieleń i tysiące postaci, po czym zmywałam wszystko i schodziłam do salonu do reszty dziewczyn. Jeśli chodzi o randki w Kuli Spotkań, to nigdy nie pozwoliłam sobie na nic więcej poza odrobiną maskary. Z moją urodą jest jak z moimi rysunkami: większość zachowuję dla siebie...

– Gotowe! – oznajmiam, odkładając pędzel. – Niewielkie złudzenie optyczne jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Na twarz Singapurki powraca uśmiech.

– Dziękuję, Léo! Jesteś prawdziwą artystką!

– Niektórzy tak twierdzą...

Zdecydowana od razu wcielić w życie moje zalecenia Fangfang kieruje się w stronę kłapy prowadzącej do siłowni, jednak w tej samej chwili po drabince zaczyna schodzić Kelly. Z ciałem błyszczącym od potu i sportową opaską na głowie stanowi dokładne przeciwieństwo Fangfang – od trzech miesięcy spędza cały czas na mechanicznej bieżni i ani razu nie widziałam, żeby włączyła swój tablet z materiałami do powtórki.

– Zęby cię bołą? – zwraca się do Fangfang, wyjmując słuchawki z uszu. – Czy zaczęłaś się zmieniać w chomika?

– Sama jesteś chomikiem! To nie ja biegam jak gryzoń w kołowrotku od początku podróży!

– A nie zaszkodziłoby ci.

– Nie potrzebuję żadnych rad od kogoś uzależnionego od sportu!

Kelly sztywnieje.

– Co powiedziałaś?

– Uzależniona od sportu. Co, jesteś jakaś tępa? Czy przez te ćwiczenia cała krew zeszła ci do nóg i w mózgu już nic nie zostało? – Fangfang wzrusza ramionami i wspina się po drabince, zostawiając mnie sam na sam z Kelly.

Kanadyjka natychmiast wyładowuje złość na mnie:

– Słyszałaś, jak mnie obraziła?

– „Uzależniona od sportu” to wcale nie jest zniewaga – stwierdzam. – A poza tym ma trochę racji: nie można przesadzać. Spędzasz w siłowni naprawdę dużo czasu, a przetrenowanie też jest niebezpieczne, może dojść do wyczerpania nerwowego. *À propos*, jesteś dziś ostatnia do kontroli. Zmierzymy ciśnienie na początek?

– Nie jestem uzależniona – upiera się Kelly.

Słyszając, w jaki sposób wypowiada słowo „uzależniona”, nagle pojmuję, że to właśnie tu leży problem.

– Nie, oczywiście, że nie – mówię spokojnym głosem. – To tylko taka metafora, tak się czasem mówi.

– Uzależnieni są słabi. Biedne ofiary. Żer dla takich drani jak ten Mozart.

Kiedy Kelly wypowiada imię Brazylijczyka, jej spojrzenie twardnieje. To nie jest już spojrzenie seksownej rebeliantki, nieco powierzchownej, ale bardzo ujmującej – to spojrzenie morderczynie.

– Mozart nie chciał być handlarzem narkotyków – tłumaczę. – Został do tego zmuszony i właśnie

dlatego zgłosił się do programu: żeby uciec przed takim losem. On też jest ofiarą zero-G.

– Ofiarą zero-G?! – wrzeszczy Kelly. – Kpisz sobie ze mnie?! Ofiary zero-G nie zalecają się do dziewczyn, mrugając oczkami. Ich oczy to tylko puste kule o zwężonych źrenicach, które nie widzą niczego poza kosmicznymi omamami. Ofiary zero-G nie zgrywają gorącokrwistych latynoskich kochanków. Ich krew jest tak zimna jak krew astronauty, który wypadł w próżnię bez skafandra. Ofiary zero-G nie odbywają kosmicznych podróży. Po kilku wycieczkach wszystkie kończą sześć stóp pod ziemią w drewnianych skrzynkach.

Wściekłość Kelly zbija mnie z tropu. Przypominam sobie, w jakim stanie wróciła ze swej pierwszej – i jedynej – randki z Mozartem: ogarnęła ją dzika furia. Ale złość to nie wszystko – dopiero teraz dostrzegam, że jest w tym też rozdzierające cierpienie.

Kładę dłoń na jej ramieniu – czuję, jak drży.

– Co się dzieje, Kelly?

Rozgląda się niespokojnie dookoła. Przez te tygodnie weszło nam już w nawyk, że kiedy jesteśmy zmęczone albo zdenerwowane, szukamy wzrokiem kamer. Ale oczy Kelly napotykają wyłącznie jej własne odbicie w wielkim okrągłym lustrze nad umywalką.

– Wiesz, że tutaj, w łazience, jesteśmy same – mówię łagodnie. – Możesz mi się zwierzyć, jeśli chcesz. Możemy też pomilczeć. Ja w każdym razie nie powiem o tym nikomu. Tajemnica lekarska.

Kelly kręci głową.

Siada na ławce i wbija wzrok w umywalkę. Patrząc z góry, dostrzegam na jej platynowej fryzurze ciemne odrosty – od jakiegoś czasu nie utleniała włosów. Moje oko rysowniczkki zawsze wyłapuje podobne szczegóły.

– Kłamałam, kiedy mówiłam, że porzuciłam przyczepę, bo było mi tam za ciasno – szepcze Kelly. – Gdyby naprawdę chodziło mi o więcej przestrzeni, czy zamknęłabym się w wąskiej puszczy z pięcioma współlokatorkami, którym buzuje hormony? – Śmieje się gorzko. – Wyjechałam, bo nie mogłam dłużej znieść swojej rodziny. Bo gdybym została, pociągnęliby mnie za sobą na dno. Byłam o krok od śmierci. O włos. Moja mama, moi bracia... wszyscy czworo byli kompletnie zaćpani, nie myśleli o niczym innym, oddychali i żyli tylko po to, by brać zero-G. Jeśli w ogóle można to nazwać życiem, ten stan otępienia, w którym trwali godzinami albo całymi dniami... – Głos Kelly się załamuje.

Nie ośmielałam się odezwać, ale trzymam rękę na jej ramieniu, by pokazać, że ją wspieram.

– Mama nie wychodziła z łóżka w przyczepie od moich dwunastych urodzin, ostatnich, na które miała jeszcze siłę przygotować tort. Bracia znajdowali energię, by się podnieść, tylko gdy byli na silnym głodzie. Szukali wtedy jakiejś drobnej fuchy na czarno albo brali najpaskudniejszą robotę od gangu Aranha, który ma monopol na handel zero-G w Kanadzie. Pracowałam po osiem godzin dziennie jako kasjerka w supermarkecie, a potem kolejne osiem jako sprzątaczką. Wszystko po to, by pod koniec miesiąca moja pensja zmieniła się w proszek zero-G... Niewiele brakowało, bym sama spróbowała tego pieprzonego proszku, żeby sprawdzić, jak to działa, żeby się przekonać, co się kryje za zwężonymi źrenicami braci po tym, jak wciągną działkę, by wystrzelić się w kosmos bez wychodzenia z przyczepy... Wiesz, co mówią? Że to pozwala oderwać się od wszystkich problemów, jakbyś unosiła się w stanie nieważkości. Że to napina wszystkie mięśnie ciała, nawet te, które stawiają włosy na głowie, że to jak dotknąć gwiazd. Tak, o mało nie spróbowałam... Ale w końcu postanowiłam, że dotknę gwiazd naprawdę.

Kelly podnosi głowę i po raz pierwszy, odkąd zaczęła mówić, patrzy na mnie. Jej oczy błyszczą.

– Rozpoznałam kolczyk Mozarta, gdy tylko go zobaczyłam. Nasz dealer w Toronto miał taki sam. Ale nic nie powiedziałam przed kamerami. Nie chcę, żeby to wszystko odbiło się na mojej rodzinie, żeby gliny wpadły na teren kempingu i zamknęły moich braci. I tak mam do siebie żal, że ich porzuciłam... nawet jeśli nie miałam innego wyjścia. Pewnie myślisz, że jestem okropnym tchórzem, prawda?

– Nie, Kelly! Wcale tak nie myślę! Twoja historia... Nigdy bym nie podejrzewała...

Przez twarz Kelly przebiega smutny uśmiech.

– No właśnie – ciągnie. – Kto by podejrzewał, że lalunia zakochana w idolu nastolatek może skrywać taką historię? To głupie, ale od dwunastych urodzin Jimmy Giant pomagał mi to jakoś przetrzymać. Jasne, jego muzyka jest komercyjna, słowa piosenek naiwne, a słodki uśmiech przystojniaczka nieszczerzy. Myślisz, że nie wiem? Ale kiedy w przyczepie zalegała ta okropna, przerażająca cisza, a ja siedziałam sama wśród powykręcanych ciał mamy i braci, z nastroszonymi włosami, wkładałam słuchawki na uszy, puszczałam Jimmy’ego na cały głos i szłam uprawiać curling na zamrożonym jeziorze. To mi bardzo pomagało. Tak samo jak ta bieżnia w siłowni na górze i jak teraz rozmowa z tobą.

Kelly wstaje i przytula mnie w swój nieco niezadany, trochę szorstki, ale pełen szczerości sposób.

– Dziękuję, Léo – mówi, robiąc krok do tyłu, by lepiej mnie widzieć. – Masz niezwykły dar słuchania ludzi. Pewnie dlatego zrobili z ciebie specjalistkę od medycyny. Ale ty nigdy się nie zwierzasz. No, może Kris, ale nie nam. Widzisz, nawet nie wiem, którzy chłopcy ci się podobają. Ty też lecisz na ten słodki uśmiech Aleksieja?

– To prawda, że ma piękny uśmiech. Nie można zaprzeczyć...

– Daj spokój, nie wykręcaj się. Powiedz, którego lubisz najbardziej.

– Jeszcze za wcześnie, by ocenić...

Domyślam się, którego imienia Kelly nie chciałaby ode mnie usłyszeć. Spotkanie z Mozartem rzeczywiście bardzo mnie poruszyło. Jego z pewnością też, bo od tamtej pory co tydzień umieszcza mnie na czele swojej Listy Serca.

– Ten jedenasty tydzień jest szóstym, kiedy to dziewczyny wybierają, a Mozart to jedyny uczestnik, którego jeszcze nie zaprosiłaś – mówi Kelly, potwierdzając to, o czym myślałam. – Zaprosisz go jutro, prawda?

– To moje reguły gry – odpowiadam, starając się nie zdradzać żadnych emocji. – Nie złamię ich.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Niszczarka Wątpliwości nigdy się nie zacina. Uparciuchu! Ale obiecaj mi jedno: proszę cię, nie daj się zbałamucić temu typowi.

– Spokojnie. Dać się zbałamucić to byłoby zupełnie nie w moim stylu.

POZA PLANEM

**Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley,
piątek 15 września, godz. 10.45**

– ... I w ten oto sposób relatywistyczna elektrodynamika kwantowa próbuje pogodzić elektromagnetyzm z mechaniką kwantową za pośrednictwem formalizmu Lagrange’a. Jeszcze do tego wrócimy: nowy rok akademicki rozpoczął się dopiero dwa tygodnie temu, mamy więc przed sobą cały semestr, by wspólnie odkrywać cuda świata subatomowego na moim słynnym kursie wprowadzenia do elektromagnetyzmu...

Profesor w marynarce stawia kreskę na dole wielkiego dotykowego ekranu pełniącego funkcję tablicy, kończąc ciąg obliczeń, które przeprowadzał przez ostatnie dwie godziny. Odkłada rysik i podnosi wzrok na zegar ścienny.

– Za pięć jedenasta! – oznajmia, zacierając dłonie. – Zaraz rozpocznie się szybka randka. A jak wiecie, Uniwersytet w Berkeley umożliwia studentom oglądanie transmisji na żywo. I tak nikt nie przychodzi na zajęcia, kiedy zaczyna się program... nikt też nie ma ochoty ich prowadzić.

Naciska przycisk na klawiaturze wbudowanej w blat biurka. Równania znikają jedno po drugim, jakby ktoś przetarł ekran niewidzialną gąbką.

Przez ławki ustawione w półkole wokół mównicy przebiega pełen ekscytacji szmer. Młodzi ludzie zebrani w sali wykładowej zdają się jeszcze bardziej zafascynowani zbliżającym się *show* niż „cudami świata subatomowego”. Prawie jedna czwarta studentek upięła na głowach korony z warkoczy, niektóre wykazały przy tym spory fryzjerski talent, inne niekoniecznie. Kilka dziewcząt kupiło nawet sztuczne warkocze „à la Kirsten”, które przytwierdziły do swoich włosów za pomocą niezliczonych wsuwek z lepszym lub gorszym efektem w zależności od wyjściowego odcienia blond, jaki same miały na głowie.

Wśród studentów królują białe marynarki z szarą lamówką w stylu Aleksieja, zdarzają się też fryzury rodem z mangi, naśladujące uczesanie Kenjiego, wycieniowane nożyczkami i usztywnione żelem do stylizacji. Mimo że nie wszyscy zdecydowali się naśladować wygląd jednego z astronautów, większość ma na sobie koszulki i znaczki, które jasno wskazują na ich preferencje: „Team Marcus”, można przeczytać na bluzkach wielu dziewcząt równie często, jak „Team Aleksiej” i „Team Mozart”. Fanki pozostałych uczestników są mniej liczne, choć duża grupa Azjatek nosi koszulki z wydrukowanym na plecach portretem uśmiechniętego Tao.

– *Yes!* – wykrzykuje chłopak znad aplikacji serwisu informacyjnego w swoim smartfonie. – Dzisiaj wylosowano Léonor! Będzie na co popatrzeć, chłopaki!

Ta zapowiedź wywołuje lawinę komentarzy. Dziewczęta rozplývają się w zachwytach nad pięknymi strojami, które Francuzka zaprezentowała w ostatnich tygodniach, a chłopcy stawiają śmiało hipotezy, co się pod nimi skrywa.

Tylko jeden student zdaje się nie podzielać ogólnego entuzjazmu. Andrew Fisher, ubrany w czerwoną koszulkę polo bez żadnych zdjęć czy napisów, siedzi sam w ostatniej ławce na samej górze sali wykładowej. Wygląda zupełnie inaczej niż na początku lata. Gęste brązowe włosy są rozczochrane, jakby dopiero wstał z łóżka, i wypłowiałe od słońca w Dolinie Śmierci. Skóra nabrała koloru miedzi, a oczy za okularami w czarnych oprawkach wpatrują się daleko w przestrzeń. Choć siedzi tu, w sali wykładowej, w rzeczywistości zdaje się być na innej planecie.

Tymczasem z dużego czarnego ekranu znika ostatnie równanie.

W sali gaśnie światło.

W miejscu wzorów matematycznych pojawia się obraz rozgwieżdżonego nieba, powitany entuzjastycznym „Aaaaach!”.

Na tle nieba rysuje się charakterystyczna sylwetka Cupido przy dźwiękach piosenki *Cosmic Love*.

Głos z offu odczytuje hasło programu:

– *Sześciu uczestników z jednej strony... Sześć uczestniczek z drugiej strony... Sześć minut na spotkanie...*

A zebrani kończą chórem ostatnie zdanie:

– *Wieczność na miłość!*

Krzyki.

Brawa.

Ogólne zamieszanie.

Cały ekran zajmuje teraz planeta-łono z zamkniętym w jej wnętrzu płodem, a głos z offu podsumowuje:

– *Program Genesis. Kiedy najambitniejszy program naukowy łączy się z najbardziej ekscytującą grą w szybkie randki, przeżyjecie na żywo najpiękniejszy romans wszech czasów!*

Stopniowe rozjaśnienie kadru.

Napisy: SZEŚĆDZIESIĄTE PIĄTE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: LÉONOR, LAT 18, FRANCJA, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE MEDYCYNY (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 2 MINUTY I 51 SEKUND).

Werble.

Pojawia się Léonor. Dziś ma na sobie wąskie bojówki z czarnej satyny i kurtkę safari, a militarna inspiracja stroju dzięki niepokojącemu kontrastowi jeszcze bardziej podkreśla jej kobiecość. Spięta paskiem w talii dopasowana kurtka zakrywa ręce i ramiona, ale otwiera się szeroko, odsłaniając mlecznobiały dekolt. Dziewczyna po raz pierwszy odważyła się włożyć biżuterię: delikatny łańcuszek z białego złota trzykrotnie oplata alabastrową szyję jak pierścienie tajemniczej planety.

Serena (głos z offu): Léonor! Cóż za elegancja! Jaki styl! Ale przede wszystkim co za zmysłowość! Twoja przemiana to naprawdę jedna z największych niespodzianek tego programu. Początek nie był zbyt obiecujący. A teraz? Popatrz na siebie! Widzowie mają przed oczami prawdziwą zdobywczynię kosmosu! Bojowniczkę miłości gotową do walki!...

– *Ale bomba!* – wykrzykuje jakiś chłopak w sali wykładowej. – Léonor powinna się znaleźć w programie wykładów wprowadzających do elektromagnetyzmu, bo elektryzuje mnie i magnetyzuje jednocześnie!

Inni studenci energicznie kiwają głowami. Niektórzy gwizdzą, by wyrazić swą aprobatę. Dziewczyny przewracają oczami i wzdychają z poirytowaniem.

– *Cicho!* – krzyczy jedna z nich należąca do „Teamu Mozarta”, o czym świadczy jej koszulka. – *Uciszcie się, bo psujecie atmosferę!*

W sali zapanowuje pozorny spokój.

Serena (głos z offu): Ale dość już gadania! Teraz statek znajduje się osiemdziesiąt pięć sekund świetlnych od Ziemi. Mamy podwójne opóźnienie w łączności, więc publiczność widzi te obrazy dwie minuty i pięćdziesiąt jeden sekund później niż w rzeczywistości, co oznacza, że tak samo jak ja czeka niecierpliwie na dalszy ciąg programu. A więc, Léonor, komu stawisz dziś czoło? Twoi fani przywykli już do twych zasad gry i spodziewają się zobaczyć Mozarta, który podobnie jak ty odnotował niezwykły skok wysokości swego Posagu.

Léonor: Widzowie otrzymają to, na co czekają. Zawsze przestrzegałam swoich zasad i pozostanę im wierna aż do dziesiątego grudnia.

Następuje długa chwila ciszy – czas potrzebny, by potwierdzenie Léonor dotarło na Ziemię – po czym rozbrzmiewają werble.

Kilka chwil później po prawej stronie ekranu pojawia się Mozart, a w dole mały zegar odliczający sześć minut spotkania. Chłopak zamienił obcisły T-shirt i džinsy biodrówki, spod których wystawały

bokserki, na białą koszulę i czarne spodnie. Wcale nie ujmują mu atrakcyjności, wręcz przeciwnie.

Léonor: Witaj, Mozarcie z Brazylii.

Mozart: Witaj, Léonor z Paryża.

Chłopak się uśmiecha.

Dziewczyna też.

Cisza między nimi jest pełna napięcia, niemal namacalnego oczekiwania.

Mozart (pierwszy przerywa tę ciszę swoim ciepłym głosem): Wyglądasz po prostu cudownie.

Léonor: Mogę tylko odwzajemnić komplement.

Mozart (rzuca jej swoje najgorętsze spojrzenie): Mam w sobie wszystko. Jedną trzecią krwi afrykańskiej, jedną trzecią krwi europejskiej i jedną trzecią azjatyckiej. W Brazylii wszyscy jesteśmy trochę Metysami. Po co wybierać innego uczestnika, skoro możesz mieć wszystko, co najlepsze, z szczęściem w jednym?

Léonor (ze śmiechem): I w dodatku skromny!

Znów kilka sekund ciszy, podczas których ich ciała wolno dryfują ku sobie, giętkie i pełne wdzięku.

Mozart: Od dawna czekałem na tę chwilę, wiesz? Na moment, gdy znowu cię zobaczę. To, co mi powiedziałaś w czasie naszego pierwszego spotkania, że przeszłość nie ma znaczenia... poruszyło mnie. Chwyciło mnie za serce. Czy weźmiesz mnie za wariata, jeśli powiem, że od tego czasu marzyłem o tobie każdej nocy?

Léonor: Za wariata? Nie. Raczej za kogoś, kto używa pięknych słówek. Bo w końcu po to się tu spotykamy, prawda? Żeby mówić sobie komplementy i czule słówka. Przez sześć minut można opowiadać, co się chce, udawać to, na co ma się ochotę.

Zbliżenie na opaloną twarz Mozarta. Jego długie rzęsy unoszą się nieco wyżej, a ciemne oczy nagle poważnieją.

Mozart (już nie żartuje): Nie opowiadam ci tego, co chcę. Opowiadam ci, co czuję. Nie udaję niczego. Pokazuję, kim jestem.

W auli Uniwersytetu w Berkeley rozlegają się rozmarzone westchnienia. Dziewczyny siedzące w ławkach pozerają wzrokiem piękną, poważną twarz Brazylijczyka, jego brązową skórę, pełne usta, przenikliwe oczy.

– Ten gość jest... obłądny – mówi studentka, która chwilę wcześniej uciszała kolegów. – Uwielbiam takich niegrzecznych chłopców doświadczonych przez życie. To takie wzruszające. Ma się ochotę go przytulić, pocieszyć i już nigdy nie wypuścić z ramion...

– Tak, jasne, ale zasadniczo to wstrętny dealer zero-G – komentuje chłopak siedzący nieopodal.

– To były dealer! – poprawia dziewczyna. – Nie oglądałeś wcześniejszych odcinków czy co? Pojęcia takie jak „przebaczenie”, „druga szansa” i tym podobne są ci kompletnie obce? Czy może jesteś po prostu zazdrosny o Mozzięgo?

Zuchwalec, który śmiał się odezwać, chowa nos w swój tablet, by ukryć się przed fankami Mozzięgo piorunującymi go wzrokiem.

Na ekranie Léonor też wygląda na poruszoną.

Wielkie złotawobrązowe oczy delikatnie mrugają, musnięte perłową pomadką usta otwierają się lekko.

Léonor (szepcze): Ale ja... Jak możesz być pewien, że pokazuję ci, kim jestem? Skąd możesz wiedzieć, czy pokazuję ci naprawdę wszystko?

Mozart: Nie muszę widzieć wszystkiego. Nie od razu. Nawet jeśli umieram z niecierpliwości. To ty podajesz tempo... (kiedy muska pancerną szybę, jego ruchy przypominają ruchy zwinnego kota). Mamy w Brazylii taniec, którego nauczyły mnie dziewczyny z faweli: sambę. Wymaga od partnerów całkowitej jedności, jedności złączonych ciał i zestrojonych oddechów. Mamy też taką słynną piosenkę Dziewczyna z Ipanemy, która mówi jakby o tobie... W tłumaczeniu to będzie mniej więcej tak (zaczyna cicho śpiewać

głębokim, zmysłowym głosem):

„Wysoka i młoda, opalona i piękna
Dziewczyna z Ipanemy przechodzi obok
A gdy tak idzie
A gdy tak przechodzi
Každy na jej widok wykrzykuje »Ach!«”.

Léonor (protestuje): *Wcale nie jestem taka wysoka, choć mój kręgosłup z pewnością wyciągnął się o centymetr czy dwa, odkąd przebywam w środowisku o zmniejszonej grawitacji. A moja skóra wcale nie jest opalona...*

Ale Mozart śpiewa dalej, wbijając w Léonor swe czarne, błyszczące oczy, jakby szeptał jej do ucha, jakby nikt nie mógł ich usłyszeć ani zobaczyć, jakby byli sami na świecie...

Mozart: „Kiedy tak idzie, jest jak samba
Tak słodko balansuje ciałem, tak delikatnie się kołysze
Że gdy tak idzie
Gdy tak przechodzi
Každy na jej widok wykrzykuje »Ach!«”.

Léonor (nie może powstrzymać śmiechu): *Gdybyś widział, jak chodzę, zwłaszcza w tych moich butach astronauty! W niczym nie przypominam tancerki samby!*

Mozart (też wybucha śmiechem, po czym posyła Léonor cudowny uśmiech, pełen wdzięczności i nadziei): *Mógłbym cię nauczyć. Gdybyś chciała. Ale tylko jeśliś chciała. Już ci powiedziałem, że to ty podajesz tempo naszego tańca. Poprowadzisz mnie, a ja pójdę za tobą. Tam, gdzie zechcesz.*

Werble.

Koniec spotkania.

Serena (głos z offu): *Nie wiem, jak wam, drodzy widzowie, ale mnie zrobiło się bardzo gorąco! Cóż za napięcie! Oto, jak program Genesis pozwala nam marzyć i podróżować z Ziemi na Marsa, z mroków kosmosu ku słońcu Ipanemy! Czy Léonor i Mozart rzeczywiście zatańczą razem? Odpowiedź już wkrótce na kanale Genesis!*

Czarne tło.

Czołówka.

Kanał Genesis przelacza się teraz na obraz z kamer śledzących życie astronautów na statku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pierwsza sekwencja to widok na salon po stronie chłopców (dokładna replika salonu dziewcząt), gdzie uczestnicy witają Mozarta po powrocie z Kuli Spotkań.

– No i jak? – pyta Tao, którego potężne, atletyczne ciało garbi się wciśnięte w mały składany wózek inwalidzki.

– Cóż, warto było czekać – odpowiada Mozart. – Ale nie liczcie, że będę tu wam opowiadał szczegóły, chłopaki: to, co się dzieje w Kuli, to prywatne, intymne sprawy... – Głosem, w którym słyhać wzruszenie, dodaje: – Zwłaszcza jeśli chodzi o Léonor.

Aleksiej klepie Mozarta po plecach.

– Ty, mój przyjacielu, jesteś już uzależniony!

– No bo trzeba przyznać, że trudno się oprzeć Léonor – wtrąca Samson. – Szczerze mówiąc, ta dziewczyna nie ma żadnych wad... poza swoją pokręconą regułą gry.

– A mnie właśnie ta reguła bardzo się podoba – rzuca Kenji. – Jest jasna, prosta i konkretna.

Marcus milczy. Na metalowym stole rozłożył talię kart. Jego szare oczy są skupione, marszczy grube brwi, jakby był pochłonięty swoją grą.

Mozart zdaje się zauważać jego milczenie.

– Miałaś rację, mówiąc, że ta dziewczyna jest jak czerwony olbrzym – rzuca przez pokój. – Za każdym razem, gdy ją widzę, zaczynam płonąć żywym ogniem.

Marcus gwałtownie kładzie ostatnią kartę z talii na stół.

As pik, ostry niczym sztylet.

Przez krótką chwilę spojrzenia szarych oczu Amerykanina i czarnych Brazylijczyka się krzyżują.

Jednak już moment później pierwszy wraca do swej gry, a drugi do rozmowy.

– Mówiąc krótko, było ekstra. I będę najszcześniejszym człowiekiem na świecie, jeśli za trzy miesiące Léonor wybierze właśnie mnie.

– A nie powiedziałeś nic o... o mojej niepełnosprawności? – pyta zaniepokojony Tao.

– Jasne, że nie. Dlaczego o to pytasz za każdym razem, kiedy któryś z nas wraca z Kuli Spotkań? Ciągłe ci powtarzam, że szanuję naszą umowę. Nie gadamy jeden na drugiego, tak postanowiliśmy i ja zawsze się tego trzymałem... – Kładzie rękę na ramieniu Tao. – Ale wiesz, stary, prędzej czy później będziesz musiał powiedzieć dziewczynom, że jesteś sparaliżowany. Słowo daję, mnie bardzo pomogło, kiedy powiedziałem Léonor o swojej popieprzonej przeszłości. I chociaż w tamtej chwili miałem wrażenie, jakbym wypruwał sobie flaki na oczach widzów, teraz... Nie mówię, że o wszystkim zapomniałem, ale jest mi o wiele lżej...

Tao zaciska swą potężną szczękę. Na jego szerokiej twarzy rysuje się grymas wątpliwości.

– Ty akurat dobrze trafiłeś... – mówi. – Léonor zaakceptowała cię takiego, jaki jesteś. Kto wie, czy pozostałe dziewczyny będą tak wyrozumiałe? Fangfang bardzo mi się podoba, ale ona stawia poprzeczkę tak wysoko z tą swoją statystyczną zgodnością, ośmiorgiem dzieci i doktoratem z czystej matematyki... Zainteresowała się mną, akrobatką bez wykształcenia. Wyobraź sobie, że dowiaduje się, że do tego wszystkiego jeżdżę na wózku inwalidzkim!

Mozart wzrusza ramionami.

– Co do czystej matematyki, to nie wiem, ale z ośmiorgiem dzieci dałbyś radę – stwierdza. – W końcu tylko nogi masz sparaliżowane, a nie resztę.

Tao się rozchmurza, a pozostali chłopcy wybuchają śmiechem, co rozładowuje napięcie.

Nagle Warden, pies chłopców, zaczyna ujadać.

– Co ci jest? – niepokoje się Kenji, głaskając po głowie potężne zwierzę przypominające dobermana. – Nie jesteś przypadkiem chory? Zwierzęta często są bardziej wrażliwe na promieniowanie niż ludzie...

– Przestań z tym promieniowaniem, Ken! – irytuje się Samson, specjalista od biologii i główny opiekun Wardena. – Myślę, że ten biedak ma już dosyć przebywania w zamknięciu, z dala od Louve. W końcu tylko zwierzęta nie mogą zobaczyć się w Kuli...

– Bo to Kula Spotkań, a nie Szczekań – mówi Kenji z całą powagą.

– I co z tego?!

Samson odwraca się do kamery:

– Hej, Sereno, słyszysz mnie? Czy nie dałoby się zorganizować małej randki dla Louve i Wardena?

Po jakichś dwóch minutach i pięćdziesięciu jeden sekundach ciszy panoramiczny ekran naprzeciwko kominka włącza się i ukazuje twarz producentki wykonawczej, jakby wywołano ducha w czasie seansu spirytystycznego.

– To nie przyniosłoby żadnego pożytku, Samsonie – wyjaśnia z uśmiechem. – Louve i Warden nie mają wyboru ani Listy Serca do sporządzenia.

– No tak, ale mogłyby jednak zobaczyć swojego partnera na resztę życia... Wiesz, sprawdzałem znaczenie ich imion. Zajrzałem do słownika w tablecie i okazuje się, że słowo „louve” oznacza po francusku „wilczyca”. Pies dziewczyn musi być pięknym wilczurem z francuskich lasów, równie rasowym, jak Léonor. A nasz Warden? Skąd jego imię? Słownik wskazuje, że to słowo znaczy „strażnik”...

– Ach, jak strażnik stada? – pyta Kenji.

– Raczej jak strażnik więzienny. – Aleksiej się śmieje. – Być może Warden pracował w pudle, zanim

wzięli go do programu? W końcu każdy z nas ma jakąś przeszłość, więc czemu nie on? Już go sobie wyobrażam, jak zgrywa waźniaka, warcząc na spacerniku. Z wyglądu się do tego nadaje... Jeśli to prawda, ten potwór pewnie pożarł dziesiątki więźniów, którzy próbowali uciec...

– Czegoś ty się naćpał, że opowiadasz takie brednie? – protestuje Samson. – Dobrze wiesz, że Warden nie skrzywdziłby muchy!

– Spokojnie. Tylko żartowałem.

– To idiotyczne oceniać kogokolwiek po wyglądzie. Mnie o mało nie spalili żywcem przez moje oczy.

– Idiotycznie oceniać po wyglądzie? A uważasz, że te dziewczyny tam, po drugiej stronie, po czym nas oceniają?

– Skoro wskoczyłeś na szczyt rankingów, to rzeczywiście raczej nie po IQ.

Serena interweniuje, zanim temperatura sporu nie podniesie się jeszcze bardziej, odpowiadając z ponad dwuminutowym opóźnieniem na sugestię Aleksieja:

– Wasz czworonożny przyjaciel pochodzi ze schroniska, a nie z zakładu karnego. Zanim zabraliśmy go do naszego laboratorium, siedział za kratami, nie przed. Ale z pewnością masz rację, Aleksieju: podejrzewam, że to swojemu imponującemu wyglądowi zawdzięcza to imię. To nasz nieodżałowany Sherman Fisher bardzo pragnął nadać zwierzętom te imiona, bo tak bardzo kochał psy... Pokój jego duszy...

W ostatnim rzędzie w auli w Berkeley Andrew Fisher prostuje się gwałtownie.

Mruga oczami, jakby właśnie się przebudził.

Chwyta rysik i zaczyna pisać po ekranie tabletu, w którym przez dwie godziny wykładu nie zanotował ani słowa. „LOUVE i WARDEN”, zapisuje wielkimi literami.

– No dosyć, moi drodzy, starczy na dziś – informuje profesor z mównicy. – Spóźnicie się na następne zajęcia, i ja także.

Wielki dotykowy ekran gaśnie, zapalają się światła w sali. Studenci wstają.

Jednak to wcale nie oznacza, że mają dosyć programu Genesis na dziś. Kiedy gaśnie ekran, włączają swoje komórki i tablety, by nie stracić ani sekundy z wciągającego widowiska.

Andrew zbiera swoje rzeczy, wrzuca je do plecaka i schodzi po schodach prowadzących do wyjścia.

– Louve i Warden... Louve i Warden... – powtarza szeptem, jakby to było magiczne zaklęcie. – Ojcu zależało, by nazwać zwierzęta Louve i Warden, a ojciec niczego nie robił przez przypadek... A jeśli to jakaś wiadomość, jakaś odpowiedź, w końcu? Dlaczego „Louve”, skąd to francuskie imię? I dlaczego „Warden”?

Andrew jest zbyt pochłonięty swoimi myślami, by zauważyć dwie ładne dziewczyny, które przyglądają mu się z zainteresowaniem, kilka rzędów niżej.

– Ten jest słodki – mówi jedna z nich. – Ale z nikim nie rozmawia i nigdy go nie widziałam na szybkich randkach organizowanych co wieczór w barze kampusu. A to przecież ostatnio najmodniejsza rzecz: sześciominutowe sam na sam nad koktajlem Cupido!

– To samotnik – odpowiada przyjaciółka. – Zdaje się, że lato spędził sam w Dolinie Śmierci, goniąc za duchem, stąd ta opalenizna...

– Za duchem?

– Duchem swojego ojca, Shermana Fishera. Wiesz, pracownika programu Genesis, który rozbił się samochodem krótko przed startem rakiety...

– Och, biedny chłopak! To straszne! Zwłaszcza że to musiało być ekstra, mieć takiego ojca!

– Podobno nie byli w najlepszych stosunkach, kiedy to się stało, ponieważ Andrew nie został wybrany do udziału w programie. W każdym razie tak mówią ludzie. Ale nie wiadomo, czy to prawda. Ludzie często opowiadają niestworzone rzeczy. Chodź już, bo się spóźnimy na wykład z algebry liniowej, a to fakultet równie ważny, jak elektromagnetyzm, jeśli się chce podciągnąć z astrofizyki i mieć szansę pewnego dnia też polecieć na Marsa.

PLAN

**Start + 77 dni, 21 godz., 15 min
(Dwunasty tydzień)**

– *Happy birthday to you, Happy birthday to you. Happy birthday to you, droga Kris, happy birthday to youuu!*

Stawiam na stole „ciasto” przed zaróżowioną z radości Kris, podczas gdy pozostałe dziewczyny głośno biją brawo.

– Przykro nam, ale nie ma świeczek. Wymogi bezpieczeństwa – wyjaśnia Fangfang. – Możesz dmuchnąć, tak jakby były.

Kris zdmuchuje wymaginowane świeczki.

– Wspaniały! – wykrzykuje.

– Wspaniały? – powtarzam, patrząc na to coś przypominające naleśnik, co wyszło spod palców moich i Safii. – Jesteś zbyt miła. To niestety smutny dowód na to, że bez ciebie w kuchni jest tylko nęcza i rozpacz. Ale mam coś innego, co, jak liczę, trochę cię rozweseli.

Wyjmuję spod stołu wielki tablet i pokazuję moje ostatnie dzieło – to, nad którym pracowałam skrycie przez ostatnie dwa tygodnie, korzystając z chwil, gdy Kris uwijała się w kuchni.

Na ekranie eksploduje wir bieli, błękitów i opalizujących refleksów. To cyfrowy obraz, portret Kris w formacie A3, w takiej samej pozie jak Madonna Botticellego, która zdobi drzwiczki jej szafki. Jest ubrana w swoją najpiękniejszą sukienkę. Tylko że zamiast z błękitnego jedwabiu, wydaje się utkana ze szronu. Koronę z warkoczy posypałam skrzącymi się płatkami śniegu, a czoło, szyję i uszy ozdobiłam stalaktytami błyszczącymi jak diamenty.

– Śnieżna księżniczka... – mówię. – Ta, która roztopia serca wszystkich śnieżnych księżąt na świecie. Wszystkiego najlepszego z okazji dziewiętnastych urodzin, moja kochana Kris!

Bardzo wzruszona Kris mocno się do mnie przytula.

– To... to jest... n a p r a w d ę wspaniałe! – jąka się. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję, kochana Léo! Podłączymy ten obraz do ekranu nad naszym łóżkiem. Jestem pewna, że przyniesie mi szczęście!

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Kirsten! – rozbrzmiewa nagle głos Sereny, tak czysty i wyraźny, jakby była z nami w salonie.

Wszystkie odwracamy głowy w stronę ekranu wiszącego naprzeciwko kominka, na którym pojawiła się twarz naszej opiekunki na tle czerwieniejących liści – w Ameryce jest połowa września, ogrody willi McBee przybrały już barwy jesieni.

– Moim prezentem będzie małe ogłoszenie: dziś wylosowany został Aleksiej i to właśnie ciebie postanowił zaprosić... na bardzo wyjątkową randkę.

Długie minuty później Kris wraca do salonu, promieniejąc takim blaskiem, że niemal nas wszystkie oślepia. W przeciwieństwie do zwyczajowych pełnych ekscytacji okrzyków, które witają powracającą z randki uczestniczkę, tym razem panuje absolutna cisza. Żadna z nas nie ośmiela się zadać pytania. Ponieważ wszystkie czujemy, że tym razem było inaczej. Tam, na górze, wydarzyło się coś n a p r a w d ę wyjątkowego, jak przewidziała Serena, która nigdy się nie myli.

– Stało się... – szepcze Kris. – Aleksiej to zrobił...

– Co, co zrobił? – Kelly nie wytrzymuje dłużej. – Serena postanowiła usunąć szklaną przegrodę, a on rzucił się na ciebie jak dzika bestia, jak skazaniec w więziennej rozmównicy?

– Aleksiej nie jest dziką bestią, to gentleman. On... mi się oświadczył.

Wszyscy milkną, nawet Louve.

Ale wyraz twarzy wszystkich dziewcząt jest bardzo wymowny, odbija się na nich zdumienie, radość,

zazdrość, a czasem to wszystko naraz.

– Oświadczył ci się? – powtarza Liz, jakby źle zrozumiała. – Ale nie jesteśmy jeszcze na orbicie Fobosa... Nie ogłoszono ostatecznych List Serca... Przed nami jeszcze trzy miesiące podróży...

– Aleksiej powiedział, że widział już wystarczająco dużo, by dokonać wyboru. Dla niego oświadczyzny są równie ważne, jak małżeństwo. Pokazał mi wspaniałą pierścionek i powiedział, że gdyby nie było między nami szyby, wsunąłby mi go na palec. A czekając, aż będzie mógł mi go podarować na Marsie, będzie go nosił na łańcuszku na szyi.

Reszta dnia upływa w dziwnej atmosferze.

Każda zajmuje się czymś w zupełnej ciszy. Fangfang się uczy. Kelly uprawia swój curling. Liz sprawdza przyrządy pokładowe. Safia robi cotygodniowe pranie w sterylizatorze tkanin promieniami UV, który czyści, dezynfekuje i odświeża ubrania bez użycia wody, tak cennej na pokładzie.

Kris tymczasem buja w obłokach. Całe popołudnie czesze Louve, podśpiewując. Wygląda trochę tak, jakby znajdowała się w innym świecie, w jakiejś innej czasoprzestrzeni, oddzielona od reszty barierą równie nieprzekraczalną, jak szyba, która dzieli Kulę Spotkań.

Została wybrana.

Wybrała.

Dla niej i Aleksieja gra jest już skończona.

Dopiero następnego ranka, kiedy spotykamy się w łazience, żeby się przygotować, zaczyna mówić:

– Léo, chciałam ci jeszcze raz z całego serca podziękować.

– Nie ma za co – odpowiadam, układając wsuwki i gumki potrzebne do upięcia korony z warkoczy. – Z wielką przyjemnością malowałam ten portret.

– Chodzi nie tylko o obraz, ale także o całą resztę. Za to, że zawsze dodawałaś mi otuchy i pomagałaś iść dalej, za twoje poczucie humoru, które zawsze przeganiało smutki, za twój przykład, który mnie zawsze inspirował. Nie byłoby mnie tutaj bez ciebie, nie przeżywałabym teraz miłości bardziej szalonej niż wszystkie, o jakich czytałam, nie czekałby mnie ślub z mężczyzną moich marzeń. Jak ja ci się kiedykolwiek odwdzięczę?

Uśmiecham się.

– Bardzo się cieszę, widząc cię taką szczęśliwą. To najpiękniejsze podziękowanie. Bo jesteś szczęśliwa, prawda?

– Jak nigdy wcześniej! To, co jest między mną i Aleksiejem, jest takie intensywne, takie... płomienne! Wiesz, co mi obiecał, oświadczając się? Że do końca podróży nie zaprosi już żadnej innej dziewczyny poza mną. I poprosił, bym nie zapraszała już żadnego innego chłopca, tylko jego.

– Widzę, że przestałam być jedynym maniakiem kontroli z własnymi regułami gry!

Wybuchamy śmiechem jak za dawnych dobrych czasów, jakby czekające nas małżeństwa nie miały za moment wszystkiego zmienić.

Ale chwilę potem poważniejemy, szybciej niż zwykle.

Kris wstaje z ławki.

– Siadaj – nakazuje mi delikatnie. – Dzisiaj nie warto się zajmować moimi włosami, bo nie pójde do Kuli, nawet jeśli mnie wezwą. Czas, bym to ja uczesała ciebie.

– Och, ale wiesz, moje włosy nie znają niczego poza luźnym kokiem i wolnością...

– Chciałabym czegoś spróbować.

Kris chwytą wsuwki i gumki, które przygotowałam dla niej, i zaczyna skręcać moje grube pukle. Kiedy jej zwinne palce pracują, pyta, zerkając na moje odbicie w okrągłym lustrze:

– A ty, droga Léo, jesteś szczęśliwa?

– Tak, chyba tak...

Przez głowę przebiegają mi obrazy z ostatnich trzech miesięcy. Ekscytacja związana ze startem, powolne oswojenie garderoby i produktów do makijażu od Rosiera, niepokój przed pierwszymi

spotkaniami z chłopcami... gorące spojrzenie Mozarta.

Na to wspomnienie przechodzi mnie dreszcz.

To było przyjemne.

Tak naprawdę o wiele więcej niż przyjemne.

Tak, mogę to przyznać, mogę sobie pozwolić, by to czuć, mam do tego prawo: podobało mi się to spojrzenie, wszystko, co mi obiecywało, i wszystko, co ja mam ochotę obiecać w zamian.

– Nie, właściwie to jestem pewna! – poprawiam się. – Jestem szczęśliwa! Naprawdę.

– Mozart? – zgaduje Kris.

– Tak, ten chłopak... naprawdę mnie porusza. Jest taki jak ja. Niechciane dziecko, wyrzutek, który zbuntował się przeciwko swemu losowi, uciekł przed swoim przeznaczeniem. Sądzę, że to mogłoby się udać, ja i on. Tak mi się wydaje.

– On jest w tobie bardzo zakochany. Powiedział mi to, wiesz? Ostatnim razem, kiedy zaprosił mnie do Kuli Spotkań. Czułam, że to wcale nie mnie chciał zobaczyć: przez sześć minut mówił tylko o tobie, o twoich regułach gry, przez które cierpi męki, ale postanowił ich przestrzegać, ponieważ o to poprosiłaś. Jesteś pewna, że nie chcesz się z nim widywać częściej?

– No wiesz, moje zasady... Salamandra...

– Salamandra nie będzie miała żadnego wpływu na uczucia Mozarta, jestem o tym przekonana. W końcu nosi na szyi jajo pająka. Po co czekać do ostatniego tygodnia, by powiedzieć mu o bliźnie... by mu ją pokazać? Może to zbliży was jeszcze bardziej. On wyznał ci wszystko, Léo, położył się u twoich stóp. Teraz twoja kolej.

Nie odpowiadam.

Kris zasiała wątpliwość w mojej duszy.

Zakwestionowała zasady gry.

Pokazać Mozartowi Salamandrę, ryzykując, że wszystko tym popsuje?

To prawda, że od tygodni nie słyszałam jej zdradzieckich szeptów w uchu. Jednak wiem, że ciągle tam jest, przyczajona na plecach.

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby lepiej go poznać i upewnić się, że to ten właściwy. Proszę tylko o jedno: jeszcze trochę czasu.

Kris kiwa głową.

Wciąż przebiera palcami w milczeniu.

– Gotowe! – wykrzykuje wreszcie.

Przełączyłam się w lustrze. Kok, który mi zrobiła, nie ma nic wspólnego z barbarzyńskim węzłem, jaki wiązałam sobie w fabryce, ani nawet z jego nieco ulepszoną wersją wykonaną z pomocą satynowej wstążki. To jest symfonia, arpedžio loków, cud elegancji i geometrii – uczesanie godne modelki Rosiera.

– Prawdziwy kok panny młodej... – mówię.

– I zrobisz mi wielką przyjemność, wkładając do tego coś, co dla odmiany, nie jest czarne!

Najwidoczniej to Kris dziś dowodzi – po co się opierać?

Kilka minut później stoimy przed moją szafą i skarbami, które skrywa.

– Och, ta jest niesamowita... – zachwyca się Kris, muskając opuszkami palców czerwoną muślinową sukienkę z wycięciem, która wisi na wieszaku jak egzotyczne niebezpieczne zwierzę.

– Nawet o tym nie myśl!

– Ale wyglądałabyś w niej doskonale. Ta sukienka to broń masowego uwodzenia! Każdy chłopak padnie na jej widok. Delikatność tej tkaniny... Idealny krój... I to wycięcie... A do tego jest w takim samym kolorze jak twoje włosy.

– Jeśli zaraz nie przestaniesz, włożę na siebie dżersejową koszulkę i koniec rozmowy! – przestrzegam ją.

– Okej. Okej. Zrozumiałam: czerwona sukienka zostaje na inną okazję. A więc co wybierzemy? Cała

reszta garderoby jest czarna... – Przesuwa dłonią po drogich strojach. – Poza tym!

Kris wydobywa z dna szafy komplet z białego jedwabiu w stylu orientalnym, składający się ze spodni i z długiej tuniki.

– Wietnamska tunika! – mówi. – Szczyt elegancji i skromności. Długie rękawy, nie masz żadnej wymówki!

Po serii wygibasów zrobionych, by przebrać się plecami do szafy, tak by nie widziały mnie kamery, stoję obleczona w tunikę, uszytą specjalnie dla mnie przez krawców Rosiera. Szerokie jedwabne spodnie pieszczą skórę. Góra z mandaryńskim kołnierzykiem uwydatnia piersi i ramiona, opinając je równie mocno, jak czarny kombinezon, po czym opada na biodra dwoma połami tkaniny oddzielonymi wycięciami. Prawie całe moje ciało jest pokryte lejącym się jedwabiem. Choć wiem, że materiał jest wystarczająco gruby, by zasłonić Salamandrę, nie mogę przestać o tym myśleć.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł... – zaczynam.

– Żartujesz? Wyglądasz świetnie!

– Tak, ale...

Nie mam czasu, by powiedzieć coś więcej: ekrany w pokojach zapalają się i zaczyna się czołówka programu Genesis.

Kris ciągnie mnie na drabinkę prowadzącą do salonu.

– Zagapiłyśmy się i nie usłyszałyśmy, który z chłopców został dziś wylosowany – tłumaczy reszcie. – No więc, dziewczyny, który to?

– Marcus... – odpowiada Fangfang, kiedy czołówka się kończy i ekran znów staje się czarny.

W salonie rozbrzmiewa głos Sereny:

– *Zapraszam Léonor do Kuli Spotkań.*

KANAL GENESIS

Wtorek 19 września, godz. 11.05

Sylwetka Léonor unosi się po lewej stronie ekranu.

Długie poły tuniki falują po dwóch stronach jej posągowego ciała niczym szerokie skrzydła. Lśniąca biel stroju, podkreślającego idealne kształty dziewczyny, harmonizuje z matową bielą dłoni i twarzy. Jedyne kolory w tym olśniewającym zjawisku to czerwień misternego koka, złoty brąz piegów na policzkach i głęboki karmin szminki Rosiera na ustach.

Naprzeciwno, po drugiej stronie Kuli, czeka Marcus, cały w czerni – ma na sobie czarne spodnie, koszulę i marynarkę. Światło lamp rzeźbi jego pełną zdecydowania i stanowczości twarz, a cień rzucany przez gęste brwi jeszcze bardziej podkreśla metaliczny, szary blask oczu.

Marcus: Dzień dobry, Léonor.

Jego głos jest zachrypnięty, nawet bardziej niż za pierwszym razem.

Zbliżenie na twarz Léonor, na pierwszy rzut oka równie nieruchomą i obojętną, jak twarz chłopaka, który ją zaprosił. Lecz każdy spostrzegawczy widz dostrzeże delikatne drżenie tęczy, upodabniającej się nagle do płynnego złota.

Léonor: Dzień dobry, Marcus.

Ogromne zbliżenie na twarz Marcusa. Srebro jego oczu też jakby topnieje.

Plan: płynne złoto.

Kontrplan: topniejące srebro.

Léonor: Sądziłam, że nigdy mnie nie zaprosisz.

Marcus: Sądziłem, że chcesz, abym respektował twoje reguły gry. Raz na sześć tygodni. To właśnie teraz. To szósty tydzień.

Léonor: Zawsze umieszczałeś mnie na ostatnim miejscu swojej Listy Serca.

Marcus: Zawsze twierdziłaś, że tylko ostatni ranking ma znaczenie.

Obydwoje tkwią po dwóch stronach Kuli całkowicie nieruchomo, zawieszeni w powietrzu.

Léonor: W co ty grasz?

Marcus: W to samo co ty.

Léonor: Nie, nie sędzę. To nie jest ta sama gra. Moja jest jasna i logiczna. Twoja zagmatwana i nieprzewidywalna. Mówisz innym o mnie, że jestem czerwonym olbrzymem, który pali wszystko dookoła i sieje spustoszenie. Kenji mi powiedział... Myślałam, że nie zobaczę cię już w trakcie podróży. Wołałabym cię już nie widzieć. Tak byłoby prościej.

Marcus: Prosta jest tylko śmierć. Prosta i wieczna. A życie, widzisz, jest skomplikowane, a do tego strasznie krótkie. Człowiek odnosi wrażenie, że ma mnóstwo czasu, ale w rzeczywistości to jest niczym szybka randka: ledwie wszedł do Kuli, a już musi się zabierać.

Léonor: Mówisz jak starzec.

Marcus: Starcy to młodzi, którym czas upłynął zbyt szybko.

Léonor (mruga oczami. Jej źrenice nieruchomieją jak u drapieżnika, a cała twarz nabiera lamparcich rysów): Czego ty chcesz, Marcus, ze swoimi zagadkami i szaradami? Dlaczego akurat ja, a nie jakaś inna?

Marcus (wytrzymuje jej dzikie spojrzenie i wbija w nią wzrok jastrzębia): Dobrze wiesz dlaczego. To, co się między nami dzieje... Ty też to czujesz. Wiem o tym.

Léonor: Nawet mnie nie znasz.

Marcus: I to cię przeraża?

Léonor: Zamknij się! Jesteś mroczny jak studnia bez dna! Nie wiadomo, co naprawdę myślisz!

(Nozdrza dziewczyny się rozszerzają, klatka piersiowa unosi się pod białą jedwabną tuniką. Spuszcza wzrok na swoje ciało). Nie wiem, po co włożyłam to wszystko, nie wiem, po co te wszystkie starania dla ciebie. Powinnam była przyjść w starych, znoszonych dżinsach. Zawinięta w worek na śmieci. Ponieważ na nic lepszego nie zasługujesz. Ponieważ taka właśnie jestem!

Chwyta fałdy tuniki i ze złością związuje je w talii, by zakończyć ich zmysłowe falowanie. Zrzuca czółenka, które odlatują w głąb Kuli. Wierzchem dłoni wyciera usta, rysując czerwoną szramę na policzku. Wreszcie wyciąga szpilki, które podtrzymują jej delikatny kok. Niszczy misterne sploty, jej włosy znów tworzą złotoczerwoną mgławicę dookoła głowy.

Léonor: Proszę bardzo! Oto, kim jest Léonor bez opakowania albo prawie bez.

Zbliżenie na Marcusa. Jego oczy są szeroko otwarte, a na twarzy maluje się poruszenie. Z ust wydobywa się szept i nagle nie ma już zachrypniętego głosu, ale delikatny jak podmuch gorącego wiatru.

Markus: Czerwony olbrzym...

Żrenice dziewczyny błyszczą zza jej rozwichrzonych, dzikich kosmyków.

Léonor: Co powiedziałaś?

Do tej chwili nieruchomy Marcus zaczyna się kręcić wokół własnej osi, zachowując równowagę dzięki masie ciała. Poły marynarki unoszą się na boki, a koszula wydostaje się ze spodni. Czarne tkaniny wirują tak szybko, że kamera nie jest w stanie za nimi nadążyć.

Gwałtowne oddalenie kamery.

Obraz w szerokim planie.

Nagle Marcus przestaje wirować. Zatrzymuje się w powietrzu, dysząc ciężko, i patrzy Léonor głęboko w oczy. Jego tors jest nagi. Klatkę piersiową i ramiona powyżej łokci pokrywają bajeczne ornamenty tatuaży, gałązki układające się finezyjnie w słowa i całe zdania, tajemnicze roślinne kaligrama wypisane na pergaminie jego skóry. Dwa ciemne kształty ulatują do góry, odrzucone siłą odśrodkową: czarna marynarka po prawej i czarna koszula po lewej stronie.

Marcus: Oto, kim jest Marcus bez opakowania albo prawie bez. Widzisz, wcale nie tak trudno poznać, co naprawdę myślę. To, kim jestem, i to wszystko, w co wierzę, mam wypisane na skórze.

Kamera pokazuje zbliżenie kaligramu na prawej piersi chłopaka, różę, która otwiera się i zamyka w rytm oddechu Marcusa i którą tworzy napis: „Chwytaj dzień”. Łodyżka róży schodzi w dół, wzdłuż mięśni otaczających żebra, gdzie wypuszcza nowe liście – słowa: „Biec... Tworzyć... Zmieniać... Dawać... Pragnąć... Tańczyć... Kochać...”, potem wznosi się ku górze, wzdłuż bicepsa, wokół którego niczym gałązka jeżyny wije się cytat: „Snuj marzenia tak, jakbyś miał żyć wiecznie. Żyj tak, jakbyś miał umrzeć dziś”. Każda litera na torsie Marcusa zdaje się żywa, jakby to nie był tusz na skórze, ale krew, która wychodząc z samej głębi istoty, wykwitła na powierzchni naskórka, by namalować jego historię.

Marcus: Karta mojego życia jest już w dużej mierze zapisana, a pewnego dnia stanie się całkiem czarna. Ale jeszcze pozostaje jedno puste miejsce. Nigdy nie wiedziałem, co tam napisać.

Wskazuje palcem lewą pierś w miejscu, gdzie znajduje się serce. Skóra jest tam zupełnie biała i gładka, wolna od wszelkich napisów i roślinnych ornamentów.

Dzwonek.

Koniec spotkania.

PLAN

Start + 83 dni, 21 godz., 30 min
(Dwunasty tydzień)

– *Nadszedł czas ogłoszenia dwunastej Listy Serca! Mili widzowie i wy, drodzy uczestnicy, jesteście dokładnie w połowie drogi, w połowie trasy między Ziemią a Marsem. Dlatego te Listy Serca mają szczególne symboliczne znaczenie. Zobaczycie, że od jutra wszystko będzie się działo w niesamowitym tempie. Trzy ostatnie miesiące podróży upłyną wam znacznie szybciej niż trzy pierwsze. Ponieważ zbliża się chwila rozstrzygnięcia. Ponieważ podróżnicy wykorzystali już połowę czasu, który mają, by się poznać. Moment podjęcia ostatecznej decyzji zbliża się wielkimi krokami!*

Na panoramicznym ekranie Serena, z ogrodami swej willi w tle, jak zwykle prowadzi *show*. Z doskonałym profesjonalizmem i idealnie dozowanym entuzjazmem – ani za dużo, ani za mało. Jej perfekcyjne opanowanie kontrastuje z gwałtowną burzą szalejącą wewnątrz mnie. Wszystko, co przez te trzy miesiące udało mi się zbudować, barykady, które wzniosłam w głowie, mury postawione, by chroniły mnie przed szaleństwem gry – wszystko rozpadło się w proch w czasie drugiego spotkania z Marcusem i uleciało z wirem czarnych tkanin i frustracji.

I uległam...

– *A więc nie czekajmy dłużej. Odkryjmy Listy Serca naszych uczestniczek* – ogłasza Serena.

Na ekranie ukazuje się tabela z sześcioma kolumnami.

Fangfang (SGP)	Kelly (CAN)	Elizabeth (GBR)	Safia (IND)	Kirsten (DEU)	Léonor (FRA)
1. Tao	1. Marcus	1. Marcus	1. Samson	1. Aleksiej	1. Mozart
2. Mozart	2. Samson	2. Mozart	2. Mozart	2. Tao	2. Kenji
3. Marcus	3. Kenji	3. Aleksiej	3. Marcus	3. Samson	3. Tao
4. Aleksiej	4. Tao	4. Samson	4. Aleksiej	4. Kenji	4. Samson
5. Samson	5. Aleksiej	5. Tao	5. Tao	5. Marcus	5. Aleksiej
6. Kenji	6. Mozart	6. Kenji	6. Kenji	6. Mozart	6. Marcus

– Léo! – woła Kris, biorąc mnie w ramiona. – Nareszcie zrezygnowałaś z ustawiania chłopców w porządku alfabetycznym!

Uśmiecha się do mnie, a jej twarz promienieje radością, podczas gdy Serena komentuje spoza kadru nasze listy:

– *Największe postępy poczynili w ostatnich tygodniach Mozart i Marcus, wysuwając się na czoło rankingów po przedczesnym ogłoszeniu zaręczyn Aleksieja i Kris. Tao i Samson także mają dziewczyny, które ich wyróżniają. Kenji pozostaje nieco z tyłu... ale wszystko może się jeszcze zmienić!*

– Złamałaś swoją regułę! – mówi mi Kris do ucha, jakbym odniosła wielkie zwycięstwo nad samą sobą. – W końcu odważyłaś się pokazać swoje prawdziwe uczucia! Tak się cieszę z powodu ciebie i Mozarta!

Ja mam raczej poczucie dotkliwej porażki. Ale kiedy dziś rano sporządzałam listę, to było silniejsze ode mnie. Musiałam wysłać Marcusowi jakiś znak. Powiedzieć mu, że nie ma prawa pogrywać ze mną w ten sposób. I pokazać, że ja też mogę go umieścić na szarym końcu. Położyć kres temu szaleństwu. Od chwili, gdy porzuciłam bezpieczną alfabetyczną klasyfikację, muszę pójść na całość i pokazać Mozartowi, jak bardzo mnie poruszył. Dlatego umieściłam go na pierwszym miejscu.

– Nie, nie złamałam swojej reguły – odpowiadam Kris. – Zmienił się tylko sposób klasyfikowania. Co do reszty, co do najważniejszego, nic się nie zmienia: ten sam uczestnik co sześć tygodni. I ujawnienie Salamandry na końcu podróży. Od tego nie odstępę...

Na ekranie pojawia się tabela chłopców.

Tao (CHN)	Aleksiej (RUS)	Mozart (BRA)	Kenji (JPN)	Samson (NGA)	Marcus (USA)
1. Fangfang	1. Kirsten	1. Léonor	1. Léonor	1. Safia	1. Léonor
2. Elizabeth	2. Elizabeth	2. Elizabeth	2. Elizabeth	2. Elizabeth	2. Elizabeth
3. Safia	3. Léonor	3. Safia	3. Kirsten	3. Kirsten	3. Kelly
4. Léonor	4. Kelly	4. Kirsten	4. Kelly	4. Léonor	4. Safia
5. Kirsten	5. Safia	5. Fangfang	5. Fangfang	5. Fangfang	5. Kirsten
6. Kelly	6. Fangfang	6. Kelly	6. Safia	6. Kelly	6. Fangfang

– *Cóż za niespodzianki!* – wykrzykuje Serena. – *Cóż za emocje! Tutaj także zaręczyny Kirsten wszystko zmieniły. Nie wiem, co jest bardziej zaskakujące: nasza mała leoparczka pierwsza w trzech z sześciu rankingów czy nasza niezwykła Angielka druga we wszystkich rankingach!*

Dziewczyny patrzą na mnie dziwnie, jakbym zrobiła coś nie tak, jakby to był jakiś błąd w systemie, więc czekają, aż powiem: „Nie, chwila, ja pierwsza? To zupełnie niemożliwe!”.

Zmuszam się do uśmiechu, bo wiem, że tego oczekują ode mnie widzowie. Ale w środku wszystko się we mnie gotuje, a moje pięści zaciskają się z całej siły.

Gdyby Marcus tu był, dostałby tą pięścią w twarz. Ponieważ dziewczyny mają rację: w systemie jest błąd, a jest nim on.

To on wywołał we mnie straszny gniew, którego przyczyny nie potrafię znaleźć.

To on budzi we mnie uczucia, których nie rozumiem.

To on otworzył się przede mną jak księga, której stron boję się przewracać.

To on umieszcza mnie nagle na pierwszym miejscu po dwunastu tygodniach zrzucania mnie na ostatnią pozycję.

To on.

To on.

To on!

(Nie, to nie on jest błędem w systemie – szepcze głosik, którego nie słyszałam od tygodni, ale który najwyraźniej nie umarł, tylko na chwilę zamilkł. – Błędem jest twoja głupia reguła gry, której sama nie potrafisz przestrzegać. Błędem jest złudzenie, że jesteś taką samą dziewczyną jak inne, godną prawdziwej miłości. Błąd to ty, Léonor!)

Tabele znikają z ekranu, co przynosi mi niejaką ulgę. Oddycham głęboko, by odnaleźć spokój i uciszyć Salamandrę, podczas gdy na ekranie znów pojawia się Serena i zapowiada dalszą część programu:

– A teraz... czy może być lepszy moment niż półmetek podróży, by przedstawić państwu bazę Nowy Eden, która czeka na naszych dzielnych osadników w ich nowym świecie? Znajdujące się w niej sprzęty uczestnicy będą mogli kupić na aukcji dzięki waszym wpłatom, drodzy widzowie. Panie i panowie, drodzy uczestnicy, witamy na planecie Mars, po której oprowadzą was instruktorzy programu Genesis!

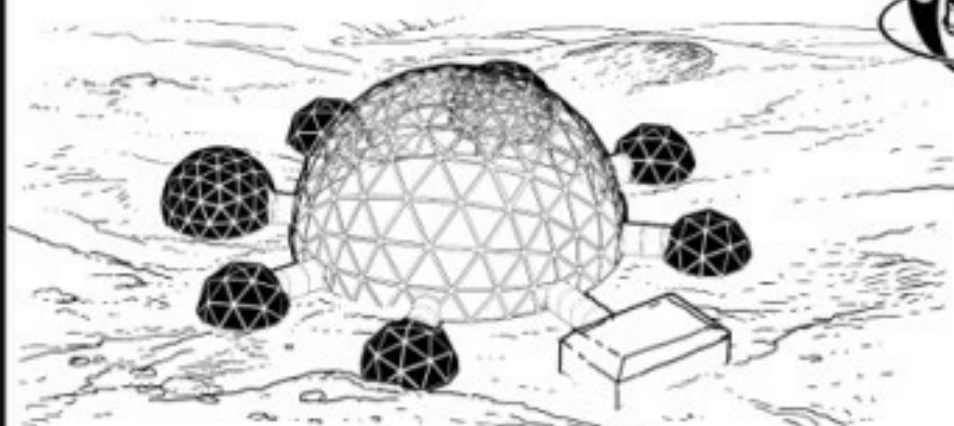
Jesienne ogrody willi McBee zastępuje zupełnie inna scenografia, jeszcze bardziej czerwona. Szkarłatna. Animacja w tym kolorze pojawia się na ekranie jak obraz z nieistniejącej kamery lecącej nad powierzchnią planety, która pokazuje usianą kraterami pustynię pełną czerwonego piasku, nagle kończąca się gigantycznym urwiskiem.

– *Mars, Valles Marineris, największy kanion w Układzie Słonecznym* – komentuje spoza kadru piskliwy, charakterystyczny głos Odette Stuart-Smith, instruktorki planetologii. – *Lokalizację bazy marsjańskiej Nowy Eden wybrano bardzo starannie. Jest położona wystarczająco głęboko, by umożliwić dostęp do zamrożonej wody znajdującej się w marsjańskim gruncie Valles Marineris. Kanion ma głębokość odpowiadającą wysokości Mount Everestu. Jest też na tyle wysunięta na południe, by najlepiej wykorzystywać panele słoneczne. Kanion ciągnie się dokładnie wzdłuż marsjańskiego równika, ze wschodu na zachód. No i ma wystarczającą szerokość, by z łatwością dało się tam zrzucić potrzebny sprzęt. Valles Marineris jest dwadzieścia razy szersza niż Wielki Kanion Kolorado.*

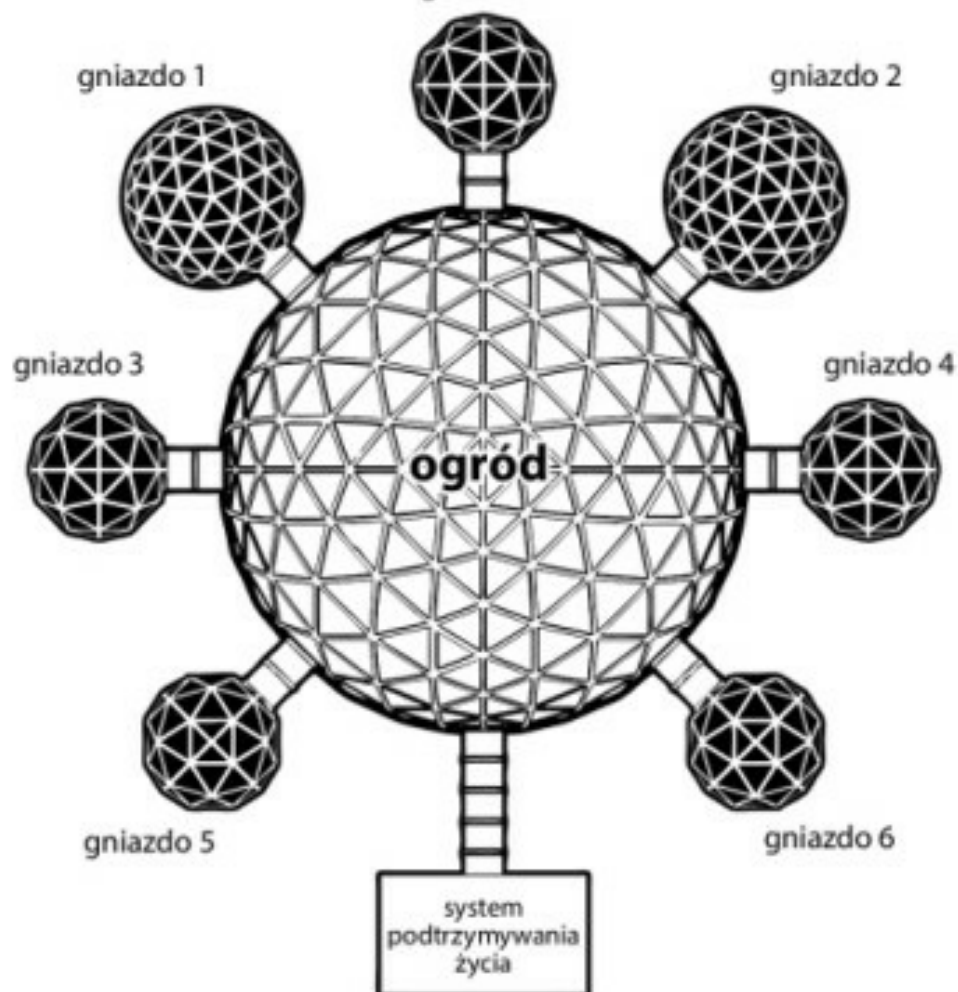
Kamera schodzi w dół urwiska usianego ogromnymi ostrymi skałami, wokół których wirują tumany czerwonego pyłu. Przelatuje niczym błyskawica nad skalistym dnem aż do idealnie płaskiej równiny u podnóża klifu o przytłaczających rozmiarach. Osiem małych kopuł wygląda, jakby zagubiło się pośród tego monstualnego krajobrazu. Przypominają kamyczki, które rzucał za siebie Tomcio Paluch, żeby odnaleźć drogę powrotną w ogromnym lesie.

Środkowa kopuła, cała ze szkła, jest największa. Siedem pozostałych, pokrytych czarną błyszczącą powłoką, otacza tę centralną, łącząc się z nią za pomocą krótkich rurkowatych korytarzy. Dziewiąte pomieszczenie zamykające okrąg jest płaskie i prostokątne.

NEW EDEN / baza



gniazdo 7



– *Moduły mieszkalne mają kształt kopuł, aby mogły lepiej się opierać marsjańskim burzom. Wyjątkiem jest stacja chroniąca systemy podtrzymywania życia, w trzech czwartych ukryta pod ziemią – kontynuuje ochrypłym głosem Geronimo Blackbull, instruktor inżynierii. – Centralna konstrukcja, czyli ogród, to wielka szklarnia z pancernego szkła, która umożliwi osadnikom uprawę żywności. Same Gniazda Miłości są nieprzezroczyste, aby chronić ich mieszkańców przed promieniowaniem, i pokryte panelami słonecznymi, dzięki którym generowana będzie energia niezbędna do właściwego funkcjonowania bazy. Jak widać na ekranie, dwa z nich są znacznie większe od pozostałych. To swego rodzaju apartamenty królewskie bazy. Dostaną je ci, którzy wyłożą najwięcej: pary będą mogły wylicytować je na aukcji. Myśleliście, że nieruchomości w Nowym Jorku są drogie? Poczekajcie, aż zobaczycie, ile jest wart jeden metr kwadratowy w Nowym Edenie!*

Kris daje mi kuksańca.

– Ty i Mozart nazbieraliście sporo pieniędzy w Posagu, tak samo jak ja i Aleksiej! – Ekscytuje się. – Możliwe, że będziemy sąsiadami: my w gnieździe jeden i wy w gnieździe dwa! Byłoby fantastycznie!

Ale do kupienia są nie tylko moduły mieszkalne. Na ekranie wyświetla się lista sprzętów do wylicytowania, począwszy od czegoś w rodzaju dwuosobowego gokarta wyglądającego jak wózek dziadka golfisty.

– *Wystawiamy na aukcję także cztery terenowe minirovery, by umożliwić nowożeńcom swobodne zwiedzanie ich wymarzonego miejsca na nowej planecie...* – komentuje Geronimo Blackbull.

Następne zdjęcie: rodzaj robota na kółkach, z ramionami długimi jak u gibona, kleszczami zamiast dłoni i pojedynczym okiem cyklopa zamiast twarzy.

– *... dwa programowalne roboty, mogące sprzątać, gotować i pilnować dzieci, kiedy mama i tata zechcą mieć czas tylko dla siebie...*

Następne zdjęcie: duża kostka pełna przycisków, na której środku otwiera się szklane okienko.

– *... drukarkę 3D, za pomocą której można przekształcić marsjańską ziemię praktycznie we wszystko: grzechotkę, lalkę, konika na biegunach w częściach do złożenia. Para, która ją nabędzie, będzie mogła urządzać mikołajki tak często, jak zechce, ku uciesze swoich dzieci...*

– Wyobraź sobie, Léo, co ktoś taki jak ty mógłby stworzyć za pomocą tej czarodziejskiej drukarki! – szepcze Kris, jak gdyby maszyna już należała do mnie. – Z swoim talentem tworzyłabyś cuda!

Na panoramicznym ekranie urządzenia techniczne ustępują miejsca skrzyniom warzyw i owoców uprawianych hydroponicznie. Teraz to mój instruktor doktor Montgomery komentuje widok rzędów upraw.

– *Jeśli chodzi o pożywienie – mówi ze swoim eleganckim akcentem – życiowe minimum odpowiadające zaleceniom żywieniowym programu Genesis zostanie zapewnione każdej jednostce. Jednak za wszelkie dodatki trzeba będzie zapłacić, to znaczy za wszystko poza produktami skrobiowymi i witaminami w tabletkach. Każda skrzynia upraw zostanie wyceniona. Tak samo będzie ze zbiornikami ciepłej wody i wszystkim, co wiąże się raczej z komfortem, a nie jest niezbędne do przeżycia.*

Kosz warzyw znika z ekranu, na którym pojawia się uśmiechnięta twarz Sereny.

– *Teraz już wiecie, moi młodzi przyjaciele, do czego będą wam potrzebne pieniądze z Posagów. A wy, drodzy widzowie, rozumiecie już, dlaczego wasza hojność jest tak ważna. Wychowywać dzieci w domu bez ciepłej wody, gdzie na wszystkie posiłki je się tylko piure i dokąd nigdy nie przychodzi Święty Mikołaj, to nie jest spełnienie marzeń. Zapewniam was, że program Genesis naprawdę chciałby ofiarować każdej parze wszystko, co najlepsze, ale niestety liczba sprzętów, które NASA zrzuciła na Marsa, jest ograniczona. Właśnie przedstawiłmy wam ich listę... W Nowym Edenie nie będzie zbyt wielu zasobów, więc to wy, drodzy widzowie, zdecydujecie, kto będzie prowadził życie jak w pięciogwiazdkowym hotelu, a kto będzie musiał się zadowolić najniższym standardem.*

KONTRPLAN

**Hotel Grand Park, Long Island, stan Nowy Jork,
wtorek 26 września, godz. 10.30**

– Pani McBee, proszę za mną. Zaprowadzę panią do prezydenta Greena.

Serena McBee podąża za kamerdynerem, deptając po trawniku w pantofelkach na koturnach. Jest ubrana w przepiękną sukienkę z żabotem z szarej satyny, która przyciąga wszystkie spojrzenia – no chyba że to zasługa jej opalonych nóg albo jej ogromnej sławy. Dziesiątki kobiet w sukniach od największych kreatorów mody i mężczyzn w markowych marynarkach szepczą z podziwem, kiedy przechodzi obok: „To Serena McBee, producentka wykonawcza programu Genesis!”, „To najślynniejsza kobieta w Stanach Zjednoczonych!”, „To najbardziej wpływowa osoba w kraju!”, „A więc plotki były prawdziwe, skoro jest tu dzisiaj, w hotelu Grand Park, na *garden party* prezydenta Greena!”.

Serena zdaje się nie zwracać na to wszystko uwagi – ani na zespół odgrywający amerykański hymn narodowy na scenie na końcu trawnika, ani na setki gwiazdzistych flag wiszących na drzewach w ogrodzie. Uśmiecha się tylko spokojnie spod spektakularnego ronda kapelusza ozdobionego kokardą z jasnozielonej organzy, która stanowi jedyny kolorowy akcent w jej szykownym stroju.

Dołącza do dwóch pogrążonych w rozmowie osób, otoczonych przez ochroniarzy. Pierwszą z nich jest nie kto inny, jak sam prezydent Green, w zielonym krawacie i bez marynarki, ze sztuczną opalenizną starannie wypracowaną w solarium, zmarszczkami precyzyjnie wypełnionymi kwasem i zębami nieskazitelnie wybielonymi laserem. Druga osoba to młody blondyn o nonszalanckim wyglądzie, sobowtór Jamesa Deana, naśladujący go zarówno fryzurą zaczesaną do góry, jak i ciemnymi cieniami pod oczami oraz skórzaną kurtką motocyklową.

– Serena McBee! – wykrzykuje prezydent Green, obdarzając nowo przybyłą uśmiechem godnym plakatu wyborczego. – Co za radość móc panią wreszcie spotkać osobiście po tych wszystkich wideokonferencjach organizowanych przez mój sztab. Mam nadzieję, że dojazd tu nie zabrał pani zbyt wiele czasu.

– Ależ skąd, panie prezydencie. Śmigłowiec, który pan po mnie przysłał, był idealny! A poza tym, jak pan wie, moja posiadłość leży zaledwie kilka kilometrów stąd. To niezwykle uprzejme z pana strony, że wybrał pan na to *garden party* hotel zlokalizowany tak blisko mojego domu.

– Ponieważ jest pani gwiazdą tego przyjęcia, moja droga Sereno... – odpowiada uniżenie prezydent Green. Nagle przypomina sobie o młodym blondynie stojącym obok. – Bez urazy dla naszego młodego kanadyjskiego przyjaciela!

– Nic się nie stało! Płaci nam pan wystarczająco, Stelli i mnie, za obecność tutaj. Chętnie odstąpię status gwiazdy. A poza tym, szczerze mówiąc, któż mógłby rywalizować z Sereną McBee? Nikt, nawet pan, panie prezydencie, prawda?

Prezydent Green wybucha nerwowym śmiechem, po czym szybko przechodzi do prezentacji:

– Serena McBee, Jimmy Giant, nowy James Dean. Jimmy Giant, Serena McBee, królowa przestrzeni kosmicznej. Jestem szczęśliwy, mając was po swojej stronie w tej batalii. Republikanie i demokraci zjednoczyli się, by rozbić Partię Ultraliberalną w wyborach prezydenckich siódmego listopada. Słyszeliście, jakie hasło ostatnio wymyślili? „*Put a red light on Green!*” Co za podłość! – Prezydent Green robi oburzoną minę, po czym kontynuuje: – Zostało trochę ponad miesiąc do wyborów, a sondaże wieszczą mi porażkę. Ale nie biorą pod uwagę mojej tajnej broni: p a n i, Sereno!

Z niepokojem zerka na zegarek.

– Za kwadrans jedenasta... Zostało tylko kilka chwil do naszego ważnego ogłoszenia, które będzie transmitowane na żywo na wszystkich krajowych kanałach. Sereno, moja droga, już czas, byś pomału

skierowała się w stronę trybuny. – Wskazuje na gigantyczny ekran, który znajduje się przy hotelu Grand Park.

– Już idę, panie prezydencie – mówi Serena z uśmiechem, po czym żegna się i kieruje w stronę stojącej pod ekranem mównicy, przystrojonej w kolory Partii Ultraliberalnej.

Jednak w połowie drogi zatrzymuje ją stary, brodaty mężczyzna.

– Pani McBee! – woła. – Poznaj mnie pani?

Serena mierzy mężczyznę wzrokiem: jego nieco zbyt długą brodę, trochę za luźny garnitur, sfatygowaną, trochę przekrzywioną wielką muchę.

– Profesor Barry Mirwood! – przedstawia się. – Były pracownik NASA. Pracowałem przy budowie statku Vasco da Gama... Ech, to znaczy chciałem powiedzieć Cupido. Ale to było, zanim Atlas Capital mnie zwolnił, tak jak wielu innych.

– Ach tak? – odpowiada pospiesznie Serena. – Bardzo mi przykro.

– Proszę się nie martwić. Kilka miesięcy byłem na bezrobociu, ale teraz, kiedy kosmos stał się tak modny, prezydent Green zatrudnił mnie jako specjalnego naukowego doradcę w dziedzinie lotów kosmicznych.

– Doskonale. A więc pańska kariera wróciła na właściwą orbitę! Proszę mi wybaczyć, ale wszyscy czekają na moje przemówienie.

Jednak brodacz zdaje się zbyt podekscytowany, by zrozumieć.

– Jestem taki szczęśliwy, że wreszcie panią poznałem! Nikt nie przypuszczał, że program Genesis odniesie tak spektakularny sukces... A wystarczyło tylko dodać trochę marketingowej otoczki, zmienić nazwy statku i bazy, wybrać sympatycznych młodych ludzi... Brawo! Co ludzie z Atlasa zamierzają teraz zrobić z tymi ogromnymi przychodami? Nie mamy żadnego wglądu w ich plany, to prywatny fundusz... Proszę powiedzieć: czy zainwestują wszystko w eksplorację kosmosu, w podbój Marsa?

Oczy starca lśnią jak u małego chłopca, który dostał pod choinkę wymarzony model statku kosmicznego. Z kolei twarz Sereny pod szerokim rondem kapelusza pozostaje nieprzenikniona.

– Pani McBee, takie pieniądze pozwoliłyby na stworzenie technologii, które były nie do pomyślenia w czasach NASA! Muszę koniecznie opowiedzieć pani o projekcie kosmicznej windy z węglowych nanorurek, nad którym pracuję od trzydziestu lat. To rewolucyjny sposób wynoszenia ludzi i sprzętu w przestrzeń kosmiczną bez użycia rakiet i...

Ale Serena już się odwróciła i ruszyła w stronę trybun.

Ledwie zdążyła stanąć na zielonej mównicy, gdy rozlegają się werble, wzorowane na tych z programu Genesis. Setki gości i dziesiątki kamerzystów ze sprzętem na ramionach jak jeden mąż odwracają się w stronę Sereny.

– Panie i panowie – mówi do mikrofonu. – Wyborcy ze wszystkich stanów i wy, wszyscy Amerykanie, zwracam się dziś do was na żywo z tego wiecu poparcia dla Partii Ultraliberalnej nie jako producentka wykonawcza programu Genesis, lecz jako obywatelka przekonana o słuszności programu człowieka, który może uratować nasz kraj. A także jako kandydatka na wiceprezydenta z listy Edmonda Greena!

Ogromne owacje rozlegają się w całym ogrodzie, flesze aparatów strzelają gorączkowo. Serena wciąż się uśmiecha.

– Wiele osób krytykuje dziś prezydenta Greena za jego decyzję o sprzedaży NASA. Ale ludzie pozwalający sobie na tę krytykę to ci sami ludzie, którzy przez całe dziesięciolecie nie potrafili zapewnić agencji rentowności. Dziś mam im do powiedzenia trzy rzeczy: Tak, prezydent Green miał rację, sprzedając Amerykańską Agencję Kosmiczną w momencie, w którym to zrobił. Tak, ta decyzja była absolutnie konieczna dla zrównoważenia finansów państwa. Tak, prezydent Green i ja przekonaliśmy Atlas Capital do przekazania pięciu procent przychodów wielkiemu narodowi Stanów Zjednoczonych Ameryki!

Tym razem aplauz jest tak wielki, że Serena musi uciszyć publiczność gestem ręki, choć najwyraźniej robi to wbrew sobie, bo wiwaty bardzo się jej podobają.

– Tego ranka wyjątkowo, aby nadać wydarzeniu znaczenie symboliczne, w porozumieniu z Atlas Capital zdecydowałam się poprowadzić szybką randkę właśnie z tego *garden party*. Muzyka!

Na wielkim ekranie rozpoczyna się czołówka programu Genesis.

Lecz zamiast nagranej ścieżki dźwiękowej w głośnikach rozbrzmiewa na żywo piosenka *Cosmic Love*. Zespół na scenie pod ekranem zastąpili Jimmy Giant i Stella Magnifica – on pozujący na buntownika bez powodu, ona ubrana w holograficzną sukienkę, wysyłającą tęczowe promienie na trzydzieści metrów dookoła.

– *You skyrocketed my life* – szepcze on do mikrofonu.

– *You taught me how to fly* – odpowiada ona, machając sztucznymi fluorescencyjnymi rękami, długimi na co najmniej dziesięć centymetrów.

– *Higher than the clouds* – zapewnia on.

– *Higher than the stars* – potwierdza ona.

Krzyżują mikrofony, każde wyciąga swój w stronę ust partnera, by odśpiewać razem finałowe strofy:

– *Nothing can stop our cosmic love. Our cosmic love. Our coosmic looove!*

Głośniki gwałtownie milkną, czołówka programu się kończy i na ekranie widać Kulę Spotkań w szerokim planie oraz cyfrowy napis:

SIEDEMDZIESIĄTE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: LÉONOR, LAT 18, FRANCJA, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE MEDYCZYNY (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 3 MINUTY I 16 SEKUND).

Po lewej stronie ekranu pojawia się ruda czupryna Léonor, dzika i swobodna. Młoda Francuzka włożyła stare wytarte dżinsy i wyblakły T-shirt, jak na początku programu, nim zmieniła się w modelkę Rosiera.

Serena, stojąc na zielonej mównicy, pochyla się do mikrofonu.

– Dzień dobry, Léonor... Powiedz mi, skąd dziś te rozpuszczone włosy i niedbały strój? Kogo postanowiłaś zaprosić w tym trzynastym tygodniu na swoje siódme spotkanie w Kuli, kiedy to ty wybierasz?

Przez długie trzy minuty młoda Francuzka unosi się w powietrzu – to czas potrzebny, by pytanie Sereny dotarło do Cupido, a odpowiedź Léonor wróciła na Ziemię.

Nagle jej spojrzenie pada prosto na zgromadzonych, ostre, złociste. Z ust gości wrywa się westchnienie na widok tego czerwonego olbrzyma, który dziś jak nigdy zasługuje na swój nowy przydomek. Jednak to nie w nich wpatruje się Léonor. Tam, gdzie się znajduje, trzydzieści milionów kilometrów od Ziemi, nie może podziwiać wyrafinowanych kreacji kobiet ani eleganckich, odświeżonych garniturów mężczyzn, nie może zobaczyć kelnerów rozlewających nieograniczone ilości szampana ani bufetu z ciasteczkami, przystawkami, kanapeczkami na srebrnych półmiskach. Jedyne, co ma przed sobą, to czarne oko kamery w głębi Kuli Spotkań – w głębi kosmosu.

W głośnikach rozbrzmiewa głos Léonor, równie mocny i zdecydowany, jak jej spojrzenie.

– *To nie ja wybieram – mówi. – Tylko moja reguła. Ona wymaga, bym zaprosiła pierwszego chłopaka, którego spotkałam trzy miesiące temu.*

– Marcusa? – szepcze Serena do mikrofonu.

Trzy minuty i szesnaście sekund później Léonor potwierdza:

– *Marcusa.*

Werble.

W dole ekranu pojawia się mały zegar, podczas gdy do Kuli wchodzi Marcus. On także dał sobie spokój z eleganckim strojem, swoją czarną marynarką i koszulą. Włożył zwykły biały T-shirt i dżinsy. Można by powiedzieć, że jest lustrzanym odbiciem Léonor. Powietrze między nimi wypełnia napięcie.

Léonor (bierze głęboki oddech): A więc to jest dzisiejsza magiczna sztuczka? Po różach i striptizie pokazujesz mi, że jesteś jasnowidzem i zgadłeś, w co się ubiorę?

Marcus: Nie trzeba być jasnowidzem, by zgadnąć. Sama mi to powiedziałaś w zeszłym tygodniu, pamiętasz? Że nie zasługuję na nic lepszego niż stare, znoszone dzinsy albo worek na śmieci. Zastanawiałem się nad workiem na śmieci, ale w końcu stwierdziłem, że nie należy marnować wyposażenia kuchni, więc zdecydowałem się na stare dzinsy.

Léonor: No to co masz jeszcze dzisiaj w programie, Houdini? Wyciągniesz królika z kapelusza?

Marcus: A co byś powiedziała na numer z ucieczką na żywo, jak ci goście zamknęci w akwarium, którzy mają tylko kilka minut, by się uwolnić, zanim się utopią?

Léonor (rozgląda się dookoła, patrzy na przezroczystą szklaną kulę, za którą rozciąga się nieskończona kosmiczna próżnia): Jako specjalistka od medycyny nie radzę ci się uwalniać z tego akwarium...

Marcus: Zapominasz, że znam kosmos jak własną kieszeń, i to nie tylko dlatego, że zostałem specjalistą od planetologii. Miałem dużo czasu na naukę przez te wszystkie noce, które spędziłem pod gołym niebem, żebrząc w amerykańskich miastach. (Wskazuje palcem na największą i najjaśniejszą z otaczających Kulę gwiazd, świecącą czerwonym blaskiem). Tam jest Mars... (Następnie wskazuje inne ciała niebieskie). Tam Jowisz! Tam Saturn! A tu, tuż przede mną, jest Wenus... Ech, nie! Wrzeczywistości to ty, Léonor!

Léonor (przyjmuje komplement Marcusa bez żadnych emocji i wytrzymuje jego spojrzenie bez mrugnienia powieką): Nie chodziło mi o to, że możesz się zgubić w przestrzeni kosmicznej. Nawet byś nie zdążył. Po prostu na zewnątrz nie mógłbyś wziąć oddechu: spuchłbyś jak balon, twój język zacząłby się gotować, a twoja skóra płonąć. Ten las tatuaży, z którego jesteś taki dumny, poszedłby z dymem w jednej chwili...

Marcus wybucha śmiechem i spogląda na czarne linie, które wylaniają się spod rękawów T-shirtu. Po prawej stronie odkryte ostatnim razem zdanie wiję się kolczastymi literami: „Snuj marzenia tak, jakbyś miał żyć wiecznie. Żyj tak, jakbyś miał umrzeć dziś”. Po lewej, idealnie symetrycznie, odpowiada mu inna bransoletka z jeżynowej gałązki: „Życie jest krótkie, więc łam zasady, wybaczej szybko, całuj powoli, kochaj szczerze”.

Léonor: Cały program! Ty to wymyśliłeś?

Marcus: Nie, moi dwaj przyjaciele. To z lewej Mark Twain, a z prawej James Dean, ten prawdziwy, nie aspirujący sobowtór, który śpiewa w czołówce programu. Pisarz z epoki, w której kowboje przemierzali równiny, i aktor z epoki, w której rządzą na ekranach. Jedni z tych, którzy nauczyli mnie, że dzięki słowom można się uwolnić. Na przykład tym słowom, które chciałbym ci powiedzieć... I tym, które chciałbym usłyszeć od ciebie. Ale sześć minut to na nie za krótko!

Léonor (wreszcie się uśmiecha. Jest naprawdę piękna, kiedy radość rozjaśnia jej twarz): Ty nigdy się nie poddajesz, prawda, Marcus? Ale wiesz, że zaprosiłam cię dzisiaj dlatego, że tak działa moja zasada gry. Następny raz zaproszę cię za dwanaście tygodni, tuż przed tym, jak wejdziemy na orbitę Fobosa i to będzie nasze ostatnie spotkanie w Kuli.

W głosie ukrywającej się za swoją regułą Léonor po raz pierwszy słychać wyraźny żal. Wcale się nie opiera, gdy jej ciało wolno dryfuje w stronę szklanej ściany – w stronę Marcusa.

Marcus (napina lewe ramię, pokazując cytat Marka Twaina): Posłuchaj Marka. Łam zasady.

Léonor: Gdyby naprawdę ci na mnie zależało, szanowałbyś moje zasady, zamiast mnie prosić, bym je złamała. Jak inni uczestnicy. Jak... Mozart.

Marcus (na wzmiankę o Mozarcie jego grube brwi się marszczą): Kochać to nie znaczy akceptować wszystko bez pytań i wątpliwości...

Kamera pokazuje zbliżenie jego twarzy, magnetycznych szarych oczu o metalicznych refleksach.

Marcus: Kochać to walczyć o to, co uważamy za najlepsze dla tego, kogo kochamy... nawet jeśli ta

osoba o tym nie wie. Miłość, którą ci ofiaruję, Léonor, to walka. Ta, którą ofiaruje Mozart, to kapitulacja.

Na drugim końcu Układu Słonecznego, w ogrodach hotelu Grand Park, pięćset osób wstrzymuje oddech. Nie słycać najmniejszego szmeru. Wydaje się, że nawet ptaki przestały śpiewać, by posłuchać Marcusa.

Na ogromnym ekranie kamera przeskakuje z twarzy chłopaka na twarz Léonor.

Coś się zmieniło.

Tama puściła.

Tama, która wstrzymywała łzy i nie pozwalała im błyszczeć w oczach.

Léonor (szepcze): Miłość...? Już...? Tak szybko...?

Marcus: Bo mamy tak mało czasu, Léonor. Nie proszę cię, byś całkowicie odstąpiła od swojej reguły, ale byś ją trochę zmodyfikowała. Jeśli finał rzeczywiście rozegra się między mną a Mozartem, to przestań tracić tak cenny czas na zapraszanie pozostałych uczestników i skup się na nas: najpierw jeden, potem drugi, raz na dwa tygodnie. Myślisz, że mogłabyś to zrobić?

Léonor powoli kiwa głową, a jej oczy błyszczą.

Dzwonek.

U stóp wielkiego ekranu Serena McBee chwyta mikrofon.

– Tak! To znaczyło „tak”! – woła. – Wszyscy jesteście świadkami, drodzy widzowie: Léonor właśnie potwierdziła, że dla niej w grze pozostało już tylko dwóch uczestników. Który z nich zwycięży? Mozart czy Marcus? Mroczny Brazylijczyk czy tajemniczy Amerykanin? Latynoska zmysłowość czy czuły romantyzm? Jeśli chcecie poznać odpowiedź, bądźcie z nami dziesiątego grudnia na kanale Genesis... A oczywiście nim to nastąpi, spotkajmy się siódmego listopada przy urnie wyborczej, by ponownie wybrać prezydenta Greena!

POZA PLANEM

Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley, poniedziałek 6 listopada, godz. 18.00

– Zamykamy bibliotekę uniwersytecką za piętnaście minut, chłopcze. Jutro będzie służyła za lokal wyborczy, musimy wszystko przygotować.

Andrew, ostatni student obecny jeszcze w ogromnej bibliotece, podnosi wzrok znad atlasu, który właśnie studiuje. Książka jest otwarta na mapie Wielkiej Brytanii, dokładnie na hrabstwie Kent. Andrew trzyma palec na małym miasteczku o nazwie Warden. Ekran jego komputera wyświetla mapę, na której zaznaczył wszystkie miejsca o tej nazwie na świecie: jedno w Afryce Południowej, dwa w Kanadzie – w Ontario i w Quebecu, dwa w Stanach Zjednoczonych – w stanie Waszyngton i w Wirginii Zachodniej, aż trzy w Anglii – w Northumberland, w Bedfordshire i właśnie w Kent. Pod mapą ciągnie się lista wszystkich znaczeń, które odnoszą się do rzeczownika pospolitego „warden”: „strażnik więzienny” oczywiście, ale także „rektor uniwersytetu”, „gajowy”, „kancelista parafialny”, „funkcja oficerska w loży masońskiej”.

– Już idę... – mówi Andrew do bibliotekarki.

Zamyka plik „WARDEN” w swoim komputerze i plik „LOUVE”, w którym zgromadził masę informacji o wilkach we Francji, od Czerwonego Kapturka do bestii z Gévaudan.

– Jeśli chcesz, możesz pożyczyć tę książkę – mówi bibliotekarka, wskazując atlas.

– Dziękuję, nie ma potrzeby. Im więcej szukam, tym bardziej się gubię...

Rzuca zamglone spojrzenie na okno wychodzące na kampus, gdzie młodzi działacze partyjni rozdają ulotki wyborcze – większość z nich nosi z dumą zielone koszulki z ostatnim hasłem Partii Ultraliberalnej: „*Green is the color of hope!*”.

– Tak jakby nie było niczego do odkrycia – szepcze Andrew. – Jakby nie było żadnej wiadomości, tylko dwa zwykłe imiona psów wybrane przypadkowo przez człowieka, który nie miał czasu się nad nimi zastanowić.

– Szukasz imion dla szczeniaków? – pyta uprzejmie bibliotekarka, chcąc pomóc. – To prawdziwa łamigłówka, rozumiem cię. Skąd można mieć pewność, że się dobrze wybierze? Radzę ci, byś najpierw sprawdził, jaki charakter ma twój pupil, zanim zdecydujesz.

– Charakter? – powtarza Andrew zbity z tropu.

– Tak, możesz zapytać opiekunów zwierząt w sklepie zoologicznym albo w schronisku. Oni tam potrafią najlepiej dobrać imię do szczeniaka. Tak właśnie było z moim ukochanym chihuahua Stradivariusem: sprzedawczyni zauważyła, że wył z radości za każdym razem, gdy puszczała w sklepie muzykę klasyczną. No dobrze, idę już, pozbieraj spokojnie swoje rzeczy.

Bibliotekarka odwraca się, by poukładać na półkach książki pozostawione na stołach przez innych studentów.

– Opiekunowie zwierząt... – szepcze Andrew. – O tym nie pomyślałem...

Otwiera przeglądarkę internetową w swoim komputerze i wystukuje na klawiaturze: „Lou ve + Warden + opiekun”.

Na ekranie natychmiast pojawiają się wyniki.

Pierwszy jest artykuł opublikowany na stronie z informacjami z Florydy: „LOUVE I WARDEN OSIEROCONE. OPIEKUN ZWIERZĄT PROGRAMU GENESIS UTONĄŁ”.

Trzy dni później Andrew naciska przycisk na domofonie, płytkę z popękanego szkła, obok której widnieje mała etykieta z nazwiskiem „RODRIGUEZ”.

Następnie podnosi wzrok na budynek. To stara sześciopiętrowa kamienica bez windy, ze zgrzybiałym

tynkami na elewacji. Na ścianach widać rdzawe plamy, w kilku miejscach także dziury – czyżby ślady po kulach?

Nad miastem zapada zmierzch, w oddali słychać echa radioodbiorników nadających bezkonkurencyjny hit *Cosmic Love* i syreny policyjne.

Bip! W domofonie odzywa się kobiecy głos z wyraźnym hiszpańskim akcentem:

– Kto tam?

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani Rodriguez. Chciałbym z panią porozmawiać.

– Kim pan jest? Akwizytorem? Od razu panu mówię, że niczego nie potrzebuję.

– Nie mam nic do sprzedania. Chciałbym tylko zadać kilka pytań o pani męża Rubena Rodrigueza.

Głos w domofonie nie odpowiada, ale gdyby się dobrze wsłuchać, dosłyszałoby się stłumiony szloch.

– Jest pan dziennikarzem, tak? Proszę odejść.

– Nie jestem dziennikarzem ani sprzedawcą, ani policjantem. Ja tylko tak jak pani straciłem kogoś bliskiego... – Andrew przełyka ślinę przez zaciśnięte gardło. – Kogoś, kto dobrze znał pani męża.

Bip! Drzwi się otwierają i Andrew wchodzi do budynku.

W drzwiach zablokowanych metalowym łańcuchem stoi ładna, mniej więcej trzydziestoletnia blondynka o ciemnej karnacji. Jej niespokojne oczy wpatrują się uważnie w Andrew, taksują jego zmierzwiłone włosy, wymięty kołnierzyk koszulki polo, okulary w czarnych oprawkach.

– Cecilia Rodriguez – mówi, nie zdejmując łańcucha.

– Andrew Fisher.

Oczy młodej kobiety otwierają się szeroko.

– Fisher? – powtarza. – Jak Sherman Fisher, kolega z pracy Rubena, który zginął w wypadku samochodowym niedługo przed nim?

– To był mój ojciec.

Oczy Andrew błyszczą w półmroku klatki schodowej. Po miesiącach poszukiwań, zapamiętałych prób zrozumienia utraconego ojca, jest kłębkim nerwów.

– Och! Tak mi przykro...! – woła Cecilia Rodriguez, wyraźnie poruszona.

– A ja współczuję pani po tym, co się stało z pani mężem – odpowiada Andrew, starając się powstrzymać łzy.

Chłopak i młoda kobieta przez chwilę patrzą na siebie w milczeniu, ale to milczenie jest naładowane emocjami – jest w nim ból, szacunek, współczucie, wszystko to, co czyni żałobę uniwersalnym ludzkim doświadczeniem.

Nagle Cecilia przypomina sobie o łańcuchu w drzwiach.

– Proszę wejść – mówi, zdejmując go.

Andrew wchodzi do małego zadbanego apartamentu, pachnącego lawendą i środkami czystości, którego schludność kontrastuje z brzydotą zniszczonego budynku. Przyciszony telewizor w salonie pokazuje wiadomości.

– *To historyczna chwila! To prawdziwa zielona fala, a nawet tsunami!* – zachwyca się prezenterka na ekranie, stojąc przed mapą Stanów Zjednoczonych.

Trzy czwarte stanów jest w kolorze zielonym, a tylko garstka z nich w czerwonym lub niebieskim, tradycyjnych kolorach partii Republikańskiej i Demokratycznej.

– *Partia Ultraliberalna, będąca jeszcze miesiąc temu na straconej pozycji, zdobyła ponad siedemdziesiąt procent głosów w wyborach, które odbyły się na początku tego tygodnia! Jak państwo wiecie, zgodnie z amerykańską ordynacją wyborczą w tym powszechnym głosowaniu wyłoniono elektorów, którzy w połowie grudnia wybiorą prezydenta i wiceprezydenta kraju. Ale przy siedemdziesięciu procentach elektorów oddanych sprawie Edmonda Greena i Sereny McBee to powinna być tylko formalność. W każdym razie w Białym Domu wszyscy są pewni zwycięstwa...*

Gospodyni chwyta pilota do telewizora.

– Przepraszam. Wyłączę – mówi. – Swoją drogą nie jestem pewna, czy ta reelekcja to dobra wiadomość, zwłaszcza dla takich dzielnic jak ta, gdzie od lat nie ma żadnej infrastruktury i ani centymetra inwestycji publicznych. Tutaj gangi stanowią prawo, handlują zero-G praktycznie pod moimi oknami. Nie widziałeś ich, tych cieni, które snują się jak zombie z nastroszonymi włosami? Życie tutaj nie jest łatwe, szczególnie dla samotnej matki z małym dzieckiem. Od śmierci Rubena, cztery miesiące temu...

Jej głos się załamuje.

Bierze głęboki oddech, uspokaja się i delikatną dłonią wskazuje na sofę.

– Usiądź, proszę. Andrew, tak? I powiedz, dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć.

Andrew siada na sofie, uśmiecha się nieśmiało. Arogancki i zbyt pewny siebie człowiek, którym niegdyś był, zniknął, ustępując miejsca delikatnemu chłopcu, pełnemu smutku i wstydliwości.

– Ja... Nie wiem, od czego zacząć – mówi. – Pędziłem z Kalifornii jak szalony, ale teraz, gdy już tu jestem, mam mętlik w głowie. Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam.

Cecilia Rodriguez kładzie dłoń na jego rękę.

– Przestań już przeproszać. Nie przeszkadzasz mi. Wiem, jak to jest stracić kogoś, kiedy wszystko, co znasz, nagle znika. Czuję się tak samo zagubiona jak ty. Rozmowa dobrze mi robi. Pod warunkiem że będziemy mówić cicho, żeby nie obudzić małej. Śpi za ścianą.

Andrew uśmiecha się z wdzięcznością.

– Dziękuję. Ja też potrzebuję rozmowy. Może dlatego, że mój ojciec nie mówił zbyt wiele. Zwłaszcza odkąd zaczął pracować dla programu Genesis.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Z Rubenem było tak samo. Program całkowicie go pochłonął prawie go nie widywałam. Był tak zestresowany, odkąd Atlas wykupił NASA! Jedyna chwila relaksu, na jaką sobie pozwalał, to godzinka nurkowania w zatoce przylądka Canaveral, od czasu do czasu. Kochał wszystkie zwierzęta, ale szczególnie morskie. Twierdził, że marzy o tym, by pływać z wielkim żarłaczem białym, ale sądzę, że mówił tak tylko po to, by mnie przestraszyć, bo już od bardzo dawna nie widziano żarłaczy białych u wybrzeży Florydy. Chciał tylko, żebym go mocno przytuliła i powiedziała, jak bardzo mi na nim zależy.

Przez twarz Cecylii przebiega słaby uśmiech na wspomnienie tych szczęśliwych chwil, na zawsze utraconych.

– W końcu ta pasja doprowadziła go do śmierci – mówi. – Zanurkował o jeden raz za dużo, kiedy był zbyt wyczerpany, by poprawnie dokonać niezbędnych pomiarów. Koroner przypuszcza, że wynurzył się za szybko, co doprowadziło do choroby dekompresyjnej, ale to tylko hipoteza, ponieważ nie dało się przeprowadzić autopsji. Policja odnalazła ciało Rubena... długo po jego zgonie...

Głos Cecylii się załamuje.

Tym razem to Andrew bierze kobietę za rękę, by ją pocieszyć.

– Z moim ojcem było podobnie – mówi. – W czasie, gdy przeprowadzano szkolenie do programu, wracał do domu w Beverly Hills samochodem przez Dolinę Śmierci. Rozbił się o skałę. Przypuszczam, że był zbyt wyczerpany, by prowadzić. Jego ciało także znaleziono wiele dni później. Pozostawione na pastwę kojotów, było nie do rozpoznania.

Milczy przez chwilę, wracając pamięcią do tych strasznych chwil.

– Mars zabił ich obu... – podsumowuje gorzko Cecilia.

– Nie, nie Mars. Mars to tylko planeta, punkcik na niebie, w który wpatrują się mali chłopcy marzący o wielkiej przygodzie i dorośli mężczyźni marzący o zapisaniu się w historii. To ten przeklęty program Genesis ich pożarł po tym, jak ich zmienił.

– Zmienił? – powtarza Cecilia. – Tak, też tak myślę. Mój Ruben nie był już tym samym człowiekiem.

– Mój ojciec też nie. Człowiek, którego znałem, nie był tchórzem niezdolnym odpowiedzieć na pytania własnego syna, bojącym się odebrać telefon. Gdyby przynajmniej miał odwagę powiedzieć mi

prosto w oczy, że nie zgodził się, by wysłano mnie na Marsa, bo wolał zatrzymać mnie przy sobie! Ale nie mogliśmy odbyć tej rozmowy. A teraz zostały mi tylko strzępki informacji, które próbuję chwycić. Jak te psy hodowane przez pani męża. To mój ojciec chciał nadać im imiona. Nie miał żadnego konkretnego powodu, by to zrobić. A więc dlaczego mu na tym zależało? Dlaczego wybrał imiona „Louve” i „Warden”? Wmówiłem sobie, że za tymi imionami coś się kryje, jakaś wiadomość, którą dla mnie zostawił. Powiniennem o tym zapomnieć, odpuścić, żyć dalej, ale jakoś nie mogę...

Podnosi zaszkłone oczy na młodą kobietę, rozdarty między niechęcią do kontynuowania absurdalnych poszukiwań a nadzieją, że wreszcie usłyszysz głos swego ojca.

– Cecilio, to jest silniejsze ode mnie. Muszę pani zadać to pytanie: czy Ruben mówił coś o imionach psów? To znak, który mój ojciec odcisnął na programie Genesis, w pewnym sensie jego podpis. I jeśli istnieje choćby jedna szansa na sto, że znajdę w tym jakiś sens, to muszę ją wykorzystać. Może ojciec powiedział coś pani mężowi?

Młoda kobieta zastanawia się przez chwilę.

– Nie, przykro mi. Niczego sobie nie przypominam. Ruben tak mało mówił o programie... Ale poczekaj, jest przecież jego komputer! Korzystał z niego w pracy. Może w środku znajdziesz coś, co cię zainteresuje. Nie dotykałam go, odkąd mój mąż nas opuścił.

– Zgodzi się pani, bym rzucił na niego okiem? – Andrew czerwieni się, wypowiadając te słowa. Znów ogarniają go wątpliwości. – Nie musi się pani zgadzać. Z pewnością niczego tam nie znajdę, a zdaję sobie sprawę, jak bardzo kłopotliwa jest prośba, by pozwoliła pani nieznanemu grzebać w prywatnych sprawach męża...

Cecilia nie pozwala mu powiedzieć więcej.

– To wcale nie jest dla mnie kłopotliwe. Wręcz przeciwnie, sprawi mi to przyjemność, jeśli ci to pomoże i cię uspokoi. Pójdę po komputer.

Kilka chwil później Cecilia wraca z laptopem.

– Nie był używany od śmierci Rubena, a ja właśnie zdałam sobie sprawę, że nie znam hasła... – przeprasza.

– Prawdopodobnie dam radę uruchomić go bez hasła. Znam kilka informatycznych sztuczek – mówi skromnie Andrew, naciskając przycisk zasilania. – Mogę? Będę robić wszystko pod pani kontrolą i nie otworzę żadnego pliku, którego nie będzie pani chciała otwierać.

– Ależ proszę. Ruben i ja nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic.

Komputer się włącza.

Ale nie wyświetla się strona główna systemu operacyjnego.

Ekran jest pusty, tak czarny jak przestrzeń kosmiczna.

– Co się dzieje? – pyta Cecilia. – Czy to jakiś wirus?

Andrew błyskawicznie wstukuje kilka komend, na które komputer odpowiada białymi liniami tekstu.

– Nie, to nie wirus – oznajmia. – Twardy dysk został sformatowany.

– Sformatowany?

– Wymazany. Wytarty. Usunięty.

Chłopak i kobieta wymieniają pełne napięcia spojrzenia.

– Dlaczego Ruben miałby to zrobić? – szepcze Cecilia. – Nigdy się nie dowiemy, co było w tym komputerze...

– Niekoniecznie. Dane z twardego dysku nigdy nie znikają tak do końca. Są po prostu przykryte innymi danymi. Czasem tak, że już nie da się ich odzyskać. Ale nie zaszkodzi spróbować.

Andrew wyjmuje z plecaka pamięć USB. Wkłada ją do jednego z portów, wstukuje kod na klawiaturze. Urządzenie wydaje z siebie pomruk, a po kilku minutach czarny ekran ustępuje miejsca wypełnionemu folderami pulpitowi. Na zdjęciu w tle widnieje Ruben obejmujący żonę i córkę. Ale to nie wszystko. Tę szczęśliwą rodzinę przesłania duży czarny napis wielkimi literami: „MILCZENIE JEST

ZŁOTEM”.

Andrew i Cecilia wpatrują się z osłupieniem w to zdanie, które zdaje się rozkazywać im, by przestali rozmawiać, wyłączyli komputer i nie uruchamiali go już nigdy więcej.

Gdzieś daleko, w ciemnych zaułkach miasta, rozlega się krzyk.

– Milczenie jest złotem? – szepcze Andrew. – Wie pani, co to znaczy?

– Nie... Chociaż może... Nie jestem pewna... – Cecilia marszczy brwi. – Od kilku miesięcy Ruben nosił na szyi złotą plakietkę z tym właśnie słowem, „MILCZENIE”. Pamiętam, że zapytałam, skąd ją wziął, bo nie bardzo było nas stać na takie rzeczy. Odpowiedział, że wygrawerował ją sobie, aby pamiętać o ciszy, jaka panuje na dnie morza i która tak go uspokaja. Aby była to pierwsza rzecz, którą widzi rano przy goleniu, przed ciężkim dniem w pracy. Aby zawsze mieć trochę tej ciszy przy sobie i dzięki temu dawać sobie radę ze stresem związanym z programem. Co do ceny tej ozdoby, powiedział mi, żebym się nie martwiła o nasze finanse, że wszystko będzie lepiej, kiedy misja wyląduje na Marsie, bo otrzyma wtedy premię za to, że przyczynił się do sukcesu pierwszego etapu Genesis. Obiecał mi nawet, że razem z małą popłyniemy w rejs dookoła świata, że w końcu będziemy mieli czas dla siebie, będziemy mogli się cieszyć ciszą morza, z dala od Miami, Genesis i tego wszystkiego.

Drżenie w głosie Cecyli wskazuje, że wyjaśnienia męża co do złotej plakietki już jej nie przekonują. Zwłaszcza teraz, po tym, jak zobaczyła tę sentencję na ekranie...

Andrew otwiera pierwszy z folderów widniejących na pulpicie, zatytułowany „Rachunki laboratorium”. W środku znajduje się wiele arkuszy kalkulacyjnych, ale kiedy chłopak wybiera pierwszy z nich, nic się nie dzieje. Tak samo przy drugim, trzecim i wszystkich pozostałych. Foldery „Badania weterynaryjne”, „Zapasy żywności” i „Plany reprodukcyjne” także zawierają tylko pliki zerobajtowe.

– Puste skorupy... – mówi rozczarowany. – Mój program do odzyskiwania danych zdołał przywrócić jedynie nazwy plików, to wszystko. Pani mąż dobrze to zrobił. Nie przeprowadził szybkiego formatowania komputera, bo w takim przypadku odzyskałbym o wiele więcej, tylko zrobił formatowanie głębokie, podobne do tego, jakie przeprowadza rząd, by wykasować tajne informacje...

Nagle Cecilia wskazuje palcem dolny prawy róg ekranu.

– Popatrz na nazwę ostatniego folderu! – wykrzykuje.

Pod małą ikonką widnieje słowo „Milczenie”.

Andrew klika.

Po otwarciu wyświetla się lista nazw plików, które wcześniej znajdowały się w folderze „Milczenie”:

„Noe1.karma”,

„Noe2.karma”,

„Noe3.karma”,

... i tak dalej, aż do „Noe56.karma”.

– To były pliki graficzne – szepcze Andrew. – Sądząc po rozwinięciu „karma”, zdjęcia wykonane aparatem Karmafone... Uruchomię ostatnie skanowanie, na wszelki wypadek...

– Noe? – mamrocze Cecilia, podczas gdy oprogramowanie się uruchamia. – Może to imię jakiegoś zwierzęcia?

– Może tak... a może nie. Cecilio, proszę spróbować sobie przypomnieć: czy od śmierci Rubena ktoś poza panią miał dostęp do tego komputera?

– Nie. W każdym razie nie wydaje mi się. Dlaczego pytasz?

Oczy Andrew błyszczą za okularami. Wskazuje na okienko, które właśnie wyświetliło się na ekranie, informujące o wynikach skanowania. Znowu nie udało się odzyskać żadnych danych. Ale jest data. Data sformatowania twardego dysku.

Żrenice Cecyli się rozszerzają.

Z zaskoczenia.

Z przerażenia.

– Dwudziesty trzeci lipca... – odczytuje zdławionym głosem. – Ponad dwa tygodnie po szacowanej przez policję dacie śmierci...

Już dawno zapadła noc. Cienie się wydłużyły. Siedzący na rogu kanapy Andrew i Cecilia przypominają rozbitków w łódce zagubionej na oceanie ciemności.

– Myślę, że trafiliśmy na coś wielkiego – szepcze Andrew. – Na coś potwornego. Błagam panią, nich sobie pani przypomni: co się wydarzyło dwudziestego trzeciego lipca?

Pierś młodej kobiety unosi się z trudem. Jakby miała problemy z oddychaniem.

– To data ceremonii pogrzebowej. Zdecydowałam się na kremację ze względu na... stan ciała Rubena. Po powrocie z krematorium zorganizowałam małą stypę w domu, dla rodziny i najbliższych przyjaciół.

– Wyłącznie rodzina i najbliżsi przyjaciele? – dopytuje Andrew, patrząc wyczekująco na kobietę.

– Ktoś z programu Genesis też przyjechał z kwiatami. Pan Blackbull, dawny kolega Rubena. Na początku byłam zaskoczona, że pofatygował się aż tutaj, do tej dzielnicy, gdzie zwykle ludzie się nie zapuszczają... Tak, bardzo mnie to wzruszyło...

Andrew patrzy Cecylii prosto w oczy.

– A jeśli Blackbull miał inny powód, by tu przyjść? A jeśli kwiaty to był tylko pretekst?

– By dostać się do komputera Rubena, kiedy ja byłam zajęta gośćmi, to chcesz powiedzieć? Miałyby tylko kilka minut.

– Wystarczy, by uruchomić formatowanie, jeśli ktoś się na tym zna. Pozbyć się wszystkiego. To najlepszy sposób na usunięcie potencjalnie kompromitujących materiałów, jeśli nie ma się czasu na przeglądanie zawartości folderów.

Cecilia zasłania usta dłonią, by stłumić krzyk, który mógłby obudzić dziecko.

– W co my się wplątaliśmy, Andrew? – duka. – Dlaczego wysłannik programu Genesis sformatował twardy dysk? Jakie zdjęcia zawierał folder „Milczenie”? Śmierć Rubena... Czy to naprawdę był wypadek? Musimy zawiadomić policję!

Cecilia od razu wyciąga rękę po telefon.

Ale Andrew powstrzymuje ją, nim zdąży wybrać numer.

– Proszę tego nie robić, błagam panią. Policja zamknęła sprawy śmierci pani męża i mojego ojca. Szybko zamkną też sprawę po tym, co im powiemy, ale wcześniej poinformują ludzi z Genesis, którzy odtąd będą mieli się na baczności. Sformatowany twardy dysk, nazwy usuniętych plików... to nic w porównaniu z kolosalnymi wpływami ekonomicznymi i politycznymi programu Genesis. Musimy mieć więcej dowodów, zanim poinformujemy władze.

– Dowody? Ale jak je zdobyć? Gdzie ich szukać?

– U źródła. W samym sercu programu Genesis. Pani jednej mogę to powiedzieć: włamałem się do ich kwatery głównej na przylądku Canaveral. W lipcu udało mi się wprowadzić tam szpiega, minidron. Chciałem wkurzyć ojca i zmusić go, by w końcu się do mnie odezwał. Byłem wtedy takim rozpuszczonym dzieciakiem... Nawet nie przyszło mi do głowy, że być może ojciec milczał dlatego, że nie miał innego wyjścia!

Po tych słowach Andrew wyjmuje z plecaka własnego laptopa oraz dżojstik. Cecilia przysuwa się do niego na kanapie. Ich blade twarze oświetla zimne światło ekranu. Pojawia się okienko filmu, a w nim widok z góry na salę kontroli lotów pogrążoną w półmroku. Można dostrzec czubki głów kilkudziesięciu inżynierów w szarych marynarkach, pochylonych nad ekranami swoich komputerów, nadzorujących na żywo wszystkie parametry lotu Cupido.

– Już od czterech miesięcy mój mały robaczek śpi przy listwie na suficie, gdzie nikt go nie zauważył – szepcze Andrew. – Najwyższy czas, by się obudził. I skontaktował się ze mną przez mój telefon satelitarny. I zaczął szukać prawdy.

Naciska klawisz na klawiaturze i chwytą dżojstik. Obraz w okienku zaczyna drżeć – minidron

wystartował. Schodzi w dół, łagodnie skręcając ku rzędom komputerów, słysząc stukanie w klawiaturę i przyciszone rozmowy.

– Baza jest ogromna – szepcze Andrew. – Ale mój dron może lecieć, dokąd chce. Mamy mnóstwo czasu przed n...

Jednak nim Andrew zdąży skończyć zdanie, z sufitu, gdzie był przyczajony minidron, odrywa się trójkątny czarny przedmiot. Błysk! Z wierzchołka trójkąta strzela promień, zalewając okienko białym światłem.

Komputer Andrew wydaje z siebie protestacyjne *bip*.

W pokoju obok budzi się dziecko i zaczyna płakać.

Okno filmu staje się czarne, a następnie pojawia się na nim podświetlona wiadomość, niczym epitafium wyryte na nagrobku: „POŁĄCZENIE SATELITARNE UTRACONE. MINIDRON ZNISZCZONY”.

PLAN

Start + 147 dni, 21 godz., 5 min (Dwudziesty drugi tydzień)

– Posłuchajcie tego, dziewczyny: potwierdzono datę wyborów i będzie to jedenasty grudnia, dzień po naszym lądowaniu na Marsie! – ogłasza Safia, wpadając do salonu w szafranowym sari i z tabletem w ręce.

Jako specjalistka od łączności otrzymuje wiadomości wysyłane z przylądka Canaveral. Są to głównie informacje techniczne na temat trajektorii lotu Cupido, testów, które należy wykonać, aby upewnić się, że antena i nadajnik laserowy działają bez zarzutu, pomiaru poziomu tlenu i dwutlenku węgla w naszych przedziałach mieszkalnych, co ekipa naziemna każe nam robić regularnie. Odkąd Serena ubiega się o fotel wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, możemy także śledzić na bieżąco przebieg kampanii wyborczej. Wiadomość spadła na nas niespodziewanie, więc na początku byłyśmy zaskoczone. Mówiliśmy sobie: „No proszę, jaka tajemnicza ta nasza Serena!”. Ale teraz wydaje nam się zupełnie naturalne, że mogłaby stanąć na czele kraju, który stworzył NASA i program Genesis. Nagle kampania prezydencka ekscytuje nas niemal tak samo jak szybkie randki.

– To fantastycznie! – wykrzykuje Kris, jak zwykle uroczą w jednej ze swoich błękitnych sukienek. – Nasza Serena to prawdziwa superwoman: gospodyni programu telewizyjnego, słynna psychiatra, a wkrótce wiceprezydent Stanów Zjednoczonych! Ale jednej rzeczy trochę nie rozumiem... Myślałam, że Serena i pan Green już wygrali wybory w połowie listopada...

– Najwidoczniej nie słuchałaś moich wyjaśnień – strofuje ją Fangfang, która odzyskała dawny animusz po tym, jak zeszła jej opuchlizna z policzków, a Tao znów zaprosił ją na randkę. – Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych zawsze składają się z dwóch etapów: najpierw ludzie głosują na elektorów należących do różnych partii, a następnie w kolejnym głosowaniu to ci elektorzy potwierdzają wybór prezydenta. Zwykle odbywa się to w połowie grudnia, a w styczniu następuje oficjalne przekazanie władzy nowemu prezydentowi i wiceprezydentowi.

Kelly, ubrana w obcisły top z różowej angory z zakładanym dekoltem, wzrusza ramionami.

– Dziękujemy bardzo naszej chodzącej encyklopedii, ale te wyjaśnienia nie mają żadnego znaczenia. Serena jest niesłychanie popularna, więc to jasne, że elektorzy potwierdzą jej wybór. Nie słuchałaś wiadomości od Safii? Siedemdziesiąt procent z nich popiera Partię Ultraliberalną! Mam gdzieś politykę, ale bardzo się cieszę ze względu na Serenę. A poza tym fajnie, że ostateczne głosowanie odbędzie się dokładnie wtedy, gdy wylądujemy na Marsie, za dwa tygodnie. Nie można było sobie wymarzyć lepszego terminu na zwycięstwo naszej ulubionej niani!

Za dwa tygodnie...

Kelly ma rację.

Do końca gry w szybkie randki pozostały już tylko dwa tygodnie, dwa króciutkie tygodnie. Przez ostatnich dziesięć zapraszałam na przemian Marcusa i Mozarta, a oni zapraszali wyłącznie mnie. Nie jestem dumna z tego, że złamałam swoją regułę, ale jednocześnie wiem, że to była najlepsza decyzja w moim życiu. Ponieważ pozwoliła mi lepiej poznać dwóch fantastycznych chłopaków... Dzięki niej Mozart nauczył mnie przez szybę pierwszych kroków samby i śpiewał mi swoim ciepłym głosem piosenki, które opowiadały o odległych miejscach, poruszały moje serce i sprawiały, że zapomniałam o szklanej kuli, statku kosmicznym i całej reszcie. Marcus odkrył przede mną nazwy wszystkich konstelacji na niebie, ponieważ poznał je, sypiając przez wiele nocy pod gwiazdami, oraz znaczenie każdego tatuażu na swoim ciele – po spotkaniu biegłam do szkicownika, by kopiować ułożone ze słów rośliny i zapisać je w pamięci już na zawsze.

– Dobrze, zrozumiałam – podsumowuje Kris, wrywając mnie z zamyślenia. – Serena zostanie wybrana przez elektorów w tym samym momencie, gdy my wskażemy naszych wybrańców.

– Ty już dawno wskazałaś swojego – mówi nagle Liz.

Siedzi skulona na kanapie, owinięta w jeden ze swoich ciepłych golfów. Podczas gdy niektóre uczestniczki, na przykład Kris, rozkwitły w trakcie tych ostatnich tygodni, Liz jakby zgasła. W tej chwili wydaje się blada jak śmierć, a pod jej oczami pojawiły się cienie – wciąż jest piękna, ale to piękno chorobliwe, niepokojące.

– Wszyscy wiedzą, że będziesz żyła długo i szczęśliwie ze swoim śnieżnym księciem Aleksiejem – kontynuuje. – Zresztą od waszych zaręczyn nie spotyka się z nikim poza tobą. Tak samo jest z Fangfang: wszyscy się spodziewają, że skończy z Tao. A Safia z Samsonem. I ty mówisz o napięciu? Co do Léo, nic dziwnego, że Marcus i Mozart leżą u jej stóp. Popatrz na nią, jest cudowna!

Spoglądam nerwowo na swoją dzisiejszą kreację. W tym tygodniu, ostatnim, w którym wybierają chłopcy, w końcu uległam namowom Kris i odważyłam się włożyć najwytworniejszą sukienkę z garderoby od Rosiera: tę z rozcięciem, z czerwonego muślinu. Ach, gdyby powiedziano mi w fabryce Eden Food France, że kiedyś będę nosiła coś takiego, szczyt elegancji i seksapilu!... No tak, od czasu pracy w fabryce bardzo się zmieniłam. Kiedy wchodziłam na pokład, wydawało mi się, że ważny jest tylko Mars. Ale dziś w moim Układzie Słonecznym pojawiły się dwie nowe planety. Nie pragnę tylko sławy. Pragnę też miłości. Tak, ja, Niszczarka Wątpliwości, chcę się podobać!

A więc włożyłam tę sukienkę, która delikatnie otacza ramiona, uwydatnia piersi, ciasno opina talię, a przez duże rozcięcie pozwala dostrzec nogę. Skrojona na miarę, tak mocno przylega do ciała, że powinnam się czuć szczelnie osłonięta, ale wcale się tak nie czuję – muślin jest tak lekki i delikatny, że mam wrażenie, jakbym była naga. To napełnia mnie takim niepokojem, że co dwie minuty sięgam ręką do pleców, by się upewnić, że tkanina dokładnie zakrywa Salamandrę...

– Może to trochę zbyt *glamour*? – Waham się.

– Nigdy nie jest zbyt *glamour* – odpowiada Liz ze smutnym uśmiechem. – Ty w każdym razie mogłabyś się ubrać w ścierkę, a i tak byłabyś jak bomba zapalająca. Ale ja? Kto wie, z którym z nich skończę? Urodziłam się pod pechową gwiazdą. Moim przeznaczeniem jest porażka, jestem wieczną ofiarą losu, zawsze przegrana, tak jak było z tym egzaminem do Royal Ballet, gdzie mnie nie chcieli...

– Przestań się nad sobą użalać – odpowiada Kelly. – Też nie mam jeszcze faceta, ale nie robię z tego tragedii. To prawda, Marcus bardzo mi się podoba. Ten gość ma naprawdę rockandrollową duszę, z tym luzackim sposobem bycia, z podejściem „*Live fast, die young*”, nie wspominając o tatuażach na tym przypakowanym ciele, no ale ich możemy się tylko domyślać, bo jedyną osobą, której je pokazuje, jest Léo, szczęściara! Samson też ma coś w sobie... No, w każdym razie dopóki nie będę miała nic wspólnego z Mozartem, będę zadowolona.

Kanadyjka rzuca spojrzenie w moją stronę. Jestem jedyną osobą, której się zwierzyła, tylko ja znam powód jej niechęci do Brazylijczyka, dla reszty dziewcząt pozostaje to zagadką.

– Ja byłabym zadowolona, będąc z Mozartem. – Liz wzdycha. – Ale z moim szczęściem czuję, że skończę z Kenjim, największym dziwakiem.

– Przestań, jest supersłodki i ma swój styl! – broni chłopaka Kelly. – W sumie on też mi się podoba, a jego dziwactwa mnie nie przerażają. Przypomnij sobie, Liz: na początku mówiłaś, że jest „dziki” i „tajemniczy”...

– Ostatecznie uznałam, że dla mnie jest trochę zbyt dziki.

– Ale spróbuj dostrzec plusy tej sytuacji: dwoje hipochondryków razem! Moglibyście uprawiać w szklarni rumianek i parzyć sobie ziołowe herbatki takie jak te, które robiła nam Serena.

Tym razem nieco przyciężkie żarty Kanadyjki nie działają. Liz jeszcze bardziej pochmurnieje, a w jej oczach zbierają się łzy.

Przykro mi widzieć ją w takim stanie. Tym bardziej że to ona zawsze była cheerleaderką w drużynie,

gotowa stanąć na głowie, by w zespole panowały zgoda i dobry humor. Gdybym tylko potrafiła w tej chwili wybrać między Marcusem a Mozartem, zwolniłby się jeden uczestnik, o którym biedna Liz mogłaby marzyć, i może odzyskałaby nadzieję.

Mozart, książę wysypiska śmieci, który jest jak moje drugie ja i którego, jak mi się wydaje, znam niczym własną kieszeń...

Marcus, gwiazdny żebrak, który jest dla mnie chodzącą enigmą...

Mozart, tak do mnie podobny...

Marcus, tak ode mnie różny...

(Będziesz musiała wybrać, teraz albo za dwa tygodnie – szepcze Salamandra, którą czerwony materiał zdołał zakryć, ale nie uciszyć. – I będziesz musiała zdjąć swoje piękne sukienki, by pokazać biednemu chłopcu koszmar, na który będzie skazany do ostatniego dnia swego życia!)

Panoramiczny ekran naprzeciwko kominka włącza się nagle, ucinając moje rozmyślenia. Pojawia się na nim Serena ubrana w elegancki kostium w szkocką kratę. Siedzi przed oknem wychodzącym na ogrody, gdzie nagie gałęzie drzew otula śnieżny puch. Ciepły blask płonącego ognia, pochodzący z niewidocznego kominka, spowija wszystko złotą poświatą. To bardzo ciepły, wzruszający obraz, obraz świąt Bożego Narodzenia, których nigdy nie miałam.

Nagle czuję, jak bardzo chciałabym opowiedzieć o moich wahaniach Serenie, która jest przecież najslawniejszym w Ameryce doradcą małżeńskim, a także osobą najbardziej odpowiadającą mojemu ideałowi matki. Ale oczywiście to niemożliwe, regulamin widowiska tego nie przewiduje...

– *Dziewczęta, w ten poniedziałkowy poranek wylosowany został Mozart!* – ogłasza. – *Myślę, że wszystkie dobrze wiemy, kogo zaprosi do Kuli.*

KANAŁ GENESIS

Poniedziałek 27 listopada, godz. 11.05

Po lewej stronie ekranu pojawia się Léonor, olśniewająca w swojej muślinowej sukience, której długi materiał, uwolniony od wszelkiego ciężenia, faluje zmysłowo wokół nóg. Jedyne makijaż stanowi pomadka na ustach w identycznym kolorze z sukienką i błyszczącymi lokami dziewczyny. Widoczny za jej plecami Mars nie jest już tylko jednym z wielu ciał niebieskich – teraz jest to największy obiekt widoczny w przestrzeni kosmicznej, wielkości piłki tenisowej, tak samo czerwony jak muślin, włosy i szminka Léonor.

Na jej płomiennych ustach maluje się uśmiech, urocze połączenie prowokacji i nieśmiałości.

Léonor: Dzień dobry, Mozarcie. Jestem gotowa na dzisiejszą lekcję samby.

Stojący naprzeciwko Brazylijczyk nie uśmiecha się do niej.

Wcale.

Mozart: Nie będzie dziś lekcji samby. Ani jutro. Ani nigdy.

Głos chłopaka jest lodowaty. Ochrypli z emocji. Ze ściągniętymi rysami twarzy, podkrążonymi oczami zdaje się w tak złym stanie jak po tamtym spotkaniu z Kelly pięć miesięcy temu.

Zbliżenie na twarz Léonor, z której także znika uśmiech. Spogląda nerwowo w dół na swoje ciało, po czym natychmiast podnosi wzrok.

Léonor: To przez tę sukienkę? Nie podoba ci się? Czy ty... zmieniłeś zdanie? Już mnie nie chcesz?

Mozart (jego usta wykrzywają się w gorzkim grymasie): Ja już ciebie nie chcę? Skończ z tą grą na dwie sekundy. To nie jest zabawne. To po prostu podłe. A ta sukienka, że święty by nie wytrzymał... Jeszcze mnie pytasz, czy mi się nie podoba? Pytasz mnie, czy już cię nie chcę, choć jesteś piękniejsza niż wszystkie królowe karnawału w Rio? Jesteś okrutna, Léo. Bardziej niż mogłem sobie wyobrazić.

Léonor (rzuca się na pancerną szybę, pociągając za sobą mgławicę muślinu): Nic nie rozumiem. Mozart, co się stało?

Mozart (pozostaje nieporuszony, zaciska tylko pięści): A ty dalej swoje? Jeszcze ci mało? Czego chcesz? Żeby zaczął szlochać? Chcesz zrobić zdjęcie, żeby je pokazać Marcusowi i powiedzieć mu: „Popatrz, też jestem magikiem. Potrafię zaczarować każdego faceta i sprawić, że jego serce pęknie, gdy tylko pstryknę palcami, o tak: abrakadabra!”.

Léonor: Marcusowi? Dlaczego mówisz o Marcusie? Zasada jest jasna. Podróż jeszcze się nie skończyła. Spotykam się z tobą co drugą randkę, aż do końca...

Mozart (jego głos zaczyna drżeć): Daj spokój z tą cholerną zasadą, której sama nie przestrzegasz! To działało, dopóki grałaś w tę grę... jeśli rzeczywiście w nią grałaś, choćby przez jeden dzień. Ale począwszy od chwili, kiedy już wybrałaś... spotkanie się ze mną, czarowanie mnie, rozpalanie to prawdziwa tortura! To jest kłamstwo! To jest... obrzydliwe! Jestem naprawdę strasznie głupi. Dziewczyna taka jak ty nie jest dla takiego gościa jak ja, brudnego dealera, szumowiny z faweli. W głębi duszy jesteś jak Fobos. Czy wiesz, dlaczego uznano jego orbitę za idealną? Ponieważ jest na tyle blisko Marsa, że można z niej dokładnie zobaczyć powierzchnię planety przed lądowaniem, a jednocześnie wystarczająco daleko, by marsjańska grawitacja nie przeszkodziła Cupido odlecieć po tym, jak odrzuci kapsuły. Zupełnie jak ty: wystarczająco bliska, bym stracił głowę, i zbyt daleka, bym mógł cię zatrzymać. Powinienem mieć się na baczności. Dobrze mi tak!

Mały zegar w dole ekranu odliczył dopiero połowę spotkania, ale Mozart już się odwraca w stronę wjazdu prowadzącego do przedziału chłopców.

Léonor (opiera się o pancerną szybę): Poczekaj! (krzyczy) Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy

ani co powiedział ci Marcus, ale to nieprawda: jeszcze nie wybrałam!

Mozart (odwraca się przy wlocie włazu, jego czarne kosmyki wiją się na skroniach, a policzki znaczą dwa mokre, lśniące ślady): Daj spokój, Léonor (mówi zduszonym głosem) Mam dowody. A ty masz moje przekłete łyzy. Wygrałaś. Żegnaj.

PLAN

Start + 147 dni, 21 godz., 41 min
(Dwudziesty drugi tydzień)

– I co, Léo? Pewnie oszalał, widząc cię w tej czerwonej sukience!

Wszystkie dziewczyny czekają na mnie w salonie. Po ponad dwudziestu tygodniach podróży są równie podekscytowane randkami, jak pierwszego dnia.

Ale ja staram się tylko stawiać jedną stopę za drugą i nie poślizgnąć się na drabince, która parzy mnie w ręce.

Oszalał.

Właściwe słowo.

Doprowadziłam go do szaleństwa, ale nie wiem dlaczego.

(Ależ dobrze wiesz dlaczego – szepcze Salamandra. – Mozart ci to powiedział. To dlatego, że bawiłaś się w uwodzicielkę...)

Ta zniewaga jest jak policzek – bardziej zaskakuje, niż boli.

Uwodzicielka? Dziewczyna, która jeszcze kilka miesięcy temu nie miała pojęcia, jak używać zwykłej szminki do ust? Nie, to nie ja. Ja chciałam tylko dać Mozartowi i Marcusowi równe szanse. Podobają mi się, i jeden, i drugi. Naprawdę bardzo. Wbrew temu, co insynuuje Mozart, zawsze szczerze mówiłam o swoich uczuciach. Chociaż wiem, że będę musiała wybrać jednego z nich już za tydzień, nie chcę, żeby stało się to w ten sposób, nie w wyniku jakiegoś okropnego nieporozumienia!

(To dlatego, że rozpalalaś uczucia...)

– Trochę kiepsko się czuję... – mamroczę.

Kris natychmiast przybiega mi z pomocą.

– Co ci jest, Léo? Czy to z powodu nieważkości w Kuli Spotkań? Zwykle dobrze ją znosiłaś... To ty się tu znasz na medycynie. Powiedz nam, co mamy robić.

– Nic, nie przejmuj się. Po prostu położę się na chwilę sama w ciszy i mi przejdzie.

Schodzę po drabince do sypialni, unikając spojrzeń pozostałych dziewczyn.

(Tak to jest, kiedy się igra z ogniem...)

(Kiedys już się poparzyłaś, zapomniałaś?!)

Chciałabym się zapaść głęboko pod ziemię.

Jednak w kosmosie nie ma ziemi, pod którą mogłabym się zapaść. Mogę się schować tylko pod kaszmirową kołdrą. Rzucam się na łóżko i przykrywam, tak by kamery mnie nie widziały. Gryzę prześcieradło, żeby nie krzyknąć, i wsuwam ręce pod materac, żeby paznokcie nie zaczęły rozszarpać pleców, aż zedrą z nich Salamandrę.

Nagle moje palce natrafiają na coś dziwnego.

Coś, co ukryłam tu pięć miesięcy temu.

Coś, o czym zupełnie zapomniałam.

Telefon komórkowy Zęba Rekina.

Mój gniew natychmiast opada, kiedy wyciągam aparat spod materaca. W półmroku mojej kryjówki jest akurat tyle światła, bym mogła rozpoznać markę Karmafone i ochronne etui z motywem z filmu *Szcęki*.

Czuję się jak archeolog, który odkopał pozostałości z innej epoki, innego życia: mojego życia przed grą w szybkie randki, kiedy wszystko było jeszcze możliwe, kiedy nie znałam Mozarta ani Marcusa, kiedy wyobrażałam sobie historie o sobie i przypadkowo spotkanym facecie.

– Na czym to Léo Ognistowłosa i Ząb Rekina skończyli ostatnio?

Moje palce muskają klawiaturę, instynktownie wystukując hasło, które odkryłam dwadzieścia jeden tygodni temu: MILCZENIE.

Na ekranie wyświetla się ostatnio oglądane zdjęcie, to samo, które tak mnie przygnębiło, przedstawiające Zęba Rekina w towarzystwie ładnej blondynki z małym dzieckiem na rękach. Jednak teraz, pod koniec podróży, ta fotografia wywołuje zupełnie inne uczucia. Ta kobieta to nie żadna wymaginowana rywalka – wydaje mi się, jakbym patrzyła na samą siebie. I na własne dziecko, które wkrótce urodzę. Jediną niewiadomą jest tożsamość ojca. Czy na miejscu Zęba Rekina znajdzie się Marcus, czy Mozart?

Który?

Gwałtownie przesuвам palcem po ekranie, aby przejść do następnego zdjęcia, jakby telefon nieznajomego mógł udzielić odpowiedzi na moje pytania.

Kolejne zdjęcie nie pokazuje ani cudownej plaży, ani zachodu słońca, ani romantycznej kolacji, ani szczęśliwej rodziny. To *selfie*, na którym widać Zęba Rekina klęczącego w pomieszczeniu wypełnionym klatkami ze szczurami, jaszczurkami i tym podobnymi sympatycznymi stworzeniami. Ubrany w nową hawajską koszulę, ze swym zębem talizmanem wiszącym na szyi, uśmiecha się od ucha do ucha. Jego umięśnione ramiona czule obejmują szyję psa jakiejś mieszanej rasy, który wywiesił język, jakby chciał polizać wyciągnięty w dłoni mężczyzny telefon. Wszędzie bym rozpoznała te klapnięte uszy, tę kręconą sierść, te białe pompony i te czarne życzliwe oczy – to może być tylko Louve, nasz pies pokładowy.

Nic z tego nie rozumiem.

Facet, któremu zabrałam ten telefon, miał być przecież dziennikarzem chcącym wyciągnąć ode mnie sensacyjne zwierzenia tuż przed startem, prawda? A więc skąd to *selfie* z Louve?

Mój umysł zaczyna gorączkowo tworzyć przeróżne scenariusze przesuujące się jak kwadraty w kostce Rubika, które trzeba koniecznie ułożyć kolorami, żeby nie zwariować.

Dziennikarz piszący o zwierzętach.

Tak, to na pewno to – Ząb Rekina jest dziennikarzem, który pisze o zwierzętach!

Przechodzę do następnego zdjęcia, które potwierdza moją hipotezę, ponieważ przedstawia Latynosa z Louve i Wardenem. Pewnie pracuje w jakimś magazynie typu „Cztery Łapy” albo w „National Geographic”. Albo dla Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami – opisuje najślynniejszych pupilów na Ziemi, by wspomóc kampanię adopcji czworonogów porzuconych w schroniskach. Co też zaczęłam sobie wyobrażać?!

Następne zdjęcie: kolejne *selfie*, tym razem bez hawajskiej koszuli i bez zwierząt. Ząb Rekina zrobił sobie zdjęcie z ręki, takie, jakie robimy, kiedy nie mamy lustra, a chcemy sprawdzić, czy jesteśmy dobrze ubrani. Tyle że przybrał bardzo ponury wyraz twarzy i nie nosi normalnych ciuchów. Ma na sobie szarą marynarkę programu Genesis z dobrze widocznym logo na kieszonce.

Natychmiast uruchamia się moja fotograficzna pamięć. Po raz kolejny odtwarzam w umyśle scenę tuż przed startem. Znowu słyszę zachrypnięty głos Zęba Rekina wrzeszczącego mi do ucha: „Zaczekaj!”.

Nie, zaraz. On powiedział coś jeszcze, teraz mi się to przypomina: „Nie możesz...”. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, odwróciłam się na pięcie i odeszłam, nie oglądając się za siebie. Wydawało mi się, że wiem, jak kończy się to zdanie – coś w stylu: „Zaczekaj! Nie możesz odlecieć, nie zdradziwszy nam najważniejszego: wolisz blondynów czy brunetów?” lub coś równie idiotycznego. A jeśli on chciał powiedzieć coś innego?

Im więcej o tym myślę, tym wyraźniej widzę potargane włosy Zęba Rekina, jego kilkuniedniowy zarost, podkrążone oczy – prawdziwy obraz nędzy i rozpacz, ledwie cień beztróskiego faceta, którym był jeszcze niedawno, jak wynika z galerii zdjęć. A jeśli próbował mnie zatrzymać z innego powodu i wcale nie chciał mi zadać żadnego głupiego pytania? A jeśli chciał mi przekazać jakąś wiadomość? A jeśli wcale nie był dziennikarzem? „Nie możesz...” Czego dokładnie nie mogę?

Na tę myśl zaczyna mi się kręcić w głowie, serce mi wali.

Bzzz! Telefon zaczyna wibrować.

Ekran rozjaśnia się na czerwono, oświetlając ściany mojej jaskini szkarłatnym blaskiem, jakby całe morze paliwa raketowego potrzebnego do startu nagle zaczęło płonąć.

Na ekranie pojawia się wiadomość drukowanymi literami: „SŁABA BATERIA! PODŁĄCZ TELEFON DO ŁADOWARKI!”.

Powiększam zdjęcie jak szalona w miejscu, gdzie pod logo Genesis jest przypięty identyfikator. Pojawia się nazwisko: „Ruben Rodriguez”.

Prawdziwe nazwisko Zęba Rekina.

Dlaczego nie ma tam też informacji, kim jest i czym się zajmuje? Oraz zakończenia tego zdania, które próbował do mnie wykrzyknąć na platformie startowej?...

Bzzz!

Zestresowana świadomością, że telefon zaraz padnie, przewijam kolejne zdjęcia z zawrotną prędkością. Znowu psy, szczury, zwierzęta pokryte sierścią albo łuskami na przemian z portretami Rubena Rodrigueza, który marnieje w oczach, coraz bardziej osowiały i zmęczony, jakby chciał udokumentować historię swojego upadku.

Bzzz!

Trzeci sygnał działa na mnie jak elektrowstrząs. Uprzytomniam sobie, że bateria zaraz padnie. Nie mogę pozwolić, by telefon się wyłączył, nie teraz! Ukrywam go trzęsącymi się dłońmi w staniku i podnoszę kołdrę.

Kiedy wychodzę ze swojej wełnianej jaskini, oslepia mnie światło. Mam dziwne wrażenie, że widzę statek po raz pierwszy. Piętrowe łóżka, na które pada światło lamp, wyłożone drewnem ściany, nowy dywan na podłodze – to wszystko przypomina teatralne dekoracje.

I ta cisza...

Bzzz!

Biegnę do drabinki i wspinam się, pokonując po cztery szczeble naraz. Popycham klapę i wpadam do salonu.

Jest tam pięć dziewczyn.

Wpatruje się we mnie pięć par oczu.

– Czujesz się już lepiej, Léo? – pyta miło Kris.

Otwieram buzię, by odpowiedzieć, że muszę naładować telefon, i to szybko. Ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Bzzz!

Uświadamiam sobie, że nie mogę nic powiedzieć. Nie tutaj, przed kamerami, które pracują bezustannie, na oczach widzów z całego świata. Jak dotąd, udawało mi się zachować w tajemnicy to, że na pokładzie statku znajduje się telefon, bo nie chciałam uchodzić za złodziejkę. Intuicja podpowiada mi, że nadal powinnam trzymać to w sekrecie.

– No co? – pyta Kelly, potrząsając pozłaczanymi kolczykami. – Długo zamierzasz tam stać i pozować na drabinie w swojej seksownej kreacji? Szykowałyśmy się do obiadu. Kris znów zdziałała cuda, udało jej się zmienić te wysuszone kostki tofu w soczystą wołowinę po burgundzku. Szczerze mówiąc, największym farciarzem jest tu Aleksiej!

Schodzę z ostatnich stopni drabiny, próbując ukryć zniecierpliwienie.

Bzzz!

– Czy ktoś ma może baterię? – pytam obojętnym głosem.

– Bateria? – powtarza Kelly, wymawiając dokładnie wszystkie głoski, jakby źle zrozumiała.

– Tak, uniwersalną baterię. Właśnie czytałam sobie w pokoju thriller, kiedy padł mi czytnik. D e a d.

Dziewczyny wymieniają zaskoczone spojrzenia. Liz uśmiecha się do mnie z pobłażaniem. Zawsze troszczy się o innych i próbuje wszystkim pomagać.

- Nawet jeśli ta powieść jest tak pasjonująca, to możesz dokończyć ją później, Léonor.
- Zostawcie mi jedzenie, ufam wam. Teraz muszę koniecznie dokończyć rozdział!

Bzzz!

– Nie rozumiem, Léonor – zaczyna Fangfang tonem nieznośnej nauczycielki. – Wystarczy, że położysz swój czytnik na stoliku do ładowania, jak każdy. – Wskazuje brodą czarny stolik pod zegarem, na którym leżą przeróżne gadżety dziewczyn i sześć tabletek z materiałami do nauki, tuż pod okiem kamery. Nie ma mowy, bym położyła tam komórkę.

– Nie miałabym cierpliwości, żeby stać i czekać, aż się naładuje. Muszę włączyć czytnik natychmiast! Ta książka tak trzyma w napięciu!

– Ale to jest superszybka ładowarka. Wystarczy kilka minut i gotowe – nalega Fangfang.

– Mówię ci, że zżera mnie ciekawość. Muszę się dowiedzieć, co będzie dalej, i to natychmiast!

– Przypominam ci, że powinniśmy wykazywać się opanowaniem i zimną krwią aż do końca. To, że wkrótce osiągniemy cel podróży, wcale nie oznacza, że możemy sobie pozwalać na kaprysy. Nie rozumiem, jak zwykła książka może cię doprowadzać do takiego stanu, że...

– Masz tę baterię czy nie, do cholery?

No pięknie, znowu nie utrzymałam języka za zębami.

A wszystko z powodu głupiej obsesji na punkcie starej komórki. Główną rolę w filmie *Jak stracić przyjaciółki na pokładzie i zrazić do siebie dwa miliardy widzów* dostaje Léo!

W tej samej chwili czuję na piersi trzy następujące po sobie wibracje jak trzy szydercze chichoty – *bzzz! bzzz! bzzz!* – po czym zapada cisza.

Nie muszę wyjmować telefonu, by wiedzieć, że się wyłączył.

AKT V

PLAN

Start + 148 dni, 20 godz., 30 min
(Dwudziesty drugi tydzień)

– Safia, czy możemy przez chwilkę porozmawiać?

Hinduska podnosi swe wielkie sarnie oczy znad tabletu. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzy, wnioskuję, że widok nie jest zbyt przyjemny... Tak, świetnie zdaję sobie z tego sprawę – przeglądałam się dziś rano w lustrze, z ciemnymi worami pod oczami, po nieprzespanej nocy, którą spędziłam, zastanawiając się, co Ruben Rodriguez *alias* Ząb Rekina pragnął mi powiedzieć. Nie chciało mi się nawet przygotowywać do ewentualnej randki. Poszłam po linii najmniejszego oporu: wciągnęłam stare dżinsy i T-shirt.

A teraz myślę tylko o jednym: porozmawiać z Safią, naszą specjalistką od komunikacji i łączności.

– Biedna Léo, szczerze mówiąc, wciąż wyglądasz na chorą od tej wczorajszej randki... – Safia się martwi. – Czy to naprawdę nagły atak choroby kosmicznej wywołany stanem nieważkości? Jakoś nie chce mi się wierzyć. Czy to przez Mozarta? Kelly ciągle powtarza, że nie można mu ufać.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z Mozartem... – kłamię

Jasne, że to ma związek z Mozartem, Marcusem, Rubenem i telefonem. To wszystko kotłowało mi się w głowie przez całą noc, aż dostałam od tego koszmarnej migreny.

– To tylko chwilowe załamanie, stres związany z końcem podróży.

– Rozumiem – mówi Safia. – Ja też jestem trochę zdenerwowana. Ostateczne Listy Serca... Małżeństwo... Noc poślubna! To może rozstroić nerwy. Ale jestem pewna, że wszystko skończy się dobrze, a po lądowaniu na Marsie będziemy tak samo blisko jak wcześniej, a nawet bliżej, bo nie będziemy już musiały rywalizować, każda będzie miała swojego męża i dzieci! – Safia uśmiecha się szczerze, jej twarz promienieje. – A więc o czym chciałaś porozmawiać? – pyta.

– Hm... Nie tutaj, dobrze? Pod moją kołdrą, tak jak na początku podróży.

Safia kiwa głową i bez słowa idzie za mną do pokoju. Tym razem nie martwi się, co pomyślą oglądający o tym, że się ukrywamy – gra jest już prawie skończona, pieniądze w Posagach zebrane, za kilka dni będziemy mężatkami.

Kiedy zakrywa nas cienka kaszmirowa kołdra jak pięć miesięcy temu, Safia szepcze:

– Chodzi o twoje małe, nic nieznaczące znamię, tak? To z tego powodu się niepokoisz? Bo zbliża się chwila, kiedy będziesz musiała pokazać się nago? Naprawdę nie trzeba się martwić!

Zmuszam się do uśmiechu i kolejny raz do kłamstwa, choć serce mi przy tym pęka. Jasne, że to tak zwane małe, nic nieznaczące znamię zatruwa moje myśli. Ale nie o to chodzi.

– Safia, prawdziwy powód, dla którego chcę z tobą porozmawiać na osobności, wyda ci się głupi. Oto on! – Wyjmuję z kieszeni dżinsów komórkę i kładę ją w promieniu światła, które wpada przez szparę między łóżkiem a kołdrą.

– *Szczęki?* – szepcze Safia niepewnie, przyglądając się etui z motywem z filmowego plakatu.

– Przede wszystkim komórka. A mówiąc dokładniej, rozładowana komórka.

– Jak twój czytnik?

– Nie mam czytnika. Ale wczoraj nie chciałam mówić przy wszystkich i przed kamerami, że szukam baterii do telefonu komórkowego, bo nie wolno nam ich mieć. A zwłaszcza dlatego, że go ukradłam.

Oczy Safii robią się wielkie i okrągłe. Mleczne białka kontrastują z czernią kajułu, nadając spojrzeniu niepokojący wyraz.

– Ukradłaś ten telefon? – pyta. – Ale komu?... I dlaczego?...

– Tak, choć nie zrobiłam tego specjalnie. Powiedzmy, że pożyczyłam go przypadkowo od faceta,

który przyczepił się do mnie na platformie startowej. Tego, który był inspiracją dla kapitana Zęba Rekina. Pamiętasz te moje rysunki? Wtedy myślałam, że to dziennikarz, ale teraz jestem już pewna, że to pracownik programu Genesis. Ze zdjęć w telefonie wynika, że zajmował się przygotowaniem Louve i Wardena do podróży. Na jednej fotografii ma na sobie oficjalny uniform programu! A na identyfikatorze widnieje jego prawdziwe nazwisko: Ruben Rodriguez!

– Ruben Rodriguez? Nigdy o nim nie słyszałam. A nawet jeśli należy do personelu, to nie rozumiem, na czym polega problem.

– Problem polega na tym, że próbował porozmawiać ze mną tuż przed startem, ale mu się nie udało. Całą noc o tym myślałam. Trudno mi było w to wierzyć, ale posłuchaj: on próbował mnie powstrzymać, jakby nie chciał, żebym poleciała... żebyśmy wszystkie poleciały. Safia, wiem, że mam bujną wyobraźnię, ale naprawdę odnoszę wrażenie, że coś tu nie gra.

Hinduska patrzy na mnie w milczeniu. W półmroku naszej kryjówki zdaje mi się, że widzę myśli przebiegające w jej głowie, jak lustrzane odbicie moich własnych myśli, które pojawiają się, odkąd wyruszyliśmy. Wahanie, strach i zdrowy rozsądek podpowiadający, że te wszystkie niejasne obawy są zupełnie bezpodstawne.

– Chyba najlepiej będzie powiedzieć o wszystkim Serenie – sugeruje w końcu Safia. – Myślę, że to musi mieć jakieś logiczne wytłumaczenie, i pewnie będziemy się śmiały, gdy je poznamy. Nawet jeśli w którymś momencie pojawił się jakiś problem z naszą misją, Serena z pewnością go rozwiązała. Nie powiedziała nam o tym, by nas niepotrzebnie nie martwić. Jestem pewna, że cię uspokoi. I wybaczy ci tę pożyczoną komórkę.

Biorę głęboki oddech. Powietrze z trudem przenika do moich płuc, jakbyśmy naprawdę siedziały w morskiej grocie, w której kończy się tlen. Czas wynurzyć się na powierzchnię, inaczej widzowie zaczną się niepokoić.

– Masz rację – mówię, wydychając powietrze. – Jeśli komuś mogę zaufać, to właśnie Serenie. Gdyby nie ona, mieszałabym w tej chwili psią karmę w fabryce. Ale jesteś ekspertem w tej dziedzinie. Myślisz, że istnieje jakiś sposób, by ją naładować, nie wystawiając jej na widok publiczny?

Safia bierze telefon do ręki, by przyjrzeć mu się z bliska.

– Model Solaris... – szepcze tonem znawcy. W końcu Karmafone to jej sponsor *platinum*. – Masz szczęście, ten typ ma ekran wyposażony w ogniwa fotowoltaiczne: może wykorzystywać światło jako źródło energii. Mała lampka, której używasz, kiedy raz w tygodniu badasz nam gardła, powinna wystarczyć. Tylko że zajmie to trochę czasu.

– Safia, jesteś genialna!

Jestem tak podekscytowana, że mam ochotę krzyczeć, ale oczywiście się powstrzymuję. Nic dziwnego, że nie zauważyłam panelu słonecznego wbudowanego w ekran telefonu, skoro cały czas trzymam go w ukryciu, w kieszeni albo pod materacem.

– Cieszę się, że znów się uśmiechasz – mówi Safia. – Jeśli zechcesz porozmawiać o czymś naprawdę ważnym, na przykład o chłopcach, to zawsze możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję. Na razie, proszę cię, nie mów nic pozostałym dziewczynom. Nie ma sensu niepokoić ich bez potrzeby.

Gdy tylko Safia wychodzi z pokoju, otwieram szeroko drzwi szafy z ubraniami i zanurzam się w niej. W głębi znajduję apteczkę. Wyjmuję z niej lampkę, którą zapalam i chowam pod stertą starych T-shirtów. Następnie wychodzę z szafy z czerwoną muslinową sukienką w ręce. Rzucam ją na łóżko i wyskakuję z dzinsów, zostając w koszulce i samych majtkach. Wiedzowie pewnie uważają mnie za dziwaczkę, która czeka do ostatniej chwili przed randką, by zmienić się w *femme fatale*, ale nic mnie to nie obchodzi. Zależy mi tylko na tym, by telefon znalazł się w szafie tak dyskretnie jak to tylko możliwe.

Składam dzinsy, starając się zamaskować wybrzuszenie kieszeni, po czym znów nurkuję w szafie, by ułożyć ten cenny pakunek na półce. Dopiero tam, w półmroku, wyjmuję telefon z kieszeni i układam

obok lampki pod stertą T-shirtów, tak by wiązka światła padała prosto na ekran.

– No, dalej... – szepczę.

Po kilku chwilach u góry czarnego ekranu pojawia się komunikat: „WYKRYTO ŹRÓDŁO ŚWIATŁA: 200 LUMENÓW. CZAS POTRZEBNY DO PEŁNEGO NAŁADOWANIA BATERII: 110 GODZIN. TELEFON WŁĄCZY SIĘ ZA: 30 MINUT”.

Zadowolona z efektów, przesłaniam jeszcze wszystko długimi połami wietnamskiej tuniki z białego jedwabiu wiszącej na wieszaku. W końcu wychodzę z szafy i dokładnie zamykam drzwi. Zamierzam pójść do łazienki, by przebrać się z dala od ciekawskich spojrzeń.

Jednak w tej samej chwili na ekranie wiszącym nad łóżkiem pojawia się twarz Sereny.

– Léonor? Co ty tu jeszcze robisz, półnaga, za dziesięć jedenasta? Marcus został właśnie wylosowany, a wszyscy doskonale wiemy, kogo zaprosi!

KANAŁ GENESIS

Wtorek 28 listopada, godz. 11.05

Tak samo jak wczoraj Léonor przychodzi do Kuli Spotkań w czerwonej muślinowej sukience. Jednak na tym podobieństwa się kończą. Nie ma na twarzy ani śladu makijażu, nie zdążyła włożyć lakierków, a rozpuszczone włosy są nieuczesane. Nawet tkanina sukienki zdaje się jakaś inna, jakby odzwierciedlała nastrój właścicielki – zamiast wolno falować, wzbiera niczym morskie fale zabarwione czerwienią zachodzącego słońca.

Marcus włożył swoje czarne spodnie i czarną koszulę.

Marcus: Witaj, Léonor. Jak się masz?

Léonor (bezradnym gestem wskazuje na swoją twarz): Przepraszam... Nie zdążyłam...

Marcus: Jesteś przepiękna, mój czerwony olbrzymie.

Obydwoje milczą przez chwilę, pożerając się wzrokiem.

Léonor (pierwsza przerywa ciszę): Jest coś, co mnie dręczy, Marcus...

Nagle ucina, wpatrując się w ściany szklanej kuli dookoła. Może w poszukiwaniu gwiazd? Nie, jej pełne nieufności spojrzenie pada prosto na kamerę.

Dziewczyna znów milknie.

Marcus (postanawia skończyć zdanie za nią): Chcesz porozmawiać o Mozarcie, prawda? To cię dręczy? Powiedziałaś mu, że wybrałaś mnie, i źle na to zareagował...

Léonor (przez jej złote oczy przelatuje błyskawica): Nie! Nic mu nie powiedziałam. Jeszcze nie dokonałam wyboru. Wy zresztą też nie. Możecie przyjmować zaproszenia innych dziewcząt. Na sporządzenie ostatecznych List Serca macie czas do ostatniej chwili. Taką przyjęliśmy zasadę. Zdecydowaliśmy o niej wszyscy troje.

Marcus (powoli zbliża się do szklanej ściany, wpatrując się w Léonor swoimi szarymi oczami): Ostatnia chwila jest już blisko, Léonor. Wkrótce wejdziemy na orbitę Fobosa. Dzisiaj miałem ostatnią szansę, by cię zaprosić. A w przyszłym tygodniu, kiedy przyjdzie twoja kolej, będziesz mogła zobaczyć tylko jednego z nas. Nadszedł czas, aby wybrać, i tylko ty możesz to zrobić. Ja mogę ci jedynie pomóc. Powiedz mi, co cię dręczy.

Zbliżenie na Léonor.

Dziewczyna przygryza wargę. Na jej usianej piegami twarzy szaleje burza emocji.

Léonor: Są dwie sprawy... (znów milknie, waha się, po czym ciągnie) dwie sprawy, o których tak naprawdę nie mogę ci tu powiedzieć. (Jej ciało także dryfuje ku szklanej szybie, jakby jakaś niewidzialna magnetyczna siła ciągnęła ją w stronę Marcusa). Co do tej pierwszej, sama jej jeszcze do końca nie rozumiem i nawet nie jestem pewna, czy to rzeczywiście problem. Jeszcze to sprawdzam, wkrótce będę wiedzieć. Potrzebuję trochę więcej czasu.

Twarz Marcusa jest tylko kilka centymetrów od szyby. Gdyby nie szkło, czułby oddech Léonor. Jego czarna koszula pochłania i rozprasza zbyt ostre światło halogenowych lamp, tworząc wokół aurę bliską intymności.

Marcus (półgłosem): A druga?

Léonor (jej powieki mrugają, ale nie ucieka wzrokiem): Tej drugiej sprawy jestem pewna i doskonale wiem, że to problem. Ogromny problem, który mam od zawsze, a który skrywam przed tobą od początku podróży. To może wszystko między nami zmienić.

Marcus (opiera dłonie o szybę dokładnie tam, gdzie Léonor położyła swoje): Jedyne, co się między nami zmieni, to ta przeklęta szyba, która wkrótce zniknie.

Léonor: Nie wiesz, o czym mówię.

Marcus: Ale wiem, o czym ja mówię.

Léonor: Nawet sobie nie wyobrażasz.

Marcus: O tak, właśnie, że sobie wyobrażam, kiedy na ciebie patrzę! Mam tysiące wyobrażeń. Miliony pomysłów! Tyle, ile gwiazd we wszechświecie. Niektóre czyste jak lodowe planety, inne rozpalone jak kule ognia. Jest między nami coś, co nas do siebie przyciąga i jest silniejsze niż ty i ja. Ja to wiem, ty też to wiesz. Poczuliśmy to obydwój od pierwszej chwili.

Dziewczyna zaczyna drżeć. Jest tak blisko Marcusa – tak blisko, by wreszcie wyznać swój sekret!

Léonor: Moja skóra...

Marcus: Marzę, by jej dotknąć, czuję ją przez szkło. Czuję ciepło, które bije z twoich dłoni. Czy ty też czujesz moje ciepło? Zbyt wiele nas od siebie oddziela: ta szyba, ten statek i cały wszechświat. Moje ubrania, moje magiczne sztuczki i niezdarne zaczepki. Nawet twoja piękna sukienka, bo skarb, który skrywa, jest tysiąc razy piękniejszy. Jesteśmy dwiema małymi iskierkami życia w zimnym bezmiarze kosmosu, w którym w końcu wszystko wygaśnie, gwiazdy i galaktyki. Ale póki co płoniemy, Léonor! Póki co istniejemy! Ta chwila należy tylko do nas, możemy sprawić, by trwała dłużej, tuląc się do siebie. Wystarczy, że powiesz jedno słowo... Jedno imię...

Nim Léonor zdąży cokolwiek odpowiedzieć, w Kuli rozbrzmiewa dzwonek, a komunikacja głosowa między dwiema półkulami zostaje przerwana.

Dwa ciała odrywają się powoli od szyby i oddalają się od siebie.

Serena McBee (głos z offu): *A więc Léonor postanowiła trzymać nas wszystkich w napięciu do ostatniej minuty, skazując na prawdziwe tortury dwóch zakochanych chłopców i setki milionów widzów, którzy czekają na jej decyzję.*

Léonor (odwraca się gwałtownie do kamery): Nie! Nie chcę nikogo torturować! Nigdy nie miałam takiego zamiaru! Chciałam tylko ustalić reguły! Proste zasady...

Jej głos się łamie. Patrzy zagubionym wzrokiem na drugi koniec Kuli. Marcus zdaje się taki malutki, jakby odległy, niknący w mroku kosmosu. Kłania się powoli, po czym znika w wąskim korytarzu.

Léonor (udaje się jej wykrztusić): Sereno... Muszę z tobą porozmawiać. Tylko z tobą, na osobności. To naprawdę bardzo ważne.

Słowa dziewczyny wiszą w przestrzeni w nieznośnie długiej, okropnej ciszy, która trwa teraz aż pięć minut i trzydzieści sekund, nim sygnał laserowy pokona pięćdziesiąt milionów kilometrów dzielących statek od Ziemi i wróci z powrotem.

Serena: *Oczywiście, Léonor. Porozmawiamy za chwilę w siłowni, jak tylko wyjdiesz z Kuli Spotkań.*

Teraz Léonor znika w segmencie łączącym Kulę z przedziałem mieszkalnym dziewcząt.

PLAN

Start + 148 dni, 21 godz., 47 min
(Dwudziesty drugi tydzień)

Cała drżąca schodzę w dół, po szczeblach drabiny. Tak niewiele brakowało, bym powiedziała Marcusowi o istnieniu Salamandry.

Ale tego nie zrobiłam.

Nie dałam rady tego powiedzieć.

Udało mi się jedynie wykrztusić dwa marne słowa: „Moja skóra...”.

Ponieważ w chwili, gdy wypowiadałam te słowa, żołądek ścisnął mi nerwowy skurcz. Ponieważ w chwili, gdy wypowiadałam te cztery sylaby, dopadł mnie strach całego życia spędzonego na ukrywaniu prawdy.

A potem, zanim odzyskałam oddech, zadzwonił dzwonek.

– *Cóż, Léonor. Co takiego chcesz mi powiedzieć?* – Zaskakuje mnie nagle głos Sereny.

Dobiega z ust wyświetlonych dwanaście razy na dwunastu ekranach wiszących nad każdym rowerem, każdą bieżnią i każdym przyrządem znajdującym się w siłowni. Po tym, jak wygląda producentka wykonawcza programu Genesis, widać, że zaczęła przygotowania do objęcia nowej funkcji wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ma dziś na sobie kostium w kolorze zielonym, czyli w barwach Partii Ultraliberalnej.

Staram się zignorować swój ból i skupiam się na przyczynie naszej poufnej rozmowy, czyli telefonie Rubena Rodrigueza.

– Dziękuję, Sereno – mówię, żeby jakoś zacząć. – Dziękuję, że się zgodziłaś. Ta rozmowa nie jest transmitowana na kanale Genesis, prawda?

Upływa pięć minut i trzydzieści sekund. Czuję, że moje włosy unoszą się przy każdym oddechu – tu, w siłowni, przy grawitacji wynoszącej zaledwie dziesięć procent przyciągania ziemskiego, nie ważą prawie nic.

– *Nie martw się* – odpowiada wreszcie Serena. – *W tej chwili widzowie oglądają transmisję z salonu, gdzie reszta dziewcząt z niecierpliwością czeka na twój powrót z Kuli Spotkań. Możesz mówić bez obaw. Po to tu jestem. Aby was słuchać. Aby was chronić. Możesz powiedzieć mi wszystko, wiesz o tym. Musimy tylko uważać, by nie wchodzić sobie w słowo, by uporać się z opóźnieniem w łączności. A więc dlaczego poprosiłaś o tę rozmowę?*

Zamierzam zacząć opowiadać o telefonie, który czeka na mnie na najniższym piętrze przedziału mieszkalnego, schowany na dnie szafy, gdzie się ładuje.

– *Chodzi o twoją bliznę, prawda? To przez nią spanikowałaś, stojąc twarzą twarz z Marcusem? Boisz się chwili, gdy dowiedzą się o niej widzowie i chłopcy, zwłaszcza po kłótni z Kirsten na początku podróży?*

Słowa grzęzną mi w gardle.

Serena mnie zaskoczyła. Próbowwała wyprzedzić moje pytanie, aby usprawnić naszą rozmowę, ale zupełnie się pomyliła – to nie o Salamandrę chciałam rozmawiać.

– *Nie musisz się tym zamartwiać* – dodaje. – *Tak jak ci tłumaczyłam w czasie rozmowy kwalifikacyjnej: publiczność nigdy nie zobaczy blizny, jeśli nie zechcesz jej pokazać. Uczestnicy zresztą też nie. To będzie nasz sekret, twój, mój... i chłopaka, który zostanie twoim mężem.*

– To miłe, Sereno. Ale skąd wiesz, że to przez bliznę pokłóciłam się z Kirsten pięć miesięcy temu? O ile mi wiadomo, w łazience nie ma kamer, a Kris przysięgała, że nie powiedziała o tym nikomu.

I znów cisza.

Zimna, niekończąca się i nieprzenikniona niczym kosmiczna próżnia.

Wreszcie przerywa ją kryształowy, dźwięczny śmiech Sereny. Jej pomnożony dwanaście razy uśmiech rozszerza się niepostrzeżenie.

– *Ach, Léonor! Nic ci nie umknie! Twój zmysł obserwacji jest już legendarny! Domyśliłam się, że chodziło o bliźnię, po reakcji Kirsten, po tym, jak chowałaś się pod kołdrą. Nie zapominaj, że jestem doskonałym psychologiem i że znam was wszystkie, jakbym sama was stworzyła! Ona była przestraszona, ty się wstydzilaś, ale w końcu się pogodziłyście. Jestem pewna, że z wybrankiem twego serca też wszystko się dobrze ułoży. Powtórzę ci jeszcze raz: nie masz obowiązku ujawniać swojego małego znamienia przed nocą poślubną. Tak czy inaczej, kiedy już zostanieie małżeństwem, twój męczyzna nie będzie mógł się wycofać, będzie już za późno, by żałować.*

Słowa Sereny mrozą mi krew w żyłach.

Zbyt późno, by żałować.

– *Krótko mówiąc, niczego nie zdradzaj i wybierz między Mozartem a Marcusem* – sugeruje zielona Hydra o dwunastu głowach, którą mam naprzeciw. – *A teraz biegnij do pozostałych. Chyba że jest jeszcze coś, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać.*

Okłamywać Mozarta i Marcusa, którzy powiedzieli mi o sobie wszystko? Nie spodziewałam się, że Serena jest taką manipulatką. I nigdy nie zakładałam, że mogłabym się zachować w taki sposób.

Moje zasady zawsze przewidywały, że w ostatniej chwili pokażę Salamandrę uczestnikowi, którego wybiorę, aby on mógł wybrać mnie świadomie – gdyby spotkanie trwało kilka sekund dłużej, pewnie w końcu znalazłabym siłę, by wyjawić wszystko Marcusowi.

– Nie, nie mam już nic więcej do powiedzenia... – zaczynam szeptem, ale natychmiast zmieniam zdanie. – W sumie mam. Bardzo martwię się o Louve.

Instykt podpowiada mi, że powinnam improwizować. I spróbować dowiedzieć się czegoś więcej.

– Dostyc dobrze znam się na psach – mówię – po tylu latach spędzonych w fabryce Eden Food France. Nasze receptury są testowane i zatwierdzane przez najwybredniejsze psy, wiedziałaś? A Louve od kilku dni nie chce niczego tknąć. Nawet „potrawki cielej babuni”, flagowego produktu firmy, którą tak lubiła na początku podróży. Jako specjalistka od medycyny jestem bardzo zaniepokojona. Sereno, mam wrażenie, że Louve jest chora. Że ma jakąś ukrytą wadę, trochę tak jak ja... ale może jeszcze poważniejszą. Jak to sprawdzić? Mówię o tym, że nawet nie wiemy, skąd pochodzi ten pies!

Po pięciu minutach i trzydziestu sekundach na dwunastu ekranach Serena marszczy swoje brwi, idealnie wydepilowane pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tak samo kształtne i regularne jak jej srebrna fryzura.

– *Jestem pewna, że nie ma powodu do zmartwień – oznajmia. – Że to jakiś niewielki przejściowy problem. Według dokumentacji z laboratorium NASA, gdzie była szkolona po tym, jak została wybrana do misji w jednym ze schronisk, Louve jest w doskonałej kondycji.*

– Chcesz powiedzieć, że przeszła selekcję do programu tak samo jak ja, jak my wszyscy? I jest przeszkolona do udziału w misji? A kto był jej instruktorem?

Znów upływają długie minuty.

Staram się wyczytać myśli Sereny z jej jasnozielonych oczu, pomnożonych dwunastokrotnie. Ale nie mogę.

– *Wiele osób zajmowało się Louve i Wardenem* – odpowiada w końcu Serena. – *Ponieważ w laboratorium pracuje kilka zespołów. W każdym razie sprawdzę medyczną historię Louve u Archibalda Dragovica, naszego biologa, który nadzorował selekcję psów do programu. Jeszcze raz ci powtarzam: jestem pewna, że nie ma z nimi żadnego problemu. Ale dam ci znać, jeśli się okaże, że trzeba podać naszej dzielnej suczce jakieś lekarstwo. Mam nadzieję, że cię uspokoiłam, Léonor.*

Nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

Język mnie pali na wspomnienie Rubena Rodrigueza. Jakaś część mnie chciałaby wygarnąć wszystko

Serenie prosto w twarz, powiedzieć o zdjęciach z Louve i Wardenem, zażądać, by wyjaśniła mi, kim jest ten facet, który najwyraźniej należy do personelu programu Genesis, który ma wygrawerowane na złotej plakietce słowo „MILCZENIE” i próbował mnie powstrzymać przed wejściem do kapsuły. Ponieważ im dużej o tym myślę, tym mocniej jestem przekonana, że chciał mi powiedzieć: „Nie możesz polecieć!”.

Ale inna część mnie zaciska zęby, by zmusić się do milczenia.

Kobieta na ekranie też zdaje się na coś czekać. Jakby się spodziewała, że jeszcze coś powiem, jakby się domyślała, co mam na końcu języka. Ta rozmowa powinna się już zakończyć, tymczasem Serena nie przerywa łączności.

To nie do zniesienia.

– Jeśli jest cokolwiek innego, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać, wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, w każdej chwili, aż do końca podróży, prawda? A teraz pozwolę ci już wrócić do przyjaciółek. Uściskaj ode mnie Louve.

Wszystkie ekrany nareszcie gasną i w siłowni zapada cisza.

Miałam tak wiele pytań, a cisza jest jedyną odpowiedzią, jaką udało mi się uzyskać.

Schodzę na dół przez właz. Włosy stopniowo opadają mi na ramiona, kiedy przemieszczam się do łazienki, gdzie grawitacja wynosi dwadzieścia procent. Moje odbicie w okrągłym lustrze poprawia mi samopoczucie. Jestem pewna, że Serena coś przede mną ukrywa. Powiedziała o mojej bliźnie, nie wahając się ani przez sekundę. Są tylko dwa wytłumaczenia: albo rzeczywiście jest takim jasnowidzem, albo za lustrem w łazience zainstalowano kamery...

Wydaje mi się, że trzydzieści procent grawitacji w salonie ciągnie mnie do ziemi jak ołowiany kłoc, choć to zaledwie jedna trzecia przyciągania ziemskiego. W pokoju wyczuwa się napięcie. Dziewczyny nie mają odwagi spytać, jak było – muszę wyglądać na naburmuszoną. Wczoraj Mozart, dzisiaj Marcus... Pewnie myślą, że wszystko spieprzyłam.

– Obiad będzie za pół godziny... – mówi cichutko Kris. – Zrobiłam na deser budyń waniliowy...

– Okej.

Kieruję się w stronę włazu prowadzącego do sypialni krokiem najbardziej naturalnym, jak to możliwe, starając się nie patrzeć w sufit w poszukiwaniu kamer. Schodzę po szczeblach drabiny i koncentruję się na oddechu. Do tej pory komórka Rubena Rodrigueza powinna się już włączyć – minęło ponad trzydzieści minut, odkąd wystawiłam ją na światło lampki.

Po wejściu do pokoju staram się nie rzucić biegiem w stronę szafy. Dziwne: drzwi są uchylone, a jestem pewna, że zamknęłam je starannie, zanim pobiegłam do Kuli Spotkań...

Zanurzam głowę i ramiona w ciemnym wnętrzu szafy.

Rozsuwam poły białej, jedwabnej wietnamskiej tuniki.

Lampka leży na miejscu, wąski promień światła przecina mrok. Ale jest tu sama.

Telefon zniknął.

KONTRPLAN

**Willa Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
wtorek 28 listopada, godz. 14.00**

– Do widzenia, kochanie. Zobaczysz, to nie potrwa długo. Muszę wrócić do bazy na przylądku Canaveral na ostatni tydzień podróży, wejście Cupido na orbitę Fobosa i lądowanie na Marsie. Ludzie by nie zrozumieli, gdybym nie stała przy ekipie Genesis w czasie najważniejszych uroczystości. Kiedy wrócę, odbędzie się głosowanie elektorów i twoja mama zostanie wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych! Jesteś ze mnie dumna?

– Tak, mam – odpowiada Harmony.

Serena McBee, ubrana w swój kostium w zielonym kolorze Partii Ultraliberalnej, pochyła się, by pocałować córkę w czoło. Harmony, jeszcze bledsza i zmizerniała niż zwykle, zapada się w ogromnym fotelu Chesterfield przy ozdobionym sztukateriami kominku, który ogrzewa pokój. Na kolanach przykrytych kilkoma kocami z alpaki trzyma książkę *Rozważna i romantyczna*.

– Bądź grzeczna – mówi Serena. – Balthazar będzie ci przynosił posiłki do pokoju jak zawsze pod moją nieobecność.

Serena opuszcza pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi. Z torebki ze skóry krokodyla, dopasowanej do paska i czółenek, wyjmuje klucz i przekręca go w zamku dwa razy. Później schodzi po schodach, naciskając broszkę-mikrofon przypiętą do kołnierzyka.

– Serena do Brandona i Dawsona: jestem gotowa do wyjścia.

W holu pojawiają się dwaj służący w kamizelkach, ze srebrnymi zestawami słuchawkowymi. Pierwszy pomaga Serenie włożyć okazałe futro z norek, drugi chwyta jej bagaże. Kamerdyner w liberii, także wyposażony w zestaw słuchawkowy jak wszyscy będący na każde zawołanie pani tego domu, czeka przed wielkimi głównymi drzwiami.

– Pani McBee. – Pozdrawia ją skinieniem głowy i dodaje: – Jedna sprawa, nim pani odjedzie: przed bramą willi już od wielu dni czeka ten młody człowiek, który chce się z panią zobaczyć...

Serena wzrusza ramionami.

– Mój drogi Balthazarze, tysiące młodych i starych ludzi czekają tu od miesięcy z nadzieją, że zobaczą mnie choćby z daleka – stwierdza wyniośle.

– Tak, ale ten młody człowiek, o którym mowa, jest synem pani zmarłego kolegi Shermana Fishera...

Serena unosi brew.

– Syn Fishera? Myśli, że skoro jego ojciec pracował przy programie, to on ma prawo do spotkania z najbardziej wpływową kobietą na świecie? Mogę się założyć, że będzie mi tu jęczał i błagał, bym włączyła go do kolejnej drużyny astronautów, która polecą na Marsa. Poczekaj, aż wrócę, tak jak wszyscy pozostali.

Po tych słowach odwraca się na pięcie i wchodzi do ogrodów willi McBee pokrytych śnieżnym całunem. Niedaleko zamarzniętego stawu czeka na nią helikopter. Serena podaje rękę służącemu, który przyniósł bagaże, by pomógł jej zająć miejsce w kabinie obok pilota w puchowej kurtce z kapturem.

– Przykro mi, pani McBee – tłumaczy się ten ostatni – ale przy tych tłumach fanów, którzy oblegają pani willę, nie możemy wyjechać limuzyną. Szybciej dostaniemy się na lotnisko w Long Island helikopterem.

Serena wkłada toczek z norek i ciemne okulary, które przesłaniają jej większość twarzy.

– Rób to, co uważasz za najlepsze, mój drogi – mówi. – Ale leć raczej nisko. Moi fani będą tacy szczęśliwi, mogą zobaczyć swoją idolkę!

POZA PLANEM

**Plot willi Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
wtorek 28 listopada, godz. 14.25**

– Patrzcie, to leci Serena McBee!

Tysiące twarzy podnoszą się w tej samej chwili ku śnieżnym chmurom na listopadowym niebie. Większość gapiów jest po uszy otulona szalikami, bo mróz strasznie daje w kość, ale te wełniane kneble nie są w stanie zdusić wrzawy, która wznosi się do nieba:

– Se-re-na! Se-re-na! Se-re-na!

Czapki na wszystkich głowach są czerwone jak logo programu Genesis albo zielone jak plakaty Partii Ultraliberalnej.

Na wszystkich głowach?

Nie! Chłopak stojący w pierwszym rzędzie przy siatce nie nosi ani czerwonej, ani zielonej, na głowę naciągnął tylko ciemny kaptur grubej puchowej kurtki. To Andrew Fisher, z twarzą bladą ze zmęczenia, ze skórą popękaną od długotrwałego czuwania na mrozie przed willą McBee. Jego wzrok podąża za helikopterem, który pruje powietrze, wznosząc się nad wiwatującym tłumem i setkami samochodów zaparkowanych byle jak wokół willi.

Niektóre stoją tam już od kilku tygodni, o czym świadczą zamrażnięta twarda warstwa śniegu na dachach i przezroczyste sople zwisające z podwozi.

Andrew jako jedyny nie oklaskuje bohaterki dnia, która macha przez szybę dłonią w rękawicze niczym królowa angielska w dniu koronacji.

Ze spierzchniętych ust chłopaka wydobywa się jęk:

– Nie... Ona nie może tak po prostu odlecieć... Nie ma prawa...

Jego dłonie zaciskają się na oszronionych prętach ogrodzenia, jakby chciał wygiąć je siłą ramion.

– Hej! Zabieraj łapy! – warczy jeden z kilku tuzinów ochroniarzy stojących po drugiej stronie ogrodzenia z zadaniem trzymania fanów w odpowiedniej odległości. – Nie dotykać własności wiceprezydent Stanów Zjednoczonych! Zresztą możecie się już wszyscy stąd wynosić, skoro właścicielka wyjechała. Nie będziemy musieli odmrażać tu sobie tyłków. No dalej, jazda! Nie ma tu już nic do oglądania!

Ludzka fala zaczyna się cofać.

Od dawna niewłączane silniki zapalają się z hukiem. Wiele osób wraca do domu na święta, by w ciepłe obejrzyć w telewizji finał podróży Cupido.

Także Andrew wraca do swojego kampera, zaśmieconego pustymi torebkami po chipsach, czarnymi papierowymi kubkami po kawie i podobnymi oznakami jego długiego oczekiwania. Ale nie włącza silnika. Patrzy tylko przez przednią szybę na zaimprovizowany pustoszejący parking, na samochody, które odjeżdżając, zostawiają za sobą bruzdy zamrażniętej ziemi wokół posiadłości McBee.

Przyciemniona szyba powoli pokrywa się szronem.

Wysoko z nieba znów zaczynają spadać płatki śniegu.

Nagle telefon komórkowy leżący na tablicy rozdzielczej zaczyna dzwonić. Dzwonek przypisany do tego połączenia przychodzącego to nie *Marsz Imperialny*, lecz inna melodia z *Gwiezdnych wojen*: *Nowa nadzieja*.

– Cecilia? – mówi Andrew, odbierając telefon.

– Andrew, czy wszystko u ciebie w porządku? Dużo o tobie myślę. Ciągłe jesteś w Long Island? Nie powinieneś wrócić na zajęcia? A przede wszystkim: nie marzniesz tam za bardzo?

– Odkąd podejrzewamy, że za śmiercią mojego ojca i pani męża stoi Genesis, spalam się od środka.

To mnie grzeje. A co do zajęć, Berkeley może poczekać.

– Właśnie widziałam w telewizji, że Serena McBee opuściła swoją willę... Udało ci się z nią porozmawiać? Skonfrontować ją z tym, co odkryliśmy?

– Nie, ale czuję, że nasz czas się zbliża. Ludzie zaczynają opuszczać teren wokół posiadłości. Ochroniarze będą mniej czujni teraz, kiedy gospodyni wyjechała. Spróbuję się tam przedostać, gdy tylko będę mógł.

– Uważaj na siebie.

– Proszę się nie martwić. Może i spalili mojego drona na przylądku Canaveral, ale ze mną nie pójdzie im tak łatwo.

PLAN

Start + 149 dni, 1 godz., 15 min
(Dwudziesty drugi tydzień)

– Safia, muszę z tobą porozmawiać...

Usadowiona na kanapie w salonie Hinduska podnosi głowę znad tabletu z materiałami do nauki, na którym właśnie oglądała konferencję na temat fal elektromagnetycznych.

– Słucham? – Wyjmuje z uszu słuchawki. – Mówiłaś coś do mnie?

– Muszę ci coś powiedzieć... – powtarzam, starając się opanować drżenie głosu.

Safia zdaje się natychmiast zauważać, że coś jest nie tak.

– Co się stało, Léo? – Niepokoi się.

– Chodzi o rysunki, które pokazałam ci na początku podróży.

– Rysunki? – powtarza zaskoczona.

Nie daję jej czasu, by powiedziała coś więcej. Nachylam się nad jej uchem, zasłaniając usta dłonią, by tylko ona mogła mnie usłyszeć.

– Rysunki nie mają z tym nic wspólnego, ale musiałam znaleźć jakiś pretekst, by szeptać ci do ucha przed kamerami. Prawda jest taka, że telefon Rubena Rodrigueza zniknął. I nie pytaj, czy jestem pewna, czy dobrze sprawdziłam i tym podobne, bo możliwości rozmowy bez wzbudzania podejrzeń mamy ograniczone, a poza tym jestem pewna, że ich mikrofony są bardzo czułe. Rano położyłam telefon na dnie szafy, z włączoną lampką, żeby się naładował, tak jak mi poradziłaś, i był tam jeszcze, kiedy szłam do Kuli Spotkań. Więc ktoś go zabrał, kiedy mnie nie było. Pytanie k t o . Jesteś jedyną osobą na statku, której powiedziałam o istnieniu komórki. Dlatego błagam cię: jeśli rozmawiałaś o niej z inną dziewczyną, to mi powiedz! – Odsuwam twarz od ucha Safii i głośno kończę zdanie na użytek kamer: – Więc tak, przyznaję, moje rysunki w tablecie to taki mój tajemniczy ogród: Léo Ognistowłosa, tatuaże Marcusa i tak dalej... Pokazałam ci je, ale wolałam, żebyś zatrzymała to dla siebie. Powiedz, rozmawiałaś o nich z jakąś inną dziewczyną?

Wbijam wzrok w Safię.

Moje serce wali jak szalone.

Wyobrażam sobie, że widzowie zapewne odbierają mnie jako stukniętą nastolatkę żyjącą w wyimaginowanym świecie i pragnącą chronić swój pamiętniczek przed całą ludzkością, która nic do niego nie ma – ale to nie szkodzi. Oczekuję tylko, by Safia podała imię, i to szybko!

Nie, milczenie nie jest odpowiedzią, jakiej oczekuję. Musiała komuś powiedzieć, ponieważ telefon zniknął mimo wszelkich środków ostrożności, jakie podjęłam, by ukryć go przed kamerami.

– Jesteś p e w n a ? – pytam. – Nie wspomniałaś o tym choćby słówkiem?

Safia odkłada tablet i powoli wstaje z kanapy.

Dziewczyny w salonie zaczynają się odrywać od swoich zajęć, by zobaczyć, co się dzieje.

– Przysięgam ci, że nie... – duka Safia, rzucając dookoła ukradkowe spojrzenia jak zwierzę złapanie w pułapkę, które szuka drogi ucieczki.

Kłamczucha! Całe jej zachowanie świadczy o tym, że kłamie!

– Co się dzieje? – pyta Liz, wstając od kominka, przy którym się grzała.

– Chodzi o jakieś sekretne rysunki, z tego, co usłyszałam... – wyjaśnia Fangfang.

Siedząca na drugim końcu kanapy Singapurka znajduje się najbliżej nas, więc zdołała usłyszeć koniec naszej rozmowy – na tyle niedokładnie, by ją wypaczyć.

– Wygląda na to, że Marcus pokazał jej swoje tatuaże, a ona skopiowała je w tablecie!

Kris także wstaje od kuchennego stołu, przy którym wkuwała razem z Kelly. Tylko ta ostatnia,

z słuchawkami, w których Jimmy Giant drze się na całe gardło, nie spostrzegła jeszcze, że coś się dzieje. Kilka dni temu wreszcie włączyła swój tablet do nauki i całe dni spędza na symulatorze, ćwicząc lądowanie naszej kapsuły na Marsie, którą będzie pilotować w łączności z bazą na przylądku Canaveral – podczas gdy Mozart robi to samo z kapsułą chłopców.

– Wszystko w porządku, Léo? – pyta Kris swoim ciepłym głosem.

– Tak, wszystko w porządku – odpowiadam, zmuszając się do uśmiechu.

Jednak w rzeczywistości nic nie jest w porządku.

Jedna z tych pięciu dziewczyn, które zachowują się jak gdyby nigdy nic, zabrała telefon komórkowy z mojej szafy. Nie ma innej możliwości. Tu nie ma ruchu jak na dworcu. Jesteśmy w środku kosmosu, do cholery!

– Zadałam tylko Safii jedno proste pytanie – wyjaśniam.

Myśli przelatują mi przez głowę z szybkością błyskawicy. Możliwe scenariusze pojawiają się jeden za drugim jak kartki niekończącej się powieści, co doprowadza mnie do szaleństwa.

Wariant 1: Safia kłamie.

- a. *Wygadała się przed jakąś inną dziewczyną i wstydzi się do tego przyznać.*
- b. *Powiedziała o wszystkim organizatorom, a oni przekonali którąś uczestniczkę (być może samą Safię), żeby zabrała mi telefon.*
- c. *Nie powiedziała nikomu, ale sama ukradła komórkę z nieznanym mi powodów.*

Wariant 2: Safia nie kłamie.

- a. *Mimo wszystkich środków ostrożności w jakiś niewyjaśniony sposób kamery zarejestrowały, jak ukrywam telefon, i – patrz punkt 1b) – jedna z uczestniczek została upoważniona, by mnie okraść.*
- b. *Ktoś przez przypadek grzebał w moich rzeczach i pomyślał sobie: „O, telefon! Jak miło. A może by tak zrobić naszej Léo mały żart?”.*

Wniosek: nie ufać nikomu.

– Masz dziwną minę, Léo... – mówi Kris, biorąc mnie pod rękę. – Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Mam nadzieję, że nie zaszkodził ci mój budyń. Obawiam się, że to mleko w proszku Daisy Farm nie było pierwszej świeżości po tylu miesiącach podróży...

– Kurwa, znowu się rozbiłam! – wykrzykuje Kelly, rzucając z wściekłością swój tablet z symulatorem lotów. Wyjmuje słuchawki z uszu. – O czym gadacie? Jakiś gorący news?

Tak, jeden gorący news.

Chciałabym się nim podzielić z całym światem, pozbyć wątpliwości, które mnie gnębią, a które zmieniły się już w pewność.

Ale nie mogę.

Ponieważ w naszym przedziale może być zdrajczyni. Albo nawet kilka.

Ponieważ, jeśli organizatorzy naprawdę ukrywają przed nami coś ważnego, a jeszcze nie wiedzą o istnieniu tego telefonu, nie wolno mi w żadnym wypadku im tego zdradzić.

Ponieważ z tym problemem jestem zupełnie sama.

– Rozmawiałam z Safią o swoich rysunkach – mówię. – Takie tam głupstwa.

– Och! Masz nowe rysunki! – wykrzykuje Kris, klaszcząc w dłonie. – Pokażesz mi je, Léo?

Kris zawsze była moja najwierniejszą fanką, a odkąd przedstawiłam ją jako śnieżną księżniczkę, stała się jeszcze większą. Jej entuzjazm jest naturalny. A jednak jakaś mała część mnie nie może się powstrzymać, by się nie zastanawiać, czy to wszystko nie jest tylko grą... Czy to przypadkiem nie ona szperała w mojej szafie, do której ma tak blisko...

Nie! Nie mogę rozważać takiej możliwości!

Kris nigdy by mnie tak nie okłamała!

– Muszę je jeszcze trochę dopracować – mówię w końcu. – Pokażę ci, kiedy będą skończone.

– A myślałam, że to twój tajemniczy ogród – wtrąca Fangfang, której nikt nie pytał o zdanie. – I że nie chcesz ich nikomu pokazywać...

A może to ona jest zdrajczynią i tylko zgrywa świętoszkę? Uśmiecham się do niej lodowato.

– Musiałaś się przesłyszeć, Fangfang. Powiedziałam, że je pokażę, kiedy będą gotowe.

Dzisiejsze popołudnie zdaje się ciągnąć powoli jak melasa, ten czarny cukrowy syrop, który dodawaliśmy do psich deserów w fabryce i który brudził chochlę niczym olej opałowy.

Najtrudniej udawać – udawać, że się uśmiecham, że jestem zrelaksowana, że żartuję. Safia kilka razy próbuje się do mnie zbliżyć. Staram się reagować w możliwie najnaturalniejszy, beztroski sposób. Bo jeśli jest szczerą, to nie zasługuje, bym się na nią dąsała, a jeśli mnie zdradziła, to nie może się dowiedzieć, jakim szokiem była dla mnie utrata telefonu.

– Przysięgam, że nikomu nie powiedziałam – szepcze, kiedy sprzątam razem po obiedzie.

– Już mi to mówiłaś. Wierzę ci.

Twierdzenie, że jest odwrotnie, i tak do niczego by mnie nie doprowadziło.

– A poza tym to nie ma znaczenia – rzucam wymijająco. – Wkrótce wszystko ujawnię, gdy tylko będę gotowa.

Na twarzy Safii malują się wątpliwości. Widzę, że nie jest już pewna, o czym właściwie rozmawiamy – czy chodzi o te rysunki, które miały być tylko pretekstem, czy o moje rzekome sensacyjne odkrycia.

Spogląda nerwowo na filmującą nas kamerę wiszącą nad kuchennym blatem. Boi się zostać przyłapana na spiskowaniu ze mną? Czy instynktownie szuka wsparcia u tych, którzy wydają jej rozkazy? Nie odzywa się już więcej, w milczeniu wyciera talerze elektrostatyczną ściereczką.

Noc, wyznaczana przygaszonym światłem, jest jeszcze gorsza niż dzień. Kiedy leżę wyciągnięta na łóżku, nie ma niczego, co mogłoby oderwać mnie od moich myśli.

Kto zabrał telefon?

Dlaczego to zrobił?

Kto? Dlaczego? Kto? Dlaczego? Kto?...

Nie udaje mi się zmrzyć oka. Kilka razy nachodzi mnie ochota, żeby odrzucić kołdrę, wstać i zacząć przeszukiwać szafki dziewczyn. Ale się powstrzymuję – w tak ciasnym pomieszczeniu, gdzie sen każdej z nas może być przerwany przez najmniejszy szmer, byłby to najlepszy sposób, żeby wpaść.

Staram się więc myśleć o czymś innym. Ale w głowie pojawia się tylko twarz Marcusa i te szare oczy, gdy patrzy na mnie tak, jak jeszcze nigdy nikt na mnie nie patrzył.

Nie okłamałam Mozarta dwa dni temu, kiedy powiedziałam mu, że jeszcze nie podjęłam decyzji. Ponieważ wtedy to była prawda. Byłam pełna wątpliwości i sprzecznych uczuć. Ale Mozart zamknął się przede mną. A Marcus otworzył swoje serce.

Nie jestem Niszczarką Wątpliwości zbudowaną z zimnych metalowych części – jestem żywą istotą, której ciało drży na każdą myśl o nim. Nie jestem dziką leopardzicą odrzucającą wszystkich mężczyzn – jestem małym kotkiem, który pragnie tylko zwinąć się w ramionach jednego z nich. Nie jestem Léo Ognistowłosa, gotową raczej umrzeć, niż przyznać, że ma uczucia – jestem po prostu Léonor i jestem zakochana w Marcusie.

KANAL GENESIS

Poniedziałek 4 grudnia, godz. 11.00

Czarne tło.

Pusta Kula Spotkań w ujęciu statycznym. Na szczycie szklanej bańki aureola parabolicznej anteny wysyła w ciszy swą laserową wiązkę, nitkę światła, która zapewnia stały kontakt z Ziemią, już zbyt odległą, by nadal była widoczna. W głębi na tle czarnego nieba odcina się krwawa kula wielkości piłki do koszykówki – planeta Mars.

Napisy: STO TRZYDZIESTE TRZECIE SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: ELIZABETH, LAT 18, WIELKA BRYTANIA, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE INŻYNIERII (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 5 MINUT I 53 SEKUNDY).

Młoda Angielka pojawia się po lewej stronie ekranu i pospiesznie zamyka za sobą klapę.

Jak zawsze, kiedy wchodzi do Kuli Spotkań, szybko pozbywa się swetrów i szalików, by przeistoczyć się w wyzywającą baletnicę, ukrytą w kokonie wełnianych splotów i fałszywej skromności, o czym pozostałe uczestniczki nie mają najmniejszego pojęcia. Dziś jest cała w bieli. Prezentuje perłowy baletowy trykot i getry, które włożyła na gołe nogi, odsłaniając biodra i uda, jakby nosiła pończochy. To oszałamiające połączenie stroju do tańca klasycznego i bielizny uwydatnia walory jej wyrzeźbionego w tańcu ciała.

Serena (głos z offu): *Moja droga Elizabeth, można powiedzieć, że na swoje ostatnie spotkanie w Kuli przygotowałaś dla nas wielki finał!*

Elizabeth: Cóż, Sereno, w głębi duszy jestem prawdziwą *show girl*. Zawsze miałam talent do inscenizacji i prawdziwy instynkt sceniczny.

Wyjmuje pomadkę i dokładnie maluje usta. Nie musi się spieszyć, minie prawie sześć minut, nim producentka wykonawcza jej odpowie.

Serena (głos z offu): *Jako specjalistka od widowisk telewizyjnych mogę tylko przyklasnąć. Zapewniłaś widzom niesamowite zwroty akcji. Tak jak ten w zeszłym tygodniu z Mozartem...*

Ręka dziewczyny lekko drży, kiedy wykonuje ostatnie pociągnięcie, jaskrawoczerwona kreska wychodzi poza obrys ust.

Elizabeth (duka): Zrobiłam to dla jego dobra, wiesz o tym, widzowie też o tym wiedzą... (opuszkiem palca delikatnie ściera rozmazaną szminek, by linia ust znów była idealna. Tłumaczy dalej półgłosem, tak że nie wiadomo, czy mówi do Sereny, do widzów, czy po prostu do siebie) Bardzo się przywiązałam do Léonor. Ta dziewczyna robi na mnie ogromne wrażenie, fascynuje mnie... inspiruje. Ale to, jak traktuje Mozarta, nie jest właściwe. Ani wobec niego, bo karmi go fałszywą nadzieją, ani wobec mnie, bo jestem wyrzucona poza nawias. Uczyniłam to, co musiałam, prawda?

Serena (głos z offu rozbrzmiewa z głębi przestrzeni kosmicznej, ucinając wszelkie rozterki młodej Brytyjki, które nie zdążyły dotrzeć na Ziemię): *Zawołam do ciebie Mozarta, abys mogła zebrać to, co zasiałaś.*

Werble.

Kilka chwil później po prawej stronie ekranu pojawia się Mozart. Włożył swój najelegantszy strój: białą koszulę i czarne spodnie. Na jego opalonej twarzy maluje się melancholia, a czarne oczy błyszczą spod długich, jedwabistych czarnych rzęs.

Mozart: Jesteś niezwykle uwodzicielska, Elizabeth. Jesteś ucieleśnieniem marzeń każdego mężczyzny.

Elizabeth: Mów do mnie Liz, proszę. Ale ja nie chcę być marzeniem każdego mężczyzny. Chcę być tylko twoim marzeniem, Mozarcie. (Natychmiast się poprawia). Nie, tak naprawdę wcale nie chcę być

twoim marzeniem. Chcę być twoją rzeczywistością. Ponieważ marzeniem była Léonor i to wszystko, czym cię mamiła.

Mozart zaciska i rozluźnia mięśnie szczęki.

Wątpliwości wypisane na jego twarzy zdają się niemal namacalne. Jeszcze nie przeboleł straty Léonor. Jeszcze trzyma się nadziei.

Mozart: Marzeniem? Gdy ją zaprosiłem ostatni raz, wydawała się szczerą. Zaprzeczyła wszystkiemu. Powiedziała mi, że to nieprawda, że wcale jeszcze nie wybrała. To wyglądało tak prawdziwie, nieudawanie...

Elizabeth (uśmiecha się smutno): Wciąż jesteś w niej zakochany, zdaję sobie z tego sprawę. Ale przecież doskonale widziałeś, co było w tablecie, który bez jej wiedzy pożyczyłam i pokazałam ci po kryjomu w czasie naszego ostatniego spotkania dziesięć dni temu. Léonor maluje tylko Marcusa! Kolejne szkice przedstawiające każdy najmniejszy detal jego tatuaży, każdy centymetr ciała! Mówienie ci o tym za plecami dziewczyny, którą bardzo lubię, nie sprawia mi przyjemności, wierz mi, ale to mój obowiązek. Otwórz oczy, Mozart! Obudź się! Ten sen już się skończył. Léonor wiele miesięcy temu zdecydowała, z kim chce spędzić życie. Tobą tylko się bawiła!

Mozart (jego twarz tężeje): To prawda. Masz rację. Tylko się mną bawiła. Dla niej to wszystko to tylko gra. Te przekłete zasady wymyśliła dla rozrywki.

Elizabeth (podpływa ku szybie niczym sylfida, nieziemska zjawa z romantycznego baletu): Musisz o niej zapomnieć. Wystarczająco się przez nią naciępałeś. Ja tu jestem. Jestem tu dla ciebie.

Mozart (z nieco szerzej otwartymi oczami): Nie boisz się skończyć z przestępcą?

Elizabeth (spuszcza wzrok): Daleko mi do doskonałości, uwierz mi... (Jej głos lekko drży, ale tym razem nie są to żadne aktorskie sztuczki, to prawdziwe emocje). Zabranie tabletu... Przebieranie się ukradkiem w Kuli Spotkań... Wszystkie te rzeczy, które robiłam, które mówiłam za plecami pozostałych dziewczyn... Od zawsze, od pierwszych kroków w tańcu, rywalizowałam, ale mam już tego dość. Nie mogę się doczekać, kiedy to się skończy. Chcę tylko być szczęśliwa z mężczyzną, którego kocham, otoczona przyjaciółmi. To wszystko.

Mozart (wolno kiwa głową): A więc myślisz, że moglibyśmy być szczęśliwi we dwoje?

Elizabeth (podnosi wzrok): Popatrz na siebie. Popatrz na mnie. Mamy wszystko: młodość, urodę, sławę... bogactwo! Mamy jedne z najwyższych Posagów na statku! Tak, Mozart, obiecuję ci: będziemy razem szczęśliwi. Tak samo szczęśliwi jak Léonor i Marcus. Nasza czwórka będzie promienieć takim szczęściem, że widzowie będą musieli oglądać program w okularach przeciwsłonecznych, by nie oślepnąć.

Dzwonek.

Koniec spotkania.

Na twarzy Mozarta pojawia się coś na kształt uśmiechu.

PLAN

Start + 159 dni, 19 godz., 30 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

W sypialni rozbrzmiewa poranna symfonia.

Jeszcze nigdy nie brzmiała tak fałszywie.

A sztuczne halogenowe światło imitujące wschód słońca nigdy nie wydawało mi się tak ostre.

Bezlitośnie oświetla twarze wszystkich dziewczyn podnoszących się teraz na łózkach, uwydatniając cienie pod oczami, zapadnięte policzki, zmarszczone czoła. Domyślam się, że tak samo jak ja żadna z nich nie zmrużyła oka przez całą noc. Ich stres jest zupełnie zrozumiały – jesteśmy w przededniu ogłoszenia ostatecznych List Serca i lądowania na Marsie – ale ten stres jest niczym w porównaniu z moim.

Jedna z tych dziewczyn, z którymi spędziłam rok życia w Dolinie Śmierci i pięć miesięcy podróży w przestrzeni kosmicznej, ukradła mi pięć dni temu telefon Rubena Rodrigueza. Za którą zmiętą zmęczeniem twarzą kryje się nie tylko przestraszona dziewczyna pragnąca się w końcu dowiedzieć, za którego chłopca wyjdzie, ale też podwójna agentka?

Czy to Fangfang, którą także dopadła bezsenność mimo atlasowej maski na oczach? Ta, która tak lubi prawić wszystkim morały, doskonale wie, że posiadanie komórki jest na pokładzie zabronione, więc mogła mi ją zabrać, żeby dać mi nauczkę...

A jeśli to Safia, której ściągnięte rysy nagle nie wydają mi się już tak młode i niewinne? Tylko ona wiedziała o istnieniu telefonu, zanim nie zniknął...

A może to Kelly, która zdążyła już wcisnąć w uszy słuchawki i włączyć sobie Jimmy'ego Gianta na cały regulator? Jej wyznanie na temat rodziny było wzruszające, ale szczerze mówiąc, to także idealna historia, żeby mnie urobić...

Albo Liz, której posągowa twarz zdaje się nagle udęczona wyrzutami sumienia? Od kilku dni unika mojego spojrzenia, jakby miała poczucie winy...

A może to jednak Kris, którą traktowałam, jakby była moją przyjaciółką od zawsze, a przecież tak naprawdę znamy się zaledwie kilkanaście miesięcy? Choć nie potrafię znaleźć żadnego powodu, który mógłby ją pchnąć do kradzieży komórki, to nie znaczy, że jest niewinna... Podejrzewam ją w równym stopniu, co pozostałe, dopóki nie okaże się, że to nie ona.

Podczas gdy tak biję się z myślami, na trzech ekranach nad łózkami pojawia się najbardziej nieprzenikniona i zwodnicza z twarzy – twarz Sereny McBee. Wróciła do bazy na przylądku Canaveral i znów siedzi w swym wielkim czarnym skórzanym fotelu.

– *Dzień dobry dziewczęta!* – mówi swoim przesłodzonym, egzaltowanym głosem.

Tak: przesłodzonym. Nie słodkim, matczynym czy współczującym, jak określiłabym go jeszcze niedawno. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo fałszywie brzmi.

– *Mam nadzieję, że mimo ekscytacji udało wam się choć trochę przespać w tę przedostatnią noc na pokładzie Cupido, moje kochane...*

Ten głos leje się jak gęsty syrop i oblepia mi uszy. Jest jak miód, który Serena dodawała do ziołowej herbatki, by pomóc mi zasnąć w Dolinie Śmierci. Ziółka Sereny nigdy na mnie nie działały, jej oczy nigdy nie dawały rady mnie zahipnotyzować, ale jej głos uśpił moją czujność przez te pięć miesięcy międzyplanetarnej podróży.

– *Za kilka godzin silnik jądrowy zatrzyma się automatycznie, a raketowe silniki hamujące spowodują stopniowe zwalnianie prędkości statku, aż zrówna się on idealnie z orbitą Fobosa, jedynie sześć tysięcy kilometrów nad powierzchnią Marsa. Wtedy nadejdzie czas ogłoszenia ostatecznych List*

Serca i dobrania się w pary przed wielkim skokiem w nieznane! Na razie jednak została nam ostatnia randka w Kuli Spotkań, a honor zakończenia całej gry przypada naszej małej Leopardzicy!

Gdybyś tylko wiedziała, Sereno, jak bardzo ta leopardzica chciałaby teraz skoczyć ci do gardła i rozorać pazurami twoją nienaturalnie gładką twarz!

Wiem, że przez te wszystkie tygodnie szpiegowałeś mnie zza lustra w łazience, kiedy myślałam, że jestem tam sama... Kiedy mówisz o mojej bliźnie, w twoim głosie nie słyszę żadnego współczucia, tylko niezdrowe podniecenie chorobliwej podglądaczki...

Domyślam się, że ukrywasz coś strasznego...

Tylko co?

Co?

Ach, gdybym miała ten telefon!

Kris podchodzi do mnie w kremowej jedwabnej koszuli nocnej.

– Dziś rano jestem cała dla ciebie, Léo – oznajmia. – Pomogę ci się przygotować do ostatniego spotkania...

Uśmiecham się najszczerzej, jak potrafię.

– Dziękuję, to bardzo miłe, ale dzisiaj chciałabym pobyć sama. Muszę wsłuchać się w siebie przed tą ostatnią randką...

Kris smutno kiwa głową.

– Jak chcesz – odpowiada.

Jest taka zmartwiona, bo naprawdę chciała mi pomóc w przygotowaniach? Czy raczej dlatego, że kazano jej mieć mnie na oku?

Przybliża się i szepcze mi do ucha:

– Nie potrafisz wybrać między Mozartem a Marcusem, tak? Trzeba było ze mną porozmawiać. Miłosne trójkąty są okropne. Znam się na tym, w romansach jest ich mnóstwo...

Złośliwa odpowiedź sama ciśnie mi się na usta.

– To nie jest żaden trójkąt ani kwadrat, ani żadna inna pieprzona figura geometryczna! Chociaż tak: to wielokąt o dwunastu bokach, ponieważ jest nas dwanaścioro, skazanych na wspólne życie. Otwórz oczy, Kris: to nie romans, to rzeczywistość. A ja naprawdę potrzebuję zostać sama!

Kris rzuca mi oszołomione spojrzenie i wreszcie się ode mnie odsuwa.

Nie robię nic, by ją zatrzymać.

To nie czas na wyrzuty sumienia. Odkąd telefon zniknął, wykorzystuję każdy możliwy pretekst, by znaleźć się sama w jednym z pomieszczeń naszego przedziału mieszkalnego. I przetrząsnąć je od dołu do góry. Jak dotąd niczego nie znalazłam, ale tylko dlatego, że jeszcze nie natrafiłam na właściwą kryjówkę. Wyciągam z szafy czerwoną muślinową sukienkę i kosmetyczkę z przyborami do makijażu Rosiera, przebiegam przez salon, nawet nie rzuciwszy okiem w stronę stołu – i tak mam zbyt ściśnięty żołądek, by cokolwiek przełknąć – a potem wspinam się do łazienki.

– Będę wdzięczna za chwilę samotności! – wołam, zamykając za sobą klapę.

Zostawiam sukienkę i kosmetyczkę na ławce, a sama szybko idę na górę, do siłowni. Przeszukuję ją już chyba piąty raz. Podnoszę matę do jogi, wspinam się na palce, by sprawdzić górę wielofunkcyjnego urządzenia do ćwiczeń, otwieram jedną po drugiej dziesiątki wbudowanych w ściany szuflad ze sprzętami i urządzeniami, których przeznaczenie jest mi nieznane – wnętrzności Cupido. Kable, diody, przyciski – wszystko, tylko nie telefon.

Z każdej strony obserwują mnie kamery jak czarne oczy pająka patrzącego na bezsensowną szamotaninę ofiary, która wpadła w sieć.

– Gdzie się podziała ta czarna satynowa wstążka, której szukam od tygodnia? – mówię jakby sama do siebie. – Może zgubiłam ją w czasie ćwiczeń...

W rzeczywistości zwracam się do widzów, by ich zmylić, by dać im jakieś wytłumaczenie swojego

zachowania. Inaczej mogliby pomyśleć, że jestem maniaczką czystości tropiącą najmniejszą drobinę kurzu albo że jestem po prostu zdrowo szurnięta.

W końcu cała spocona wracam do łazienki.

Tutaj nie widać żadnej kamery, ale to jeszcze gorzej.

Zaczynam poszukiwania, a moja przepocona piżama klei się do skóry pleców i Salamandry. Opróżniam każdą szufladę szafki pod umywalką, gdzie dziewczyny powkładały swoje rzeczy: szczotki, grzebienie, gumki do włosów, jednak telefonu ciągle nie ma.

Zabieram się więc do poważnego wyzwania: ogromne szafy-kontenery w tylnej części pomieszczenia, także pokryte lustrami. Znajduje się w nich cała nasza żywność. Półki z konserwami i produktami w proszku są już niemal puste, bo zbliżamy się do końca podróży, ale wciąż znajduje się tam całe wielkie składowisko narzędzi niezbędnych do wszelkich napraw na pokładzie statku, poprzyczepianych do ogromnych, namagnesowanych, metalowych płyt: elektryczne śrubokręty, kombinerki, klucze angielskie, młotki, nożyczki, nakrętki i śrubki we wszystkich możliwych rozmiarach i wiele innych rzeczy, których przeznaczenie zna jedynie Liz, nasza specjalistka od inżynierii. Ale wśród tych wszystkich przyrządów mających pomóc nam w uporaniu się z każdym problemem nie ma tego jedyne, który by mi się przydał...

Trzęsąc się z frustracji, zamykam się w kabinie prysznicowej z sukienką, którą niezdarnie wkładam na siebie – nie ma mowy, bym kiedykolwiek rozebrała się przed tym lustrem.

– Léo, zostało trochę budyniu z wczoraj. Jesteś pewna, że nie chcesz niczego zjeść? – odzywa się Kris, kiedy pędem przebiegam przez salon.

– Jestem pewna – odpowiadam, rzucając okiem na cyfrowy zegar. – Nie mam czasu. Zostało niewiele ponad pół godziny do mojej randki. Schodzę do sypialni zrobić sobie makijaż.

Sypialnia.

To ta część statku, gdzie jest najwięcej możliwych kryjówek.

Ale także najniebezpieczniejsza, bo gdyby przyłapano mnie na szperaniu w rzeczach dziewczyn... Wolę o tym nie myśleć.

Rzucam się do szafy Kris, którą ciągle zdobi reprodukcja przedstawiająca Matkę Bożą z Dzieciątkiem, spoglądającą teraz na mnie z potępieniem. W środku wszystko jest niebieskie albo prawie, jakbym otworzyła okno na skrawek nieba – ale nie na czarną kosmiczną próżnię, tylko na jasne, błękitne ziemskie niebo, pełne chmur i ptaków. Zawstydzona zamykam drzwi szafy – ona nie mogła mnie zdradzić, nie moja Kris.

Nim wstyd całkiem mnie powstrzyma, otwieram szafę Fangfang. Wszystko jest tu uporządkowane z dokładnością maniaka. Przesuwam dłonią po sukienkach, które wyglądają, jakby wyszły prosto spod żelazka, macam idealnie ułożone stopy ubrań. Moja ręka drży, waha się. Wiem, że Singapurka od razu zauważy, jeśli przez nieuwagę przesunę choćby o milimetr jakiś element jej geometrycznego świata. Serce wali mi jak oszalałe. Niczego nie znajduję.

Przechodzę więc do szafy Kelly. To dokładne przeciwieństwo świata, który właśnie opuściłam: totalny chaos, miszmasz ubrań we wszystkich wzorach i kolorach. Zanurzam ręce i rozgarniam te stopy w nadziei, że natrafię na twardy, kanciasty, prostokątny przedmiot. Ale nie, znowu nic...

Gorączkowo okrążam łóżko, by dostać się do szafy Safii. Po drodze mój wzrok pada na czarne oko kamery wiszącej obok ekranu, na którym wyświetla się obraz przedstawiający pełnię księżyca nad morzem z pływającymi w nim delfinami. Ponownie ogarnia mnie wstyd. Miliardy widzów patrzają właśnie, jak szperam w rzeczach koleżanek niczym złodziejka. Czy jeszcze wierzą w historyjkę o czarnej wstążce? Nie powinnam na to liczyć. I muszę się spieszyć. Ponieważ Serena McBee także mnie w tej chwili obserwuje i może domyśla się, czego tak naprawdę szukam, a więc w każdej chwili może interweniować, by mnie powstrzymać.

KONTRPLAN

Schron przeciwatomowy, baza na przylądku Canaveral, sobota 9 grudnia, godz. 9.15

– I to wszystko z powodu zwykłej wstążki?! – wykrzykuje Gordon Lock.

Konspiratorzy znów zebrali się przy okrągłym stole w swoim żelbetonowym schronie ukrytym głęboko pod ziemią na przylądku Canaveral. Siedem osób zwraca twarze ku ścianie cyfrowych ekranów, na których wyświetlają się obrazy ze wszystkich pięter statku Cupido, z trzuminutowym opóźnieniem.

Łysa czaszka dyrektora Locka i długie tłuste włosy Geronimo Blackbulla błyszczą w świetle ekranów. Zmieniające się kolory odbijają się w grubych szklach Odette Stuart-Smith i na białym kitlu Archibalda Dragovica. Tańczące cienie podkreślają podwójny podbródek Roberta Salvatorego i zmarszczki Arthura Montgomery'ego. Serena w milczeniu przewodniczy zgromadzeniu, zasiadając na swym czarnym skórzanym tronie, ubrana w zielony kostium, do którego jak zawsze przypięła srebrną broszkę w kształcie pszczoły.

– Tam, na monitorze G1L – ciągnie Gordon Lock. – Ta Francuzka. O, znowu zaczyna. Oszalała czy co? Już od tygodnia przeszukuje wszystkie kąty, jakby ta satynowa wstążka była ósmym cudem świata!

– Może chciała zrobić z niej jakiś użytek w czasie nocy poślubnej? Zawiązać oczy Marcusowi albo skrępować mu ręce? – sugeruje Geronimo Blackbull, wywołując rubaszny śmiech Roberta Salvatorego i niepokojący grymas Archibalda Dragovica.

– Ależ z was duże dzieci – łaja ich Serena McBee z pobłażliwym uśmiechem. – W rzeczywistości nie chodzi o wstążkę. Zgubiła coś o wiele ważniejszego. Swoją niezachwianą pewność siebie. – Producentka uśmiecha się szeroko. – To będzie gwóźdź programu, który zaplanowałam od samego początku: eksplozja Niszczarki Wątpliwości w locie! Przez całą podróż wydawało jej się, że może wszystko kontrolować. Zrobiłam, co tylko mogłam, by przekonać ją do trwania w tym błędzie, nagięłam się do jej marnej, iluzorycznej reguły gry. Ale teraz, kiedy zbliża się finał, zdała sobie sprawę, że nie potrafi sobie poradzić ze swoją ułomnością. Ponieważ w międzyczasie nasza biedna mała się zakochała! Wie, że będzie musiała stanąć nago przed Marcusem i przed całym światem. Wie, że nie ma przed tym ucieczki. Dlatego zaczyna wariować. To wszystko zaczęło się we wtorek, kiedy poprosiła mnie o prywatną rozmowę na temat Louve, utrzymując, że suczka jest chora.

– Louve? – Gordon Lock marszczy brwi. – Chora? Kto by pomyślał... Ona je za czterech.

– Louve jest zdrowa jak ryba – odpowiada psychiatra. – To klasyczny mechanizm przeniesienia. Czowała się źle, czowała się brzydka i nie zdając sobie z tego sprawy, przeniosła wszystkie te uczucia na głupie zwierzę. Od kilku dni jej stan się pogarsza: ciąгла nerwowość, zmienne nastroje, kompulsywne poszukiwania... Wierzy, że szuka tej zagubionej wstążki, ale to tylko pretekst wymyślony przez jej superego, żeby nie zwariować. Tak naprawdę to, czego podświadomie szuka, to droga ucieczki. Wyjście awaryjne. Sposób, by wydostać się z pułapki, w której sama się zamknęła. Ale wyjścia nie ma. Nie da się uciec z Cupido! Może tylko stracić w oczach widzów, którzy nie rozumieją jej obsesji i przestali wpłacać pieniądze. W najbliższych godzinach będą mogli obejrzyć prawdziwy dramat i wielkie łyzy, zobaczycie! Podaruję im piękne, wyraźne zbliżenia na to paskudztwo, które szpeci plecy Léonor. Będą mogli się napatrzeć, ile dusza zapagnie! A wtedy zobaczycie efekt odbicia: widzowie zaczną wysyłać jeszcze więcej pieniędzy do jej Posagu, aby uspokoić sumienie... a spora część tych pieniędzy, przypominam wam, trafi do naszych kieszeni za pośrednictwem Atlas Capital.

Nad okrągłym stołem słychać westchnienie ulgi i zadowolenia.

Dla konspiratorów to już niemal koniec bolesnego oczekiwania naznaczonego niepewnością, czy dostaną wymarzoną premię i czy nie zostaną zdemaskowani.

Gordon Lock chrząka, odwracając się od ekranów.

– Moja droga Sereno – zaczyna. – W przededniu lądowania pragnę ci gorąco podziękować w imieniu wszystkich osób siedzących przy tym stole. Przyznaję, że w czasie tej przygody zdarzały się nam momenty załamania i zwątpienia. Mój Boże, ileż to razy oblałem się zimnym potem ze strachu!

Zebrani śmieją się serdecznie jak pracownicy wymieniający na imprezie pożegnalnej sympatyczne żarciki o szefie, który właśnie odchodzi.

– Ale ty nigdy nie zeszłaś z obranego kursu! – ciągnie Gordon Lock, odzyskując powagę. – Potrafiłaś podjąć właściwe decyzje we właściwym czasie. Kiedy Sherman Fisher i Ruben Rodriguez zagrozili bezpieczeństwu nas wszystkich, miałaś odwagę powiedzieć „stop”, twardo, ale i ze współczuciem. Wiemy, że nie cierpieli dzięki dokładnie obliczonej dawce śmiertelnego zastrzyku. Kiedy w lipcu po raz pierwszy pojawiła się piracka strona Genesis, bez paniki podjęłaś niezbędne środki i strona została zamknięta w ciągu kilku godzin. A miesiąc temu, gdy minidron znów się uaktywnił, jeden z rapaksów, które z taką przezornością umieściłaś w sali kontroli lotów, spalił go w kilka sekund. Trudno zliczyć wszystkie przykłady twego profesjonalizmu. To ty doprowadziłaś nas bezpiecznie do portu. Jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni. I chcemy ci powiedzieć, że wszyscy głosowaliśmy na ciebie siódmego listopada.

– Och! To urocze!

– Podziwiamy twoją niezwykłą energię, to, że podejmujesz się tego wielkiego wyzwania, choć mogłabyś żyć spokojnie na emeryturze dzięki sowitej premii, którą wkrótce wpłaci nam Atlas Capital. Połowę już za chwilę, po lądowaniu na Marsie, a drugą za kilka dni po tragicznym wydarzeniu, które byłaś uprzejma dla nas zorganizować...

– Och, Gordonie, tak naprawdę nie ma w tym wszystkim mojej zasługi, jestem po prostu nadaktywna – tłumaczy Sereno. – Wciąż muszę się czymś zajmować, brać sprawy w swoje ręce, pomagać innym. Jestem jak ta mała pszczołka, która lata to w prawo, to w lewo i nie potrafi się zatrzymać. Ale popatrzcie lepiej na G2Z, widok z góry na drugie piętro w przedziale dziewcząt: dzieje się tam coś ciekawego...

Instruktorzy przenoszą wzrok na ekran.

Tymczasem dziewczyny w salonie skończyły śniadanie i właśnie zebrały się wokół uchylonej klapy wjazdu prowadzącego do sypialni. Cała piątka przykucnęła w milczeniu i patrzy na to, co dzieje się w pokoju.

Producentka wykonawcza naciska broszkę-mikrofon.

– Sereno do montażowni. Przełączcie się natychmiast na sypialnię dziewcząt. Czuję, że czeka nas tam widowisko, może już się rozpoczęło, biorąc pod uwagę opóźnienie, z jakim dociera do nas sygnał, a nie chcę, by cokolwiek umknęło naszym widzom!

PLAN

Start + 159 dni, 21 godz., 15 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

– Léonor, czego szukasz w naszych rzeczach?

Odwracam się gwałtownie, serce podchodzi mi do gardła. Byłam tak zajęta przeszukiwaniem szaf, że nie usłyszałam podnoszącej się kłapy w suficie. Pięć twarzy przygląda mi się z podejrzliwością, być może już od dłuższego czasu.

Pospiesznie zamykam szafkę Safii.

Z moich ust wypływa potok słów przygotowanych wcześniej, na wypadek gdybym została przyłapana:

– Zgubiłam wstążkę! Myślę, że mogła przez przypadek wylądować w sterylizatorze i wymieszać się z ubraniami którejs z was w czasie ostatniego prania. Chciałam tylko sprawdzić, nie przeszkadzając nikomu.

Safia piorunuje mnie oskarżycielskim spojrzeniem, w którym widać zawód – a może to wyzwanie?

– Co ty wymyślasz z tą wstążką? – rzuca ostro. – Powiedziałam ci przecież, że to nie ja wzięłam tę...

– Zamknij się!

To, co wydobywa się z moich ust, to nie krzyk, to wściekłe ujadanie! Nie wolno jej mówić o telefonie, nie przy dziewczynach, nie przed kamerami, muszę ją powstrzymać za wszelką cenę!

– Zamknij się albo pożałujesz... – ostrzegam, sycząc przez zęby na oczach dziewczyn, które patrzą na mnie, jakbym kompletnie sfiksowała.

– Co się dzieje, Léonor? – pyta Kris, a na jej twarzy maluje się takie samo przerażenie, jak wtedy, przed pięcioma miesiącami, gdy spuściłam jej na głowę klapę w łazience. Odwraca się do Safii. – Co jej się stało?

Hinduska kręci głową.

– Dostała paranoi. Świruje. Myślę, że naprawdę powinnam z wami o tym porozmawiać, dla jej dobra...

Nie pozwalam jej powiedzieć nic więcej.

Rzucam się na drabinę i chwytam szarfę zwisającą z szafranowego sari Safii. Wokół jej szyi zaciska się węzeł jak pętla, którą zawiązuje sobie samobójca – nie pozwala jej wypowiedzieć ani słowa więcej.

W tej samej chwili trzy ekrany w pokoju włączają się, wyświetlając po raz ostatni czołówkę programu Genesis.

Dziewczyny próbują przekrzyczeć donośne, ogłuszające głosy Jimmy’ego Gianta i Stelli Magnifiki, które rozbrzmiewają w pokoju, zwiększając jeszcze moją dezorientację i panikę.

– Przestań!

– *You skyrocketed my life.*

– Udusisz ją!

– *You taught me how to fly.*

– Zabijesz ją!

– *Higher than the clouds, higher than the stars.*

Nim zdążę wypuścić szarfę, Kelly popycha Safię w dół przez właz, aby rozluźnić węzeł, który zaciska się na jej szyi. Hinduska spada na podłogę tuż obok, a Kanadyjka rzuca się na mnie całym swoim ciężarem. Czuję, jak jej pomalowane różowym lakierem paznokcie wbijają się w moje ciało. Wrzeszczy mi do ucha na całe gardło:

– Puść ją! Puść ją! Puść ją!

Czyjeś ręce ciągną mnie za włosy, inne rozrywają moją muślinową sukienkę. Słyszę złowieszczy dźwięk rozdieranego materiału.

Czuję powiew powietrza na nagiej skórze, na nagich ramionach.

W tej chwili kończy się czołówka programu i wszystkie dziewczyny nagle milkną.

Patrzę na mnie z przerażeniem.

Na podłodze leży nieruchome ciało Safii, w pozycji, w jakiej upadła.

Wskakuję na drabinę, podczas gdy straszny głos Salamandry syczy mi do ucha:

(Musiałam długo czekać, ale było warto...)

Przebiegam przez salon z oczami pełnymi łez i tylko jedną myślą w głowie: odejść jak najdalej stąd. Ale to nic nie da, bo nie mogę uciec z Cupido, nie mogę uciec przed Salamandrą.

(Ostatecznie zwycięstwo jest moje...)

Przebiegam przez łazienkę i rzucam się na drabinę prowadzącą do siłowni, łamiąc sobie paznokcie o szczebelki...

(A ty przegrałaś...)

... moje obcasy zahaczają o matę do jogi, pęka zapięcie przy kostce, padam na podłogę.

(Tym razem już się nie podniesiesz...)

POZA PLANEM

**Plot willi Sereny McBee, Long Island, stan Nowy Jork,
sobota 9 grudnia, godz. 11.05**

– Och! Widziałeś to?!

Na dzikim kempingu powstałym przy ogrodzeniu posiadłości Sereny McBee rozlega się przerażony krzyk. W porównaniu z tłumem, który oblegał to miejsce jeszcze dwa tygodnie temu, gdy pani domu przebywała w willi, została tylko garstka fanów. Są to jednak ci najbardziej oddani, którzy pierwsi chcą zobaczyć, jak ich gwiazda wraca do domu po lądowaniu astronautów na Marsie.

Tymczasem jednak nie pora na hymny pochwalne na cześć wielkiej Sereny – obozowicze wychodzą jeden po drugim ze swoich samochodów i przyczep, machając telefonami i tabletami.

– To straszne!

– Léonor oszalała!

– Safia wcale się nie rusza!

Kanał Genesis jest włączony także na laptopie Andrew Fishera położonym na desce rozdzielczej kampera. Ale chłopak nie ogląda programu. Przez przyciemnioną przednią szybę obserwuje płot willi McBee.

Ogrodzenia pilnuje tylko dwóch strażników. Obydwaj przykleili nosy do swoich telefonów komórkowych, zafascynowani tragedią rozgrywającą się z sześciominutowym wyprzedzeniem pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów nad ich głowami.

– Teraz... – szepcze Andrew.

Wkłada puchową kurtkę, chowa laptopa do plecaka i wychodzi z kampera.

Ludzie wokół w ogóle go nie zauważają. Jakby był przezroczysty.

W tej chwili oczy pięciu miliardów osób są wbite w przestrzeń kosmiczną, choć ani jedna nie podnosi głowy ku niebu. Wszystko dzieje się za pośrednictwem ekranów. A skoro Andrew nie pojawia się na żadnym z nich, nikt nie może go zobaczyć.

Po cichu wspina się na ogrodzenie za choinką, którą wypatrzył przed kilkoma tygodniami, po czym lekko zeskakuje na świeży śnieg pokrywający ogrody willi McBee.

PLAN

Start + 159 dni, 21 godz., 40 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

Nagle rozlega się dźwięk jak skrzypnięcie drzwi albo fałszywa nuta zagrana na skrzypcach. Mój wzrok błądzi po podłodze siłowni wysmarowanej ciepłą, lepką krwią – rozcięłam sobie brew przy upadku.

Para czarnych błyszczących oczu przygląda mi się spod bieżni.

Widmo, które wznosi swój żałobny lament?

Nie, to Louve. Psina skomle, patrząc na mnie. W końcu wyłazi z kryjówki, a w białym pysku trzyma jakiś paperek, który składa przy mojej twarzy jak ofiarę. To karta do gry. Król kier, który zaginał, gdy grałyśmy w taroka na początku podróży. Fangfang oskarżała Kelly, ale to suczka go zwinęła.

– Louve... – szepczę, szlochając.

Czołgam się w kierunku bieżni. Z góry nie sposób dostrzec wnęki pod nią ani w ogóle domyślić się jej istnienia. Ale teraz, gdy leżę na podłodze, widzę wyraźnie wszystkie przedmioty, które Louve skradła przez te pięć miesięcy i schowała w swoim tajnym legowisku:

skarpetki bez pary,

zapasową kaszmirową kołdrę,

starą, zużytą gąbkę,

telefon Rubena Rodrigueza.

– *Léonor?* – rozbrzmiewa głos Sereny McBee z dwunastu ekranów w siłowni. – *Co się z tobą stało, Léo? Co to za napad szału? A przede wszystkim: czy naprawdę chcesz przegapić swoją ostatnią randkę? Odliczanie wsteczne już się rozpoczęło!*

Półprzytomna wsuwam rękę pod bieżnię.

Palce zaciskają się na przedmiocie, który od tygodnia zaprzęta wszystkie moje myśli. Przysuwam go do siebie po podłodze, przykrywając dłonią, by nie dostrzegły go kamery.

– Już jestem, Sereno – mówię, wstając, z komórką ukrytą w dłoni między fałdami rozdartej sukienki. – Jestem gotowa.

Wierzchem drugiej dłoni wycieram krew płynącą z rozciętej brwi – nawet nie czuję bólu. Później wspinam się boso po ostatniej drabince i zanurzam w segmencie łączącym przedział mieszkalny z Kulą Spotkań – rurze o niespełna metrowej długości, jedynym miejscu na statku, gdzie z całą pewnością nie zobaczą mnie kamery. Tam skulona włączam telefon komórkowy.

Na ekranie pojawia się ostatnie zdjęcie, które widziałam w zeszłym tygodniu: Ruben Rodriguez w kurtce programu Genesis. Wskaźnik baterii w górnym rogu miga złowieszczo na czerwono. Aparat ledwo zdążył się naładować, nim skradła go Louve, zapewne zwabiona zapachem swojego pana.

Bzzz! Pierwsze ostrzeżenie. Jeśli ostatnim razem dobrze policzyłam, po ósmym *bzzz* komórka zgaśnie.

Przesuwam zakrwawiony palec po ekranie telefonu, by przejść do kolejnego zdjęcia.

To zrzut ekranu.

Czy mówiąc dokładniej, fotografia przedstawiająca ekran komputera, na którym wyświetla się prezentacja w postaci slajdów. Tytuł wielkimi literami głosi: „RAPORT NOEGO”.

Poniżej czerwoną czcionką zaznaczono: „ŚCIŚLE TAJNE”.

Bzzz! Oddychając ciężko, przechodzę do następnego zdjęcia, powiększam je, aby przeczytać, co jest napisane na kolejnym slajdzie.

„STRESZCZENIE RAPORTU: Czujniki wskazują, że sześć par szczurów, jaszczurek i karaluchów

wysłanych potajemnie w siódmym module mieszkalnym przetrwało osiem miesięcy w warunkach marsjańskich, rozmnażając się z częstotliwością zbliżoną do tej, jaka panuje w warunkach ziemskich. Ale na początku dziewiątego miesiąca wszystkie żywe organizmy nagle zginęły z niewyjaśnionych przyczyn”.

Bzzz!

„WNIOSEK: W obecnej sytuacji aż do wyjaśnienia, co spowodowało niewytłumaczalną śmierć zwierząt doświadczalnych, należy uznać, że moduły mieszkalne na Marsie nie są technicznie przygotowane do zapewnienia długotrwałego podtrzymywania funkcji życiowych organizmów”.

Bzzz!

Serce zamiera mi w piersi.

Mój palec zawisa nad ekranem, niezdolny do przesunięcia kolejnego slajdu. I tak wszystko jest już jasne, napisane czarno na białym: „nagle zginęły”, „nie są technicznie przygotowane do zapewnienia podtrzymywania funkcji życiowych”.

Bzzz!

Po raz tysięczny odtwarzam w pamięci obraz Rubena Rodrigueza, który rzuca się na mnie, krzyżąc: „Nie możesz...!”. Po raz pierwszy w pełni rozumiem sens tego ostrzeżenia, które jest straszniejsze niż wszystko, co mogłam sobie wyobrazić.

Ruben Rodriguez znał ten raport. Jego nazwisko figuruje u dołu strony obok nazwisk dyrektora technicznego i nauczyciela biologii: „OPRACOWANIE: G. Lock, A. Dragovic, R. Rodriguez”.

Bzzz!

– *Léonor, na co ty czekasz?* – dochodzi do mnie głos Sereny z siłowni poniżej. – *Ciągle tkwisz w segmencie łączącym. Czy dostałaś się wreszcie do Kuli Spotkań? Obrazy ze statku docierają do nas do montażowni z trzypięciominutowym opóźnieniem, to bardzo irytujące... Musimy też trzymać się harmonogramu, a szybka randka powinna się już zakończyć. Jeśli nie zjawisz się w Kuli za kilka chwil, będę zmuszona odwołać twoje ostatnie spotkanie.*

Bzzz!

Wstrzymuję nudności, które ogarniają mnie na dźwięk głosu Sereny, i wyduszam z siebie zachrypnięte:

– Już idę!

Chowam telefon w dłoni, ściskając go mocno jak talizman, który daje siłę.

Każdy krok wymaga nadludzkiego wysiłku.

Ale mimo wszystko przesuвам się do przodu.

Popycham klapę.

I wchodzę do szklanej kuli, przez którą widać Marsa tak ogromnego, że przesłania prawie jedną czwartą widoku: gigantyczna kula czerwonej ziemi przecięta straszną blizną Valles Marineris, na której dnie czeka już nasz grób.

Telefon w zagłębieniu mojej dłoni umiera po raz drugi – *bzzz! bzzz! bzzz!*

KANAL GENESIS

Sobota 9 grudnia, godz. 11.16

Na ekranie pojawia się Léonor, rozczochrana, z szeroką smugą zaschniętej krwi biegnącą od łuku brwiowego do ust. Zamyka za sobą klapę, po czym gwałtownie zasłania pierś ramieniem. Rozdarta od szyi aż do biodra sukienka odsłania całe prawe ramię, kawałek piersi i białe wcięcie talii. Muślinowa spódnica wściekle łopocze, łagodne fale zmieniły się w gwałtowne tsunami.

W dole ekranu wyświetla się napis: STO TRZYDZIESTE ÓSME SPOTKANIE W KULI. GOSPODYNI: LÉONOR, LAT 18, FRANCJA, SPECJALISTKA W DZIEDZINIE MEDYCYNY (OPÓŹNIENIE W ŁĄCZNOŚCI – 6 MINUT I 4 SEKUNDY).

Serena (głos z offu): *Léonor, moja kochana, moja piękna! Co ci się stało? Co tam się wydarzyło? Ta szarpanina... Powiedz mi, jesteś ranna?*

Léonor (świdruje kamerę wzrokiem spod swoich wzburzonych, nieokiełznanymi loków. Jej spojrzenie jest ostre, wojownicze i pełne pytań): *To nic, nie martw się. Zwykle głupstwo. Pokłóciłyśmy się... z powodu chłopców.*

Upływa sześć długich minut, ciężkich jak ołowiane krople, nim kłamstwo Léonor pokona swą drogę aż na Ziemię, a odpowiedź wróci do szklanej kuli.

Serena (wykrzykuje wzruszonym głosem): *Z powodu chłopców oczywiście! To normalne, że emocje biorą górę u kresu tak długiej podróży, tak poważnej rywalizacji. To zupełnie zrozumiałe. Ale kiedy już będziecie mężatkami, znów staniecie się najlepszymi przyjaciółkami, wierz mi! A tymczasem nie martw się, Léonor, mimo wszystko wyglądasz wspaniale. Ta krwawa plama doskonale pasuje do koloru twoich włosów i sukienki... Jesteś niczym walkiria, która wyszła prosto z opery Wagnera. Powiedz nam, bo czas ucieka: czy możemy zawołać Marcusa, który czeka przy wejściu do wjazdu?*

Léonor (jej usta ledwie się uchylają): *Nie. Nie Marcusa. To Mozarta chcę dzisiaj zaprosić.*

Serena (po sześciu minutach oczekiwania jej głos, który dociera do Kuli, brzmi niemal jak orgastyczny pisk): *Cóż za nieoczekiwany zwrot akcji! Drodzy widzowie, zapomnijcie o Wagnerze! W tym finale godnym najwspanialszej opery zobaczycie Mozarta!*

Kiedy w szklanej kuli rozbrzmiewają werble, Léonor pozostaje nieruchoma, z prawą ręką przyciśniętą do piersi i lewą schowaną między fałdami spódnicy, aż po drugiej stronie pojawia się ten, którego zaprosiła.

Chłopak ma na sobie zwykłą sportową koszulkę i szorty, które odsłaniają muskularne nogi. Kamera robi zbliżenie na jego drżącą od emocji twarz.

Mozart: *Léonor... Nie przebrałem się. Nie przypuszczałem, że możesz mnie zaprosić na swoją ostatnią randkę. Byłem pewien, że zaprosisz Marcusa... (Nagle zdaje sobie sprawę ze stanu Léonor. Jego ocienione długimi rzęsami oczy otwierają się szeroko). Ale... kto ci to zrobił?*

Léonor: *Sama jestem sobie winna. (Bez poruszania rękami, machając tylko gołymi nogami pod muślinową sukienką, przepływa ku szklanej przegrodzie). Chodź!*

Mozart (odpowiadając na wezwanie, natychmiast rusza w jej stronę, zwinnie i szybko doskakuje do dzielącej ich szyby): *Przepraszam, Léonor... (Szepcze). Przepraszam, że ci nie wierzyłem. Ja... ja źle wszystko zrozumiałem. Byłem przekonany, że wybrałaś Marcusa. Myliłem się, prawda?*

Zbliżenie na Léonor. Jej twarz jest pełna zdecydowania niczym wyrzeźbiona w granicie, jej głos brzmi jak spiszowy dzwon.

Léonor: *Mozart, jesteś specjalistą od nawigacji. Musisz mi powiedzieć, czy jest jakiś sposób, byśmy wrócili na Ziemię.*

Na twarzy Brazylijczyka zastyga grymas niezrozumienia.

Mozart: Co?

KONTRPLAN

Schron przeciwatomowy, baza na przylądku Canaveral, sobota 9 grudnia, godz. 11.31

Gordon Lock zrywa się z krzesła, trzęsąc się na całym, mierzącym metr i dziewięćdziesiąt pięć centymetrów, ciełe.

– Co ona znowu opowiada?! – grzmi. – Wrócić na Ziemię?! To jakieś kompletne szaleństwo! Sereno, zrób coś! Każ jej się zamknąć!

– Kazać jej się zamknąć? – powtarza producentka wykonawcza, wyprostowana w swoim skórzanym fotelu, z oczami błyszczącymi z podniecenia. – Nigdy w życiu! Wręcz przeciwnie, ona musi mówić! Nie rozumiesz, Gordonie? To finałowa aria opery, najpiękniejsza scena ostatniego aktu, najbardziej rozzdzierający fragment! Załamanie Léonor, która nie chce się przyznać do tego, kim naprawdę jest, która żałuje wszystkiego: że wysłała swoje zgłoszenie, swych marzeń o sławie, nadziei, że znajdzie miłość. Mój Boże, spójrz na słupki oglądalności! Nigdy nie mieliśmy tylu widzów!

Ale czy widoczna na głównym ekranie cyfrowej ściany Léonor rzeczywiście przeżywa załamanie? Czy może to Serena po raz pierwszy w życiu się myli?

Léonor (powtarza): Czy możemy wrócić na Ziemię, Mozart? Odpowiedz. Szybko.

Mozart (waha się przez chwilę, po czym odpowiada niepewnie): Tak, teoretycznie moglibyśmy... Kiedy statek wejdzie na orbitę Fobosa, mamy wsiąść do kapsuł i wylądować nimi na Marsie. Cupido poleci z powrotem na automatycznym pilocie. Wróci na Ziemię, by za dwa lata przywieźć kolejną grupę astronautów. Moglibyśmy zostać na pokładzie. Ale to byłoby samobójstwo. Nie mamy dostatecznej ilości pożywienia ani wody, ani tlenu, systemy odzyskiwania temu nie sprostają. Zapasy miały wystarczyć na podróż w jedną stronę. Gdybyśmy chcieli wrócić, po paru tygodniach umarlibyśmy z głodu, pragnienia i braku tlenu. Na Ziemię dotarłyby trupy. Nie mówiąc już o skandalu... Te wszystkie miliardy dolarów zmarnowane tylko po to, byśmy przelecieli się tam i z powrotem. To byłby kompletny absurd!

Léonor (po raz pierwszy od początku rozmowy odrywa lewą rękę od ciała i podnosi ją do szyby): Prawdziwy skandal jest zupełnie gdzie indziej. Zaraz sam zrozumiesz...

– Prosi go, żeby czytał z linii jej dłoni? – zastanawia się Odette Stuart-Smith, mrugając swymi małymi, krecimi oczkami zza grubasnych szkieł. – Teraz jakieś wróżby? W programie Genesis nie powinno być miejsca na takie rzeczy!... Wszystkie rude to wiedźmy. Nasi przodkowie dobrze to wiedzieli, dlatego palili je na stosach.

– Nie! – odpowiada Geronimo Blackbull. – Jej dłoń wcale nie jest pusta. Ona coś trzyma... – Odwraca się w stronę osoby, która powinna znać odpowiedź na wszystkie pytania. – Wiesz, co to jest, Sereno?

Siedząca w skórzanym fotelu Serena już się nie uśmiecha.

Gorączkowo naciska srebrną broszkę-mikrofon i rzuca rozkazy:

– Serena do montażowni. Natychmiast przerwać transmisję z Kuli Spotkań. Powtarzam: przestańcie na tych miast pokazywać Kulę Spotkań i przejdźcie na obraz z kamery B2R!

Po tych słowach obraz z Kuli znika z centralnego ekranu i pojawia się widok na salon chłopców, którzy czekają na zakończenie spotkania, nie domyślając się, co się dzieje nad ich głowami. Aleksiej, Tao i Samson są zajęci grą w karty. Kenji gra na swoim tablecie, podczas gdy Warden pochrupuje u jego stóp. Tymczasem Marcus chodzi w tę i w tę ze zmarszczonymi brwiami, wyraźnie zaniepokojony tym, że to nie on został zaproszony.

Na cyfrowej ścianie w schronie zapala się nowe okno, w którym ukazuje się twarz Samantha.

– Wykonaliśmy pani polecenie, pani McBee – mówi asystentka. – Ale pragnę zauważyć, że zegar

jeszcze nie skończył odliczania.

– Przecież wiem! Nie jestem ślepa! – warczy Serena. Po chwili jednak łagodniejszym głosem, próbując ukryć zdenerwowanie, dodaje: – Ty i cała ekipa pracowaliście bardzo ciężko przez te ostatnie miesiące. Zasłużyliście na krótką przerwę. Zwłaszcza że ja też chciałabym zakosztować przyjemności montowania programu w czasie ostatniej randki. Sama skończę realizację dzisiejszej emisji.

Samantha otwiera usta, by coś powiedzieć, ale Serena nie daje jej na to czasu – przyciska czerwony guzik na środku panelu sterowania.

Twarz asystentki natychmiast znika, a w jej miejsce u góry cyfrowej ściany pojawia się czerwony świecący napis: „WPROWADZONO ZARZĄDZANIE KRYZYSOWE”.

– Co robisz, Sereno? – pyta Gordon Lock, a jego czoło oblewa zimny pot.

– Robię to, co konieczne. Kieruję cały strumień danych z Cupido do tego bunkra.

– Ale... dlaczego?

– Dlatego!

Serena zrywa się z fotela i rusza w stronę cyfrowej ściany. Kładzie palec na jednym z najwyżej położonych okien, G5Z, pokazującym widok z kamery umieszczonej u szczytu Kuli Spotkań po stronie dziewcząt, i nerwowo stuka w nie palcem, aż zbliżenie staje się odpowiednio duże, by mogła dostrzec, co Léonor trzyma w ręce – to telefon komórkowy.

Na jego ekranie pojawiają się trzy linijki tekstu:

WYKRYTO ŹRÓDŁO ŚWIATŁA: 10 000 LUMENÓW

CZAS POTRZEBNY DO PEŁNEGO NAŁADOWANIA BATERII: 1 GODZINA

TELEFON WŁĄCZY SIĘ ZA: 10 MINUT

Mozart (wydaje się kompletnie zaskoczony): To chcesz mi pokazać? Telefon? Nie rozumiem, gdzie tu skandal, poza tym, że nie wolno nam ich mieć na pokładzie statku.

Głos chłopaka jest pełen niepewności. Wie, że nie został wezwany do Kuli z powodu, o którym marzył. Już raz został zraniony. Teraz jest nieufny.

Ale dziewczyna nadal macha telefonem, kierując ekran w stronę rażącego światła lamp, które oświetlają Kulę.

Léonor (tłumaczy): Chcę ci pokazać, co jest w tym telefonie. I co organizatorzy programu Genesis chcieli przed nami ukryć, a taki jeden facet, Ruben Rodriguez, próbował mi powiedzieć. To raport Noego, który stwierdza, że za dziewięć miesięcy wszyscy będziemy martwi.

– Nie! – wykrzykuje Geronimo Blackbull.

– To niemożliwe! – ryczy Archibald Dragovic.

– Osobiście zniszczyłem plik z raportem Noego, kiedy postanowiliśmy z Atlas Capital, że nigdy nie powinien wyjść na światło dzienne! – protestuje Gordon Lock.

– Najwidoczniej Ruben, ta cholerna gnida, sfotografował raport przed skasowaniem, na pamiątkę – mówi Serena lodowatym tonem. – Geronimo, ty byłeś na jego kremacji. Czy znalazłeś w domu jakieś kopie tych zdjęć?

Podstarzały rockman bełkoce kilka słów, podczas gdy jego ciało zdaje się drżeć od stóp aż po końcówki włosów zwisających żałośnie po bokach twarzy.

– Ja... nie wiem... Nie sędzę... Sformatowałem twardy dysk w komputerze Rubena, żeby wszystko wykasować, ale nie patrzyłem, co tam było... nie miałem czasu...

W napadzie paniki Roberto Salvatore podrywa swoje ciężkie ciało z krzesła i rzuca się do skanera siatkówki, który strzeże dostępu do drzwi bunkra.

Serena tupie obcasem w podłogę.

– Spokój! Ucieczka nic tu nie pomoże!

Jednak Roberto jest zbyt spanikowany, żeby słuchać. Po tym, kiedy przesuwne drzwi bunkra wreszcie się otwierają, desperacko rusza pędem przez korytarz ku windzie prowadzącej na

powierzchnię.

Odette Stuart-Smith już się podnosi, by pójść w jego ślady, ale Serena jednym słowem usadza ją na miejscu.

– Stop!

Pierś producentki unosi się i opada w regularnych odstępach. Stosuje własną technikę relaksacyjną opartą na oddechu.

– Wszystko jest pod kontrolą – dodaje całkowicie uspokojonym, pewnym i autorytarnym głosem, który natychmiast przywraca ciszę w bunkrze i każe trzęsącej się Odette z powrotem usiąść na krześle.

Serena wskazuje centralny ekran, na którym widać to, co transmituje kanał Genesis.

– W tej chwili widzowie mają podgląd wyłącznie na salon chłopców. Tak samo pracownicy sali kontroli i montażowni nad naszymi głowami. Na Ziemi nikt oprócz nas nie słyszał, jak Léonor wspomina o raporcie Noego. Nikt nie może zobaczyć, co dzieje się teraz w Kuli Spotkań. I tak pozostanie, dopóki nie rozwiążemy naszego małego problemu.

Zdecydowanym gestem zmniejsza centralne okno z kanałem Genesis i powiększa to wyświetlające obraz z kamery w szklanej kuli, który mogą zobaczyć jedynie zebrani w bunkrze.

Następnie podnosi mikrofon do ust.

– Léonor, tutaj Serena. Słyszysz mnie?

PLAN

Start + 159 dni, 22 godz., 2 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

– Dlaczego mnie dzisiaj zaprosiłaś? – pyta Mozart, przesywając mnie spojrzeniem ostrym jak nóż.

– Powiedziała ci! Telefon! Raport Noego!

Ale to nie jest odpowiedź, jaką Mozart chce usłyszeć.

– Myślałem, że chcesz mi powiedzieć, że mam jeszcze u ciebie szansę... – szepcze z goryczą. – Ale teraz rozumiem, że znów grasz w te swoje gierki, by ostatni raz zabawić się w uwodzicielkę.

– Nie, Mozart! To nie jest gra!...

Nim zdążę powiedzieć więcej, w Kuli rozbrzmiewa głos niczym grom z jasnego nieba.

– *Léonor, tutaj Serena. Słyszysz mnie?*

Podnoszę wzrok i rozglądam się dookoła po szklanej kuli. Głos Sereny wysłany z Ziemi trzy minuty temu zdaje się dochodzić ze wszystkich stron naraz.

– *Nie wiem, gdzie znalazłaś ten telefon, przedmiot surowo zakazany w programie Genesis, przypominam ci...*

Zdaje się dochodzić z czarnej głębi kosmosu, z gwiazd, które wysyłają cenne luminy w stronę fotowoltaicznego ekranu komórki, z Marsa z jego wielkim kanionem, który wygląda jak krwawy grymas na czerwonej twarzy planety.

– *Nie wiem, co w niej znalazłaś, ale zapewniam cię, że to nieporozumienie. Słyszysz mnie, Léonor? Wyobrażasz sobie niestworzone rzeczy zupełnie bez powodu!*

– Słyszę cię doskonale, Sereno. Lepiej niż kiedykolwiek. Bez filtra naiwności słyhać o wiele lepiej. Co do telefonu, nieważne, gdzie go znalazłam. To nie ty powinnaś zadawać teraz pytania. Poczekaj kilka minut, aż telefon się włączy, i wtedy przekonasz się, czy rzeczywiście moja reakcja jest nieuzasadniona.

Ale Serena nie zamierza czekać, nie tym razem. Kiedy moje słowa mkną do niej z prędkością światła, nie przestaje mówić:

– *Powinnaś się raczej przejmować z prawdziwego powodu – rzuca tonem pełnym nagany. – Sprawa jest poważna. Ta biedna Safia nie wstała na nogi od czasu swego upadku. Wyobraź sobie, że przez ciebie może umrzeć!*

Przygniata mnie poczucie winy, kiedy myślę o białym ciele Safii leżącym bez ruchu na podłodze w sypialni, z szyją okręconą szarfą sari. Nie żyje? Czy to możliwe, czy Serena mówi tak tylko po to, bym się załamała? Gdyby Safia naprawdę była martwa albo poważnie ranna, prowadząca program powinna mnie była o tym poinformować, kiedy wchodziłam do Kuli Spotkań, a nie dopiero teraz... Ona blefuje, prawda?

Po drugiej stronie pancерnej szyby Mozart patrzy na mnie badawczo, próbując wyczytać z mojej twarzy jakiegokolwiek wyznanie. Wszystko we mnie krzyczy i pragnie rzucić się do sypialni, by ratować Safię. Ale jeśli to zrobię, stracę kontrolę nad sytuacją. Kulę Spotkań dzielą od sypialni cztery piętra, gdzie wszystko może się zdarzyć. Gdzie Serena może zrobić wszystko, by mnie uciszyć. Podczas gdy tu, naprzeciw Mozarta, mogę mówić. Muszę tu zostać. To być może moja jedyna szansa, by uratować dwunastu pasażerów, a nie tylko jednego.

– To, co się stało Safii, to twoja wina! – krzyczę.

Moje krzyki gubią się w kosmicznej próżni i dotrą do adresatki dopiero za trzy minuty, Serena jednak kontynuuje swą przemowę:

– *Widzowie oszczędzają cię w tym momencie, Léonor. Czy naprawdę takie widowisko pragniesz im pokazać, wariatkę, która chce zawrócić? Obląkaną dziewczynę w szale paranoicznych urojeń, która robi*

z siebie pośmiewisko przed całym światem? Wracaj na dół do koleżanek i przestań robić sceny. Twoje sześć minut już dawno upłynęło. Spotkanie skończone. Wyłączam dźwięk.

Słowa Sereny śmierzdzą kłamstwem na odległość. Chce tylko zyskać na czasie, czuję to.

– Nie próbuj mi wmówić, że nasza rozmowa jest teraz transmitowana na kanale Genesis! Nie udawaj, że nic nie wiesz o raporcie Noego i człowieku, do którego należy ten telefon, Rubenie Rodriguezie! Jestem pewna, że wiesz. Dość tych kłamstw! Już ci nie wierzę! Nie wierzę ci!

Mozart po drugiej stronie szklanej przegrody zdaje się nieosiągalny, jakby odległość, która nas dzieli, była większa niż ta między Ziemią a Marsem. Jadowite słowa Sereny zatrwały jego umysł i teraz między nami jest tylko cisza.

Walę pięścią w pancerną szybę i wrzeszczę:

– Nie odchódź! Za pięć minut telefon się włączy!

Mozart drży na całym ciele, rozdarty między gniewem a wątpliwościami. Jego usta się poruszają, ale nie mogę usłyszeć, co mówi, ponieważ łączność między połowami Kuli została przerwana.

W tej chwili kobieta, którą jeszcze tydzień temu traktowałam jak matkę, wbija mi nóż w serce. Robi to słodkim, fałszywie współczującym głosem, jakby trzymała sztylet w aksamitnej rękawiczce.

– *Nie miej jej tego za złe, Mozarcie. Jej gierki, jak je nazywasz, to tylko nieudolna strategia obronna. Widzisz, Léonor ma bolesny problem. Kwalifikując ją do programu, myślałam, że daję jej drugą szansę, tak samo jak tobie i wszystkim pozostałym. Nie zorientowałam się, jak krucha jest jej psychika. Mea culpa. Myślę, że już czas, byś poznał sekret Léonor. Powód, przez który nie chce zejść na powierzchnię Marsa i woli zostać na pokładzie statku, wrócić do punktu wyjścia. Woli pójść na pewną śmierć, niż stawić czoło prawdzie o sobie samej. Powinna pokazać ci swoje plecy, swoją drugą, nieznaną stronę, zamiast próbować odwrócić twoją uwagę telefonem, który miał cię tylko zmylić. No dalej, Léonor, odwróć się.*

Straszny głos Sereny odbija się echem w szklanej kuli: *Odwróć się, moja droga. Odwróć się.*

Jeszcze głośniejsze odbija się w mojej głowie, łącząc się z głosem Salamandry.

(Odwróć się!)

(Odwróć się!)

(Odwróć się!)

Ale to Mozart pierwszy odwraca się do mnie plecami.

– Zaczekaj! – wrzeszczę na całe gardło. – Jeszcze minuta i komórka się włączy! Minuta i zrozumiesz!

Nie słyszy mnie.

Bezradnie patrzę, jak w milczeniu odpływa w głąb szklanej bańki, za którą widać ogromną czerwoną, świecącą planetę. Podnosi klapę i wchodzi do włazu, nie oglądając się za siebie. Postanowił nie zawracać, lecz iść ku swemu przeznaczeniu.

I wtedy właśnie on pojawia się po raz pierwszy – księżyc Marsa.

Wyłania się zza Czerwonej Planety, biegnąc po orbicie, do której zbliżamy się z każdą sekundą. To czarna, błyszcząca skała o nieregularnym kształcie, pokancerowana, ze śladami po uderzeniach meteorytów. Światło Słońca wydobywa ostre cienie dwóch największych kraterów, nieodparcie przywołując na myśl puste oczodoły gołej czaszki.

Fobos.

Strach.

To najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu widziałam – tak, straszniejsza i obrzydliwsza niż Salamandra!

KONTRPLAN

Schron przeciwoatomowy, baza na przylądku Canaveral, sobota 9 grudnia, godz. 11.38

Serena przeskakuje na przeciwległy koniec cyfrowej ściany i klika w okno ukazujące siłownię chłopców. Mozart, odkąd opuścił Kulę Spotkań, wyładowuje swoją wściekłość na worku treningowym. Wygląda jak mała woskowa figurka w domku dla lalek, z którą kapryśne dziecko może zrobić, co tylko chce. Dziecko o twarzy w nieokreślonym wieku, srebrnych włosach i jasnozielonych oczach, które szepcze do mikrofonu:

– Mozart, tu Serena. Słuchaj mnie dobrze, bo czas nagli. Wiem, że załamanie Léonor jest dla ciebie bolesne mimo wszystkiego, co przez nią przeszedłeś, bo jesteś bardzo dobrym człowiekiem. Ale jest z nią źle. Sam widziałeś. Zaatakowała koleżanki. Najpierw Kirsten, a teraz Safię. Próbowła tobą manipulować, żebyś odmówił pilotowania kapsuły chłopców. Kto wie, co zrobi dalej? Może targnie się na swoje życie? Zrobię wszystko, by ją uspokoić i przemówić jej do rozsądku, wykorzystując umiejętności zawodowe. Ale nie wolno mi teraz przeszkadzać. Rozumiesz, prawda? Nie musisz odpowiadać. Kiedy otrzymasz tę wiadomość za trzy minuty, będę już z nią rozmawiać w Kuli Spotkań. Liczę po prostu na twoją dyskrecję. Nie mów nikomu o niepoczytalności Léonor. Jeśli naprawdę ci na niej zależy, pozwolisz jej się wytłumaczyć, kiedy już odzyska zdrowy rozsądek, nie pogrążając jej przed pozostałymi chłopcami i widzami bardziej, niż sama to zrobiła. Pozwól mi na piętnaście minut rozmowy z Léonor sam na sam. To wszystko, o co proszę.

Jednym ruchem ręki Serena odsuwa okno z widokiem na siłownię, w której znajduje się Mozart, a później drugim przerywa transmisję z salonu chłopców z głównego okna na cyfrowej ścianie.

Ekran z transmisją na kanale Genesis jest zupełnie pusty.

POZA PLANEM

Ekran telewizora, gdzieś na Ziemi... sobota 9 grudnia, godzina 11.39

– *To grom z jasnego nieba! W tej chwili po raz pierwszy od początku programu Genesis nie mamy żadnych wiadomości z Cupido! Czarny ekran! Co się dzieje? Dlaczego spotkanie Mozarta i Léonor zostało tak nagle przerwane? Czy ma to związek z atakiem szału, który zdarzył się Francuzce tuż przed wejściem do Kuli Spotkań?*

Prezenter wiadomości, który wyrzuca z siebie te wszystkie pytania z prędkością karabinu maszynowego, zdaje się poważnie zaniepokojony. Na ekranie za jego plecami wyświetlają się ostatnie sceny pokazane na kanale Genesis, nim program został przerwany: Léonor ciągnie za szarfę Safii, Léonor walczy na podłodze z Kelly, Léonor wchodzi zakrwawiona do Kuli Spotkań, nagle przejście do salonu chłopców zaledwie w połowie randki.

Zmiana kanału.

Na ekranie przesuwają się obrazy na żywo z różnych krajów.

Napisy na pasku: NOWY JORK, USA.

Ogromne tłumy wyległy na słynny Times Square, aby wspólnie obejrzeć ostatnią randkę Léonor z Marcusem, której wszyscy się spodziewali. W rękach zebranych wciąż tkwią amerykańskie i francuskie chorągiewki, ale nikt nie ma już ochoty nimi machać. Nikt nie ma też serca unosić plakatów z fotomontażem ściskającej się amerykańsko-francuskiej pary. Wręcz przeciwnie, wielu fanów wyjęło z kieszeni czarne markery i z wściekłością zamazało twarz Léonor.

Napisy na pasku: RIO DE JANEIRO, BRAZYLIA

Tysiące ludzi zebrały się pod pomnikiem Chrystusa Odkupiciela, który króluje nad miastem ze wzgórza Corcovado. Za statuą wzniesiono gigantyczną tymczasową budowlę – to atrapa Cupido, którego skrzydła wielkością dokładnie odpowiadają rozpostartym ramionom słynnego posągu. Większość pielgrzymów uklękła do modlitwy. Orkiestra, która grała Dziewczynę z Ipanemy, odkłada instrumenty.

Napisy na pasku: BOMBAJ, INDIE

W Bombaju jest noc, ale panuje ruch większy niż za dnia. Piesi, rikszarze i święte krowy przemieszczają się ulicami na plac, gdzie wywieszono wielkie plakaty przedstawiające Safię. Na twarzach maluje się przerażenie. Kobiety wyciągają ręce w kierunku mrocznego nieba, płaczą i skręcają się z bólu, jakby właśnie straciły własną córkę. Niektórzy mężczyźni reagują inaczej: drą francuskie flagi, grożąc zemstą.

Zmiana kanału.

Dyskusja zebranych naprędce zatroskanych ekspertów z dziennikarzem, który nerwowo przegląda notatki.

– *... być może to burza magnetyczna spowodowała zakłócenia – sugeruje jeden z ekspertów niepewnym głosem. – Rozbłyski słoneczne mogą czasem powodować takie zakłócenia łączności...*

Dziennikarz przerywa:

– *Profesorze, a co pan myśli o głosach, które podnoszą się na portalach społecznościowych, że to Serena McBee świadomie przerwała transmisję, by oszczędzić widzom sceny rzezi spowodowanej napadem szału Francuzki?*

– *To możliwe...*

– *A głosy twierdzące, że Léonor wysadziła statek w powietrze?*

– *Sądzę, że możemy wykluczyć tę hipotezę, ponieważ zgodnie z właśnie otrzymanym komunikatem prasowym Cupido wkrótce wejdzie na orbitę okołomarsjańską.*

Zmiana kanału.

Reporterka z bezsilnością wypisaną na twarzy stoi na placu Gwiazdy, tak zatłoczonym, że jakkolwiek ruch jest niemożliwy. Za jej plecami wznosi się Łuk Triumfalny, z którego wciąż zwisa ogromny baner przedstawiający Léonor w skafandrze astronauty ze zwróconą ku niebu twarzą jaśniejącą promiennym uśmiechem.

– Tutaj, w Paryżu, wszyscy są zszokowani! – wrzeszczy reporterka do mikrofonu, próbując przekrzyczeć hałas. – Francuzi nie rozumieją, dlaczego ich reprezentantka zachowała się w ten sposób.

Odwraca się do stojącej obok dziewczyny.

– Dlaczego tu dzisiaj przysłaś?

– Aby wspierać Léonor! Jest pod zbyt wielką presją, biedaczka. To już ostatnia randka i wkrótce wylądują na Marsie. To dużo jak na jeden dzień! To zrozumiałe, że puściły jej nerwy! Wszyscy jesteśmy z Léo! Nie możemy porzucić naszej narodowej Leopardzicy!

Dystygowana starsza pani postanawia wtrącić swoje trzy grosze.

– Ta Léonor to hańba dla naszego kraju! Terrorystka!

– Racja! – zgadza się starszy mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu, z twarzą wykrzywioną gniewem. – Co o nas pomyślą sąsiedzi? Francuzi nie są tacy!

– Zamknij się, dziadku! – krzyczy grupa młodych ludzi z ufarbowanymi na rudo włosami. – Niech żyje Léo! Niech żyje czerwony olbrzym!

Dwie strony sporu są już gotowe przejść do rękoczynów, gdy nagle podnosi się krzyk:

– Och! Patrzcie!

Kamera natychmiast odwraca się od reporterki, by pokazać Łuk Triumfalny, na którym pali się ogień bardziej oślepiający niż Płomień Pamięci na znajdującym się pod Łukiem Grobie Nieznanego Żołnierza. Jacyś mężczyźni oblali baner przedstawiający Léonor benzyną i podpalili. Na oczach oniemiałych ludzi płomienie wspinają się po planecie, pożerając pokrytą piegami twarz, a ich ogniste języki mieszają się z długimi rudymi lokami czerwonego olbrzyma.

Harmony przestaje przerzucać kanały, zostawiając włączony ostatni program.

Płomienie rozświetlają duży płaski ekran wbudowany w ścianę pokoju i zalewają poświatą pościel łóżka, na którym siedzi dziewczyna, jej porcelanową twarz i oczy okolone jasnymi, delikatnymi, niemal przezroczystymi rzęsami.

Nagle za oknem słychać jakiś hałas. Stuk!

Harmony odrywa oczy od ekranu i wstaje, by otworzyć okno. Jak się okazuje, to nie dziób gołębia pocztowego, tylko grad, który zaczął padać z nieba i uderza o kraty w oknie. Stuk! Stuk! Stuk!

Rozczarowana i drżąca z zimna Harmony już ma zamknąć okno i wrócić do łóżka, gdy nagle w zaśnieżonym ogrodzie spostrzega ciemną sylwetkę. Intruz podnosi głowę w tej samej chwili, ukazując ukrytą pod kapturem twarz i okulary w czarnych oprawkach. To chłopak w wieku Harmony, którego twarz jest równie blada i przezroczysta, jak twarz dziewczyny.

Nieruchomieje.

On nie ma prawa tam być.

Harmony powinna zaalarmować ochronę. Ale tego nie robi.

Bardzo powoli, jakby nie chciał wystraszyć napotkanej w głębi ośnieżonego lasu sarny, chłopak podnosi palec wskazujący i przykłada go do zsiniałych z zimna ust, pytając bez słów: „Milczenie?”.

Stojąc za kratami w oknie, Harmony wykonuje ten sam gest i kładzie palec na swych bladych ustach. „Zgoda: milczenie”.

PLAN

Start + 159 dni, 22 godz., 12 min
(Dwudziesty trzeci tydzień)

– *Czekaj, Léonor!*

W innych okolicznościach sam fakt, że Serena ma jeszcze czelność mi rozkazywać, wywołałby u mnie wybuch śmiechu. Przesuwam się ze złością w stronę kłapy wejściowej do segmentu łączącego, ciągnąc za sobą strzępy czerwonego materiału.

– *Nie rób czegoś, czego nie uda się cofnąć!*

Coś, czego nie uda się cofnąć. Serena już to zrobiła w chwili, gdy wybrała nas do tego programu, pozornie tak ekscytującego, ale skażonego w środku. Czerwone okrągłe logo programu Genesis jest jak zatrute jabłko Królowny Śnieżki, a Serena to wiedźma, która nam je podarowała.

– *Zostań w Kuli!*

Chwytam dźwignię kłapy. Czuję, jak przez nadgarstek przechodzą wibracje, które wprawiają w drżenie muślin fałujący wokół mnie. Tam, za stalową pokrywą tłumiącą każdy dźwięk, pięści uderzają w klapę z całej siły. To pozostałe dziewczyny próbują się dostać do Kuli Spotkań. Teraz, kiedy Mozart odwrócił się do mnie plecami, liczy się tylko to, bym ostrzegła dziewczyny i pomogła Safii najlepiej, jak potrafię.

A później? Wolę nie myśleć o tym, co będzie później.

– *Mogę wam uratować życie!*

Zamieram w ostatniej chwili z dłonią na dźwigni, zaskoczona tupetem Sereny. Słowa wypowiedziane przez nią trzy minuty temu wciąż napływają do mnie falami, które rodzą się na przylądku Canaveral i przemierzają pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów próżni.

– *Safia odzyskała przytomność. Poprosiła koleżanki, by poszły po ciebie na górę, aby ochronić cię przed tobą samą, żebyś nie zrobiła jakiegoś głupstwa. Są tam, za klapą, szaleją z niepokoju o ciebie. Mogą chwilę poczekać, nic im nie będzie. Jednak układ, który mam ci do zaproponowania, nie może czekać.*

Układ? Z Sereną, która jest wcieleniem kłamstwa i dwulicowości?

– Wyobrażasz sobie, że uwierzę w choćby jedno słowo, które wyjdzie z twoich obłudnych ust, Sereno? – mówię, oddychając ciężko. – Zdradziłaś nas wszystkich. I po co? Prawdopodobnie po to, by jeszcze bardziej się wzbogacić, choć posiadasz już wszystko.

Nie mam tej kobiecie nic więcej do powiedzenia i nie chcę już o niej więcej słyszeć.

Dlaczego więc wciąż tu jestem? Dlaczego czekam sześć minut, aż mój głos dotrze do jej uszu i wróci do mnie jej odpowiedź?

Ponieważ w głębi duszy wiem, że wszystko się zmieniło, i Serena też to wie.

– *Zasady naszej relacji nie są już takie same* – odpowiada. – *Tak, wysłałam was na śmierć dla pieniędzy, ale teraz gram z tobą o własne życie. Karty zostały przetasowane. A tak jak w taroku wszystko się zmienia, kiedy masz same atuty w ręce. Atut numer jeden: w telefonie komórkowym masz niepodważalny dowód potwierdzający istnienie raportu Noego. Atut numer dwa: nie mogę udawać, że nic nie wiedziałam o tym raporcie, ponieważ telefon należał do Rubena Rodrigueza, który podlegał mi bezpośrednio tak samo jak sześciu instruktorów. Chyba nie trzeba dodawać, że wszyscy są w to zamieszani, jak Gordon Lock i ja. Atut numer trzy: dobrze się domyśliłaś, nie jesteśmy teraz na wizji, jednak nie mogę wstrzymać transmisji w nieskończoność, bo taki statek jak Cupido nie może po prostu zniknąć z ekranów. Ale chyba nie muszę ci tego wszystkiego tłumaczyć, prawda? Doskonale wiesz, że zyskałaś przewagę. W głębi duszy jesteśmy do siebie podobne. Zostałam zdradzona przez*

słabych ludzi, takich jak Sherman, Roberto czy Ruben, którzy nie potrafili mi zaufać. Sfotografować strony raportu Noego, cóż za szalona lekkomyślność! Ty zostałam odrzucona przez współpasażerki, które nie chciały zrozumieć, że próbujesz tylko otworzyć im oczy. Jesteś samotną dziką bestią, która nie może znaleźć nikogo, kto by dorastał do jej poziomu. Istotą wyższą, urodzoną, by dominować. Dlatego stworzyłaś własne reguły gry.

– Nie mam z tobą nic wspólnego! – Spluwam, zirytowana tą ostatnią prowokacją. – Ale przynajmniej w jednym się nie mylisz: mam dobre karty w ręce i cię nimi załatwię! Ostrzegę wszystkich pasażerów Cupido. Widzowie, których od miesiący trzymasz w napięciu, będą chcieli nas zobaczyć i usłyszeć. A wtedy dowiedzą się od nas całej prawdy. Nigdy nie zostaniesz wiceprezydentem. Twoja przygoda tutaj się kończy, a upadek będzie straszny!

Jednak Serena nie przestaje mówić, obojętna na moje groźby, które dotrą do niej dopiero za trzy minuty.

– *Jesteś inteligentną dziewczyną, Léonor. Z pewnością zbyt inteligentną do tej misji. To, że cię wybrałam, to moja największa zawodowa pomyłka. Nie będę próbowała kłamać, udawać, że raport w telefonie nie jest prawdziwy, bo wiem, że to strata czasu, a czasu mamy niewiele. Wyznam ci nawet, że mam urządzenie pozwalające na zdalne rozhermetyzowanie Gniazd Miłości, zanim ich wady wyjdą na jaw. Wystarczy, że naciśniesz guzik. Ach, ach! Prawda czy fałsz? Zdaje się, że też mam w ręce jeszcze jeden atut czy dwa...*

Krew gotuje mi się w żyłach.

Ściskam dźwignię kłapy, jakby to była szyja Sereny. Ale nie mogę jej udusić, nie mogę nawet roztrzaskać ekranu, na którym wyświetlałaby się jej twarz. Jest tylko głos, nieuchwytny pośród gwiazd.

– *Pozwól, że podliczę punkty w połowie tej rozgrywki – mówi. – Jeśli zdecydujesz się oskarżyć mnie na antenie, zostać na pokładzie Cupido i zawrócić, wszyscy umrzecie po drodze. Jeśli zgodzisz się milczeć i wylądować na Marsie, będziecie mieć dziewięć miesięcy na zidentyfikowanie problemu i naprawę marsjańskich modułów mieszkalnych. Kto wie, może to jakaś prosta, niewielka usterka. Odkrycie jej będzie zależało tylko od was. Oczywiście musicie to zrobić dyskretnie, nie ujawniając publiczności faktu istnienia zwierząt doświadczalnych, które przybyły przed wami na Marsa. W sumie raport Noego daje wam szansę walki o własne życie.*

Tupet Sereny zapiera mi dech w piersi. Twierdzić, że raport Noego to dla nas szansa?! Chciałabym krzyczeć, ale czuję, że w tej chwili nie powinnam okazywać emocji.

Bo jak zauważyła z przerażającym cynizmem Serena, jesteśmy w trakcie rozgrywki niczym w partii w pokera. Muszę się wznieść na jej poziom, zmierzyć z międzynarodową ekspertką w dziedzinie komunikacji z wieloletnim doświadczeniem, choć jestem tylko osiemnastoletnią sierotą. Muszę naśladować jej lodowaty spokój i zachować zimną krew, choć jedyne, czego w tej chwili pragnę, to wyrzygać gniew i pogardę prosto w jej twarz jak potok żrącej lawy.

– Skąd mam mieć pewność, że jeśli wylądujemy na Marsie, niczego nie zdradzając, i tak nie rozhermetyzujesz modułów mieszkalnych? – pytam. Następne sześć minut wpatruję się w najbardziej nieprzeniknioną pokerową twarz na świecie, beznamietną niczym czarna dziura pełna gwiazd.

– *To nie byłoby w moim interesie – odpowiada Serena. – Ponieważ moglibyście przeżyć jeszcze kilka godzin w skafandrach ciśnieniowych. Wystarczająco długo, by wyjawić światu wszystko, co wiecie.*

– A jeśli nie uda nam się naprawić modułów?

Znów sześć minut. Za szklaną szybą Kuli nieskończoność kosmosu otwiera się przede mną jak bezdenna paszcza.

– *Będziecie mieli przynajmniej dziewięć miesięcy, by spróbować, wiedząc, że istnieje problem, a to zupełnie co innego, niż nie wiedzieć nic i umrzeć jak bezradne, nieświadome zwierzęta.*

Zaczynam pojmować ohydny wybór, przed którym chce mnie postawić Serena, jeszcze bardziej porażający niż międzyplanetarna próżnia.

– Czyli każesz mi wybierać między pewnością, że doprowadzę cię do upadku, jeśli powiem prawdę, a mglistą szansą na wyjście z tego z życiem, jeśli zamilknę... – mówię. – Każesz mi wybierać między sprawiedliwością a nadzieją... To niemożliwe.

Cisza związana z opóźnieniem w łączności jeszcze nigdy nie wydawała mi się taka ogłuszająca. Kosmiczne ciemności jeszcze nigdy tak nie oślepiały.

Nieskończoność kosmosu to tylko iluzja – teraz zdaję sobie z tego sprawę, złudzenie, za którym skrywa się ślepa uliczka. Co za ironia: unoszę się pośrodku trylionów kilometrów nieba, dalej i wyżej niż jakikolwiek człowiek przede mną, a tymczasem nie widzę przed sobą żadnego wyjścia, duszę się, jakby pogrzebano mnie za życia w zbyt wąskiej trumnie!

– *To jedyny wybór, jaki masz* – mówi Serena po sześciu minutach. – *I musisz go dokonać sama.*

Po sposobie, w jaki wymawia ostatnie słowo, nagle domyślam się, że wcale nie jestem sama. Za plecami, w głębi Kuli Spotkań, wyczuwam jakąś milczącą obecność.

Puszczam kłapę i odwracam się, a moje długie włosy unoszą się dookoła jak pasma marsjańskiej mgły. W górze za szklaną kopułą czarna czaszka Fobosa, boga strachu, kolejny raz okrąża swego ojca Marsa, boga wojny. Zza pancernej szyby patrzy na mnie Marcus.

Jego ręce są zaczerwienione od uderzania z całej siły w zupełnie nieprzenikliwą szybę. Podczas gdy byłam zajęta targowaniem się o nasze życie z Sereną, miał mnóstwo czasu, by przyjrzeć się moim nagim plecóm, Salamandrze, którą z takim zapałem ukrywałam od początku podróży... od początku swojego życia.

– Marcus... – szepczę, wiedząc, że w chwili, gdy wypowiadam to imię, nikt mnie nie usłyszy, ani ten, który stoi o kilka metrów ode mnie w dźwiękoszczelnej półkuli, ani Serena, do której mój głos dotrze z opóźnieniem...

Poważne oczy Marcusa wpatrują się we mnie w ciszy. Ale nie ma w nich przerażenia ani odrazy, ani żadnej z tych strasznych rzeczy, które wyobrażałam sobie w koszmarach. Jego wargi, zapewne po raz tysięczny, artykułują bezdźwięczne słowa.

– Nie rozumiem, Marcus...

Rozsuwa kołnierzyk koszuli na piersi, odsłaniając tors, który czyta się jak książkę. Jest jak las, w którym chciałabym się zgubić. Otwiera dłoń – leży na niej scyzoryk błyszczący w świetle gwiazd. Końcem ostrza zaczyna kreślić litery w jedynym wolnym miejscu, w którym cierniste krzewy słów nie zapuściły jeszcze korzeni – na swym sercu.

L...

É...

początek O...

– Przestań!

Rzucam się w stronę szklanej przegrody, czując, jak do oczu napływają mi łzy.

Przykładam palce do nieprzekraczalnej szyby na tej wysokości, gdzie po drugiej stronie znajduje się serce Marcusa, jakbym chciała zetrzeć krew, która jak krople rosy perli się na trzech pierwszych literach mojego imienia.

Ręka Marcusa nieruchomieje, uśmiecha się do mnie.

Salamandra na moich plecach już nie syczy.

Już nie świerzbi.

Nie istnieje.

Marcus wypuszcza scyzoryk. Z tyłu, z głębi dźwiękoszczelnej Kuli, wyłania się pięć milczących postaci. Pozostali uczestnicy, zaniepokojeni, że jeden z nich nie wraca, wspięli się do Kuli Spotkań. Mozart... Aleksiej... Tao... Samson... Kenji... – wszyscy chłopcy, obok których żyłam przez tyle tygodni, choć widywałam ich ledwie przez kilka minut. Ale te krótkie chwile wystarczyły, by się przekonać, że żaden z nich nie zasługuje na śmierć, że wszyscy są godni miłości i powinni mieć prawo

do życia i szczęścia.

– *Marcus był tam praktycznie od początku naszej rozmowy, ale nie mógł jej usłyszeć* – odzywa się nagle Serena. Potrzebowała trzech minut, by zdać sobie sprawę, że się odwróciłam, i jeszcze trzech, by mnie o tym powiadomić. – *Choć zakazałam mu wchodzić do Kuli Spotkań, zrobił to, ponieważ Mozart nie chciał odpowiedzieć na jego pytania o wasze ostatnie spotkanie. Nie rozumie, co się dzieje. Nikt z nich nie rozumie: ani chłopcy, którzy prawdopodobnie dołączyli już do Marcusa w Kuli, ani dziewczyny, które czekają na ciebie za klapą. Ty trzymasz klucz do zrozumienia. Radzę ci, byś dała go im dopiero na Marsie, nie wcześniej. Jeśli teraz powiesz im o raporcie Noego, mogą zareagować historycznie, zechcieć wracać, co było też twoją pierwszą myślą, odruchem wywołanym paniką, a nie dojrzałą, przemyślaną decyzją. Jednak na Marsie będą musieli wziąć udział w grze, którą dla nich wybrałaś. Decyzja należy do ciebie, do ciebie samej. No przyznaj: czy to nie upajające uczucie mieć w swoich rękach władzę nad życiem i śmiercią was wszystkich? Masz duszę przywódcy, Léonor, a przywódcy muszą podejmować decyzje za innych. Odpowiadaj. Teraz. Przerwa w programie na kanale Genesis trwa już zbyt długo. Mówimy widzom, że mamy problemy techniczne, ale teraz musimy wznowić spektakl. Daj mi odpowiedź. Powiedz, że możemy przywrócić transmisję na żywo, że opuścicie statek, by mógł wrócić bez was na Ziemię, i że wylądujecie na Marsie w kapsułach i zrobicie przez te dziewięć miesięcy wszystko, by przetrwać.*

– Nie.

Tym razem nie spuszczam powiek, czekając na odpowiedź. Zamiast tego tonę w oczach Marcusa.

– Jak to „nie”?

W głosie Sereny pobrzmiewa rozdrażnienie.

I gniew.

Ale przede wszystkim zaskoczenie.

– Powiedziałaś ci, że to nie twoja kolej, by zadawać pytania. Czyżbyś miała kiepską pamięć? Nie akceptuję warunków twojego tak zwanego układu.

Odwracam się w kierunku usianej gwiazdami kopuły, w stronę kobiety, która sądzi, że jest bogiem i może się nami bawić, rozstawiając nas zgodnie z własną wolą jak pionki na szachownicy.

– Nie licz, że ukryję prawdę przed swoimi braćmi i siostrami i postawię ich przed faktem dokonanym, kiedy znajdą się na Marsie. Ta władza wcale mnie nie upaja, robi mi się od niej niedobrze. Powiedziałaś, że jestem twoją największą zawodową pomyłką. A ty jesteś moją największą pomyłką osobistą, bo uważałam cię i pozostałych instruktorów za swoją przybraną rodzinę. Dziś jestem pewna, że moją prawdziwą rodziną są ci, którzy odbyli ze mną tę podróż. Zaraz zdradzę im wszystko, tak jak zamierzałam. I wszyscy razem damy ci odpowiedź: „Zawrócić i oskarżyć cię tu i teraz: Sprawiedliwość. Lub wylądować na Marsie i spróbować przeżyć: Nadzieja”.

Podpływam do kłapy i naciskam dzwignię, rzucając jeszcze:

– Mylisz się, Sereno. Nie jestem do ciebie podobna. Ponieważ ty naprawdę jesteś sama...

Kłapa się otwiera, dziewczęta wlatują do Kuli jak ptaki.

– ... a ja jestem częścią drużyny!

KANAŁ GENESIS

Sobota 9 grudnia, godz. 12.13

PRZEPRASZAMY ZA NIEDOGODNOŚCI.

PRACUJEMY NAD JAK NAJSZYBSZYM WZNOWIENIEM ŁĄCZNOŚCI Z CUPIDO.

DZIĘKUJEMY ZA PAŃSTWA CIERPLIWOŚĆ

I ODDANIE.

DO ZOBACZENIA NA WASZYM ULUBIONYM KANAŁE:

KANAŁ GENESIS!

PODZIĘKOWANIA

Chcę podziękować wszystkim, którzy, czy to stojąc przy mnie, czy z odległej sali kontroli lotów, przyczynili się do tego, że rakieta *Fobos* mogła wystartować. Glennowi i Constance, pierwszym, którzy zdecydowali się polecieć ze mną na Marsa. Mojej rodzinie, która wyruszyła ze mną na tę wyprawę. Larry'emu, załogowemu artyście, którego talent sprawił, że Léonor zyskała tak piękną twarz. Fabienowi i Muriel, specjalistom w dziedzinie inżynierii, którzy przeprowadzili wszelkie niezbędne kontrole techniczne. Elisabeth, Margaux, Céline i Sylvie, specjalistkom w dziedzinie komunikacji i łączności, które zapewniały stały kontakt między statkiem a Ziemią. I *last but not least*, Billiemu i Rasco, moim kotom pokładowym, które obserwowały gwiazdy ze szklanej kuli, w której piszę nocami.

Pierwszy etap tej misji nie udałby się bez ich pomocy!

O AUTORZE

Jego ojciec jest Duńczykiem, a matka Francuzką, Victor wychowywał się więc w środowisku wielokulturowym, podróżując z rodzicami po całej Europie. W dzieciństwie zaczął cierpieć na bezsenność, jednak uczynił z niej swojego największego sprzymierzeńca i źródło inspiracji, poświęcając długie noce na pisanie. W 2010 roku otrzymał Grand Prix de l'Imaginaire (najbardziej prestiżową francuską nagrodę z dziedziny literatury fantastycznej) za pierwszy tom swojej tetralogii *Le Cas Jack Spark* [Przypadek Jacka Sparka]. W 2014 roku dostał tę nagrodę powtórnie za powieść *Animale, la malédiction de Boucle d'or* [Animale, klątwa Złotowłosej].

W swojej szóstej powieści *Fobos*, pierwszej z nowej serii, trzydziestosześcioletni autor wysłał swych bohaterów w epicką międzyplanetarną misję ku odległym krańcom kosmosu i na granicę ich sił i wytrzymałości.

Po kilku latach spędzonych w Irlandii i Kolorado Victor Dixen zamieszkał w Singapurze.